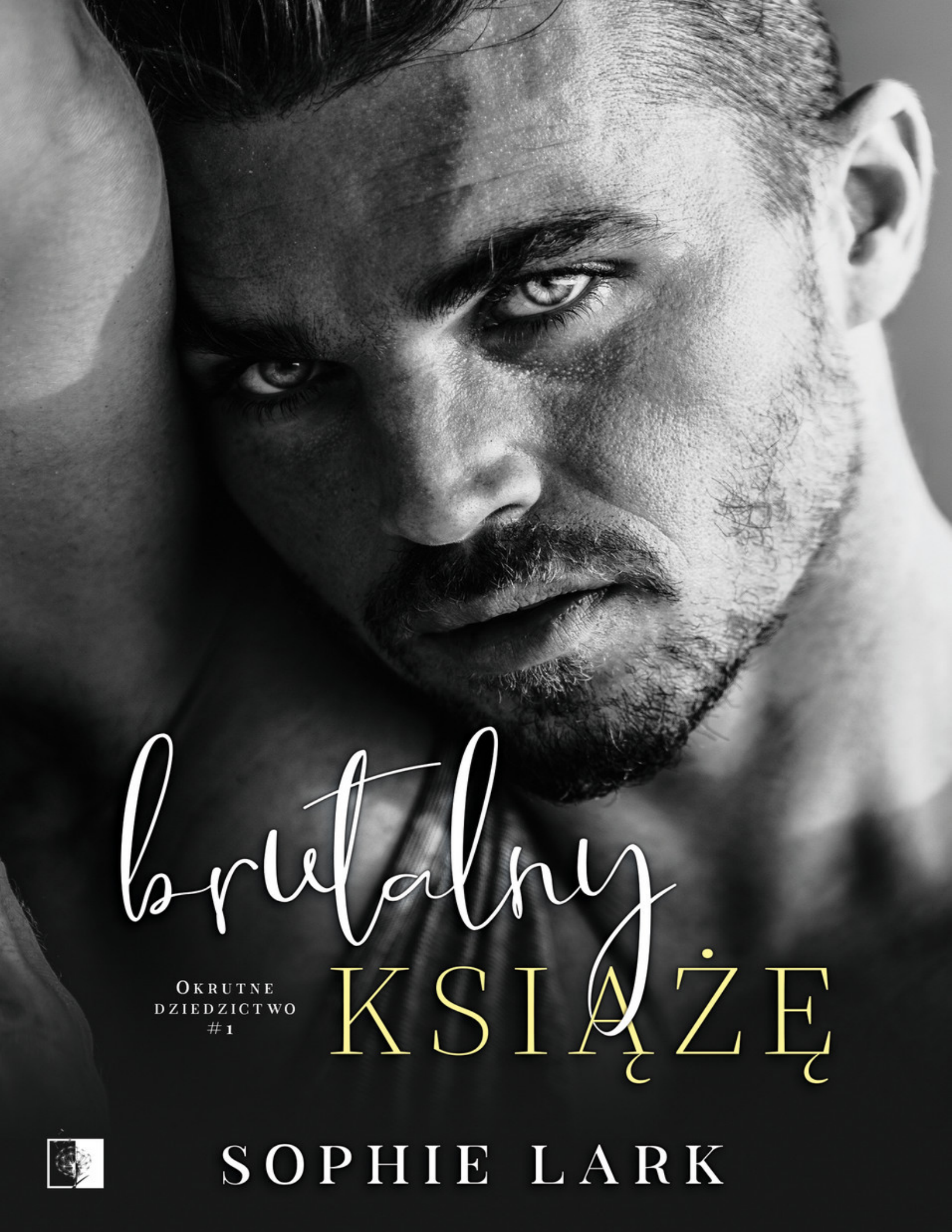

brutalny KSIĄŻĘ

Okrutne dziedzictwo #1

SOPHIE LARK

SOPHIE LARK

BRUTALNY KSIĄŻĘ

OKRUTNE DZIEDZICTWO #1

TŁUMACZENIE

TOMASZ KUPCZYK

OŚWIĘCIM 2021

Tytuł oryginału
Brutal Prince
Copyright © 2020 by Sophie Lark
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2021
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Katarzyna Mirończuk
Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska
Korekta:
Kinga Jaźwińska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-773-4

SPIS TREŚCI

Oficjalna playlista „Brutal Prince”
ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY
ROZDZIAŁ DWUNASTY
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
ROZDZIAŁ SZESNASTY
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ BONUSOWY
Przypisy

Oficjalna playlista „*Brutal Prince*”

Spotify

Apple Music

1. *Hate Me* – Nico Collins
2. *You Don’t Own Me* – SAYGRACE
3. *Boyfriend* – Selena Gomez
4. *Midnight Sky* – Miley Cyrus
5. *Somethin’ Bad* – Miranda Lambert
6. *Sweet But Psycho* – Ava Max
7. *Love The Way You Lie* – Rihanna
8. *Ballroom Blitz* – The Struts
9. *Poison & Wine* – The Civil Wars
10. *Falling Slowly* – Glen Hansard
11. *Make You Feel My Love* – Adele
12. *Gnossienne: No. 1* – Erik Statie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– AIDA

Rozety eksplodujących fajerwerków rozkwitają ponad taflą jeziora. Przez chwilę wiszą w bezruchu na bezchmurnym nocnym niebie, po czym jako skrzące się obłoczki spadają w dół, aby osiąść na powierzchni wody.

Ojciec wzdryga się, gdy rozlega się huk pierwszej eksplozji. Nie przepada za tym, co głośne i nieprzewidywalne. Dlatego niekiedy działam mu na nerwy, bo bywam zarówno głośna, jak i nieprzewidywalna, nawet kiedy próbuję być grzeczna.

Widzę oświetlony przez niebieskie i złote błyski światła grymas malujący się na jego twarzy. Taa, zdecydowanie robi tę samą minę, kiedy na mnie patrzy.

– Chcesz zjeść w środku? – Dante pyta ojca.

W tę ciepłą noc wszyscy siedzimy na tarasie. Chicago to nie Sycylia – tutaj, gdy tylko nadarzy się okazja, aby zjeść na świeżym powietrzu, trzeba z niej skorzystać. Gdyby nie uliczny zgiełk, można by pomyśleć, że siedzi się we włoskiej winnicy. Na stole stoi rustykalna kamionka, którą nasi przodkowie sprowadzili z ojczyzny trzy pokolenia temu. Ponad naszymi głowami rozrasta się na dachu altany lisia winorośl, którą *Papà* posadził, abyśmy mieli cień. Ten gatunek winorośli co prawda nie nadaje się do zrobienia wina, ale do dżemów już tak.

– Tu jest dobrze – odpowiada krótko ojciec, kręcąc głową.

Dante wydaje z siebie chrząknięcie i wraca do jedzenia kurczaka. Jest tak potężnym mężczyzną, że trzymany przez niego widelec wygląda na komicznie maleńki. Zawsze siedzi zgarbiony nad talerzem i je, jakby dosłownie umierał z głodu.

Dante jako najstarszy syn siedzi po prawicy ojca. Po lewej z kolei siedzi Nero, a obok niego Sebastian. Ja natomiast siedzę przy

krótszym końcu stołu, tam gdzie – gdyby żyła – siedziałaby matka.

– Co to za święto? – pyta Sebastian, gdy kolejna salwa fajerwerków mknie w stronę nieba.

– Żadne święto. Nessa Griffin ma urodziny – odpowiadam.

Okazała posiadłość Griffinów umiejscowiona jest w samym centrum Gold Coast, tuż nad brzegiem jeziora. Odpalają fajerwerki, aby pokazać wszystkim w mieście, że ich mała księżniczka urządza imprezę – zupełnie jakby nie promowali tego wydarzenia niczym igrzysk olimpijskich i rozdania Oscarów razem wziętych.

Sebastian, który nie zwraca uwagi na nic, co nie jest koszykówką, nie orientuje się w temacie. To mój najmłodszy brat, ale też i najwyższy. Uniwersytet Chicago przyznał mu stypendium i jest na tyle dobry w grze w kosza, że odwiedzając go na kampusie widzę, jak dziewczyny gapią się na niego i chichoczą na jego widok, gdzie by się nie pojawił. Zdarza się, że czasami zbierają się na odwagę i proszą go, aby podpisał się im na koszulkach.

– Jakim cudem nie zostaliśmy zaproszeni? – pyta sarkastycznie Nero.

Nie zostaliśmy, bo kurewsko nienawidzimy Griffinów. Z wzajemnością.

Goście są starannie dobrani i wśród nich pełno jest zamożnych osób, polityków oraz takich ludzi, których postanowiono wybrać ze względu na użyteczność oraz ich kryjówki. Wątpię, żeby Nessa znała kogokolwiek spośród nich.

Nie, żebym płakała z tego powodu. Słyszałam, że jej ojciec zatrudnił Demi Lovato, żeby wystąpiła na tej imprezie. Co prawda to nie Halsey, ale i tak jest całkiem niezła.

– Jak wyglądają sprawy z Oak Street Tower? – *Papà* pyta Dantego, który powoli i pieczołowicie kroi swojego kurczaka w parmezanie.

Ojciec już i tak doskonale wie, co się dzieje na budowie Oak Street Tower, bo śledzi dosłownie każdy ruch Gallo Construction. Teraz po prostu zmienia temat, bo irytuje go myśl, że Griffinowie właśnie sączą szampana i pośredniczą w zawieraniu umów między chicagowską śmietanką towarzyską.

Nie interesuje mnie, co robią Griffinowie. Tylko że nie lubię, gdy ktoś się bawi beze mnie.

– Powinniśmy tam pójść – mamroczę pod nosem do Sebastiana, gdy ojciec i Dante ględzą o wieży.

– Gdzie? – pyta, opróżniając dużą szklankę mleka. Reszta z nas pije wino. Sebastian natomiast stara się być w dobrej formie, aby móc dryblować, robić przysiady czy co tam robi jego drużyna tyczkowatych ogrów podczas treningów.

– Powinniśmy pójść na imprezę – mówię, ściszając głos.

Nero natychmiast się ożywia. On zawsze jest chętny, aby wpakować się w kłopoty.

– Kiedy?

– Zaraz po kolacji. – Uśmiecham się do niego.

– Nie ma nas na liście – protestuje Sebastian.

– Jezu! – Przewracam oczami. – Czasami zastanawiam się, czy ty w ogóle jesteś Gallo. Przechodzić na czerwonym świetle też się boisz?

Obaj moi starsi bracia to prawdziwi gangsterzy. Zajmują się tą nieco brutalniejszą częścią naszego rodzinnego biznesu. Sebastian z kolei uważa, że będzie grać w NBA. Żyje w totalnie innym świecie niż my wszyscy. Stara się być dobrym chłopcem i przestrzegającym prawa obywatelem.

Uśmiecha się do mnie i mówi:

– Ja też idę, prawda?

Dante rzuca nam surowe spojrzenie. Wciąż rozmawia z ojcem, a jednak wie, że coś kombinujemy.

Skoro zjedliśmy już kurczaka, Greta przynosi nam deser. Gdzieś od stu lat jest naszą gosposią. To moja druga ulubiona osoba, tuż po Sebastianie. Jest pulchną, ładną kobietą o bardziej siwych niż rudych włosach.

W moim deserze nie ma malin, bo Greta wie, że nie lubię ich pestek, no i ogólnie nie przeszkadza jej to, że jestem rozpieszczonym bachorem. Kiedy stawia przede mną moją porcję, obejmuję ją i całuję w policzek.

– Bo upuszczę przez ciebie tacę – mówi, próbując się uwolnić.

– Nigdy w życiu nie upuściłaś tacy – oznajmiam.

Ojcu całą, kurwa, wieczność zajmuje zjedzenie deseru. Sącząc wino ciągle nawija o związku zawodowym elektryków. Dante na bank ciągnie go za język, żeby nas wszystkich wkurzyć. *Papà* oczekuje, że

w trakcie tych oficjalnych kolacji będziemy siedzieli przy stole aż do samego końca. W tym czasie nie możemy korzystać z telefonów, co jest prawdziwą torturą, bo czuję, że komórka w mojej kieszeni brzęczy raz po raz, informując o przychodzących wiadomościach od Bóg jeden wie kogo. Mam nadzieję, że nie od mojego byłego.

Trzy miesiące temu zerwałam z Oliverem Castle'em, ale nic do niego nie dociera. Jeśli nie przestanie mnie denerwować, być może będę musiała go zdzielić młotkiem w łeb.

Papà w końcu skończył deser i aby pomóc Grecie, wszyscy zabieramy tyle naczyń, ile jesteśmy w stanie unieść i zanosimy je do zlewu.

Następnie idzie do swojego gabinetu, aby wypić drugiego drinka, z kolei Sebastian, Nero i ja zakradamy się na dół.

Wolno nam wychodzić w sobotnie wieczory, bo w końcu wszyscy – ja dopiero co – jesteśmy dorośli. Mimo to nie chcemy, żeby *Papà* pytał nas, gdzie się wybieramy.

Wskakujemy do samochodu Nero, bo to kozacki chevrolet Bel Air z roku 1957, w którym najfajniej będzie się wozić ze złożonym dachem.

Nero odpala silnik, a w świetle reflektorów zauważamy potężną postać Dantego, który stoi przed autem ze skrzyżowanymi na piersi rękami, przez co wygląda jak Michael Myers, który ma zamiar nas zamordować.

Sebastian podskakuje, widząc go, a z mojego gardła wyrywa się krótki krzyk.

– Blokujesz przejazd – mówi oschle Nero.

– To zły pomysł – oznajmia Dante.

– Dlaczego? – pyta niewinnie Nero. – Jedziemy tylko na przejażdżkę.

– Taa? – Dante unosi brwi, nie ruszając się z miejsca. – Prosto do Lake Shore Drive?

– A jeśli tak, to co? – Nero zmienia taktykę. – To tylko jakaś słodka szesnastka.

– Nessa ma dziewiętnaście lat – poprawiam go.

– Dziewiętnaście? – Nero z obrzydzeniem kręci głową. – To czemu w ogóle… A zresztą, nieważne. To pewnie jakieś irlandzkie bzdury.

Albo po prostu okazja, aby się popisać.

– Możemy już jechać? – pyta Sebastian. – Nie chcę wracać za późno.

– Wsiadaj albo zejdź z drogi – mówię do Dantego.

Przygląda się nam przez dłuższą chwilę, po czym wzrusza ramionami.

– Dobra – oznajmia. – Ale ja siedzę z przodu.

Bez dyskusji gramolę się na tylne siedzenie. To niewielka cena, jaką trzeba zapłacić za to, aby starszy brat dołączył do drużyny Nieproszonych Gości.

Jedziemy wzdłuż La Salle Drive, rozkoszując się wpadającym do samochodu ciepłym powietrzem początku lata. Nero może w samochodzie jest spokojny i ostrożny – niczym uosobienie przezorności.

Może to wynika z faktu, że kocha swojego chevroleta, przy którym dłubał z tysiąc godzin. A może jazda samochodem jest jedyną rzeczą, która go odpręża. Tak czy siak, zawsze lubiłam patrzeć, jak tak siedzi z jedną ręką na kierownicy, lśniącymi włosami rozwiewanymi przez wiatr i półprzymkniętymi niczym u kota oczami.

Gold Coast znajduje się niedaleko. Właściwie to praktycznie sąsiadujemy z Griffinami, bo mieszkamy w znajdującym się na północy Old Town. Obie dzielnice nie są do siebie podobne. Każda jest na swój sposób luksusowa – nasz dom wychodzi wprost na Lincoln Park, a ich na jezioro. Jednak Old Town jest, no cóż… dokładnie takie, jak sugeruje sama nazwa – kurewsko stare. Nasz dom został zbudowany w epoce wiktoriańskiej. Wzdłuż ulicy rośnie mnóstwo starych, potężnych dębów. Mieszkamy niedaleko kościoła św. Michała, który według mojego ojca dzięki bezpośredniej boskiej interwencji ocalał z chicagowskiego pożaru[1].

Gold Coast to najnowsze cudeńko, są tu eleganckie sklepy, restauracje i posiadłości najbogatszych chicagowskich skurwysynów. Jadąc tutaj, mam wrażenie, jakbym przeniosła się w czasie o dobre trzydzieści lat do przodu.

Myśleliśmy – to znaczy Sebastian, Nero i ja – że uda się nam zakraść na tył posiadłości Griffinów i ukradniemy uniformy

pracowników firmy cateringowej. Dante, oczywiście, nie bawi się w takie pierdoły. Po prostu pozwala jednemu z ochroniarzy zapoznać się z pięcioma Benjaminami[2], aby „znalazł" nas na liście gości i bramkarz wpuszcza nas bez problemu.

Wiem, jak wygląda posiadłość Griffinów, mimo że jej nie widziałam, bo gdy ją kupowali kilka lat temu, było to nie lada sensacją. Wtedy to była najdroższa nieruchomość mieszkalna w Chicago. To piętnaście tysięcy metrów kwadratowych, wartych dwadzieścia osiem milionów dolarów.

Mój ojciec wtedy prychnął i powiedział, że Irlandczycy lubią szastać kasą.

– Irlandczyk będzie chodził w garniturze za tysiąc dwieście dolarów, ale w kieszeni nie będzie miał ani centa na piwo – oznajmił.

Bez względu na to, czy to prawdziwe stwierdzenie, czy też nie, Griffinowie – jeśli zapragną – mogą sobie kupić całe mnóstwo piwa. Mają tyle pieniędzy, że mogą używać ich jako podpałki i w tej chwili dosłownie palą je, urządzając pokaz fajerwerków, którym chyba próbują zawstydzić sam Disney World.

Jednak wcale mnie to nie obchodzi – pierwszą rzeczą, której chcę, to odrobina drogiego szampana, którego roznoszą kelnerzy, a następnie chcę wypić wszystko z kieliszków, z których ustawiono wieżę na szwedzkim stole. Zrobię, co w mojej mocy, aby zrujnować tych nadętych pojebów, zjadając przed wyjściem tyle kawioru i krabich nóżek, ile sama ważę.

Impreza odbywa się na wielkim, zielonym trawniku. Dzisiejsza noc jest idealna, aby urządzać przyjęcie – to kolejny dowód na to, że Irlandczycy mają szczęście. Wszyscy wokół rozmawiają, śmieją się i objadają, niektórzy nawet tańczą, mimo że jeszcze nie występuje Demi Lovato, tylko gra DJ.

Wydaje mi się, że powinnam była się przebrać. Nie widzę dziewczyny, która nie miałaby na sobie błyszczącej sukienki oraz szpilek. Jednak chodzenie w czymś takim po miękkiej trawie byłoby cholernie denerwujące, więc w sumie cieszę się, że mam na sobie sandały oraz szorty.

Zauważam Nessę Griffin otoczoną przez ludzi, którzy gratulują jej wielkiego osiągnięcia, jakim jest przeżycie dziewiętnastu lat. Jubilatka ma na sobie śliczną, kremową sukienkę – prostą, a zarazem ekscentryczną. Jasnobrązowe włosy swobodnie opadają jej na ramiona, jest delikatnie opalona i na nosie ma kilka piegów, zupełnie jakby cały ranek spędziła nad jeziorem. Oblewa się rumieńcem, gdy wszyscy poświęcają jej uwagę, przy czym wygląda słodko i szczęśliwie.

Szczerze mówiąc, najlepsza ze wszystkich Griffinów jest Nessa. Chodziłyśmy do tej samej szkoły średniej. Co prawda nie byłyśmy przyjaciółkami, bo chodziła klasę niżej niż ja i była za bardzo świętoszkowata, ale wydawała się miła.

Za to jej siostra…

Zauważam teraz Rionę, która opieprza jedną z kelnerek tak bardzo, że tamta zaczyna płakać. Riona Griffin ma na sobie jedną z tych sztywnych i dopasowanych, obcisłych sukienek do kolan, które wyglądają odpowiednio na sali konferencyjnej, a nie na przyjęciu pod chmurką. Jednak jej sukienka nie jest tak ciasna, jak ciasno upięła włosy. Nigdy nikomu nie było tak brzydko w płomiennorudych włosach jak jej…. zupełnie jakby genetyka chciała zrobić sobie z niej jaja, a Riona na to: *Nigdy w życiu ani przez chwilę nie będę się dobrze bawiła, dzięki ci bardzo*. Omiata wzrokiem gości, zupełnie jakby chciała spakować i opisać tych co ważniejszych. Odwracam się, aby ponownie napełnić swój talerz jedzeniem, zanim Riona mnie zauważy.

Chwilę po naszym przyjeździe moi bracia się rozdzielili. Widzę Nero, flirtującego na parkiecie z jakąś uroczą blondyneczką. Dante poszedł w stronę baru, bo nie będzie pić owocowego szampana. Sebastian kompletnie wsiąkł, a to nie jest takie proste, gdy ma się dwa metry wzrostu. Domyślam się, że spotkał jakichś znajomych. Wszyscy lubią Sebastiana i ma kumpli dosłownie wszędzie.

A jeśli chodzi o mnie, to muszę siku.

Widzę, że Griffinowie wynajęli kilka toi–toiów, które dyskretnie ustawiono na tyłach posesji i przykryto zwiewnym baldachimem. Ale przecież nie będę sikała w czymś takim, nawet jeśli to dość ekskluzywny kibelek. Mam zamiar załatwić się w prawdziwej

łazience w domu Griffinów, dokładnie tam, gdzie sami sadzają te swoje zapyziałe dupska. No i będę miała okazję, aby nieco pomyszkować w ich domu.

Tyle, że aby to zrobić, muszę się nieco nagimnastykować. Przy wejściu do domu stoi o wiele więcej ochroniarzy, a ja jestem zbyt skąpa, żeby dawać komuś w łapę. Ale kiedy przewieszam sobie haftowaną serwetkę przez ramię i zabieram tacę, którą porzuciła zapłakana kelnerka, teraz muszę tylko postawić na niej kilka pustych szklanek i zakraść się prosto do kuchni.

Jak na dobrego, grzeczniutkiego pracownika przystało wstawiam naczynia do zlewu, a potem znikam w głębi domu.

O Jezu, ten pieprzony dom jest śliczny. Wiem, że powinniśmy być śmiertelnymi wrogami i tak dalej, jednak jestem w stanie docenić fakt, że to miejsce jest lepiej zaprojektowane niż cokolwiek, co oglądałam w *House Hunters*. A nawet i w *House Hunters International*.

Dom jest prościej urządzony niż się spodziewałam – wszędzie dominuje kolor śmietankowy. Gładkie ściany, naturalne drewno, małe, nowoczesne meble oraz lampy wyglądają niczym dzieła sztuki przemysłowej.

Dookoła również znajdują się prawdziwe dzieła sztuki – są tu obrazy, które wyglądają jak zbiór kolorowych kwadratów i prostokątów, są też rzeźby składające się z przeróżnych połączonych ze sobą kształtów. Nie jestem kompletną ignorantką – wiem, że obraz to albo Rothko[3], albo coś, co ma wyglądać jak jego dzieło. Wiem również, że sama nie sprawiłabym, aby ten dom wyglądał tak pięknie, nawet gdybym miała na to sto lat i nieograniczony budżet.

Teraz bardzo się cieszę, że zakradłam się tu, aby zrobić siku.

Na końcu korytarza znajduję najbliższą łazienkę. I oczywiście cała tonie w luksusach – jest tu cudowne lawendowe mydło, miękkie puszyste ręczniki, z kranu płynie woda mająca idealną temperaturę, nie jest ani za zimna, ani za gorąca. Kto wie – może z uwagi na fakt, że dom jest ogromny, jestem pierwszą osobą, która kiedykolwiek weszła do tej łazienki, żeby z niej skorzystać. Prawdopodobnie każdy z Griffinów ma własną. Właściwie to pewnie gubią się w tym całym labiryncie, jak się upiją.

Wiem, że po zrobieniu swojego powinnam wrócić na dwór. Moja mała przygoda dobiegła końca i nie ma sensu, aby bardziej igrać z losem.

Tymczasem przyłapuję się na tym, że zakradam się po szerokich, spiralnych schodach na piętro.

Parter był zbyt formalny oraz sterylny, wyglądał niczym w jakimś domu pokazowym. Chcę zobaczyć, jak ci ludzie naprawdę mieszkają.

Po lewej od schodów znajduję sypialnię, która musi należeć do Nessy. Aranżacja pokoju jest delikatna i kobieca, mnóstwo tu książek, pluszaków oraz przyborów malarskich. Na stoliku nocnym leży ukulele, pod łóżko natomiast w pośpiechu wrzucono kilka par tenisówek. Jedynie zawieszona za wstążkę na klamce para baletek nie jest ani nowa, ani czysta. Te buty są cholernie dojechane i mają dziury na satynowych czubkach.

Naprzeciwko znajduje się pokój, który prawdopodobnie należy do Riony. Jest większy i nienagannie czysty. Nie widzę tu nic, co wskazywałoby na to, że mieszkająca tu osoba ma jakiekolwiek hobby. Na ścianach zauważam jedynie kilka pięknych, azjatyckich akwareli. Jestem rozczarowana, że Riona nie ma żadnej półki ze starymi trofeami lub medalami. Zdecydowanie wygląda na kogoś, kto powinien je mieć.

Za pokojami obu dziewczyn mieści się główna sypialnia. Tam nie będę wchodziła. Wejście tam wydaje się być pod wieloma względami niewłaściwe. Musi być jakaś granica, której nie przekroczę, węsząc po czyimś domu.

Dlatego też ruszam w przeciwną stronę i trafiam do wielkiej biblioteki.

O właśnie, to dla takich zagadkowych rzeczy tutaj przyszłam.

Co czytują Griffinowie? Oprawione w skórę klasyki literatury czy może potajemnie są fanami Anne Rice? Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć…

Wygląda na to, że cenią biografie, książki o architekturze i owszem, wszelką klasykę literatury. Mają nawet dział poświęcony słynnym irlandzkim pisarzom, takim jak James Joyce, Jonatah Swift, Yeates czy George Bernard Shaw. Ani śladu Anne Rice, no ale przynamniej mają Brama Stokera.

O, patrzcie, mają nawet podpisany egzemplarz *Dublińczyków*. Nieważne, co inni mówią, ale nikt nie rozumie tej pieprzonej książki. Wszyscy Irlandczycy zgodnie udają, że to literackie arcydzieło, podczas gdy ja jestem przekonana, że to bełkot.

Nie licząc sięgających od podłogi do sufitu regałów wypełnionych książkami, w bibliotece ustawiono również tapicerowane, skórzane fotele. Trzy z nich stoją nieopodal dużego, kamiennego kominka, w którym pali się niewielki ogień, mimo że na dworze jest ciepło. Ładnie tu pachnie drewnem brzozowym, a więc kominek nie jest zasilany gazem. Nad nim zawieszono obraz uroczej kobiety. Pod malowidłem, na półce, ustawiono kilka przedmiotów, takich jak zegar powozowy oraz klepsydra. Pomiędzy nimi leży stary, kieszonkowy zegarek.

Zdejmując go z kominka czuję, że jest zaskakująco ciężki i ciepły w dotyku, a nie zimny, jak się spodziewałam. Nie jestem w stanie określić, czy jest z mosiądzu, czy raczej złota. Łańcuszek wygląda, jakby się urwał gdzieś w połowie. Na kopercie coś wyryto, jednak cokolwiek to było, tak bardzo się starło, że nie jestem w stanie powiedzieć, co ten rysunek przedstawiał. Nie wiem również, jak go otworzyć.

Majstruję przy jego mechanizmie, gdy nagle słyszę dobiegający z korytarza dźwięk – cichy brzdęk. Szybko wsuwam zegarek do kieszeni i natychmiast chowam się za stojącym najbliżej kominka fotelem.

Do biblioteczki wchodzi jakiś mężczyzna. Wysoki szatyn, mający na oko trzydzieści lat. Ma na sobie idealnie skrojony garnitur i wygląda na wyjątkowo zadbanego. Jest przystojny, jednak na swój dość surowy sposób – wygląda zupełnie, jakby miał cię wypchnąć z szalupy, gdyby okazało się, że nie ma w niej wystarczającej ilości miejsc. A może wypchnąłby nawet i wtedy, gdybyś zapomniał umyć zęby.

Właściwie to go jeszcze nie poznałam, ale jestem niemal pewna, że to Callum Griffin, najstarszy z rodzeństwa. A to oznacza, że jest ostatnią osobą, która powinna mnie przyłapać w ich bibliotece.

Niestety wygląda na to, że planuje zostać tu przez jakiś czas. Siada w fotelu niemal naprzeciwko mnie i zaczyna czytać coś na telefonie.

Popija whisky z trzymanej w ręce szklanki. Ten dźwięk, który słyszałam, to odgłos uderzających o siebie kostek lodu.

Za fotelem jest wyjątkowo ciasno i niewygodnie. Leżący na podłodze dywan nie jest szczególnie przytulny, a muszę zwinąć się w kłębek, aby moja głowa ani stopy nie wystawały z którejkolwiek strony. Na dodatek, przez kominek jest tu gorąco jak w piekle.

Jak, do cholery, mam się stąd wydostać?

Callum wciąż czyta, popijając drinka. Pije. Czyta. Pije. Czyta. Jedynym dźwiękiem w bibliotece jest trzask palących się brzozowych polan.

Jak długo on tu będzie siedział?

Nie mogę tutaj zostać na zawsze. Moi bracia za chwilę zaczną mnie szukać.

Nie podoba mi się, że tu utknęłam. Zaczynam się pocić zarówno z gorąca, jak i nerwów.

Lód w szklance Calluma brzmi bardzo chłodno i orzeźwiająco.

Boże, mam ochotę się napić i stąd wyjść.

Ile on będzie tutaj siedział?!

Sfrustrowana i poirytowana zaczynam opracowywać plan. Prawdopodobnie nie wymyśliłam nigdy niczego głupszego.

Sięgam za siebie i zaciskam palce na jednym z grubych, złotych frędzli zwisających z zasłony z zielonego aksamitu.

Wyciągając go na całą długość jestem w stanie wsadzić go za krawędź rusztu kominka, wprost w ogień.

Mój plan polega na wznieceniu ognia, który odwróci uwagę Calluma i pozwoli mi obejść fotel i wyjść z biblioteki. To genialny pomysł.

Jednak życie to nie pieprzona powieść Nancy Drew i zamiast tego wszystko toczy się w następujący sposób:

Płomienie pełzną po frędzlu, jakby ktoś go zanurzył w benzynie, śpiewając w mojej dłoni. Puszczam sznur, który wraca na swoje miejsce. Zasłona momentalnie staje w ogniu, jakby była zrobiona nie z aksamitu, ale papieru. Ogień błyskawicznie pędzi ku sufitowi.

To wszystko faktycznie spełnia swoje zadanie, jakim jest odwrócenie uwagi Calluma Griffina. Krzycząc, zrywa się na równe nogi, przewracając fotel. Mimo że mój plan został obdarty z

wszelkiej subtelności, sama muszę wyjść z kryjówki i biegiem opuścić bibliotekę. Nie wiem, czy Callum mnie widział, czy nie, ale mam to gdzieś.

Chyba powinnam poszukać gaśnicy, wody czy coś. Myślę też, że powinnam stąd jak najszybciej spierdalać.

I właśnie ta myśl wygrywa – tak szybko, jak tylko jestem w stanie, zbiegam na dół.

U stóp schodów wpadam na kogoś, niemal go przewracając. To Nero, a obok niego stoi ta urocza blondyneczka. Ona ma rozczochrane włosy, a na jego szyi dostrzegam szminkę.

– Jezu – mówię. – Czy to nowy rekord? – Jestem niemal pewna, że poznał ją jakieś osiem sekund temu.

Nero wzrusza ramionami, a na jego przystojnej twarzy pojawia się uśmiech.

– Prawdopodobnie – odpowiada.

Dym unosi się ponad balustradą. Z biblioteki dobiega krzyk Calluma Griffina. Zmieszany Nero patrzy w górę.

– Co się dzieje…

– Nieważne – mówię, łapiąc go za ramię. – Musimy stąd spadać.

Zaczynam odciągać go w stronę kuchni, jednak sama nie potrafię skorzystać z własnej rady. Oglądam się przez ramię i widzę Calluma Griffina stojącego na szczycie schodów, który wpatruje się w nas z morderczą miną.

Biegnąc przez kuchnię, przewracamy tace z tartinkami i po chwili dopadamy do drzwi, żeby wybiec na trawnik.

– Znajdź Sebastiana, a ja pójdę po Dantego – oznajmia Nero. Zostawia blondynkę, nie mówiąc jej ani słowa, i puszcza się biegiem przez podwórko.

Ja z kolei ruszam w przeciwnym kierunku wypatrując wysokiej i chudej sylwetki młodszego brata.

Wewnątrz posiadłości zaczyna wyć alarm przeciwpożarowy.

ROZDZIAŁ DRUGI

– CALLUM

Przyjęcie Nessy zacznie się za niecałą godzinę, a ja ciągle siedzę z rodzicami w gabinecie ojca. Jest to największe pomieszczenie w całym domu, większe od sypialni czy nawet biblioteki. Nie bez powodu jest tak zaprojektowane, ponieważ interesy stanowią centrum naszej rodziny – to główny cel rodu Griffinów. Jestem przekonany, że rodzice dorobili się dzieci, aby ukształtować nas tak, żebyśmy pełnili różne istotne role w ich imperium.

Z pewnością chcieli mieć nas więcej. Między mną a Rioną są cztery lata różnicy, natomiast między Rioną a Nessą sześć. A to oznacza siedem nieudanych ciąż, z których każda kończyła się poronieniem lub przyjściem na świat martwego dziecka.

Ciężar tych wszystkich dzieci spoczywa na moich ramionach. Jestem najstarszym potomkiem i jednocześnie jedynym synem. Tylko ja mogę wykonywać pracę przeznaczoną dla męskich potomków rodu Griffinów. To ja jestem tym, który będzie kontynuować linię naszego rodu oraz jego dziedzictwo.

Riona wkurzyłaby się, gdyby to usłyszała. Jakiekolwiek insynuacje, że różnimy się, bo jestem od niej starszy i jestem mężczyzną, tylko ją wkurzają. Zarzeka się, że nigdy nie wyjdzie za mąż albo nie zmieni nazwiska. Albo że nigdy nie urodzi dzieci. I właśnie ta część jej zapewnień naprawdę wkurwia rodziców.

Nessa jest bardziej uległa. Lubi zadowalać ludzi i nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zirytować ukochanych rodziców. Niestety moja siostra żyje w pierdolonym świecie fantazji. Jest tak słodka i wrażliwa, że nie ma najmniejszego pojęcia na temat tego, co jest potrzebne, żeby nasza rodzina wciąż była u władzy. Co sprawia, że jest niemal bezużyteczna.

Jednak to nie oznacza, że Nessa mnie nie obchodzi. Jest tak dobra, że nie sposób jej nie kochać.

Cieszę się, że jest dziś taka szczęśliwa. Szaleje z radości z powodu tego przyjęcia, które tak naprawdę nie ma z nią nic wspólnego. Biega dookoła i próbuje wszystkich deserów, podziwia dekoracje, ale nie ma pojęcia, że jedynym powodem, dla którego urządzono to przedstawienie, jest zapewnienie mi poparcia podczas kampanii, aby zostać radnym czterdziestego trzeciego Okręgu.

Wybory odbędą się za miesiąc. Okręg obejmuje całe Lakefront: Lincoln Park, Gold Coast oraz Old Town. Obok burmistrza to najbardziej wpływowe stanowisko w całym Chicago.

Przez ostatnie dwanaście lat należało do Patricka Ryana, który przez swoją głupotę wylądował w więzieniu. Przed nim, przez szesnaście lat, radną była jego matka – Saoirse Ryan. Radziła sobie o wiele lepiej na tym stanowisku oraz nie dała się przyłapać na jakiejkolwiek kradzieży.

Pod wieloma względami lepiej jest być radnym niż burmistrzem. To jak być imperatorem swojego osiedla. Przywilej ten zapewnia, że ma się decydujące słowo w kwestii zagospodarowania przestrzennego nieruchomości, pożyczek i dotacji, ustawodawstwa oraz infrastruktury. Na tym stanowisku można zarobić na początku, w trakcie lub pod koniec jakiegoś projektu. Przez radnego przechodzi dosłownie wszystko i każdy jest mu winny przysługę. Niemal niemożliwe jest, aby dać się na czymś złapać.

A jednak ci chciwi skurwiele w tak zuchwały sposób robią przekręty, że ciągle stają przed sądem. Biorąc pod uwagę obecnie urzędującego, to trzech z czterech ostatnich radnych dwudziestego Okręgu trafiło za kraty.

Jednak mnie to nie spotka. Mam zamiar umocnić swoją pozycję. Mam zamiar przejąć kontrolę nad najbogatszą i najpotężniejszą dzielnicą Chicago. A potem zostanę burmistrzem całego cholernego miasta.

Bo tak właśnie robią Griffinowie. Rozwijamy się i budujemy. Nigdy nie przestaniemy. I nigdy nie zostaniemy złapani.

Jedynym problemem jest to, że działania radnego można kontrolować, ale mimo to, to klejnot koronny władzy nad miastem.

Pozostałymi dwoma głównymi kandydatami, ubiegającymi się o to stanowisko, są Kelly Hopkins oraz Bobby La Spata.

Z Hopkins nie powinno być problemu. To kandydatka, która chce walczyć z korupcją i wygłasza mnóstwo durnych obietnic na temat zrobienia porządków w ratuszu. To młoda idealistka, nie mająca pojęcia, że pływa w basenie z rekinami, ubrana w kostium zrobiony z mięsa. Zniszczę ją z łatwością.

Z kolei La Spata jest pewnym wyzwaniem.

Ma duże poparcie między innymi ze strony Związku Zawodowego Elektryków, strażaków oraz Włochów. Tak naprawdę nikt go nie lubi – to pieprzony grubas, który połowę czasu spędza na piciu, a drugą na tym, że przyłapują go u boku nowej kochanki. Jednak dobrze wie, komu dać w łapę. I robi to od dłuższego czasu. Wiele osób jest mu winnych przysługę.

Paradoksalnie trudniej się będzie pozbyć jego niż Hopkins. Ona polega na swoim nieskazitelnym wizerunku – jednak gdy odkopię jakieś brudy na jej temat, lub coś wymyślę, szybko wyląduje na dnie.

Dla porównania – wszyscy wiedzą o wadach La Spaty. To nic nowego. To taki dupek, że nikt nie oczekuje od niego niczego lepszego. Aby go powalić, będę musiał uderzyć pod zupełnie innym kątem.

Właśnie tę kwestię omawiam z rodzicami.

Mój ojciec z rękami skrzyżowanymi na piersi opiera się o biurko. Jest wysokim i wysportowanym mężczyzną o stylowo przyciętych siwych włosach i okularach w rogowej oprawie, które sprawiają, że wygląda jak intelektualista. Nigdy byście nie zgadli, że zaczynał w Horseshoe[4] jako mięśniak łamiący ludziom kolana, gdy nie spłacali długów.

Moja mama jest szczupłą, drobną kobietą o blond włosach uczesanych na boba. Stoi przy oknie i obserwuje, jak firmy cateringowe rozstawiają się na trawniku. Wiem, że chce jak najszybciej tam pójść, jednak nic nie powie na ten temat, dopóki nasze spotkanie nie dobiegnie końca. Może wygląda jak wytrawna bywalczyni salonów, jednak jest równie mocno zaangażowana w nasze sprawy jak ja.

– Musisz porozmawiać z Cardenasem – oznajmia ojciec. – Kontroluje Związek Zawodowy Strażaków. W zasadzie musimy go przekupić, aby zyskać jego poparcie. Jednak bądź delikatny, Cardenas lubi udawać, że jest ponad takimi rzeczami. Trzeba będzie obiecać Marty'emu Rico, że pozmieniamy przeznaczenie gruntów na Wells Street, żeby mógł tam postawić swoje osiedle. Oczywiście zrezygnujemy z konieczności budowania tanich mieszkań. Leslie Dowell również tu przyjdzie, jednak nie jestem pewien co ona…

– Chce rozbudować szkoły społeczne – odpowiada szybko matka. – Pozwól jej na to, a dopilnuje, aby wszystkie kobiety z rady do spraw edukacji poparły twoją kandydaturę.

Wiedziałem, że słucha.

– Riona zajmie się Williamem Callahanem – mówię. – On ma słabość do dziewczyn w jej wieku.

Usta matki zaciskają się w wąską linię. Uważa, że używanie seksapilu w charakterze dźwigni uwłacza naszej godności. Jednak jest w błędzie. Nic, co się sprawdza, nie uwłacza naszej godności.

Po przeanalizowaniu listy gości, z którymi będziemy musieli porozmawiać na przyjęciu, jesteśmy gotowi, aby zrobić sobie przerwę i zabrać się do pracy.

– Coś jeszcze? – pytam ojca.

– Na temat dzisiejszego wieczoru już nic – odpowiada. – Jednak wkrótce będziemy musieli omówić kwestię *Braterstwa*.

Na mojej twarzy pojawia się grymas.

Zupełnie jakbym nie miał już wystarczająco zmartwień. Polska mafia robi się coraz bardziej agresywna i jest cierniem w moim boku. To pieprzone dzikusy. Nie rozumieją, jak się to się robi w dzisiejszych czasach. Oni wciąż żyją w epoce, gdy spory rozwiązywało się odcinając człowiekowi ręce i wrzucając go do rzeki.

Chodzi mi o to, że też to zrobię, jeśli muszę, ale przynajmniej zanim do tego dojdzie, próbuję wypracować jakieś porozumienie.

– Co z nimi? – pytam.

– Tymon Zając chce się z tobą spotkać.

Waham się, bo to poważna sprawa. Zając to szef wszystkich szefów, Rzeźnik z Bogoty. Ale nie chcę, aby przychodził do mojego gabinetu.

– Zajmiemy się tym jutro – oznajmiam. Dzisiejszego wieczoru nie mogę mieć tego na głowie.

– W porządku – odpowiada, prostując się i poprawiając marynarkę.

Mama zerka na niego, upewniając się, czy wygląda nienagannie, po czym odwraca wzrok i patrzy na mnie.

– Czy masz zamiar w tym iść? – pyta, unosząc idealnie wypielęgnowaną brew.

– A co?

– To zbyt formalny strój – stwierdza, obrzucając mnie jeszcze jednym krytycznym spojrzeniem.

– Tata jest w garniturze – bronię się przed zarzutem.

– Matce chodzi o to, że wyglądasz jak grabarz – zauważa ojciec.

– Jestem młody i chcę dobrze wyglądać.

– Potrzebna ci klasa – podsumowuje mama.

Wzdycham. Doskonale zdaję sobie sprawę z powagi wizerunku. Niedawno za radą swojej asystentki zacząłem nosić krótko przyciętą brodę. Jednak zmienianie ubrań trzy razy dziennie, żeby idealnie dopasować swój wygląd do danej okazji, jest strasznie męczące.

– Zajmę się tym – obiecuję obojgu.

Wychodząc z gabinetu, zauważam stojącą na korytarzu Rionę. Jest już przebrana na przyjęcie. Patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– Co tam robiliście? – pyta podejrzliwie. Nienawidzi być pomijana.

– Omawialiśmy strategię na dzisiejszy wieczór – informuję ją zgodnie z prawdą.

– Dlaczego nie zostałam zaproszona? – prycha z niezadowoleniem.

– Bo to ja ubiegam się o stanowisko radnego, nie ty.

Na jej policzkach wykwitają jaskrawe plamy – od czasów dzieciństwa oznacza to, że czuje się urażona.

– Musisz porozmawiać w moim imieniu z Callahanem – mówię, chcąc ją udobruchać. Pokazuję jej, że jest potrzebna. – Poprze mnie, jeśli go poprosisz.

– Tak, poprze – mówi dumnie Riona. Ma świadomość tego, że owinęła sobie komendanta wokół palca. – Tak naprawdę to nie wygląda najgorzej – dodaje. – Tylko jego oddech to dość przykra sprawa.

– W takim razie nie podchodź do niego za blisko. – Uśmiecham się do siostry.

Odpowiada mi skinieniem głowy. Riona jest dobrym żołnierzem. Nigdy mnie nie zawiodła.

– Gdzie jest Nessa? – pytam.

– Kręci się, Bóg jeden wie gdzie – odpowiada, wzruszając ramionami. – Powinniśmy przypiąć jej jakiś dzwoneczek.

– W każdym razie, jak ją spotkasz, przyślij ją do mnie.

Właściwie to jeszcze nie złożyłem Nessie życzeń urodzinowych, ani nie dałem jej prezentu. Byłem cholernie zajęty.

Wbiegam po schodach i ruszam korytarzem do swojego pokoju. Nie zachwyca mnie fakt, że w wieku trzydziestu lat wciąż mieszkam z rodziną, jednak dzięki temu współpraca idzie nam znacznie łatwiej. Poza tym żeby zostać radnym, trzeba mieszkać w tym okręgu, a ja nie mam czasu na szukanie domu.

Przynajmniej mój pokój mieści się na drugim końcu domu, z dala od sypialni rodziców. Jest duży i wygodny – po moim powrocie z college'u zburzyliśmy jedną ze ścian, dzięki czemu mam wielki pokój, który sąsiaduje z gabinetem. To prawie jak mieszanie, które od pozostałych pomieszczeń odgradza ogromna biblioteka.

Słyszę, że na dole zaczynają schodzić się goście. Przebieram się w najnowszy garnitur od Zenya, a następnie schodzę, żeby wmieszać się w tłum.

Wszystko idzie jak po maśle, zawsze tak jest, kiedy matka zarządza. Widzę na podwórku jej lśniące blond włosy i słyszę jej delikatny, perlisty śmiech, gdy krąży wokół najnudniejszych i najważniejszych gości.

Ja pracuję nad własną listą, witając się z Cardenasem, Rico i Dowell.

Gdzieś godzinę później rozpoczyna się pokaz fajerwerków. Wszystko zostało zaplanowane tak, aby pokaz zaczął się wraz z zachodem słońca, dlatego też wspaniałe eksplozje wyróżniają się na tle dopiero co pociemniałego nieba. Noc jest spokojna, a w dole połyskuje gładka jak szkło tafla jeziora, od której odbijają się wirujące kolorowe ognie.

Większość gości odwraca się, aby obejrzeć pokaz. Podziwiają go z otwartymi ze zdumienia ustami i twarzami oświetlonymi różnokolorowymi błyskami.

Nie zawracam sobie głowy oglądaniem fajerwerków. Wykorzystuję okazję, żeby omieść wzrokiem tłum i poszukać kogoś, z kim miałem porozmawiać, a kogo mogłem pominąć.

Tymczasem zauważam osobę, która na pewno nie była zaproszona – to wysoki, ciemnowłosy dzieciak stojący z grupką znajomych Nessy. Dosłownie nad nimi góruje – musi mieć co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Jestem przekonany, że to pierdolony Gallo. Ten najmłodszy.

Jednak w następnej chwili moją uwagę przykuwa podchodząca, aby jeszcze raz ze mną porozmawiać, Leslie Dowell. Kiedy odwracam się ponownie ku tamtej grupce, nie dostrzegam nigdzie tego wysokiego chłopaka. Muszę porozmawiać z ochroną, powiedzieć im, żeby mieli oczy szeroko otwarte.

Najpierw muszę zjeść. Ledwo miałem czas, żeby cokolwiek wcześniej skubnąć. Biorę z bufetu kilka krewetek i rozglądam się za odpowiednim drinkiem. Chodzący pośród ludzi kelnerzy roznoszą kieliszki szampana, jednak nie mam ochoty pić tego gówna. Kolejka do baru jest za długa. Jedyne, czego chcę, to dziesięcioletnia Egan's Single Malt, którą mam w swoim gabinecie.

W sumie… czemu, kurna, nie? Zrobiłem już kilka rund wokół najważniejszych gości. Na minutkę mogę zniknąć. Wrócę, kiedy pojawi się ta gwiazdka pop. Ojciec się tym nieźle wykosztował. Nie wiem, czy chciał w ten sposób uszczęśliwić Nessę, bo jest jego małym aniołkiem, czy chciał się popisać. Tak czy inaczej, goście będą zachwyceni.

Wrócę tu za jakiś czas.

Idę do środka i wchodzę po schodach na mój koniec domu. W gabinecie mam niewielki barek – nic niezwykłego, to zalewie kilka butelek alkoholu z górnej półki oraz mini lodówka. Wyciągam ładną, ciężką szklankę do whisky, wrzucam do niej trzy duże kostki lodu, po czym wlewam sporo trunku. Wdycham zapach gruszki, drewna oraz dymu. A następnie biorę łyk, rozkoszując się pieczeniem w gardle.

Wiem, że powinienem wrócić na przyjęcie, ale szczerze mówiąc, będąc tu, gdzie panują cisza i spokój, rozkoszuję się chwilą przerwy. Aby być politykiem, w jakimś stopniu trzeba być narcyzem. Muszę żywić się nieszczerymi pochlebstwami oraz uwagą innych osób.

Jednak żadna z tych rzeczy mnie nie obchodzi. Napędza mnie wyłącznie ambicja. Chcę kontroli. Bogactwa. Wpływów. Chcę być nietykalny.

Ale to oznacza, że prowadzenie kampanii może być fizycznie męczące.

Wychodzę więc na korytarz, lecz zamiast iść w kierunku schodów jak planowałem, skręcam ku bibliotece.

To jedno z moich ulubionych miejsc w całym domu. Poza mną mało kto tu przychodzi. Panuje tu cisza, a zapach papieru, skóry i brzozowych kłód działa na mnie kojąco. Dla mojego dobra matka pilnuje, żeby wieczorami kominek był rozpalony. I nigdy nie jest za gorąco, bo w pozostałej części domu jest klimatyzacja.

Nad kominkiem wisi portret mojej prapraprababki Catriony. Podobnie jak wielu innych irlandzkich imigrantów, przypłynęła do Chicago w trakcie trwania zarazy ziemniaczanej. Miała zaledwie piętnaście lat, gdy samotnie przepłynęła ocean, mając ze sobą walizkę z trzema książkami oraz dwoma dolarami schowanymi w bucie. Pracowała u bogatego mężczyzny w Irving Park jako pomoc domowa, a on po śmierci zostawił jej swój dom oraz niemal trzy tysiące dolarów w gotówce i obligacjach. Niektórzy plotkowali, że potajemnie musieli być w związku. Z kolei inni twierdzili, że go otruła i sfałszowała testament. Bez względu na prawdę, Catriona przerobiła dom w szynk.

Była pierwszym Griffinem w Ameryce. Moi rodzice lubią powtarzać, że pochodzimy od irlandzkich książąt o tym nazwisku, jednak ja wolę prawdę. Jesteśmy przykładem amerykańskiego snu: rodziną, która ma swój początek od służącej i której członek zostanie burmistrzem. A przynajmniej taką mam nadzieję.

Przez chwilę siedzę, w ciszy sącząc drinka, a potem zaczynam przewijać maile na telefonie. Nie potrafię być długo bezczynny.

Przerywam na chwilę, gdy wydaje mi się, że słyszę jakiś dźwięk. Myślę, że to ktoś z obsługi krząta się po korytarzu. A kiedy nic więcej

nie słyszę, na powrót koncentruję się na telefonie.

A potem dwie rzeczy dzieją się w tym samym czasie:

Pierwsze, co czuję to zapach, który sprawia, że włoski na karku stają mi dęba. To dym, ale to nie ten wydobywający się z kominka. To drażniący, chemiczny swąd spalenizny.

W tym samym czasie słyszę dźwięk, który przypomina gwałtowne westchnienie, z tym że dziesięć razy głośniejsze. Potem, gdy zasłony stają w płomieniach, następuje błysk światła i uderzenie gorąca.

Zrywam się z fotela, krzycząc Bóg jeden wie co.

Lubię myśleć, że w razie sytuacji awaryjnych potrafię zachować czysty umysł, jednak przez chwilę jestem zdezorientowany i spanikowany, zastanawiając się, co się do cholery dzieje i co powinienem z tym zrobić.

A potem racjonalność bierze górę.

Zasłony palą się, bo pewnie poleciała na nie iskra z kominka. Muszę znaleźć gaśnicę, zanim spłonie cały dom.

To by się zgadzało.

Dopóki ktoś nie wyskakuje zza fotela i nie przebiega obok mnie, wypadając z biblioteki. To mnie zaskakuje bardziej niż sam ogień.

Uświadomienie sobie, że nie byłem tutaj sam, jest nie lada szokiem. Jestem tak zdziwiony, że nawet nie przyjrzałem się intruzowi. Jedyne, co zauważyłem, to fakt, że jest średniego wzrostu i ma ciemne włosy.

Kieruję swoją uwagę z powrotem na szybko rozprzestrzeniający się ogień. Pełznie już po suficie oraz dywanie. Za kilka minut cała biblioteka stanie w płomieniach.

Ruszam biegiem przez korytarz ku bieliźniarce, gdzie trzymamy gaśnicę. Następnie pędzę z powrotem do biblioteki, wyciągam zawleczkę i rozpylam pianę na całą ścianę, aż w końcu udaje mi się ugasić wszelki ogień.

Po wszystkim widzę, że piana pokrywa kominek, fotele oraz portret Catriony. Matka się nieźle wkurwi.

A to mi przypomina, że ktoś inny maczał palce w tej katastrofie. Biegnę z powrotem w kierunku schodów, akurat w porę, aby zobaczyć trzy uciekające osoby: blondynkę, która przypomina Norę Albright. Brunetkę, której nie znam. Oraz jebanego Nero Gallo.

Wiedziałem. Wiedziałem, że Gallo się tu zakradli.

Pytanie brzmi: dlaczego?

Rywalizacja między naszymi rodzinami sięga niemal do czasów Catriony. W czasach prohibicji nasi pradziadkowie walczyli o kontrolę nad nielegalnymi gorzelniami działającymi na północy. Zwycięstwo odniósł Conor Griffin i od tamtej pory pieniądze pochodzące z tego procederu zasilały naszą rodzinę.

Jednak Włosi nigdy nie poddają się bez walki. Salvator Gallo czekał na każdą dostawę wyprodukowanego przez Conora alkoholu, żeby porywać jego ciężarówki, wykradać gorzałę i odsprzedawać mu ją za podwójną cenę.

Później Griffinowie przejęli kontrolę nad zakładami prowadzonymi na torze wyścigowym Garden City, z kolei Gallo prowadzili nielegalne loterie w całym mieście. A kiedy alkohol znów trafił do legalnej sprzedaży, nasze rodziny prowadziły konkurujące ze sobą puby, kluby nocne, kluby ze striptizem oraz burdele. Jednocześnie zajmując się mniej legalną działalnością jak narkotyki, broń oraz paserstwo.

Obecnie Gallo przerzucili się na branżę budowlaną. Nie najgorzej sobie z tym radzą. Jednak nasze interesy zawsze są sprzeczne z ich interesami. Tak jak teraz. Popierają Bobby'ego La Spatę, aby zasiadł na stanowisku radnego, które należy do mnie. Robią to może dlatego, że go lubią. Może dlatego, że chcą raz jeszcze wsadzić mi palec do oka.

Czy przyszli tu dzisiaj porozmawiać z gośćmi, których głos okaże się kluczowy?

Chciałbym, aby w moje ręce wpadło jedno z nich, żebym mógł wyciągnąć informacje. Jednak zanim udaje mi się znaleźć ochronę, którą wynajęliśmy na dzisiejszą noc, Gallo – wliczając w to tego wysokiego dzieciaka – już dawno zdążyli zniknąć.

Niech to SZLAG!

Wracam do biblioteki, aby ocenić szkody. To miejsce przypomina jeden wielki, pieprzony bałagan – śmierdzący, dymiący i przemoczony bałagan. Zniszczyli moją ulubioną część domu.

No i po co w ogóle tu przyszli?

Zaczynam rozglądać się dookoła, próbując ustalić, czego tu w ogóle szukali.

W bibliotece nie ma niczego ważnego – jakiekolwiek wartościowe dokumenty lub dane znajdują się w gabinecie ojca lub moim. Gotówka oraz biżuteria są w różnych sejfach rozsianych po całym domu.

O co więc chodziło?

I właśnie wtedy mój wzrok ląduje na pokrytym pianą kominku. Zauważam stojący na nim zegarek powozowy oraz klepsydrę. Jednak brakuje na nim kieszonkowego zegarka dziadka.

Zaczynam przeszukiwać podłogę, a nawet grzebię w spalonych kłodach, na wypadek gdyby jakimś cudem wpadł do kominka.

Nic. Nigdzie go nie ma.

Ci pierdoleni makaroniarze go ukradli.

Pospiesznie wracam na dół, gdzie przerwana przez alarm przeciwpożarowy impreza znowu się rozkręca. Widzę chichoczącą w towarzystwie przyjaciół Nessę. Mógłbym ją zapytać, czy zaprosiła Sebastiana Gallo, jednak nie ma mowy, żeby była na tyle głupia, by to zrobić. Nie chcę jej przeszkadzać, bo mimo tego całego zamieszania wygląda na bardzo szczęśliwą.

Nie okazuję tej samej uprzejmości pozostałym jej przyjaciołom. Zauważając Siennę Porter, łapię ją za ramię i odchodzę z nią kawałek od Nessy.

Sienna jest szczupłą, rudowłosą dziewczyną chodzącą do tej samej uczelni, co moja siostra. Kilkukrotnie przyłapałem ją, jak ukradkiem patrzyła w moją stronę. Co najważniejsze, jestem przekonany, że była jedną z dziewczyn, która rozmawiała wcześniej z Sebastianem.

Sienna nie protestuje, kiedy ją odciągam na bok, po prostu rumieni się i mówi:

– Cz… cześć, Callumie.

– Rozmawiałaś wcześniej z Sebastianem Gallo? – pytam.

– Ee… to on rozmawiał ze mną. To znaczy, rozmawiał ze wszystkimi, nie że konkretnie ze mną.

– O czym?

– Przede wszystkim o March Madness[5]. Wiesz, że jego drużyna grała w pierwszej rundzie…

– Wiesz, kto go zaprosił? – przerywam jej, kręcąc głową.

– N… nie – Jąkając się, otwiera szerzej oczy. – Ale jeśli chcesz, mogę go zapytać…

– Co masz na myśli?

– Chyba przyjdzie później do Dave and Buster’s.

– O której? – pytam, odrobinę za mocno ściskając jej ramię.

– Ee… chyba o dwudziestej drugiej – odpowiada, krzywiąc się.

Bingo.

Rozluźniam uścisk, puszczając ją. Dziewczyna pociera obolałe miejsce drugą dłonią.

– Dzięki, Sienna – oznajmiam.

– Nie ma sprawy – odpowiada, totalnie zdezorientowana.

Wyciągam telefon i dzwonię do Jacka Du Ponta. Przyjaźnimy się od czasów studiów i kiedy trzeba, pracuje dla mnie jako ochroniarz oraz specjalista od mokrej roboty. Z racji tego, że na przyjęcie zatrudniliśmy ochronę, nie było sensu, żeby przychodził tu dzisiejszego wieczoru. Jednak ochroniarze udowodnili, że są cholernie bezużyteczni. Dlatego teraz potrzebny mi Jack.

Odbiera po pierwszym sygnale.

– Siemanko szefuńciu – mówi.

– Przyjedź po mnie – oznajmiam. – Natychmiast.

ROZDZIAŁ TRZECI

– AIDA

Wsiadamy do samochodu i tak szybko, jak to możliwe, odjeżdżamy spod domu Griffinów z rykiem silnika, nie rozjeżdżając przy tym żadnego z imprezowiczów. Razem z Nero wydajemy okrzyki radości, Dante się wścieka, a Sebastian wygląda na odrobinę zaintrygowanego.

– Coś ty, kurwa, narobiła? – warczy Dante.

– Nic! – odpowiadam.

– To dlaczego wiejemy, jakbyśmy mieli na ogonie z dziesięć radiowozów?

– Wcale nie – sprzeciwiam się. – Po prostu byłam w ich domu i Callum Griffin mnie przyłapał.

– Coś mówił? – pyta podejrzliwie Dante.

– Nic. Nawet ze sobą nie rozmawialiśmy.

Dante wpatruje się to we mnie, to w Nero. Jego grube brwi są tak bardzo ściągnięte, że wyglądają niczym jedna wielka linia prosta zawieszona nad jego oczami. Nero, nie odrywając wzroku od drogi, próbuje wyglądać nonszalancko. Sebastian wygląda na zupełnie niewinnego, bo istotnie jest niewinny – gdy go zgarnialiśmy, pił dietetyczną colę z jakimś rudzielcem.

Wydaje mi się, że Dante odpuści.

A potem rzuca się w przód, łapie mnie za włosy i przyciąga je ku sobie. A z racji tego, że włosy wyrastają mi z głowy, szarpnięciem niemal wciąga mnie na tylne siedzenie.

Wdycha ich zapach, po czym z niesmakiem mnie odpycha.

– Dlaczego walisz dymem? – pyta.

– Nie wiem.

– Ściemniasz. Słyszałem, jak w domu włączył się alarm. Mów prawdę, albo dzwonię do taty.

Rzucam mu groźne spojrzenie, żałując, że nie jestem tak duża jak Dante z ramionami jak u goryla, które wyglądają na zdolne do rozerwania człowieka na strzępy. Wtedy byłabym bardziej przerażająca.

– No dobra – mówię w końcu. – Byłam w bibliotece na piętrze. Wybuchł mały pożar…

– MAŁY POŻAR?! – wrzeszczy Dante.

– Tak! Przestań krzyczeć, bo ci nic więcej nie powiem – odpyskowuję.

– Skąd się wziął ten pożar? – pyta już spokojniej.

Zaczynam się wiercić w miejscu.

– Mogłam… przypadkowo… sprawić, że zasłony znalazły się za blisko kominka.

– *Porca miseria,*[6] Aido! – klnie Dante. – Pojechaliśmy tam wyłącznie po to, żeby się napić i obejrzeć fajerwerki, a nie żeby puścić z dymem ich jebany dom!

– Przecież się nie spali – mówię, ale sama nie mam pewności co do tego stwierdzenia. – Mówiłam ci, że Callum tam był.

– To nie polepsza sytuacji! – wybucha Dante. – Teraz wie, że ty za tym stoisz!

– Może nie. Może nawet nie wiedzieć, kim jestem.

– Szczerze w to wątpię. On nie jest głupi, w przeciwieństwie do was – podsumowuje rozjuszony.

– Dlaczego mnie w to mieszasz? – pyta Sebastian.

– Bo jesteś głupi – odpowiada Dante. – Zwłaszcza jeśli dzisiejszego wieczoru nic nie zrobiłeś.

Sebastian zaczyna się śmiać. Tego człowieka nie da się urazić.

– A gdzie *ty* byłeś? – pyta Dante, odwracając się w stronę Nero.

– Na parterze – odpowiada tamten spokojnie. – Z Norą Albright. Jej ojciec jest właścicielem Fairmont w Millennium Park. Kiedyś nazwał mnie tłustym, małym kryminalistą. Więc przeleciałem jego córkę w głównej jadalni Griffinów. To tak jakbym w ramach zemsty upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu.

Dante z niedowierzaniem kręci głową.

– Nie mogę w to uwierzyć. Zachowujecie się jak dzieci. Nigdy nie powinienem był pozwolić wam tam jechać.

– Oj, daj spokój – mówi Nero. Nie da się gnoić Dantemu, nawet jeśli miałoby to doprowadzić do rękoczynów. – Od kiedy to jesteś takim dobrym chłopcem? Nienawidzisz tych irlandzkich pojebów tak samo jak my. Kogo to obchodzi, że popsuliśmy im przyjęcie?

– Ciebie to będzie obchodzić, jeśli Callum Griffin zostanie radnym. Używając biurokracji, zwiąże nam ręce i pozamyka wszystkie nasze inwestycje. Wykończy nas.

– Taa? – pyta Nero, mrużąc ciemne oczy. – Wtedy weźmiemy paralizator oraz kombinerki i złożymy mu wizytę. Będziemy nad nim pracować tak długo, aż będzie bardziej chętny do współpracy. Nie boję się Griffinów ani nikogo innego.

Dante kręci tylko głową. Jest zbyt zirytowany, żeby choćby spróbować przemówić nam do rozsądku.

Jestem rozdarta. Z jednej strony Dante mówiący, że wszyscy byliśmy nieco lekkomyślni, natomiast z drugiej strony mina, jaką miał Callum Griffin, gdy jego biblioteka stanęła w ogniu, była cholernie bezcenna.

– Skręć tutaj – mówi Sebastian, pokazując Nero, gdzie ma wjechać.

Nero zjeżdża w prawo w Division Street.

– A ty gdzie? – pyta Dante.

– Część dzieciaków spotyka się po przyjęciu. Powiedziałem, że też będę – wyjaśnia Sebastian.

– Chuj z tym. Wszyscy macie wracać do domu – oznajmia Dante.

Nero zdążył już podjechać pod krawężnik. Sebastian z łatwością, jakby wstawał z łóżka, przerzuca swoje długaśne nogi przez brzeg samochodu i wyskakuje na chodnik.

– Sorki, braciszku – mówi łagodnie. – Ale nie mam szlabanu. No a ty nie jesteś moją mamą.

Nero wygląda, jakby chciał zrobić to samo, jednak utknął na dłużej, bo musi odwieźć Dantego do domu. W obliczu wściekłości starszego brata oraz perspektywy, że wyda mnie tacie, dochodzę do wniosku, że Sebastian miał dobry pomysł. Gramolę się na siedzeniu i również wysiadam z samochodu.

– Wracaj tutaj! – krzyczy Dante.

Jednak ja już biegnę za Sebastianem i wołam przez ramię:

– Będę w domu za kilka godzin! Nie czekajcie!

Słysząc, że nadbiegam, Sebastian zwalnia, jednak nawet gdy maszeruje, muszę biec za nim, aby nadążyć. Ach, te jego cholernie długie nogi.

– Naprawdę ten pożar był wypadkiem? – pyta.

– Mniej więcej – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Nawet nie zajrzałem do środka. – Śmieje się. – Założę się, że jest tam ładnie.

– Taaa. Jeśli lubisz pastelowe kolory.

Sebastian chowa ręce do kieszeni i zaczyna się przechadzać. Ciemne loki opadają mu na oczy. Z nas wszystkich ma najbardziej kręcone włosy. Gdyby chciał, pewnie mógłby zapuścić afro.

– Nessa ładnie wyglądała – oznajmia.

– Taa, ładna jest – przytakuję. – Tylko bez głupich pomysłów. Papie chyba by żyłka pękła.

– Żadnych nie mam – odpowiada Sebastian. – Wiesz, co mama zawsze powtarzała: *Spokojnej wodzie nie trzeba więcej, potrzebujesz wiatru, który poruszy twoimi żaglami*. Prawdopodobnie muszę znaleźć taką małą wariatkę jak ty.

Uśmiecham się do niego.

– Jeśli wyjdę za mąż, to zdecydowanie za kogoś, kto nie będzie mnie wkurzać. Wyobrażasz sobie, żeby zamienić bycie dyrygowanym przez Dantego na bycie dyrygowanym przez kogoś innego? Jebać to. Już wolałabym być zawsze wolna. W sumie to nie mam nic przeciwko temu.

Dochodzimy do Dave and Buster's, jednak przez okno zauważam, że znajomych Sebastiana jeszcze tam nie ma.

– Co robimy w międzyczasie? – pyta mnie Sebastian.

– Czy w pobliżu są jakieś lodziarnie?

– A nie jadłaś na przyjęciu? – Uśmiecha się, unosząc brew.

– Taaa. – Wzruszam ramionami. – Ale to było dawno temu.

– W porządku, lodów nie odmówię – odpowiada Seb, śmiejąc się.

Pokonujemy kawałek drogi w stronę jeziora, aż w końcu udaje nam się znaleźć miejsce, gdzie możemy kupić lody włoskie. Sebastian

kupuje porcję w kubeczku, ja w wafelku. Idziemy na promenadę, aby je zjeść, spacerując wzdłuż molo i patrząc na wodę.

Jezioro jest tak duże, że wygląda prawie jak morska toń. I tak jak na morzu fale poruszają taflą wody, niekiedy ponad nim przetaczają się również i sztormy. Ale nie w tej chwili. Teraz woda jest spokojna, nigdy jej takiej nie widziałam. Pokonaliśmy całą drogę aż do końca molo, do punktu najbardziej wysuniętego w stronę jeziora.

Sebastian kończy jeść, po czym wrzuca pusty kubeczek do najbliższego kosza na śmieci. Ja natomiast wciąż walczę ze swoim wafelkiem.

Rozmawiamy o naszych szkolnych zajęciach. Uczęszczam na Uniwersytet Loyola i uczę się wszystkiego po trochu: psychologii, politologii, finansów, marketingu, historii. Chodzę na wszystko, co mnie w danej chwili interesuje. Niestety nie jestem pewna, jak to wpłynie na moje wykształcenie.

Myślę, że zaczynam irytować ojca. Wiem, że chce, abym skończyła studia i rozpoczęła pracę z nim na cały etat. Jednak nie pozwoli mi na robienie niczego ani interesującego, ani skomplikowanego – od tego ma już Dantego i Nero. Będzie próbował zamknąć mnie w jakimś nudnym biurze, żebym odwalała mrówczą robotę. A dla mnie to brzmi jak jakiś pierdolony koszmar.

Jestem nie tylko ulubienicą, ale i jedyną dziewczyną w rodzinie. Nigdy zbyt wiele ode mnie nie wymagano. Może byłoby inaczej, gdyby moja mama wciąż żyła. Ale zasadniczo to szalałam przez całe swoje życie. Ojciec miał ważniejsze sprawy na głowie, przynajmniej dopóki nie pakowałam się w kłopoty.

Moi bracia są ze mną zżyci, ale mają swoje życie.

Nikt mnie nie potrzebuje, poważnie.

Jednak nic nie szkodzi, to nie powód do biadolenia. Lubię być wolna i nieskrępowana. Tak jak teraz, bujam się z Sebem, jemy lody i cieszymy się letnią nocą. Czego mogę chcieć więcej?

To uczucie towarzyszy mi przez około pięć sekund, bo potem unoszę głowę i widzę dwóch facetów idących w naszą stronę. Jeden ma na sobie garnitur, drugi bluzę z kapturem oraz jeansy. Elegancik ma brązowe, idealnie ścięte włosy, a zaciśnięte w pięści dłonie trzyma opuszczone wzdłuż tułowia. Wściekłość malująca się na jego

twarzy jest mi aż za dobrze znana, bo ostatnio widziałam ją jakieś czterdzieści minut temu.

– Seb – szepczę, sprawiając, że mój brat prostuje plecy.

– To Callum Griffin? – mamrocze.

– Ano.

– Kogo my tu mamy – mówi Callum. Jego głos jest niski, zimny i przepełniony wściekłością. Ma niezwykle niebieskie oczy, jednak nie ma w nich niczego pięknego. Ich odcień jest niezwykle intensywny i są jedynym kolorowym szczegółem, jaki dostrzegam.

Nie wiem, kim jest stojący obok niego typ. Wygląda na cholernie wrednego. Ma posturę boksera, ogoloną głowę i nieco nierówny nos, zupełnie jakby w niego oberwał raz czy dwa. Założę się, że to inni o wiele częściej obrywali od niego.

Sebastian podświadomie przysuwa się bliżej mnie i staje przede mną, osłaniając mnie swoim ciałem.

– Czego chcesz? – pyta Calluma.

Mój młodszy brat nie jest równie przerażający co Dante, ani tak samo okrutny jak Nero. A mimo to przewyższa wzrostem zarówno Calluma jak i jego osiłka. Nigdy też nie słyszałam, aby mówił tak surowym tonem.

Callum jedynie prycha. Jest przystojny, a przynajmniej tak powinien wyglądać, nigdy bowiem nie widziałam u nikogo tak okrutnej miny. Sprawia wrażenie, jakby wszystkiego nienawidził… a w szczególności mnie.

Nie, żebym go za to winiła.

– Jak to jest z wami, makaroniarzami? – Patrzy na nas z pogardą. – Gdzie wy się uczycie manier? Przychodzicie niezaproszeni na przyjęcie. Jecie moje jedzenie, pijecie mój alkohol. A potem włamujecie się do mojego domu. Próbujecie go, kurwa, spalić! I okradacie mnie…

Czuję, że ciało Sebastiana się nieco napina. Nie ogląda się na mnie, jednak wiem, że chce to zrobić.

Nie wiem, o czym Callum, do kurwy nędzy, mówi. I dopiero potem przypominam sobie o kieszonkowym zegarku, który wciąż mam w przedniej kieszeni szortów. Całkiem o nim zapomniałam.

– Słuchaj – mówi Sebastian. – Pożar był wypadkiem. Nie chcemy żadnych kłopotów.

– Pierdolenie, nieprawdaż? – oznajmia cicho Callum. – Szukaliście kłopotów. No to je znaleźliście.

Ciężko jest zdenerwować Sebastiana, ale grożenie jego siostrze jest idealnym sposobem, aby to zrobić. Teraz jest wściekły, zaciska pięści i jeszcze bardziej wysuwa się przede mnie.

– Masz się za twardziela, bo zabrałeś ze sobą swojego chłopaka? – pyta, skinieniem głowy wskazując milczącego osiłka. – Ja też mam braci. Lepiej odpierdol się, zanim ich tu zawołam, żeby obdarli cię z tej twojej pyszałkowatej skóry.

Nieźle, Seb. Jak na kogoś, kto mało kiedy komuś grozi, wyszło ci to całkiem nieźle.

Z tym że nie potrzebuję ochrony. Rzucam się naprzód, staję tuż obok Sebastiana i mówię:

– Taaa, odpierdol się i wracaj do swojej bajecznej posiadłości. Chcesz się bawić w gangstera? Jesteś tylko cipowatym politykiem. I co nam zrobisz? Pobijesz nas na śmierć pieczątką?

Callum Griffin wbija we mnie swój lodowaty wzrok. Nad jego jasnymi oczami zbiegają się ciemne, gęste brwi. To połączenie sprawia, że ten widok jest nieludzki i nieprzyjemny.

– Słuszna uwaga – odpowiada cicho. – Muszę dbać o swój wizerunek. Ale to zabawne… bo wydaje mi się, że nikogo nie ma w pobliżu.

Racja. Molo na całej swojej długości jest puste. W sklepach na Division Street są ludzie, jednak w pobliżu nie ma nikogo, kto by usłyszał, jeśli bym krzyczała.

Strach łapie mnie za gardło.

Nieczęsto się boję, lecz teraz jestem przerażona. Mimo tego, co powiedziałam, nie uważam Calluma za słabeusza. Jest wysoki i dobrze zbudowany. A przede wszystkim przygląda się nam bez cienia strachu. Nie zastanawia się, co powinien zrobić. Już to postanowił.

Kiwa głową na swojego karka. Oprych z uniesionymi pięściami rusza naprzód. Zanim cokolwiek powiem lub w ogóle się ruszę, czterokrotnie uderza Sebastiana: dwukrotnie w twarz i dwukrotnie w korpus.

Z nosa brata bucha krew. Jęcząc, pochyla się do przodu. Próbuje się bronić – wszyscy moi bracia zostali przeszkoleni, aby umieć walczyć w ten czy inny sposób. Z tym że Dante i Nero ćwiczyli na ulicy, Sebastian natomiast zawsze interesował się sportem, a nie przemocą. Mimo to wykorzystując swój wzrost oraz długie ręce, udaje mu się kilkukrotnie trafić przeciwnika. Jeden z ciosów sprawia, że osiłek robi krok w tył. Jednak pierdolony mięśniak blokuje pozostałe ciosy, po czym uderza mojego brata w nerkę, sprawiając, że Sebastian kuli się i pada na ziemię.

Cały pojedynek trwa może z dziesięć sekund. Natomiast ja nie stoję w miejscu – próbuję z boku zaatakować kolesia i rzeczywiście raz udaje mi się go trafić w ucho. Kark odpycha mnie jedną ręką, lecz robi to z taką siłą, że niemal się przewracam, więc zamiast atakować jego, ruszam na Calluma.

Udaje mi się go grzmotnąć w szczękę, po czym on popycha mnie w pierś i tym razem zataczam się w tył, uderzając potylicą o poręcz pomostu.

Callum wygląda na nieco wystraszonego, zupełnie jakby nie miał zamiaru czegoś takiego zrobić. Chwilę później jego twarz tężeje i mówi:

– Gdzie jest zegarek, wy pierdoleni degeneraci?

– Nie mamy twojego zegarka – odpowiada Sebastian, plując krwią na deski pomostu.

Ja go mam, jednak nie zamierzam go oddawać temu dupkowi.

Oprych łapie Sebastiana za włosy i raz jeszcze uderza go w szczękę. Cios jest na tyle silny, że błysk w oczach brata na chwilę gaśnie. Potrząsa głową, aby się otrząsnąć, ale wciąż wygląda na oszołomionego.

– Odsuń się od niego! – wrzeszczę, próbując stanąć na nogach. Kręci mi się w głowie, a mój żołądek fika koziołki. Czuję pulsujący ból z tyłu głowy. Założę się, że mam tam guza wielkości jajka.

– Oddajcie mi zegarek – powtarza Callum.

W ramach zachęty kark kopie mojego brata w żebra. Sebastian jęczy i łapie się za bok. Patrzenie, jak ten potwór bije mojego najmłodszego i najmilszego brata, wytrąca mnie z równowagi. Mam

ochotę zatłuc tych dwóch. Chcę oblać ich benzyną i podpalić tak jak te pierdolone zasłony.

Tylko że nie mam benzyny. Dlatego też wkładam rękę do kieszeni i wyciągam z niej zegarek.

Czuję jego ciężar w dłoni. Mocno zaciskam na nim palce i unoszę wysoko nad głowę.

– Tego szukasz? – pytam Calluma.

Kieruje wzrok na moją pięść i przez chwilę na jego twarzy dostrzegam ulgę.

A potem odchylam ramię w tył i – zupełnie jakbym rzucała pierwszą piłkę na Wrigley Field[7] – wrzucam ten pierdolony zegarek do jeziora.

To działa na Calluma Griffina w niewiarygodny sposób. Jego twarz natychmiast robi się kredowobiała.

– NIEEEE! – wyje.

A potem robi najbardziej zwariowaną rzecz: przeskakuje przez balustradę i nurkuje w wodzie, w garniturze i w ogóle.

Kark ze zdumieniem przygląda się miejscu, w którym zniknął jego szef. Został bez dalszych instrukcji i jest zdezorientowany, nie do końca wiedząc, co ma robić.

Potem kieruje wzrok na Seba. Unosi nogę w ciężkim buciorze i tak mocno, jak tylko jest w stanie, uderza nią w jego kolano.

Sebastian krzyczy.

Szarżuję wprost na karka. Jestem od niego niższa i ważę znacznie mniej, ale pochylając się i rzucając się na jego kolana z pomocą elementu zaskoczenia udaje mi się go przewrócić. Fakt, że potyka się o wyciągnięte nogi Sebastiana, pomaga mi w tym.

Zbir upada ciężko na molo. Okładam pięściami każdy centymetr kwadratowy jego ciała, tłukę tam, gdzie jestem w stanie dosięgnąć. Sebastian cofa się i kopie karka prosto w twarz. Zrywam się na równe nogi i dla lepszego efektu również sprzedaję mu kilka kopów.

Ale ten typ to jakiś pierdolony Terminator. To nie zatrzyma go na długo. Dlatego też łapię Seba za ramię i ciągnę go za sobą, sprawiając, że krzyczy, gdy przypadkiem przenosi ciężar ciała na ranną nogę.

Zarzucam sobie jego rękę na ramię. Sebastian, opierając się na mnie, na wpół podskakuje, na wpół kuleje, idąc po molo. To jest niczym jakiś koszmarny wyścig na trzy nogi, w którym nagrodą jest uniknięcie śmierci z rąk karka lub Calluma Griffina, gdy ten zda sobie sprawę, że nie ma możliwości na odnalezienie zegarka w lodowatej, czarnej jak smoła wodzie jeziora.

Głowa wciąż pulsuje mi bólem, a molo zdaje się mieć z półtora kilometra długości. Cały czas ciągnę za sobą Sebastiana, żałując, że jest tak wysoki i cholernie ciężki.

Gdy w końcu zbliżamy się do ulicy, zbieram się na odwagę, by odwrócić się przez ramię. Karczycho, prawdopodobnie szukając swojego szefa, wychyla się przez balustradę. Wygląda, jakby coś krzyczał, jednak z tej odległości nie jestem w stanie tego stwierdzić.

Mam nadzieję, że Callum utonął.

Jeśli nie, to coś mi mówi, że niedługo znowu go zobaczę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– CALLUM

Nie wiem, co sobie myślałem, skacząc za tym zegarkiem.

W chwili, gdy uderzam w taflę wody – wciąż cholernie zimną, ledwo ogrzaną przez wczesną, letnią pogodę – jej zimno, niczym cios w twarz, natychmiast mnie otrzeźwia.

Jestem tak zdesperowany, że nurkuję w dół z otwartymi oczami, próbując dostrzec błysk złota w tej czarnej wodzie.

Oczywiście niczego tu nie widać. Nic a nic. Woda pod molo jest wzburzona, sporo w niej piachu oraz śmieci. Nawet promienie południowego światła nie zdołałyby się tu przebić. Patrząc na nią w nocy, równie dobrze można by było powiedzieć, że to olej silnikowy.

Garnitur skutecznie ogranicza mi ruchy rąk oraz nóg, a wyjściowe buty tylko bardziej mnie obciążają. Mógłbym mieć poważne kłopoty, gdybym nie był dobrym pływakiem. Fale starają się rozbić mnie o ostre od omułek i pąkli filary.

Aby wyjść na brzeg, najpierw muszę odpłynąć od mola. Jack pewnie świruje, bo zajmuje mi to trochę czasu. Jestem brudny, przemoczony i w życiu nie byłem bardziej wściekły.

Pierdolona SUKA!

Nigdy nie wiedziałem zbyt wiele o najmłodszej Gallo. Jej ojciec trzyma ją na uboczu, aby nie była w centrum uwagi i z tego co wiem, nie ma nic wspólnego z ich rodzinnym biznesem.

Początkowo, gdy zbliżaliśmy się do niej i jej brata na molo, niemal poczułem się winny. Wygląda młodo, niewiele starsza od Nessy. No i jest piękna, ale to nie powinno w żaden sposób wpłynąć na moją decyzję… jednak tak było. Dziewczyna ma jasnobrązową skórę, ciemne włosy i wąskie, szare oczy z lekko uniesionymi zewnętrznymi kącikami. Zauważyła nas, zanim Sebastian to zrobił i zesztywniała, kiedy się zbliżaliśmy.

Poczułem się nieswojo, widząc, jak Sebastian próbował stanąć w jej obronie, gdy im groziłem. Dla swoich sióstr zrobiłbym na jego miejscu to samo.

Jednak gdy zobaczyłem, jakiego dziewczyna jest wzrostu i jakiego koloru ma włosy, od razu przypomniałem sobie, jak wyglądała osoba, która uciekała z biblioteki i zacząłem podejrzewać, że to właśnie ona wznieciła ogień.

Następnie wystąpiła naprzód i zaczęła na mnie krzyczeć z dzikością i słownictwem godnym zahartowanego przez morze żeglarza. Zyskałem pewność, że to ona włamała się do naszego domu.

A potem, zamiast oddać mi zegarek, wyrzuciła go poza balustradę, niczym jakaś pierdolona psychopatka. I zrozumiałem, że za tą śliczną twarzyczką kryje się dusza demona. Ta dziewczyna to czyste zło, jest najgorszym członkiem ich rodziny. Zasługuje na karę.

Pytanie brzmi: co mam z tym zrobić?

Póki co mam ochotę zamordować każdego z nich. Jednak nie mogę sobie pozwolić na urządzenie takiej krwawej łaźni tuż przed wyborami, więc chyba będę musiał zrobić coś równie dobrego – doprowadzić tych drani do bankructwa.

Próbowali spalić mój dom – więc spalę wieżę, którą budują przy Oak Street.

To będzie przystawka. Głównym daniem będzie zniszczenie każdej restauracji i nocnego klubu, które należą do nich.

Fantazje dotyczące ognia piekielnego, który spłynie na ich głowy, są jedyną rzeczą, która mnie ogrzewa, gdy człapię wzdłuż ulicy w mokrych butach i ociekającym wodą garniturze.

Jack biegnie obok mnie. Jest zażenowany tym, że pozwolił dzieciakowi i jego siostrze zyskać nad nami przewagę. Zdaje sobie sprawę, że jestem w dość morderczym nastroju, więc nie chce mówić niczego, co tylko pogorszyłoby sytuację. Zauważyłem, że ma zakrwawiony nos i pęknięty prawy łuk brwiowy. Dla kogoś, kto kilka lat temu zwyciężył w mistrzostwach UFC, musi to być dość upokarzające.

Moje buty wydają obrzydliwe, chlupoczące dźwięki. Z kolei szyty na miarę garnitur cuchnie jak zdechła rozgwiazda.

Jebać ją!

Muszę się przebrać, zanim dosłownie postradam zmysły.

Wracam do domu akurat w chwili, gdy przyjęcie dobiega końca. Przegapiłem występ tej piosenkarki, nie żeby mnie to w ogóle obchodziło, no może poza tym, że nie widziałem uradowanej twarzy Nessy. Kolejny raz dałem plamę podczas dzisiejszej gównianej imprezy.

Ledwo przekraczam próg, trafiam na wściekłego ojca.

– Gdzieś ty, kurwa, był? – warczy. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, że Gallo byli na naszym przyjęciu? – Patrzy na moje ubranie, z którego ocieka brudna woda z jeziora, kapiąca na nieskazitelnie czyste kafelki, którymi wyłożono przedpokój. – I czemu jesteś mokry? – pyta stanowczym tonem.

– Mieliśmy ostre spięcie na molo, ale mam to pod kontrolą – mówię przez zaciśnięte zęby.

– To nie do przyjęcia – oznajmia. – Do mojego gabinetu. O wszystkim mi opowiesz.

Nie mogę się doczekać, aż tam wrócę i zemszczę się na tych tłustych piździelcach, ale ruszam w kierunku gabinetu ojca zdać mu raport. Nic, co mam mu do powiedzenia, ani trochę go nie zadowala.

– Coś ty sobie, kurwa, myślał?! – krzyczy tak blisko mojej twarzy, że kropelki jego śliny opryskują mój policzek. – Czemu wywołujesz wojnę w trakcie własnej kampanii?!

– Oni ją rozpoczęli! – krzyczę. – Próbowali spalić nasz pierdolony dom. Ukradli zegarek dziadka i wrzucili go do jeziora! Co chcesz, żebym zrobił? Mam im upiec pierdolony tort?

– Mów ciszej – syczy na mnie ojciec. – Ktoś cię usłyszy.

Jakby sam na mnie nie wrzeszczał dwa razy głośniej.

Biorę głęboki wdech, próbując opanować złość, która może wymknąć mi się spod kontroli.

– Powiedziałem ci – mówię cichym, zduszonym głosem. – Zajmę. Się. Tym.

– Wykluczone – odpowiada ojciec, kręcąc głową. – Udowodniłeś swoją nieudolność. Okaleczyć tego najmłodszego? Postradałeś rozum! Wiesz, że to jakaś gwiazda sportu? Równie dobrze mogłeś go zabić.

– Następnym razem to zrobię. – Normalnie aż się gotuję.

– To koniec – oznajmia, kręcąc głową.

– Nie ty o tym decydujesz! – wybucham.

Mocno popycha mnie w pierś.

To tylko sprawia, że adrenalina skacze mi jeszcze bardziej. Szanuję swojego ojca. Może i wygląda jak jakiś profesor, ale kiedyś zabijał ludzi gołymi rękami. Sam widziałem, jak to robił.

Z tym że nie on jeden w tym pomieszczeniu umie łamać kości. Nie jestem tym posłusznym synalkiem, którym kiedyś byłem. Ostatnimi czasy zgadzamy się ze sobą.

– Póki jestem głową rodziny, będziesz robić, co ci każę – komunikuje ojciec.

Na usta ciśnie mi się kilka komentarzy, jednak postanawiam ugryźć się w język. I robię to z trudem.

– Więc co proponujesz… ojcze? – mamroczę.

– To zaczyna wymykać się spod kontroli – oznajmia. – Zadzwonię do Enza Gallo.

– Chyba sobie żartujesz! – unoszę się znowu.

– Zamknij się – warczy. – Zrobiłeś wystarczająco dużo szkód. Zobaczę, co da się zrobić, aby to naprawić, zanim obie rodziny zginą na ulicy.

Nie mogę w to uwierzyć. Po tym, jak napluli nam w twarz w naszym domu, on chce do nich dzwonić i negocjować. To szaleństwo… tchórzostwo.

Ojciec zauważa bunt kryjący się w moich oczach.

– Daj mi swój telefon – nakazuje. Czeka z wyciągniętą ręką, aż podam mu komórkę. Miałem ją w kieszeni, gdy wskakiwałem do jeziora, więc i tak jest bezużyteczna. – Skontaktuję się z Enzem Gallo – powtarza. – Zostaniesz tu, dopóki po ciebie nie poślę. Z nikim nie będziesz rozmawiał. I nie będziesz do nikogo dzwonić. Nie opuszczasz tego domu. Zrozumiałeś?

– Dajesz mi szlaban? – prycham. – Ojcze, jestem dorosłym człowiekiem. Nie bądź niedorzeczny.

Ojciec zdejmuje okulary i patrzy na mnie swoimi bladoniebieskimi oczami, a jego spojrzenie wwierca się w moją duszę.

– Callumie, jesteś moim jedynym synem i najstarszym dzieckiem – obwieszcza. – Jednak obiecuję ci, że potnę cię na plasterki, jeśli mnie nie posłuchasz. Skoro nie mogę ci zaufać, to nie będziesz mi potrzebny. W przypadku, gdy twoje ambicje przewyższą rozkazy, które otrzymasz, sprawię, że runiesz w dół niczym Ikar. Rozumiemy się?

Każda komórka mojego ciała chce mu powiedzieć, żeby wziął te wszystkie swoje jebane pieniądze, koneksje i tak zwany geniusz i wsadził je sobie w dupę.

Tyle że to mój ojciec. A dla mnie rodzina jest wszystkim – bez nich byłbym jak pozbawiony steru oraz żagla okręt. Nie będąc Griffinem, byłbym nikim.

Muszę więc skinąć głową, podporządkowując się jego rozkazom.

Jednak wewnątrz aż się gotuję, czuję narastające we mnie temperaturę i ciśnienie.

Nie wiem, kiedy i jak, ale wybuchnę, jeśli coś się między nami nie zmieni.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– AIDA

Moi bracia ubierają się w piwnicy. W każdym razie są w niej Dante i Nero. Sebastian wciąż przebywa w szpitalu, w towarzystwie ojca. Ma spierdolone kolano, to jedno jest pewne. Ma też połamane żebra. Nie potrafię znieść widoku cierpienia malującego się na jego twarzy. W tym sezonie już nie zagra. To prawdopodobnie zakończy jego karierę. Boże, po tym wszystkim może nie być w stanie chodzić.

A to wszystko moja wina.

Poczucie winy, niczym całun, wciąż i wciąż owija się wokół mojej głowy. Każde spojrzenie na Sebastiana, każde wspomnienie mojej głupoty jest niczym kolejna warstwa owijająca się wokół mojej twarzy. Niedługo się uduszę.

Chciałam zostać z Sebastianem, jedak *Papà* warknięciem kazał mi wracać do domu.

A tam zastałam Dantego oraz Nero, obu w kamizelkach kuloodpornych, z pasami z amunicją i dzierżących połowę broni, jaką mamy w domu.

– Dokąd to? – pytam zdenerwowana.

– Zabić Calluma Griffina, to oczywiste – oznajmia Nero. – Może zabijemy też jego rodzinę. Jeszcze nie zdecydowałem.

– Nie możecie skrzywdzić Nessy – mówię szybko. – Nie zrobiła niczego złego.

Riona też nic nie zrobiła, jednak jej nie czuję potrzeby okazywać takiego miłosierdzia.

– Może po prostu rozwalę *jej* kolano – rzuca od niechcenia Nero.

– Nic nie robimy Nessie – warczy Dante. – To sprawa między nami, a Callumem.

Po przygotowaniu się do wyjścia obaj wyglądają jak połączenie Rambo i Arnolda Schwarzeneggera z *Predatora*.

– Pozwólcie mi jechać z wami – błagam.

– Nie ma, kurwa, opcji – odpowiada Nero.

– No weźcie! – krzyczę. – Też jestem częścią tej rodziny. To ja pomogłam uciec Sebastianowi, pamiętacie?

– Zacznijmy od tego, że to przez ciebie wpakował się w to gówno – syczy na mnie Nero. – My musimy po tobie posprzątać, więc zostajesz tutaj.

Przechodząc obok, brutalnie uderza mnie barkiem, przez co ląduję na ścianie.

Dante, mimo że jest równie poważny, zachowuje się nieco milej.

– Zostań tutaj – mówi. – Nie pogarszaj sprawy.

To, co mówią, wcale mnie nie obchodzi. Gdy tylko wychodzą, ja również przechodzę przez drzwi. Ruszam za nimi po schodach. Nie mam pojęcia, co zrobię, jednak wiem, że nie będę siedziała tutaj i czekała jak jakiś niesforny szczeniak.

Gdy Dante znajduje się gdzieś w połowie schodów, telefon w jego kieszeni zaczyna wibrować. Odbiera i mówi:

– Co tam? – Ton jego głosu sprawia, że jestem przekonana, że dzwoni *Papà*. Dante czeka, słuchając przez dłuższą chwilę. Potem rzuca jedynie: – Rozumiem. – Rozłącza się i patrzy na mnie z niezwykle dziwną miną.

– Co jest? – pyta Nero.

– Zdejmuj kamizelkę – mówi Dante do Nero. – Aido, idź się przebrać.

– Dlaczego? W co?

– W coś czystego, co nie wygląda jak gówno – warczy na mnie. – Masz w ogóle coś takiego?

Może i mam. Ale prawdopodobnie nie będzie to odpowiadać standardom Dantego.

– Dobrze – odpowiadam. – A gdzie jedziemy?

– Na spotkanie z Griffinami. *Papà* powiedział, żeby cię przywieźć.

No cóż. Kurwa.

Ostatnie spotkanie z Callumem Griffinem wcale mi się nie podobało.

Nie cieszę się z kolejnego. Serio. Wątpię, czy kąpiel w jeziorze poprawiła mu humor.

Tylko w co się ubrać na tę okazję?

Myślę, że kostium Wednesday Addams, który założyłam na zeszłe Halloween, jest jedyną sukienką, jaką posiadam.

Mimo że jest za gorąco na taki strój, nakładam szary golf oraz spodnie. Wybór jest prosty, to jedyne stonowane, czyste ciuchy jakie mam.

Ściągając koszulkę, czuję pulsującego guza na głowie, który przypomina mi o tym, jak Callum Griffin odepchnął mnie jak jakąś szmacianą lalkę. Pod tym jego garniturem kryje się silne ciało. Chciałabym zobaczyć, jak – bez swojego ochroniarza – staje do walki z Dantem lub Nero.

Tak właśnie powinniśmy zrobić: powiedzieć im, że chcemy się spotkać, a potem zasadzić się na tych skurwysynów. Callum nie miał problemów z zaatakowaniem nas na molo. Powinniśmy się zrewanżować.

Cały czas się nakręcam, więc gdy wślizguję się na tył cadillaca Escalade'a Dantego, normalnie aż cała drżę.

– Gdzie się mamy z nimi spotkać? – pytam.

– W Brass Anchor – odpowiada krótko Dante. – Na neutralnym gruncie.

Pod restaurację, mieszczącą się przy Eugenie Street, dojeżdżamy w ciągu zaledwie kilku minut. Jest już po północy, w budynku nie palą się żadne światła, a kuchnia jest zamknięta. Dostrzegam jednak czekającego przed knajpą, w towarzystwie dwóch osiłków, Fergusa Griffina. Mądrze zrobili, nie zabierając ze sobą tego skurwiela, który rozwalił Sebastianowi kolano.

Nigdzie nie widzę Calluma. Wygląda na to, że tatuś posadził go na ławie rezerwowych.

Czekamy w SUV–ie, aż *Papà* zaparkuje. Dopiero wtedy wysiadamy z auta. U wysiadającego z przodu Dantego dostrzegam wybrzuszenie pod kurtką, które wskazuje na to, że ma przy sobie broń. Dobrze. Jestem przekonana, że Nero również ją ma.

Idąc w stronę Fergusa Griffina zauważam, że patrzy wyłącznie na mnie. Omiata mnie wzrokiem od stóp do głów, zupełnie jakby oceniał mój wygląd według jakiegoś swojego wzoru. Nie wygląda na to, żeby był pod jakimkolwiek wrażeniem.

To dobrze, bo według mnie sprawia wrażenie równie chłodnego, aroganckiego i fałszywie szlachetnego jak jego synalek. Nie spuszczam wzroku, cały czas uparcie patrzę na niego bez cienia wyrzutów sumienia.

– Więc to jest ta mała podpalaczka – mówi Fergus.

Mogłabym powiedzieć, że to był wypadek, jednak to nie do końca jest prawda. No i nie będę przepraszała tych drani.

Zamiast tego mówię:

– Gdzie jest Callum? Utonął?

– Na twoje szczęście nie – odpowiada Fergus.

Papà, Dante i Nero stają dookoła mnie. Mogą być cholernie wściekli za to, że wpakowałam nas w ten syf, ale nie będą stać bezczynnie, gdy ktoś mi grozi.

– Nie odzywaj się do niej – rzuca oschle Dante.

– Chciałeś się spotkać – mówi *Papà* z odrobiną taktu. – A więc wejdźmy do środka i porozmawiajmy.

Fergus kiwa głową. Obaj jego ludzie wchodzą do restauracji jako pierwsi, sprawdzając, czy w środku naprawdę jest pusto. Właścicielem tego miejsca jest Ellis Foster, restaurator oraz broker, który powiązany jest zarówno z Irlandczykami jak i naszą rodziną. Właśnie dlatego restauracja jest neutralnym gruntem.

Kiedy wszyscy znajdujemy się w środku, Fergus mówi do mojego ojca:

– Myślę, że będzie najlepiej, jeśli pomówimy na osobności.

Papà powoli kiwa głową.

– Zaczekajcie tutaj – nakazuje moim braciom.

Papà i Fergus znikają w odgrodzonej podwójnymi, szklanymi drzwiami prywatnej jadalni. Gdy siadają, widzę zarys ich postaci, jednak nie jestem w stanie zobaczyć ich min. No i też nie słyszę ani słowa.

Dante i Nero siadają przy najbliższym stoliku. Ludzie Fergusa zajmują miejsce przy stole znajdującym się ze trzy metry od nas. Siedzę z braćmi po jednej stronie i czekając, wpatrujemy się w zbirów Fergusa.

To zapewnia nam zajęcie na jakieś dziesięć minut. Jednak patrzenie na ich ohydne ryje jest nudne. Generalnie to samo

czekanie jest nudne. Chciałabym wziąć sobie drinka z baru albo może zajrzeć do kuchni i coś zjeść.

Jednak gdy tylko zaczynam wstawać, Dante, nawet nie patrząc na mnie, mówi:

– Nawet o tym nie myśl.

– Głodna jestem – odpowiadam.

Nero wyciąga z kieszeni nóż i zaczyna się bawić. Potrafi chyba wykonać nim każdą sztuczkę. Klinga jest tak ostra, że odciąłby sobie palec, gdyby się pomylił. Ale póki co nie popełnił jeszcze żadnego błędu.

Może to wyglądać tak, jakby chciał w ten sposób zastraszyć ludzi Griffina, jednak to nie ma z nimi nic wspólnego. Nero ciągle bawi się nożem.

– Nie wiem jakim cudem, skoro jesz więcej niż którykolwiek z nas – oznajmia Nero, nie unosząc głowy znad noża.

– Wcale nie! – protestuję oburzona.

– Ile posiłków dzisiaj zjadłaś? Mów prawdę – pyta.

– Cztery – kłamię.

– Bzdura – prycha.

– Nie martwię się o swoją figurę tak jak ty – droczę się z nim.

Jeśli chodzi o wygląd, to Nero jest próżny. I ma ku temu powód – wszyscy moi bracia są przystojni, ale to właśnie Nero ma ten typ urody, która sprawia, że majtki dziewczyn same wybuchają ogniem. Nie znam ani jednej dziewczyny, która by z nim nie spała albo nie próbowałaby tego zrobić.

Dziwne wiedzieć takie rzeczy na temat własnego brata, jednak wszyscy jesteśmy ze sobą szczerzy. To efekt tego, że mieszkamy tak długo w jednym domu, oraz że w pobliżu nie ma mamy, która powstrzymywałaby ich przed traktowaniem mnie jak kolejnego młodszego brata.

A mi to odpowiada. Nie jestem szowinistką – nie mam problemu z dziewczynami, które chcą być ładne, kobiece, seksowne czy jakie tylko, kurna, chcą. Nie chcę być „traktowana jak dziewczyna", o ile to ma w ogóle jakiś sens. Chcę być traktowana jako ja. Na dobre i na złe. Nic dodać, nic ująć – po prostu Aida.

Aida, której się nudzi.

Aida, która zaczyna się robić śpiąca.

Aida, która szczerze żałuje, że wkurzyła Griffinów. A żal ten wynika tylko z tego, że będzie tu tkwiła po kres czasu, podczas gdy Fergus i *Papà* będą ględzić i ględzić przez całe wieki…

I w końcu – prawie trzy godziny później – obie głowy rodzin wychodzą z prywatnej jadalni. Wyglądają na ponurych i zrezygnowanych.

– No i? – pyta Dante.

– Załatwione – odpowiada *Papà*.

Ton jego głosu kojarzy się z odczytującym treść wyroku sędzią. Ani trochę mi się to nie podoba, tak samo jak jego mina. Patrzy na mnie ze smutkiem.

Po wyjściu na zewnątrz zwraca się do Nero:

– Weź mój samochód. Pojadę do domu z Aidą.

Nero kiwa głową, po czym wsiada do mercedesa ojca. Dante zajmuje miejsce za kierownicą SUV–a, z kolei ja i *Papà* siadamy z tyłu.

Wcale a wcale to mi się nie podoba.

Odwracam się do niego, w ogóle nie zawracając sobie głowy zapinaniem pasów.

– Co jest? – pytam. – Co tam postanowiliście?

– Za dwa tygodnie poślubisz Calluma Griffina – oznajmia *Papà*.

To jest tak niedorzeczne, że naprawdę zaczynam się śmiać – to dziwaczny dźwięk przypominający szczekanie, który niknie w panującej w samochodzie ciszy.

Papà przygląda mi się, a bruzdy na jego twarzy są głębsze niż kiedykolwiek wcześniej. W słabym świetle jego oczy wyglądają tak, jakby były całe czarne.

– Nie mówisz chyba poważnie – stwierdzam, uważnie patrząc na niego.

– Mówię śmiertelnie poważnie. To nie podlega żadnej dyskusji. Ustaliliśmy to z Griffinami.

– Nie będę wychodziła za mąż! – protestuję. – A już na pewno nie wyjdę za tego psychopatę!

Patrzę na siedzenie kierowcy, szukając wsparcia u Dantego. On natomiast wpatruje się w drogę przed nami, zaciskając mocno palce

na kierownicy.

Ojciec wygląda na wyczerpanego.

– Ten konflikt trwa już za długo – oznajmia. – Jest niczym żar, który tli się i tli, ciągle płonie i trawi wszystko, nad czym pracowaliśmy. Straciłaś dwóch wujów, gdy ostatnim razem eksplodował. Z powodu Griffinów nasza rodzina jest mniejsza niż powinna. To samo tyczy się również ich. Przez te kilka pokoleń obie strony straciły zbyt wielu ludzi. Czas, aby to zmienić, aby nastąpiło coś zupełnie innego. Połączymy siły. Będziemy współpracować.

– Czemu muszę wychodzić za mąż, żeby tak się stało?! – krzyczę. – To w niczym nie pomoże! Bo gdy tylko zobaczę tego drania, zamierzam go zamordować!

– Zrobisz to, co ci każę! – warczy ojciec. Widzę, że jego cierpliwość już się skończyła. Jest trzecia rano. Wygląda na zmęczonego i staro. Naprawdę jest stary. Miał czterdzieści osiem lat, gdy się urodziłam. Teraz ma prawie siedemdziesiąt. – Rozpuściłem cię – oznajmia, patrząc na mnie tymi swoimi czarnymi oczami. – Pozwalałem na szaleństwa. Nigdy nie musiałaś ponosić konsekwencji swoich czynów. Teraz je poniesiesz. Odpaliłaś zapałkę, która sprawiła, że rozszalał się ten ogień. I będziesz musiała go ugasić. Nie przemocą, lecz poświęcając się. Wyjdziesz za Calluma Griffina. Urodzisz dzieci, które będą kolejnym pokoleniem naszych obu rodów. Tak zostało ustalone. A ty będziesz przestrzegać tych ustaleń.

To jakiś pierdolony koszmar.

Wychodzę za mąż?

Będę miała pierdolone bachory?

I to z człowiekiem, którego nienawidzę bardziej niż czegokolwiek innego na tej planecie?

– Zrobił z Sebastiana kalekę! – krzyczę. To próba pokazania, jak według mnie odrażający jest ten człowiek.

– Oboje macie ten czyn na sumieniu – odpowiada chłodno *Papà*.

Na to nic nie mogę odpowiedzieć.

Bo w głębi duszy wiem, że to prawda.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– CALLUM

Siedzę na tarasie i przyglądam się, jak wynajęty personel nadal sprząta śmieci oraz resztki z przyjęcia. Pracowali przez całą noc. Matka nalegała, aby wszystko natychmiast uprzątnąć, tak żeby następnego ranka żaden jadący do pracy sąsiad nie zobaczył bałaganu na naszym podwórku.

Moje siostry już poszły spać – Nessa była zarumieniona i szczęśliwa z podniecenia, z kolei Riona dąsała się, bo nie chciałem jej powiedzieć, gdzie zniknął ojciec.

Nadzorująca – chociaż sama niczego nie sprzątnęła – prace porządkowe matka jeszcze się nie położyła.

Kiedy pancerny wóz ojca wjeżdża na podjazd, matka zostawia pracowników i przychodzi do nas do gabinetu. Mam wrażenie, że ostatnio spędzam tu zbyt wiele czasu. No i wcale mi się nie podoba wyraz twarzy ojca.

– No i? – pytam od razu. – Co ustaliliście?

Podejrzewam, że może oznajmić, że zawarli jakąś umowę finansową lub to była po prostu dżentelmeńska umowa – może zapewnią nam poparcie Włochów podczas wyborów na radnego, a my obiecamy im wszelkie pozwolenia, jakich będą potrzebować pod kolejny projekt budowlany.

Więc kiedy ojciec mówi o właściwej ugodzie, patrzę na niego tak, jakby właśnie wyrosła mu druga głowa.

– Za dwa tygodnie poślubisz Aidę Gallo – oznajmia.

– Tę smarkulę?! – wybucham. – Nie ma, kurwa, mowy!

– Wszystko zostało już postanowione.

Wyglądająca na zaniepokojoną matka rusza przed siebie. Kładzie rękę na jego ramieniu.

– Fergusie – mówi cicho. – Czy to jest rozsądne? Już na zawsze będziemy przywiązani do Gallo.

– O to właśnie chodzi – odpowiada ojciec.

– To są pierdoleni gangsterzy! – wyrzucam z siebie. – Nie możemy pozwolić, żeby ich nazwisko było kojarzone z naszym. Zwłaszcza przed zbliżającymi się wyborami.

– Wybory będą pierwszą korzyścią płynącą z tego sojuszu – oznajmia ojciec. Zdejmuje okulary i przeciera je chusteczką, którą trzyma w kieszeni na piersi. – Stając do walki z La Spatą nie możesz być pewien sukcesu. Gallo są kluczem do pozyskania głosów Włochów. Każdy z nich będzie na ciebie głosować, jeśli zostaniesz mężem Aidy, zanim wybory dobiegną końca. Bez wahania porzucą La Spatę.

– Nie potrzebuję jej, aby wygrać! – warczę.

– Nie bądź tego taki pewien – odpowiada ojciec. – Jesteś za bardzo pewny siebie, Callumie. A nawet arogancki. Gdyby wybory odbywały się dzisiaj, ich wynik można by było ustalić, rzucając monetą. Jeśli nadarzy się okazja, zawsze powinieneś z wyprzedzeniem zadbać o zwycięstwo.

– Dobra – mówię, próbując nad sobą zapanować. – A co będzie w przyszłym miesiącu? Naprawdę spodziewasz się, że *na zawsze* będę jej mężem?

– Dokładnie tak – odpowiada ojciec z powagą. – Gallo, tak samo jak my, są katolikami. Ożenisz się z nią, będziesz jej wierny i będziesz ojcem jej dzieci.

– Matko, na pewno masz coś do powiedzenia w tej kwestii. – Kręcę głową z niedowierzaniem.

Ona z kolei patrzy to na mnie, to na ojca. A potem zakłada za ucho kosmyk prostych blond włosów i wzdycha.

– Jeśli umowa została zawarta, to dotrzymamy jej warunków – mówi, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Mogłem się tego spodziewać. Matka zawsze opowiada się po stronie ojca.

A mimo to parskam:

– Co?! Nie możecie…

Matka przerywa mi, nadal patrząc na mnie.

– Callumie, nadszedł czas, żebyś stał się mężczyzną, za którego się podajesz. Obserwowałam cię, jak się bawisz z dziewczynami, z którymi się umawiasz, tymi modelkami i gwiazdkami. Wygląda na to, że specjalnie wybierasz te najpłytsze dziewczyny, które mają pustkę w głowach.

Krzywię się, krzyżując ręce na piersi. To, z kim się umawiałem, nigdy nie miało znaczenia, o ile te dziewczyny dobrze wyglądały w moich ramionach i nie przynosiły mi wstydu na przyjęciach. Z racji tego nigdy nie chciałem niczego poważnego, sensownym rozwiązaniem było wybieranie dziewczyn, które tak samo jak ja szukały zabawy.

– Nie wiedziałem, że miałem znaleźć klacz rozpłodową – odpowiadam sarkastycznie. – Myślałem, że chcecie, żebym jak normalny człowiek znalazł właściwą dziewczynę i się w niej zakochał.

– Uważasz, że my tak zrobiliśmy? – pyta cicho matka.

Zamieram. W sumie to nie mam pojęcia, jak moi rodzice się poznali. Nigdy ich o to nie pytałem.

– Właśnie tak – mówi. – Chyba można powiedzieć, że Fergus i ja wzięliśmy „ślub aranżowany". A dokładniej zorganizowali to wszystko nasi rodzice, ludzie starsi i mądrzejsi od nas, którzy znali nas lepiej niż my siebie samych. Wiedzieli, że zostaniemy dobrymi partnerami oraz że ten sojusz przyniesie korzyść naszym rodzinom. Owszem, na początku było trudno.

Rodzice wymieniają znaczące spojrzenia. Oboje okazują odrobinę żalu oraz rozbawienia.

– Ale koniec końców dzięki temu jesteśmy, kim teraz jesteśmy – dodaje ojciec.

To jakieś popierdolone szaleństwo. Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem.

– To zupełnie inna historia! – mówię. – Wywodzicie się z tej samej kultury, z tego samego środowiska. Gallo to gangsterzy. To stara szkoła i to w najgorszym znaczeniu.

– Ich rodzina zapewni nam tę część wartości – mówi ojciec prosto z mostu. – Zyskując bogactwo oraz wpływy straciliśmy ducha walki. Jesteś moim jedynym synem. Twoja matka straciła obu braci. Z kolei

w mojej rodzinie jest niewielu mężczyzn. Samą siłą mięśni zyskujemy to, za co płacimy. Lojalności najemników nigdy nie można być pewnym, zawsze jest ktoś, kto zapłaci im więcej. Odkąd Zając przejął *Braterstwo,* staje się dla nas poważnym zagrożeniem, z którym niekoniecznie poradzimy sobie sami. Włosi mają ten sam problem. A kiedy się z nimi sprzymierzymy, Rzeźnik nie będzie miał odwagi zaatakować którąkolwiek z rodzin.

– Świetnie – bąkam. – A kto będzie mnie chronić przed narzeczoną? Ta dziewczyna to dzika bestia. Jesteś w stanie wyobrazić ją sobie jako żonę polityka? Wątpię, czy wie, jak w ogóle chodzić na obcasach.

– W takim razie ją nauczysz – oznajmia matka.

– Ja też nie wiem, jak się na nich chodzi – odpowiadam sarkastycznie. – Matko, jak właściwie mam ją uczyć, jak być damą?

– Jest młoda i uległa – mówi ojciec. – Wyszkolisz ją, ukształtujesz na taką, jaka powinna być, aby stać u twego boku i wspierać twoją karierę.

Młoda i uległa?

Naprawdę nie sądzę, żeby ojciec przyjrzał się tej dziewczynie. Może i jest młoda, ale ulega wpływom tak samo jak żeliwo.

– Ależ to ekscytujące wyzwanie – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę.

– Dobrze – mówi ojciec. – W przyszłym tygodniu podczas przyjęcia zaręczynowego będziesz miał okazję.

Przyjęcia zaręczynowego?

To jakiś jebany żart. Pięć minut temu dowiedziałem się o wszystkim, a oni najwidoczniej chcą to ogłosić publicznie.

– Będziecie we dwoje musieli wymyślić jakąś bajeczkę – mówi matka. – Coś w stylu, że zaczęliście spotykać się jakieś półtora roku. Zeszłej jesieni zaczęło się między wami robić poważnie. Chciałeś zaczekać ze ślubem do końca wyborów, jednak postanowiliście, że nie możecie dłużej czekać.

– Matko, może lepiej będzie, jak sama mi napiszesz oświadczenie. A jak już to będziesz robiła, to złóż też za mnie przysięgę.

– Nie bądź taki sarkastyczny – warczy ojciec.

– Gdzież bym śmiał – odpowiadam.

Wątpię, czy to samo można powiedzieć o mojej przyszłej narzeczonej. Prawdę mówiąc to patrzenie, jak moi rodzice będą musieli sobie poradzić z tą małą wiedźmą, którą włączają do naszej rodziny, może być jedynym plusem tego całego pierdolonego zamieszania.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– AIDA

Moi bracia są oburzeni szalonym planem ojca.

Podczas drogi powrotnej do domu Dante nie odezwał się ani słowem, jednak słyszałam, jak godzinami kłócił się z ojcem po tym, jak zamknęli się w jego gabinecie.

Co było bezcelowe, bo *Papà* jest uparty jak osioł. Jak sycylijski osioł, który je oset i kopnie cię prosto w zęby, jeśli podejdziesz za blisko. Gdy coś sobie postanowi, to nawet trąby sądu ostatecznego tego nie zmienią.

Szczerze mówiąc, Armagedon byłby mile widzianym odpoczynkiem po tym, co ma się wydarzyć.

Już pierwszego dnia po ugodzie dostaję wiadomość od Imogen Griffin o przyjęciu zaręczynowym, które odbędzie się w środowy wieczór. Przyjęcie zaręczynowe! Zupełnie jakby ta cała sytuacja nie przypominała katastrofy kolejowej, odbywającej się w zwolnionym tempie, tylko była powodem do świętowania.

Wysłała mi również małe pudełeczko z pierścionkiem.

Który, oczywiście, kurewsko mi się nie podoba. Ma duży, stary, kwadratowy brylant osadzony w grubej, zdobionej szynie, którą na pewno będę o wszystko uderzała. Pierścionek trzymam w pudełku stojącym na szafce nocnej. Nie mam zamiaru go nosić, póki absolutnie nie będę musiała tego robić.

Jedyną dobrą rzeczą w tym pierdolniku jest fakt, że przynajmniej Sebastian ma się coraz lepiej. Musiał przejść operacyjny zabieg rekonstrukcji więzadła krzyżowego przedniego, ale w mieście przyjmuje najlepszy lekarz – ten sam, który zrobił porządek z kolanem koszykarza Derricka Rose'a. Mamy więc nadzieję, że Seb niedługo znów stanie na nogi.

Póki co codziennie jeżdżę do szpitala, żeby go odwiedzać. Przyniosłam mu jego wszystkie ulubione przekąski – babeczki Reese's o smaku masła orzechowego, pałeczki serowe, solone orzechy nerkowca – oraz podręczniki.

– Czy ty je kiedykolwiek otwierałeś? – droczę się z nim, kładąc książki na szafce nocnej.

– Raz czy dwa – odpowiada, szczerząc się ze szpitalnego łóżka.

Koszula nocna, którą mu dali, jest za mała i wygląda komicznie na jego olbrzymim ciele. Spod niej wystają jego długaśne nogi, a owinięte bandażem kolano spoczywa na poduszce.

– Nie łazisz tu w tym, prawda? – pytam.

– Tylko wtedy, kiedy jakaś seksowna pielęgniarka ma dyżur – odpowiada, puszczając do mnie oczko.

– Ohyda!

– Lepiej przyzwyczajaj się do romantycznych rzeczy – mówi Sebastian. – Bo inaczej będziesz zarumienioną panną młodą…

– Nie żartuj sobie z tego – warczę na niego.

Seb przygląda mi się ze współczuciem.

– Martwisz się? – pyta.

– Nie! – odpowiadam natychmiast, mimo że to kompletne kłamstwo. – To oni powinni się martwić. Zwłaszcza Callum. Uduszę go we śnie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Nie rób głupstw – ostrzega mnie Sebastian. – Aido, to poważna sprawa. W przeciwieństwie do semestru w Hiszpanii czy twojego stażu w Pepsi. Od tego, nawet jeśli ci się nie podoba, nie możesz się wymigać.

– Wiem o tym – oznajmiam. – Zdaję sobie sprawę, w jakiej znalazłam się pułapce.

Sebastian marszczy brwi. Nie podoba mu się to, że jestem zdenerwowana.

– Rozmawiałaś z tatą? – pyta. – Może jeśli mu powiesz…

– To bez sensu – przerywam mu. – Dante kłócił się z nim przez całą noc. Nie wysłucha tego, co mam do powiedzenia.

Patrzę na owinięte bandażem kolano Sebastiana, które jest dwa razy większe od zdrowego, a jakby tego było mało, całe udo pokrywa wielki siniak.

– Tak czy inaczej – mówię cicho. – Sama to na siebie ściągnęłam. *Papà* ma rację… Narobiłam bałaganu i teraz muszę po sobie posprzątać.

– Nie rób z siebie męczenniczki tylko dlatego, że mam spierdoloną nogę – oznajmia Sebastian. – Wyjście za tego psychopatę tego nie naprawi.

– To nie naprawi twojego kolana – przyznaję. – Ale może powstrzymać wszystkie inne rzeczy, które mogłyby się wydarzyć.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a potem mówię:

– Bardzo mi przykro, że…

– Tylko nie przepraszaj znowu. Serio – przerywa mi. – Po pierwsze, to nie była twoja wina.

– Owszem, była.

– Nie, nie była. Wszyscy postanowiliśmy tam pojechać. Nie zmusiłaś tego kretyna, żeby na mnie stanął. A po drugie, nawet jeśli byłaby to twoja wina, to mnie to nie obchodzi. Kolana mam dwa, ale siostrę tylko jedną.

Słysząc to, nie mogę się powstrzymać od parsknięcia.

– Seb, to naprawdę urocze.

– Taka prawda. No chodź tutaj.

Podchodzę tak blisko łóżka, żeby Sebastian mógł mnie przytulić. Opieram brodę na jego włosach, które są bardziej rozczochrane i pokręcone niż zazwyczaj. Mam wrażenie, że moją skórę muska owcza wełna.

– Przestań się tym zadręczać. Nic mi nie będzie. Po prostu wymyśl, jak dogadać się z Griffinami. Bo zaczynając to, jakbyś szła na wojnę, tylko wszystko pogorszysz – oznajmia Seb.

Z tym że potrafię to zrobić tylko w jeden sposób – ze spuszczoną przyłbicą i w pełnej zbroi. Do wszystkiego podchodzę, jakby to była walka.

– Kiedy będziesz mógł wyjść? – pytam. – Bo najwyraźniej jutro wieczorem urządzam przyjęcie zaręczynowe…

– Chciałbym móc przyjść – odpowiada tęsknie. – My i oni, wszyscy zmuszeni do tego, aby elegancko się ubrać i być dla siebie miłym. Bardzo chciałbym to zobaczyć. Porób chociaż dla mnie jakieś zdjęcia.

– Nie wydaje mi się, że będzie ich widać na zdjęciach – mówię. – To stado wampirów-krwiopijców.

Sebastian kręci tylko głową.

– Zanim pójdę, podać ci wodę czy coś? – pytam.

– Nie – odpowiada. – Ale jeśli jest tam ta seksowna, rudowłosa pielęgniarka, to powiedz jej, że jestem blady i spocony i prawdopodobnie trzeba mnie obmyć.

– Nie ma mowy – oznajmiam. – No i… to wciąż ohyda.

– Nie wiń faceta za to, że próbuje – oświadcza, kładąc się na poduszce z rękami założonymi za głowę.

***

To głupie przyjęcie zaręczynowe Griffinów odbywa się zbyt wcześnie. Wydaje mi się, że ci ludzie urządziliby przyjęcie z okazji otworzenia koperty. Są śmieszni i pretensjonalni.

Mimo wszystko wiem, że powinnam zachowywać się przyzwoicie i robić dobrą minę. To będzie moja pierwsza próba uległości.

Chciałabym mieć kogoś, kto pomógłby mi się przygotować. Uwielbiałam dorastanie z braćmi, jednak w chwilach takich jak ta, kobiece towarzystwo by nie zaszkodziło.

Byłoby miło, gdybym miała kogoś, kto by zapewnił mnie, że nie wyglądam jak na wpół roztopiony sorbet w tej głupiej sukience, którą kupiłam. Jest żółta i wzdłuż krawędzi ozdobiona ściegiem muszelkowym. Na manekinie dobrze wyglądała, jednak gdy ją teraz przymierzam w domu, czuję się jak dziecko wystrojone na Wielkanoc. Brakuje mi tylko przewieszonego przez ramię słomianego koszyka.

Przynajmniej *Papà* z aprobatą kiwa głową, gdy ją widzi.

– Ładnie – oznajmia.

Sam założył garnitur. Z kolei Dante ma na sobie czarny podkoszulek oraz jeansy, a Nero skórzaną kurtkę.

Moi bracia stwierdzili, że nie będą się przebierać. To taki cichy protest. Chciałabym móc zrobić to samo.

Jedziemy do Shoreside, gdzie Griffinowie organizują przyjęcie. W restauracji jest już mnóstwo gości. Nie spodziewałam się, że

rozpoznam aż tyle osób – nasze rodziny obracają się częściowo w tych samych kręgach, a ja uczęszczałam do tej samej szkoły, co Nessa i Riona. Od jednej z nich jestem starsza, od drugiej młodsza, więc nie chodziłam z żadną z nich do tej samej klasy.

Przez chwilę zastanawiam się, czy Callum też chodził tam do szkoły. Jednak po chwili zgniatam tę myśl niczym natrętnego robala. Nie obchodzi mnie to, gdzie on się uczył. Wcale mnie to nie interesuje.

Nasz zbliżający się ślub wcale nie wydaje się być realny. Mam wrażenie, że to wstęp do mojej kary – że to pic na wodę i w ogóle do tego nie dojdzie. Z pewnością któraś z rodzin – albo i obie – w ostatniej chwili to odwoła, widząc że wyciągnęliśmy wnioski z tej lekcji.

Dopóki tak się nie stanie, muszę znosić to z uśmiechem. Przywołuję na twarz odpowiednią maskę, chcąc pokazać im, że zrozumiałam ich ostrzeżenie.

Jedyną rzeczą, która utrzymuje mnie przy życiu, jest przesadne rozbawienie, że dzisiejszego wieczoru Callum Griffin będzie musiał udawać – tak samo jak ja – że jest we mnie zakochany.

Dla mnie żart, jednak mam wrażenie, że dla tak nadąsanego drania jak on, dla którego wizerunek jest wszystkim, to będzie istna tortura. Pewnie sobie myślał, że poślubi jakąś idealną, nadętą dziedziczkę Hiltona lub Rockefellera. Tymczasem musi udawać, że mnie uwielbia, jednocześnie umierając z ochoty, aby skręcić mi kark.

Właściwie to może być idealna okazja, żeby go przycisnąć. Przy tych wszystkich ludziach nie będzie w stanie nic zrobić. Powinnam sprawdzić, na ile będę mogła sobie pozwolić, zanim pęknie.

Po pierwsze muszę się nieco pokrzepić, żeby móc przebrnąć przez ten cyrk.

Odchodzę od ojca oraz braci, idąc prosto do baru. Shoreside może i jest nieco snobistyczne, ale jest tu fajny klimat jak w jakimś resorcie, no i słyną też z letnich drinków. Zwłaszcza z Kentucky Kiss: mieszanki Burbona ze *zblendowanymi świeżymi truskawkami i odrobiną syropu klonowego, którą potem wlewa się na kostki lodu i ozdabia małą, głupią, papierową parasolką.*

Jednak barman, słysząc moje zamówienie, kręci z żalem głową.

– Przykro mi, nie mamy Kentucky Kiss.

– A może truskawkowe *daiquiri*? – pytam z nadzieją.

– Nic z tego. Nie robimy niczego z truskawkami.

– A co, wasza ciężarówka jadąca z Meksyku została porwana? – Unoszę kpiąco brwi.

– Niee… – Barman napełnia shaker lodem i zaczyna robić martini dla innego klienta. Ja natomiast przeglądam menu z drinkami. – To tylko na czas tej imprezy… Chyba ten koleś jest uczulony.

– Który koleś?

– Ten, który się żeni. – Wskazuje Calluma.

Z zaciekawieniem odkładam menu.

– Jest uczulony? – dopytuję.

– Taaa, jego matka zrobiła z tego nie lada awanturę. Powiedziała, że nikt w tym lokalu nie może jeść truskawek. Zupełnie jakby ktoś miał spróbować wrzucić mu jakąś do drinka.

No cóż, teraz ktoś może…

– To bardzo ciekawe – oznajmiam. – W takim razie martini, proszę.

Nalewa do szklanki schłodzonej wódki i przesuwa ją w moją stronę.

– Masz. Zrobię jeszcze jedno.

– Dziękuję – odpowiadam, wznosząc toast.

Zostawiam barmanowi pięć dolców napiwku, bo jestem podekscytowana myślą, że ten polityczny robot ma jakąś słabość. Że istnieje jakiś czerwony, błyszczący kryptonit. To kolejna szpila, którą będzie można mu wbić.

Przynajmniej taki mam plan, dopóki nie zauważam Calluma.

Naprawdę przypomina mi wampira ubranego w ciemny garnitur. Jest szczupły, blady i ma nieludzko niebieskie oczy. Ma cierpką, pełną pogardy minę. Próby bycia czarującym w pracy muszą być dla niego trudne. Zastanawiam się, czy obserwuje prawdziwych ludzi i próbuje ich naśladować. Jeśli tak, to kiepsko mu to wychodzi. Wszyscy dookoła rozmawiają i śmieją się, on z kolei zaciska palce na swoim drinku zupełnie, jakby chciał go zgnieść. Ma duże dłonie o długich, smukłych palcach.

Kiedy mnie zauważa, w końcu okazuje jakąś emocję – czystą nienawiść. Aż od niego promieniuje i skierowana jest bezpośrednio we mnie.

Bezczelnie podchodzę do niego, żeby wiedział, że nie może mnie zastraszyć.

– Lepiej uważaj, *kochanie* – szepczę do niego. – Rzekomo świętujemy nasze zaręczyny, a ty wyglądasz na totalnie nieszczęśliwego.

– Aido Gallo – syczy do mnie. – Z ulgą widzę, że przynajmniej wiesz, co to znaczy wystroić się, nawet jeśli w twoim wykonaniu to nic nie znaczy.

Staram się wciąż uśmiechać, nie pozwalając mu pokazać, że trochę mnie to zabolało. Dopóki do niego nie podeszłam, nie zdawałam sobie sprawy jak bardzo – mimo że mam na sobie te durne szpilki – będzie nade mną górować. Żałuję, że podeszłam tak blisko. Jednak nie mogę się wycofać. To by była oznaka słabości.

A tak w ogóle to dzięki braciom przywykłam do przerażająco wyglądających mężczyzn. Prawdę mówiąc to Callum Griffin nie ma żadnych blizn, trwale spuchniętych knykci, które sugerują, czym zajmują się Nero i Dante. Jego dłonie są idealnie gładkie. W końcu to dzieciak bogoli. Muszę o tym pamiętać.

Krzykliwy pierścionek na mojej lewej ręce przyciąga jego wzrok. Założyłam go po raz pierwszy i już czuję, że mnie dusi. Nienawidzę tego, co oznacza oraz tego, że przyciąga uwagę. Na widok pierścionka usta Calluma bledną i niemal znikają, kiedy zaciska je w wąską kreskę. Wygląda, jakby go mdliło.

No cóż, to dobrze. Cieszę się, że on także cierpi.

Callum bez ostrzeżenia obejmuje mnie w pasie i szarpnięciem przyciąga do siebie. Robi to tak nieoczekiwanie, że niemal go odpycham i uderzam, myśląc, że mnie atakuje. Zaczynam rozumieć, w co on gra dopiero w chwili, gdy podbiega do nas piszcząca blondynka.

Ma mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu i ubrana jest w różową sukienkę z dopasowanym do niej jedwabnym szalem owiniętym wokół szyi. Tuż za nią idzie brodaty mężczyzna trzymający wielką

torebkę z Hermès, która, jak zakładam, nie należy do niego, bo nie pasuje do jego koszulki polo.

– Cal! – woła blondynka. Łapie go za ramiona i wspina się na palce, aby pocałować go w policzek.

W Shoreside takie rzeczy są na porządku dziennym. Z kolei reakcja Calluma mnie zadziwia.

Chłodny wyraz znika z jego twarzy i natychmiast jego miejsce zajmuje czarujący uśmiech, po czym mówi:

– Oto i oni! Moi ulubieni nowożeńcy. Skoro jesteście już po tej drugiej stronie, to może macie dla nas jakieś wskazówki?

To naprawdę niesamowite przyglądać się, jak maska polityka wpełza na jego przystojną twarz. I wygląda ona zupełnie naturalnie – no może poza tym sztywnym uśmiechem. Nie sądziłam, że jest w tym taki dobry.

Wydaje mi się, że to rozumiem. Jednak niepokojące jest to, z jaką łatwością okazuje radość oraz wdzięk. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Kobieta zaczyna się śmiać i delikatnie kładzie swoją wypielęgnowaną dłoń na ramieniu Calluma. Zauważam jej pierścionek zaręczynowy. Osadzony w nim kamień jest tak duży, że niemal przechyla jej rękę na bok. Jezu Chryste, chyba właśnie znalazłam górę lodową, która zatopiła Titanica.

– Och, Cal! – mówi ze śmiechem. – Dopiero minął miesiąc, więc jedyną rzeczą, jakiej się nauczyłam, to żeby nie rejestrować się na stronie Knee & Co! Wszelkie próby zwrócenia rzeczy, których nie chcieliśmy, to jakiś koszmar. Chciałam niestandardową zastawę stołową od Marie Daage Aloe, ale gdy tylko zobaczyłam wiosenną kolekcję, od razu tego pożałowałam. Oczywiście nie musisz się tym przejmować, pewnie twoja narzeczona wszystkim się zajmie.

Rzuca mi przelotne spojrzenie, a między jej brwiami pojawiają się drobniutkie zmarszczki, dzielnie stające do walki z mnóstwem botoksu, który stara się je wygładzić.

– My się chyba jeszcze nie poznałyśmy – oznajmia. – Christina Huntley-Hart. A to mój mąż, Geoffrey Hart.

Wyciąga rękę w ten bezwładny sposób, który zawsze wprowadza mnie w zakłopotanie. Muszę zwalczyć chęć ukłonienia się i

pocałowania jej w dłoń jak jakieś hrabiny w starym filmie. Zamiast tego po prostu niezręcznie ściskam jej palce i puszczam tak szybko, jak to tylko możliwe.

– Aida – odpowiadam.

– Aida…? – zawiesza głos.

– Aida Gallo – uzupełnia Callum.

Zmarszczka raz jeszcze z trudem pojawia się na jej czole.

– Chyba nie słyszałam nigdy o Gallo – oznajmia. – Należycie do North Shore Country Club?

– Nie! – odpowiadam, próbując dopasować ton swojego głosu do jej sztuczności. – Powinniśmy się tam zapisać? Obawiam się, że ostatnio moje umiejętności gry w tenisa bardzo podupadły…

Patrzy na mnie, jakby podejrzewała, że się z niej nabijam, jednak nie wierzy, żeby to było możliwe.

Ręka Calluma boleśnie zaciska się wokół mojego pasa. Trudno jest się nie skrzywić.

– Aida uwielbia tenis – oznajmia. – Jest wysportowana.

Christina uśmiecha się niepewnie.

– Ja również – mówi, po czym zwraca się do Calluma: – Pamiętasz, jak graliśmy razem we Florencji? Podczas tej wycieczki byłeś moim ulubionym partnerem deblowym.

To zabawne. W dupie mam to, czy Christina Cipo-Hart chce flirtować z Callumem. Mogli się pieprzyć w zeszłym tygodniu, z tego co wiem. Jednak to, że robi to na moich oczach, uważam za cholerny brak szacunku.

Zerkam na biednego Geoffreya Harta, aby przekonać się, co myśli. Do tej pory nie odezwał się nawet słowem. Wbija wzrok w zawieszony nad barem telewizor i ogląda najlepsze momenty z meczów Cubsów. Oburącz trzyma torebkę Christiny i robi taką minę, jakby ten miesiąc małżeństwa był najdłuższymi trzydziestoma dniami w jego życiu.

– Hej, Geoff – zwracam się do niego. – Tobie też pozwalali grać, czy jedynie nosiłeś rakiety?

Geoffrey unosi brew i prycha:

– Akurat na tej wycieczce mnie nie było.

– Hm – odpowiadam. – Szkoda. Nie widziałeś, jak Christina dała *Calowi*… – podkreślam sztucznie zdrobnienie – niekoniecznie wygrać.

Teraz Christina z pewnością jest wkurwiona. Patrzy na mnie, mrużąc oczy, i rozszerza nozdrza.

– Tak czy inaczej – mówi beznamiętnie. – Jeszcze raz gratuluję. Wygląda na to, że wyrwałeś sobie niezły kąsek, Cal.

Christina i człapiący za nią Geoffrey odchodzą i Callum momentalnie puszcza mnie i natychmiast łapie za ramię z taką siłą, że jego palce wbijają mi się w ciało.

– Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? – warczy na mnie.

– Czy to faktycznie są twoi przyjaciele? – pytam. – Powinna była sobie wsadzić do torebki jednego z tych małych psiaków. Geoff to dość dziwaczny dodatek…

– Weźże dorośnij – mówi Callum, z niesmakiem kręcąc głową. – W zeszłym roku Huntleyowie zorganizowali ogromną zbiórkę pieniędzy dla mnie. A Christinę znam od podstawówki.

– Znasz? – pytam. – Czy dymasz? Bo jeśli jeszcze tego nie zrobiłeś, to lepiej weź się za to, nim ona publicznie zacznie pieprzyć twoją nogę.

– O mój Boże – wyrzuca z siebie Callum, ściskając palcami grzbiet nosa. – Nie mogę w to uwierzyć. Biorę ślub z dzieciakiem. I to nie jakimś normalnym dzieciakiem, tylko jakimś pomiotem piekieł jak Chucky czy któreś z Dzieci Kukurydzy.

Próbuję wyrwać rękę, jednak jego uścisk jest mocniejszy niż stal. Aby się uwolnić, naprawdę będę musiała zrobić scenę, jednak nie jestem jeszcze na to gotowa.

Zamiast tego przywołuję gestem ręki najbliższego kelnera i biorę z jego tacy kieliszek szampana. Upijam łyk, po czym cicho i spokojnie mówię do Calluma:

– Chlusnę ci tym drinkiem w twarz, jeśli mnie nie puścisz.

Puszcza mnie, a ze złości jego twarz jest jeszcze bledsza.

Pochyla się w kierunku mojej twarzy i mówi:

– Myślisz, że jesteś kimś, kto może spierdolić moje plany? Nie zapominaj, że to ty wprowadzasz się do *mnie*. Mogę sprawić, że od przebudzenia aż po wieczór, kiedy pozwolę ci się położyć do łóżka,

twoje życie będzie koszmarem. Szczerze mówiąc, nie sądzę, że chcesz toczyć ze mną wojnę.

Ręka aż mnie świerzbi, żeby chlusnąć mu tym szampanem prosto w twarz i pokazać mu, co o tym myślę. Jednak udaje mi się powstrzymać. Z trudem.

Muszę się zadowolić uśmiechem, po czym mówię do niego:

– Gdzieś pośrodku chaosu znajduje się też okazja.

Zaskoczony Callum wbija we mnie wzrok.

– O… o czym ty, kurwa, mówisz? Masz na myśli to, jak najlepiej wykorzystać ten cyrk?

– Pewnie – odpowiadam. – Co jeszcze mogę zrobić?

Właściwie to cytat ze *Sztuki Wojny*. A oto jeszcze jeden, który lubię: *Bądź zmienny jak płynące chmury, a gdy trzeba, szybki jak błyskawica.*

ROZDZIAŁ ÓSMY

– CALLUM

Po chwili drobnej wściekłości Aida uspokaja się i zaczyna się zachowywać dobrze. A przynajmniej daje z siebie wszystko. Uśmiecha się i rozmawia z odpowiednią uprzejmością z mnóstwem osób, które podchodzą, aby nam pogratulować.

Cholernie dziwnie jest wyjaśniać przyjaciołom oraz rodzinie, że żenię się z dziewczyną, której nigdy nie poznali, nie mówiąc o tym, że nigdy o niej nie słyszeli. Ciągle im powtarzam:

– Ukrywaliśmy to. To było takie romantyczne, że to była nasza tajemnica. Jednak już nie możemy dłużej zwlekać i chcemy się pobrać.

Zauważam, że sporo osób zerka na brzuch Aidy, chcąc sprawdzić, czy istnieje jakiś wyjątkowy powód, dlaczego tak się spieszymy.

Aida dusi te plotki w zarodku, wypijając tyle szampana, ile sama waży. A kiedy sięga po kolejny kieliszek, wyrywam go z jej ręki i sam opróżniam zawartość.

– Starczy ci – mówię.

– To ja o tym decyduję – odpowiada uparcie. – Żeby mnie upić, trzeba czegoś więcej niż tego wychwalanego piwa imbirowego.

Tyle że nie stoi już tak pewnie na tych wysokich obcasach, a od samego początku nie radziła sobie z nimi najlepiej.

Ulżyło mi, gdy zobaczyłem, że ma na sobie sukienkę, chociaż wybrała tandetną i zbyt jasną. Co jest z nimi nie tak? Nie mają pieniędzy, żeby kupić sobie jakieś przyzwoite ciuchy? Jej bracia wyglądają na zbirów. Jeden założył pierdoloną koszulkę i jeansy, a drugi wystroił się jak James Dean. Dante kręci się dookoła, jakby w każdej chwili miała tu wybuchnąć bomba. Z kolei Nero rozmawia z barmanką zupełnie tak, jakby planował z nią iść na górę. Całkiem

możliwe, że to obleśne ścierwo to zrobi. Jestem niemal przekonany, że pieprzył Norę Albright w moim domu.

Przynajmniej Enzo Gallo zachowuje się przyzwoicie i ubrał się stosownie do okazji. Wygląda na to, że zna niemal tyle samo osób co i ja. I nie mówię tu o tych nowobogackich sławach, tylko wszystkich tych związanych ze starym Chicago. Widzę, jak z szacunkiem wymieniają z nim uściski dłoni. Może mój ojciec miał rację co do korzyści płynących z tego sojuszu.

Podchodzą do nas moi rodzice chcący sprawdzić, co u nas. Towarzyszy im Madelina Breck, niemal siedemdziesięcioletnia czarnoskóra kobieta o krótko przystrzyżonych, siwych włosach. Ma na sobie prosty garnitur i wygodne buty. Jej twarz zdradza spokój oraz inteligencję. Gdyby człowiek był głupi, wziąłby ją za przyjazną babcię. Ale tak naprawdę to jedna z najpotężniejszych osób w mieście.

Jest przewodniczącą Rady Komisarzy Hrabstwa Cook i kontroluje wydatki na ogromne projekty finansowe ze środków publicznych: od parków po wszelką infrastrukturę. To ona trzyma w żelaznym uścisku chicagowskich demokratów. Udaje jej się mianować na kluczowe stanowiska – takie jak skarbnik miejski czy prokurator stanowy – kogo tylko chce i to bez maczania w tym palców.

Jest sprytna i subtelna, nie chciałbym mieć w niej wroga. Na samą myśl o tym, że Aida może powiedzieć coś okropnego w jej towarzystwie, jest mi niemal niedobrze.

– Zachowuj się. To Madeline… – syczę do Aidy, gdy Breck podchodzi do nas.

– Wiem, kim ona jest – przerywa mi, przewracając oczami.

– Madeline – mówi mój ojciec – znasz naszego syna Calluma. Za kilka tygodni będzie kandydować na stanowisko radnego w czterdziestym trzecim Okręgu.

– Wybornie – oznajmia Madeline. – Najwyższy czas, aby zasiadł tam ktoś z wizją.

– A na jaką wizję liczysz? – pytam. – Może wizję kogoś, kto będzie w stanie utrzymać Lincoln Park w jednym kawałku?

Madeline uśmiecha się do mnie.

– Kto ci powiedział, że byłam przeciwna ponownemu mapowaniu gruntów?

– Pewien mały ptaszek – odpowiadam. – Jeśli zostanę radnym, nie chciałbym, żeby podzielono Lincoln Park. Na szczęście jestem bliskim przyjacielem przewodniczącego Komisji Regulaminowej.

– Jeremy Ross to uparciuch – oznajmia Madeline, patrząc na mnie znad okularów, zupełnie jakby przypuszczała, że naprawdę mam nad nim władzę.

– Jest cholernie uparty, ale jest mi winien przysługę. I to niemałą.

– No cóż, ja tylko chcę jak najlepiej dla sąsiedztwa – mówi wielkodusznie.

– Jasne, czuję dokładnie to samo. Lincoln Park to miejsce z historią. Nie możemy pozwolić, aby oddano je innym okręgom, które nie będą podchodziły do niego priorytetowo.

– To się nazywa hart ducha – oznajmia, klepiąc mnie po ramieniu. A potem odwraca się do Aidy, mówiąc: – Miło było cię poznać, skarbie.

Jestem trochę zmieszany, że tak szybko zakończyła rozmowę. Byłem niemal pewien, że oboje chcemy tego samego.

Gdy Madeline odchodzi, Aida bierze kolejny łyk drinka, którego skądś wytrzasnęła i mówi:

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że ona ma w dupie Lincoln Park?

– O czym ty mówisz? – pyta mój ojciec, odwracając głowę.

– Za wywóz śmieci z czterdziestego czwartego i trzydziestego drugiego Okręgu dostaje prowizję – oznajmia Aida tak, jakby było to oczywiste. – Dodasz do tego pół Lincoln Park i podwoisz tę wartość. Publicznie sprzeciwia się ponownemu mapowaniu, bo jest niepopularne.

Moi rodzice wymieniają się spojrzeniami.

– Lepiej porozmawiajmy z Marty'm Rico – oznajmia matka.

Rozdzielają się, aby potwierdzić to, co przed chwilą usłyszeli. Dopiero wtedy Aida chichocze cicho.

– Skąd o tym wiesz? – pytam.

– Wygląda na to, że Griffinowie wcale nie mają takich znajomości – mówi. – Wydaje mi się, że o tym się nie rozmawia w North Shore Country Club.

– Skoro jesteś taka mądra, to może mi powiesz, jakbyś ją do siebie przekonała? – pytam.

– Dlaczego miałabym ci mówić? – pyta, mrużąc szare oczy i upijając kolejny łyk drinka. Gdy to robi, wygląda na przebiegłą i złośliwą, niczym dziki kot siedzący wysoko na gałęzi, który zaraz zeskoczy mi na głowę.

– No cóż – mówię. – Za tydzień wszystko co jest moje, będzie i twoje. Włącznie z sukcesami… i moimi niepowodzeniami… Wszystko będzie zależało również od ciebie. Dlatego pomaganie mi jest sensowne.

Wstawia pusty kieliszek do najbliższej doniczki, a na jej policzkach pojawiają się pąsy.

– Myślisz, że będę jakąś kobietką, która będzie stała za twoimi plecami i działała zakulisowo, żebyś mógł błyszczeć? – warczy.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – odpowiadam. – Ale jeśli tkwimy w tym razem, to równie dobrze możemy pracować razem.

– Nie jestem dodatkiem do ciebie! – mówi gniewnie.

– Och, masz coś lepszego do roboty? – szydzę sobie z niej. – O ile wiem, niczym się nie zajmujesz, jeśli chodzi o rodzinny biznes, tylko po prostu opierdalasz się na zajęciach w Loyoli. Poza zakradaniem się na czyjeś przyjęcia na czymś ci zależy?

Wbija we mnie wzrok, jest zła i po raz pierwszy została uciszona.

– Nie muszę ci się tłumaczyć – odpowiada w końcu.

To dość kiepska riposta, w porównaniu z tym, co zwykle mówi. Musiałem trafić w czuły punkt. Postanawiam jeszcze trochę ją przycisnąć.

– Wątpię więc, że masz coś pożytecznego do powiedzenia.

Aida niemal drży ze złości. Jest porywczą osobą, naprawdę nie powinienem z nią igrać w ten sposób, zwłaszcza w miejscu publicznym, gdzie jeśli wpadnie w szał, mogę stracić więcej niż ona.

– Wiem, że próbujesz mnie sprowokować – odzywa się w końcu. – I tak ci powiem. A zrobię to tylko dlatego, że to bez znaczenia, oraz że sam do tego nie dojdziesz. Madeline Breck zależy wyłącznie na zarabianiu, koniec kropka. Od każdej z setki umów dotyczących usług użyteczności publicznej oraz budowlanki coś jej skapuje. A jeśli cokolwiek ją pasjonuje, to są to strzelający do ludzi gliniarze.

Jeśli uda ci się ją przekonać, że faktycznie zamierzasz coś z tym zrobić, może nakłonisz ją do współpracy. Z tym że nie zdołasz tego zrobić, bo stracisz wtedy poparcie Związku Zawodowego Policjantów oraz prawdopodobnie również i strażaków.

To w sumie nie taki zły pomysł. Prawdopodobnie Aida ma rację. Ale również ma rację, że ciężko będzie zaimponować Madeline bez wkurzania Związku Zawodowego Policjantów.

– To całkiem sprytne – przyznaję.

– Och, dziękuję ci bardzo! – odpowiada sarkastycznie. – Jestem zaszczycona.

A potem w trakcie przewracania oczami zauważa, że ktoś się do nas zbliża i wtedy odwraca się, zupełnie jakby chciała znaleźć sobie jakąś kryjówkę, mimo że to impreza na naszą cześć, a ona jest równie niedostrzegalna jak samotny słonecznik na polanie.

W naszą stronę wolnym krokiem zmierza Oliver Castle z wbitymi w kieszenie rękami i wielkim, głupim uśmiechem przyklejonym do twarzy. Znam go ze studiów, chociaż nigdy za nim nie przepadałem. Był gwiazdą futbolu i najwyraźniej wciąż je jak futbolista, mimo że obecnie pracuje w przedsiębiorstwie inwestycyjnym swojego ojca. Jego potężna, umięśniona sylwetka zaczyna się zaokrąglać, ale wciąż wygląda na silnego. Jest mocno brązowy, prawdopodobnie opalił się tak na odbytej niedawno podróży, o której zapewne zaraz mi opowie.

Jednak gdy do nas podchodzi, zauważam, że całą swoją uwagę skupia na Aidzie.

– Kiedy o tym usłyszałem, wprost nie mogłem w to uwierzyć – oznajmia.

– Cześć, Ollie – odpowiada, odwracając się niemrawo.

Ollie?

– Czuję się urażony, Aido. Zaręczyłaś się i nawet nie zadzwoniłaś, żeby mi o tym opowiedzieć?

– A po co miałabym do ciebie dzwonić? – rzuca srogim tonem. – Przez trzy miesiące ignorowałam twoje wiadomości i telefony. Jak chcesz wytresować psa, to nie możesz mu dawać ani jednego łakocia, bo już zawsze na twój widok będzie szczekać i się ślinić.

Podejrzewam, że Oliver poczuje się urażony, lecz on tylko się uśmiecha i podchodzi bliżej, górując nad Aidą. Wkurwia mnie to, jak

blisko niej stoi, zupełnie jakby wciąż mnie nie zauważył.

– I to jest ta uszczypliwość, którą uwielbiam – oznajmia Oliver. – Aido, nigdy się nie zmieniaj.

– Nie wiedziałem, że się znacie – mówię.

– Och, znamy się od dawna – cedzi Oliver, wciąż wpatrując się w Aidę.

Staję pomiędzy nimi, częściowo mu ją zasłaniając.

– Wychodzi na to, że chyba zobaczymy się na ślubie – mówię. Nie silę się, aby ukryć irytację w swoim głosie.

– Chyba tak – odpowiada Oliver, w końcu obrzucając mnie przelotnym spojrzeniem. – To zabawne, nigdy nie wyobrażałem sobie was razem. Aida jest taka nieokiełznana. Nie sądziłem, że pozwoli na to, by jakiś z *glitterati*[8] włożył jej pierścionek na palec.

– To, że tobie się to nie udało, nie oznacza, że nikt inny nie może tego zrobić – warczę.

– To takie porywające, że chyba pójdę po coś do jedzenia – przerywa nam Aida.

Przepycha się między nami i zostawia nas samych.

Gdy jej nie ma, wszelkie napięcie znika i denerwuje mnie fakt, że nawet rozmawiam z Oliverem, nie mówiąc już o tym, że irytuje mnie to, że umawiał się z moją udawaną narzeczoną. Powinienem mieć w dupie to, z kim Aida była przede mną. Mogła przelecieć cały pierwszy skład Bearsów[9] i jakie to miałoby znaczenie? Nasze małżeństwo to biznes, nic więcej.

Ale i tak wkurwiają mnie słowa Olivera:

– Powodzenia, Griffin. To osobliwa dziewczyna.

– Nie wydaje mi się, abyś, kurwa, wiedział, jaka jest, a jaka nie – warczę na niego.

Oliver unosi ręce w geście udawanych przeprosin.

– Jasne, jasne – odpowiada. – Zakładam, że masz wszystko totalnie pod kontrolą.

Uśmiecha się do mnie szelmowsko, zupełnie jakby chciał zobaczyć, jak Aida pieprzy moje życie. Niestety, myślę, że może mieć rację.

Idę odnaleźć Rionę – ona będzie coś o tym wiedziała.

– Znasz Olivera Castle'a? – pytam.

– Taaa – odpowiada, poprawiając kosmyk jasnorudych włosów. Ma wyciągnięty telefon, w przerwie między spotkaniami sprawdza maile. Riona ukończyła studia prawnicze i sądzę, że zrobiła to głównie po to, aby udowodnić, że może to zrobić. Teraz pracuje w firmie zajmującej się obsługą wszystkich naszych interesów.

– Czy Castle umawiał się z Aidą? – pytam.

Riona, patrząc na mnie, unosi brwi. Są tak samo rude jak jej włosy.

– Taaa – odpowiada, zupełnie jakbym właśnie zapytał ją, czy sushi robi się z ryżu. – Umawiali się ponad rok. On miał na jej punkcie obsesję. Stracił dla niej głowę, robił z siebie głupka, prawie nie pracował, tylko biegał za nią, gdzie by nie poszła. Rzucił pracę w trakcie ogarniania jakiejś ogromnej transakcji i ruszył za nią, gdy dowiedział się, że pojechała na wakacje na Maltę. Jego ojciec wpadł wtedy w szał.

– Co się stało?

– Rzuciła go, zupełnie niespodziewanie. Nikt tego nie rozumiał. Oliver to świetna partia – jest jedynakiem, który odziedziczy Keystone Capital. A poza tym jest przystojny, dość czarujący, a ona kopnęła go w dupę, nie mówiąc nikomu, dlaczego to zrobiła.

– Cóż, na przykład bo to pierdolony kretyn – oznajmiam.

Riona gapi się na mnie.

– Czy to *zazdrość?* – pyta z niedowierzaniem.

– Nie. – Patrzę na nią wilkiem. – Po prostu nie ucieszyła mnie wiadomość, że moja *narzeczona* umawiała się z tą małpą. Na tym polega problem poślubiania kogoś, kogo się, kurwa, nie zna!

– Mów ciszej – mówi lodowatym tonem. – Żadnemu z nas to się nie podoba, ale najwyraźniej nasi rodzice oszaleli, więc musimy jak najlepiej wykorzystać tę sytuację.

Przynajmniej Riona stoi po mojej stronie.

To przykre, że ojciec zawsze każe nam ze sobą konkurować, bo szanuję swoją siostrę. Jest zdyscyplinowana, pracowita i inteligentna. Z tym że zawsze depcze mi po piętach, czekając, aż powinie mi się noga i będzie mogła zająć moje miejsce.

No cóż, nie dojdzie do tego. Moją siłą napędową jest właśnie ta myśl, bez względu na to, z iloma finansistami-debilami Aida umawiała się przede mną.

– Posłuchaj – mówię do Riony. – Muszę się dogadać z Madeline Breck. Możesz dogadać się z Callahanem?

Wyjaśniam jej w czym rzecz.

William Callahan jest komendantem policji w moim okręgu. Byłoby lepiej, jeśli miałbym po swojej stronie komendanta głównego Chicago, ale na początek dobre i to. Abym mógł pokazać Madeline Breck, że mogę wpłynąć na policję.

Riona słucha ze sceptycznym wyrazem twarzy.

– Ciężko będzie to zrobić – oznajmia.

– Przynajmniej spróbuj – proszę.

Riona kiwa stanowczo głową. To perfekcjonistka, nie potrafi odmówić wykonania zadania.

Odchodzi, żeby porozmawiać z Callahanem, a obok mnie staje Dante Gallo. Jego twarz jest pospolita z rodzaju tych, które zawsze wyglądają na nieogolone, z cieniami wokół ust oraz szeroką szczęką. Brutalność ma wypisaną na twarzy, a do tego jest dość masywny. Stoi lekko przygarbiony, przybierając pozycję obronną niczym wojownik. Nie onieśmiela mnie – nikt nie jest w stanie tego zrobić. Z tym że gdybym musiał stanąć do walki z którymś z braci Aidy, nie chciałbym, aby to był Dante.

Jestem świadom, czemu przyszedł ze mną porozmawiać.

I rzeczywiście, Dante patrząc mi prosto w oczy, mówi:

– Mój ojciec może i wydał wam Aidę, jednak nie sądźcie, że o niej zapomnieliśmy. To moja młodsza siostrzyczka. Jeśli chociażby tkniesz ją palcem i jej się to nie spodoba…

– Daruj sobie – przerywam. – Nie mam zamiaru znęcać się nad Aidą.

– To dobrze – warczy Dante.

Ale teraz to ja podchodzę do niego.

– Pozwól, że coś ci powiem. Po wypowiedzeniu słów przysięgi zostanie moją żoną. Będzie moja. A to, co się z nią dzieje, nie jest już twoim zmartwieniem. Odpowiada przede mną. Nasze relacje są moją sprawą, nie twoją.

Ramiona Dantego opadają jeszcze bardziej. Zaciska palce w pięści wielkości grejpfruta.

– Ona zawsze będzie moją sprawą – warczy.

– Nie wiem, czym się martwisz. Jestem przekonany, że ona umie o siebie zadbać.

Dante marszczy brwi.

– Owszem – odpowiada. – Ale to nie znaczy, że jest niezniszczalna.

Rozglądam się po pomieszczeniu i dostrzegam Aidę rozmawiającą z Nero. Najwyraźniej do niczego nie doszło z tamtą barmanką i wygląda na to, że Aida robi sobie z niego podśmiechujki. Patrzę na nią, gdy odrzuca głowę do tyłu i śmieje się tak głośno, że słychać ją dosłownie wszędzie. Nero marszczy brwi i uderza ją w ramię. Ona z kolei nie przejmując się bólem, zaczyna śmiać się jeszcze mocniej.

– Nic jej nie będzie – mówię do Dantego.

Mój rozmówca potrząsa głową, jego źrenice robią się ciemniejsze, a spojrzenie poważne.

– Traktuj ją z szacunkiem – oznajmia złowrogo.

– Martw się o swoją rodzinę – odpowiadam chłodno. – Jeśli mamy być ze sobą związani, to wy, jebane dzikusy, musicie nauczyć się zachowywać w cywilizowany sposób. Zabiję każde z was, nim pozwolę, abyście nas pogrążyli.

– Wystarczy, że się rozumiemy – mówi Dante.

Odwraca się i odchodzi. Ja natomiast rozglądam się za kolejnym drinkiem.

W zeszłym tygodniu wystarczyło mi Gallo do końca życia. A my dopiero zaczynamy stawiać pierwsze kroki, jeśli chodzi o nasze nowe „przyjacielskie” stosunki.

Dante może wsadzić sobie w tyłek tę sztuczkę ze starszym, opiekuńczym bratem.

Myśli, że Aida jest bezbronna?

Wątpię w to.

Jest dzikusem, tak samo jak jej bracia.

A to oznacza, że trzeba ją złamać.

Oliver nie był w stanie jej okiełznać, a ona go ignorowała. Publicznie zrobiła z niego durnia. Cóż, ze mną jej się to nie uda. Jeśli Aida jest głazem, to ja jestem pierdolonym oceanem. I mam zamiar bezustannie w nią uderzać, krusząc ją kamyczek po kamyczku. Aż w końcu ją złamię i pochłonę w całości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– AIDA

Cały kolejny tydzień marnuję na głupim organizowaniu wesela. Moją rodzinę nie bardzo interesuje to, jak ten ślub będzie wyglądać, a że Griffinowie mają bzika na punkcie kontroli, to większością rzeczy zajmuje się Imogen. A mimo to oczekuje, że zatwierdzę to, jak goście mają być rozsadzeni oraz plan wydawanych posiłków, zupełnie jakby w ogóle mnie to obchodziło.

Dziwnie jest spędzać czas z rodziną Calluma. Za każdym razem będąc z nimi sam na sam, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że rzucą się na mnie. Czuję, że wszystko między nami jest udawane, że wszyscy udają, że są szczerzy, a ja mam w to brnąć zupełnie, jakbym faktycznie była ich synową i rumieniącą się panną młodą.

Nie mogę rozgryźć Imogen. Jej wygląd zewnętrzny przywodzi na myśl typową zamożną damę: doskonale uczesaną blondynkę, która zawsze wysławia się bardzo wytwornie. Wiem, że jest inteligentna i podejrzewam, że o wiele bardziej angażuje się w sprawy Griffinów niż na to wygląda.

Wesele będzie skromne, bo planowane jest na szybko, a ona mimo wszystko nalega, że muszę mieć odpowiednią suknię. I właśnie z tego powodu jestem w Bella Bianca, przymierzając suknie ślubne przed Nessą, Rioną oraz Imogen.

W mojej rodzinie nie ma żadnych kobiet, które mogłabym zaprosić, oczywiście nie żebym chciała, aby brały udział w tej farsie.

Z nas wszystkich najbardziej podekscytowana jest Nessa, która wyciąga sukienkę za sukienką, daje mi do przymierzenia, po czym klaszcze i piszczy, widząc mnie w każdej z nich. To suknie balowe oraz kreacje dla księżniczek, które są niedorzecznie wielkie, zupełnie jak żywcem wyciągnięte z kreskówki. Przez połowę czasu plączę się

w całym tym tiulu, a Nessa musi wygładzić przeróżne warstwy sukni, po czym dopiero mnie zapina.

Wszystkie sukienki strasznie mi się nie podobają, ale przez zaraźliwą energię bijącą od Nessy nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Jest taka słodka, ma duże piwne oczy i zarumienione policzki.

– Może ty którąś przymierzysz? – mówię.

– Och, nie. – Nessa kręci głową, rumieniąc się tak bardzo, że jej piegi niemal zupełnie znikają. – Nie mogę.

– Dlaczego? Jest ich z milion. Jeśli mi pomożesz, pójdzie nam o wiele szybciej.

– No cóż…

Widzę, że bardzo chce to zrobić. Wpycham jedną z najbardziej bufiastych sukienek w jej ramiona.

– Chodź, zobaczymy tę.

Nessa idzie się przebrać. Wzdychając z rezygnacją, zakładam sukienkę numer sześćdziesiąt siedem. Waży ze czterdzieści pięć kilo, a tren ma dłuższy od tego, który miała księżna Diana.

Nessa, jak na tancerkę przystało, wychodzi z przebieralni z gracją. Jej smukła szyja wyrasta znad gorsetu, a dół sukni jest bufiasty jak tutu.

– Co o niej sądzisz? – pyta, obracając się na podium. Teraz wygląda jak baletnica z pozytywki.

– Myślę, że to ty powinnaś wychodzić za mąż – oznajmiam. – Do ciebie bardziej pasuje.

Wyciągam w jej stronę ręce, abyśmy mogły zatańczyć. Nasze suknie są na tyle duże, że musimy się pochylić, żeby w ogóle móc się dotknąć. Nessa spada z podium, bez szwanku lądując na swojej bufiastej spódnicy. Obie wybuchamy śmiechem.

Riona patrzy na nas bez cienia uśmiechu.

– Pospieszcie się – warczy. – Nie mam całego dnia.

– W takim razie wybierz którąś – odszczekuję. – Mnie to gówno obchodzi, w co się ubiorę.

– To twoja suknia ślubna – mówi Imogen tym swoim spokojnym, wytwornym głosem. – Musi do ciebie przemawiać. Musi współgrać z tobą. A kiedyś będziesz mogła ją przekazać swojej córce.

Aż czuję ucisk w żołądku. Mówi o jakiejś fikcyjnej córce, którą powinnam mieć z Callumem Griffinem. Myśl o chodzeniu w ciąży z jego dzieckiem sprawia, że mam ochotę zerwać z siebie tę suknię i wybiec ze sklepu. To miejsce jest przepełnione mnóstwem białego tiulu, koralików, cekinów i koronek, że ledwo mogę oddychać.

– Naprawdę mam to gdzieś – odpowiadam Imogen. – Nie przepadam za sukienkami. Ani ogólnie za ciuchami.

– To oczywiste – oznajmia cierpko Riona.

– Taaa – warczę. – Nie ubieram się jak korporacyjna Barbie. Nawiasem mówiąc, jak ci tam idzie? Ojczulek pozwala ci robić notatki ze swoich spotkań, czy po prostu tam stoisz i ładnie wyglądasz?

Twarz Riony robi się równie czerwona jak jej włosy, jednak zanim zdąży cokolwiek odpowiedzieć, Imogen mówi:

– Aido, może przemówi do ciebie coś troszkę prostszego.

Po czym zwraca się do ekspedientki, prosząc o podanie kilku sukienek w podanym rozmiarze i zaprojektowanych według konkretnego projektanta. Najwyraźniej zanim tu przyjechałyśmy, zrobiła rozeznanie. Nie interesuje mnie, co wybrała. Po prostu chcę, żeby to się skończyło. Nigdy w życiu nie zapięłam aż tylu suwaków.

Nie wiem, co się stało z suknią mojej mamy. Jednak wiem, jak wyglądała – mam zdjęcie zrobione w dniu ślubu. Mama jest w Wenecji i siedzi na dziobie łodzi, po którym ciągnie się długi, koronkowy tren, niemal wpadający do bladozielonej wody. Z dumą i elegancją patrzy prosto w obiektyw.

Właściwie to jedna z sukni, które wybrała Imogen, nieco przypomina tę, którą miała moja mama. Ma krótkie spływające z ramion kimonowe rękawy i dopasowany gorset z dekoltem w kształcie serca. Ma staromodną koronkę, jednak nie jest taka bufiasta. To sukienka o prostym, delikatnym kroju.

– Ta mi się podoba – oznajmiam z wahaniem.

– Tak – przytakuje Imogen. – Pasuje ci ta złamana biel.

– Wyglądasz OSZAŁAMIAJĄCO – mówi Nessa.

Nawet Riona nie ma niczego lekceważącego do powiedzenia. Unosi tylko podbródek i kiwa głową.

– W takim razie kończymy – postanawiam.

Ekspedientka zabiera ode mnie sukienkę, martwiąc się, że nie mamy czasu, aby ją przerobić przed uroczystością.

– Pasuje idealnie – zapewniam ją.

– Owszem, ale jeśli by ją pani trochę przerobiła w biuście…

– Mam to gdzieś – mówię, wpychając jej w ręce sukienkę. – Jest wystarczająco dobra.

– Rano, w dniu ślubu, jesteś zapisana do dziewczyn, żeby zrobiły ci fryzurę i makijaż – informuje mnie Imogen.

Wygląda na to, że jest wokół tego więcej zamieszania niż to konieczne, ale i tak zmuszam się do uśmiechu i przytaknięcia. Nie warto z tym walczyć, później będzie mnóstwo spraw, o które będzie można się awanturować.

– Callum zarezerwował ci całodniowy pobyt w spa w przeddzień ślubu – oznajmia Imogen.

– To naprawdę nie jest konieczne – odpowiadam.

– Oczywiście, że jest! Będziesz chciała się zrelaksować i rozpieścić.

Nie lubię ani się relaksować, ani rozpieszczać.

Jestem przekonana, że Imogen Griffin w ten sposób stawia na swoim – wmawia ci coś z lekkim i uprzejmym uśmiechem wymalowanym na twarzy. Zachowuje się tak, jakby jakikolwiek opór był szczytem prostactwa, więc człowiek po prostu wstydzi się dalej w to brnąć.

– Jestem zajęta – oświadczam.

– Wszystko zostało już zarezerwowane – oznajmia Imogen. – Wyślę po ciebie samochód. Przyjedzie o dziewiątej.

Już mam powiedzieć *Nie będzie mnie tam*, ale zmuszam się do wzięcia głębokiego wdechu i przełknięcia odruchu nieposłuszeństwa. To tylko jeden dzień w spa. Na swój natarczywy i bezczelny sposób próbują być mili.

– Dziękuję – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Imogen uśmiecha się do mnie blado.

– Będzie z ciebie idealna panna młoda – oznajmia.

Brzmi to bardziej jak groźba niż komplement.

Każdy kolejny dzień mija szybciej niż poprzedni. Kiedy do ślubu były dwa tygodnie wydawało mi się, że trwają one wiecznie. Zupełnie

tak, jakby w międzyczasie mogło się wydarzyć wszystko, co by to wszystko odkręciło.

Lecz teraz zostały zaledwie trzy dni. Potem dwa. Aż w końcu cała uroczystość ma się odbyć jutro, a ja czekam przed domem, aż durny samochód wysłany przez Imogen zabierze mnie na ten dzień w spa, którego ani nie chcę, ani nie potrzebuję.

Wiem, że Griffinowie chcą mnie wyskubać, zrobić mi peeling i spiłować moje paznokcie, robiąc ze mnie gładką i delikatną żonkę dla swojego potomka. Wielkiego Calluma Griffina. On to ich JFK, a ja mam być jak Jackie Kennedy.

Wolałabym być Lee Harvey'em Oswaldem[10].

Mimo to duszę w sobie całą tę irytację i pozwalam, żeby kierowca zawiózł mnie do ekskluzywnego spa na Walton Street.

Na początku nie jest tak źle. Callum naprawdę zadbał o wszystko. Kosmetyczki moczą moje stopy i malują mi paznokcie u rąk i nóg. Każą mi siedzieć w wielkiej wannie wypełnionej błotem, jednocześnie oblepiając mi całą twarz zupełnie innym rodzajem błota. Następnie nakładają mi na włosy odżywkę, która musi w nie wsiąknąć, po czym je myją i naoliwiają mnie, niczym indyka na Święto Dziękczynienia. Okładają mnie gorącymi kamieniami, aby potem je zdjąć i zacząć masować i oklepywać każdy centymetr mojego ciała.

Wisi mi to, że jestem naga, a ta część pobytu jest moją ulubioną. Dwie pary kobiecych dłoni masują, pocierają i ugniatają mój kark, plecy, a nawet ręce i nogi, które są napięte z powodu stresu. Biorąc pod uwagę to, że to Callum jest jego przyczyną, wydaje mi się, że będzie fair, jeśli zapłaci za to, aby ów stres zniknął.

Cały zabieg jest tak rozkosznie relaksujący, że zasypiam kołysana przez kobiece dłonie dotykające mojej skóry oraz płynące z głośników odgłosy oceanu.

Budzi mnie potworny ból w okolicach krocza. Nade mną stoi kosmetyczka trzymająca plaster z woskiem i przyklejonymi do niego włoskami, które jeszcze chwilę temu wyrastały z mojego ciała.

– Co jest, do chuja?! – wrzeszczę.

– Może troszkę szczypać – oznajmia kompletnie niesympatycznym głosem.

Patrzę na moją małą, która obecnie jest zupełnie łysa z lewej strony.

– Co ty, do cholery, wyrabiasz?! – krzyczę na kosmetyczkę.

– Depilację brazylijską – odpowiada, przyklejając po prawej stronie kolejny plaster z woskiem.

– Ej! – Odpycham jej rękę. – Nie chcę pierdolonej depilacji brazylijskiej! W ogóle nie chcę być depilowana.

– No cóż, depilacja była na liście. – Unosi notatnik i podaje mi go, zupełnie jakby miało to ugasić ogień na mojej dopiero co wyłysiałej i straszliwie wrażliwej części mojego krocza.

– Nie sporządzałam tej cholernej listy! – krzyczę, rzucając notatnikiem. – I nie chcę, żebyś ćwiczyła techniki tortur na moim kroczu!

– Już nałożyłam wosk – informuje, wskazując na przyklejony plaster. – Trzeba się go pozbyć, w ten lub inny sposób.

Próbuję podważyć brzeg plastra, ale okazuje się, że kosmetyczka miała rację. Wosk już na dobre przykleił się do niewielkiej kępki włosków, którą zostawiłam. Kobieta patrzy na mnie, a w jej chłodnych, niebieskich oczach nie dostrzegam ani grama współczucia. Przypuszczam, że takie jak ona lubią zadawać ból. Bez problemu wyobrażam sobie, jak zamienia ten biały fartuch na skórzany gorset oraz szpicrutę.

– W takim razie go oderwij – burczę.

Kosmetyczka jednym szybkim szarpnięciem zrywa plaster, pozostawiając kolejny pasek gładkiej, różowej skóry.

Wrzeszczę i wyrzucam z siebie serię przekleństw, niektóre wypowiadam po angielsku, a jeszcze inne po włosku. Kosmetyczka jednak nawet się nie wzdrygnęła. Jestem pewna, że słyszała już to wszystko.

– W porządku, dość tego! – oświadczam.

– Nie możesz tego tak zostawić – mówi, marszcząc nos.

Cazzo![11] Mam wydepilowane gdzieś dwie trzecie cipki, a gdzieniegdzie zostały mi kępki włosków. To wygląda kurewsko

paskudnie. Callum nic mnie nie obchodzi, ale nie mam zamiaru patrzeć na to tygodniami, aż mi odrosną włoski.

Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć, że był na tyle bezczelny, że wraz z tym wszystkim opłacił mi depilację okolic bikini. Już uważa się za właściciela mojej cipki? Uważa, że powinien decydować, jak będzie wyglądała?

Powinnam zaczekać, aż uśnie, a potem wylać mu na jaja gorący wosk. Powinnam dać mu posmakować jego własnego lekarstwa.

– W porządku. Skończ to – mówię ponuro.

Do pozbycia się pozostałych włosków trzeba jeszcze trzech plastrów i jeszcze większej ilości przekleństw. Po wszystkim moja mała jest zupełnie łysa, a chłodne powietrze jak nigdy muska moje ciało.

To takie kurewsko poniżające. To jest… jak damska wersja „zniewieścienia". Jestem jak Samson. Callum ograbił mnie z włosów i pozbawił mojej mocy.

Odpłacę się temu przebiegłemu, zboczonemu zjebowi. Myśli, że bez mojej zgody może wydepilować moją cipkę? Nawet nie wie, co rozpętał.

Kosmetyczki zaczęły mnie na powrót masować, tylko że jestem już wkurwiona.

Snuję plany, jak zamienić życie Calluma w piekło na ziemi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– CALLUM

Dzisiaj się żenię.

Nie tak to sobie wyobrażałem, ale w sumie nigdy nie poświęcałem zbyt wiele czasu na wyobrażanie sobie własnego ślubu. Zakładałem, że kiedyś w końcu to się wydarzy, ale tak naprawdę nigdy się tym nie przejmowałem.

Umawiałem się z mnóstwem kobiet, kiedy mi to było na rękę. Zawsze miałem własne plany, własne cele. Każda z nich musiała się do nich dopasować, bo inaczej odcinałem się od niej, nim zaczęła sprawiać więcej kłopotów, niż była warta.

Szczerze mówiąc, spotykałem się z kimś w tym czasie, gdy ojciec ułożył się z Gallo. Byłem z Charlotte Harper od około trzech miesięcy. Gdy tylko dowiedziałem się, że jestem „zaręczony", zadzwoniłem do niej, żeby to zakończyć. I nie poczułem zupełnie nic. Nie obchodziło mnie, czy jeszcze ją zobaczę, czy też nie. Nie chodzi o to, że jest z nią coś nie tak – Charlotte jest ładna, utalentowana i ma znajomości. Jednak kiedy zrywam z jakąś kobietą, czuję się tak samo, jak wyrzucając stare buty. Wiem, że niedługo znajdę nową.

Tym razem nową kobietą jest Aida Gallo. A ja powinienem ją kochać, dbać o nią i ochraniać, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Nie jestem pewien, czy będę w stanie zrobić którąkolwiek z tych rzeczy, z wyjątkiem może zapewnienia jej bezpieczeństwa.

Wiem jedno: po ślubie nie zamierzam tolerować tych jej cholernych bzdur. Tak jak mówił ojciec: trzeba ją będzie wytresować. Nie będę miał dzikiej, nieposłusznej żony. Nauczy się mnie słuchać, w ten czy inny sposób. Nawet jeśli będę musiał zmielić ją na proch.

Na myśl o jej wczorajszym „dniu w spa" parskam krótko. Oczywiście chodziło o to, żeby była gotowa na dzisiejszy wieczór.

Muszę skonsumować związek małżeński, ale nie mam zamiaru pieprzyć jakiegoś obdarciucha w klapkach i jeansowych szortach. Oczekuję, że będzie zadbana od stóp do głów.

Podoba mi się pomysł, że została wystrojona, umyta i wydepilowana zgodnie z moimi wytycznymi. Niczym laleczka, którą zrobiono dokładnie tak, jak lubię.

Wziąłem prysznic i się ogoliłem, więc nadeszła pora na założenie smokingu. Jednak kiedy zaglądam na wieszak w szafie, na którym powinien wisieć, niczego na nim nie znajduję.

Wołam jedną z naszych pracowniczek – Martę.

– Gdzie jest mój smoking?

– Przepraszam, panie Griffin – odpowiada nerwowo. – Tak jak pan chciał, poszłam do sklepu, żeby go odebrać, ale na miejscu powiedzieli mi, że zamówienie zostało anulowane. Zamiast niego przysłali paczkę od pani Gallo.

– Paczkę?

– Tak. Przynieść ją? – pyta Marta i natychmiast wychodzi, kiedy kiwam potakująco głową.

Z niecierpliwością czekam w progu, gdy Marta wbiega po schodach, trzymając w rękach duże pudełko na ubrania.

Co to, do cholery, jest? Czemu Aida dopierdala się do mojego smokingu?

– Zostaw to – mówię do Marty. Ostrożnie odkłada pudło na kanapie.

Czekam, aż wyjdzie, a potem je otwieram.

Na wierzchu leży koperta podpisana niechlujnym pismem, które, jak przypuszczam, należy do mojej narzeczonej. Rozrywam ją i wyciągam znajdującą się w niej kartkę:

Mój najdroższy narzeczony,

To było takie uprzejme z twojej strony, że wczoraj zadbałeś o moją przedślubną pielęgnację. Cóż to było za pobudzające i niespodziewane doświadczenie!

Postanowiłam odwzajemnić tę przysługę, podarowując Ci na ślub cząstkę swojej kultury.

Jestem pewna, że uczynisz mi ten zaszczyt i założysz to na nasz ślub. Boję się, że nie mogłabym złożyć przysięgi małżeńskiej bez

przypomnienia sobie o domu.

Na zawsze twoja,

Aida

Czytając opis jej wizyty w spa nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Jednak uśmiech zamiera na mojej twarzy, gdy rozrywając bibułę, zauważam smoking, który Aida chce, żebym założył.

To jakiś pierdolony kostium klauna. Uszyto go z błyszczącej, brązowej satyny, a rękawy, klapy a nawet i plecy pokrywa jaskrawy haft. Poza spodniami i marynarką jest także kamizelka, nie wspominając już o koronkowej poszetce i krawacie. Jestem w stanie wyobrazić sobie jedyną postać mogącą to nosić i jest to Liberace[12].

Do pokoju wpada zdenerwowana matka. Zauważam, że ma już na sobie elegancką suknię koktajlową w kolorze szałwii, wyprostowane włosy, na głowie jasny kapelusz i gustowne złote kolczyki zwisające z uszu.

– Co ty wyprawiasz? Dlaczego nie jesteś ubrany? – mówi, widząc jedynie owinięty w pasie ręcznik.

– Bo nie mam smokingu – odpowiadam.

– A to co?

Odsuwam się na bok, żeby mogła sama zobaczyć. Unosi koronkowy krawat, trzymając go z obrzydzeniem pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

– To prezent od mojej przyszłej żony – odpowiadam, podając jej notkę.

Matka błyskawicznie lustruje wzrokiem tekst. Marszczy brwi i rzuca:

– Zakładaj go.

– Chyba żartujesz! – Śmieję się.

– Już! – mówi. – Nie mamy czasu na załatwienie drugiego smokingu. I nie ma sensu psuć wszystkiego z powodu garnituru.

– To nie jest garnitur. To pierdolona żenada.

– Mam to gdzieś! – rzuca ostro. – To skromna uroczystość. Mało kto zobaczy.

– Nie ma opcji – protestuję twardo.

– Callumie – warczy. – Dość tego. Stoczysz z Aidą jeszcze ze sto bitew. Jednak musisz stanąć do walki w tych, które są ważne. A teraz ruszaj się, za sześć minut musimy wyjść.

Nie do wiary. Myślałem, że matka oszaleje choćby dlatego, że brąz będzie kontrastować ze starannie dobraną paletą barw: kolorem szarym, oliwkowym oraz kremowym.

Niemal dławię się zapachem kulek na mole, gdy zakładam ten idiotyczny garnitur. Nawet nie chcę wiedzieć, skąd Aida go wygrzebała. Prawdopodobnie pochowano w nim jej pradziadka.

Najważniejsze jest to, jak ją za to ukarzę.

Popełniła poważny błąd, nieustannie szturchając niedźwiedzia. Pora się obudzić i dać jej porządnego klapsa w tyłek.

Dzisiejszej nocy dostanie to, na co zasługuje.

Jak tylko kończę się ubierać, zbiegam po schodach w kierunku czekającej już limuzyny. Ta, w której jechały matka i moje siostry, już odjechała – w tej jedziemy wyłącznie ja i ojciec.

Ojciec unosi brew, patrząc na mój garnitur, jednak nic nie mówi. Prawdopodobnie matka zdążyła go o wszystkim poinformować.

– Jak się czujesz? – pyta lakonicznie.

– Fantastycznie – odpowiadam. – A nie widać?

– Sarkazm to najniższy rodzaj humoru – oznajmia.

– Myślałem, że gramy w kalambury.

– Callumie, wyjdzie ci to na dobre. Teraz tak tego nie postrzegasz, ale tak właśnie będzie.

Zgrzytam zębami, wyobrażając sobie, że dzisiejszego wieczoru wyładuję całą frustrację na zgrabnym tyłeczku Aidy.

Wchodząc do kościoła czuję się jak świętokradca – zupełnie tak, jakby Bóg mógł nas unicestwić za ten diabelski związek. Jeśli Aida mnie zirytuje, to skropię ją wodą święconą i zobaczę, czy stanie w płomieniach.

Łatwo zauważyć, którą część kościoła zajmuje moja rodzina, a którą Aidy – Włosi o smagłej cerze i kręconych włosach kontra Irlandczycy z końskimi ogonami w różnych kolorach: blond, rudym, siwym oraz brązowym.

Drużbami są bracia Aidy, druhnami natomiast moje siostry. Jest ich tyle samo, bo stoją wyłącznie Dante i Nero – w pierwszym

rzędzie na wózku inwalidzkim siedzi Sebastian z wciąż opuchniętym kolanem, owiniętym bandażem skrytym pod spodniami.

Nie wiem, czy naprawdę potrzebny mu wózek, czy to tylko gest mówiący: „pierdolcie się", skierowany w stronę mojej rodziny, ale i tak mam wyrzuty sumienia. Odpycham je na bok, myśląc, że Gallo mają szczęście, że tak łatwo się z tego wywinęli.

Szałwiowozielona sukienka druhny bardzo pasuje do Riony, do Nessy już niekoniecznie – wygląda przez nią na bladą i nieco schorowaną. Nie wygląda jednak, aby jej to przeszkadzało. Uśmiecha się, patrząc w stronę ołtarza. Dante i Riona patrzą na siebie, natomiast Nero z wyraźnym zainteresowaniem obserwuje Nessę, co sprawia, że za jakieś pięć sekund zacisnę palce na jego gardle. Jeśli choć odezwie się do niej słowem, to zdzielę go w tę zakazaną gębę.

Kościół wypełnia ciężki zapach kremowych piwonii. Ksiądz już stoi przy ołtarzu. Czekamy jedynie na Aidę.

Zaczyna grać muzyka i po chwili do ołtarza podchodzi moja narzeczona.

Ma na sobie welon i prostą, koronkową suknię z długim trenem. W swobodnie wiszącej wzdłuż tułowia ręce trzyma bukiet, drugą natomiast przytrzymuje spódnicę sukni. Welon – pod którym może być każdy – przysłania jej twarz i to bardziej niż cokolwiek innego uświadamia mi, że żenię się z nieznajomą.

Zatrzymuje się przede mną, a ja unoszę welon.

Dostrzegam jej gładką, opaloną skórę oraz jasnoszare oczy z gęstymi rzęsami. Muszę przyznać, że wygląda pięknie. Uświadamiam sobie, jakie ma wspaniałe rysy twarzy, gdy nie wykrzywia jej żaden demoniczny grymas.

Jednak to szybko ulega zmianie, bo gdy tylko zauważa mój garnitur, na jej twarzy maluje się złośliwa radość.

– Wyglądasz *niesamowicie* – chichocze cicho.

– Zemszczę się – informuję ją spokojnym głosem.

– To ja się zemściłam na tobie za ten szajs, w który mnie wpakowałeś w spa – syczy na mnie.

Ksiądz odchrząkuje, chcąc rozpocząć nabożeństwo.

– Jak już zostaniesz moją żoną, będę oczekiwał, żebyś cały czas o siebie dbała – informuję ją.

– Oczy… KURWA …wiście – warczy Aida. Robi to na tyle głośno, że ksiądz aż podskakuje.

– Jakiś problem? – pyta, marszcząc brwi.

– Żaden problem. Niech ojciec zaczyna – rozkazuję.

Ksiądz przynudza, wypowiadając słowa przysięgi, natomiast ja i Aida dogryzamy sobie szeptem.

– Jeśli myślisz, że będę dla ciebie jakąś gwiazdą porno… – syczy ona.

– To tylko minimalne wymagania – odszeptuję.

– Taa, z pewnością jest *minimalny*…

Urywamy, zdając sobie sprawę, że ksiądz gapi się na nas.

– Callumie Griffinie i Aido Gallo, czy dobrowolnie i bez żadnego przymusu chcecie zawrzeć związek małżeński? – pyta.

– Tak – odpowiadam ze złością.

– Och, tak – oznajmia Aida głosem, który mój ojciec określiłby mianem „najniższego rodzaju humoru".

– Czy chcecie wytrwać w tym związku w zdrowiu i chorobie, w dobrej i złej doli, aż do końca życia?

– Tak – odpowiadam po chwilowym wahaniu. Reszta życia to cholernie długo. W tej chwili nie chcę sobie tego wyobrażać.

– Tak – mówi Aida. Patrzy na mnie, jakby miała zamiar spróbować skrócić resztę MOJEGO życia tak, aby trwało najkrócej jak to tylko możliwe.

– Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, którym Bóg was obdarzy?

– Tak – odpowiadam.

Zapłodniłbym Aidę tu i teraz tylko dlatego, że to strasznie by ją rozwścieczyło. To byłby jedyny sposób na poskromienie tej dzikiej bestii.

Aida wygląda na tak wkurzoną, że wydaje mi się, że nie odpowie. W końcu cedzi przez sztywne wargi:

– Tak.

– Wypowiedzcie więc słowa przysięgi – poucza kapłan.

Biorę Aidę za ręce i ściskam je tak mocno, jak tylko mogę, próbując sprawić, żeby się wzdrygnęła. Uparcie odwraca twarz, odmawiając przyjęcia do wiadomości faktu, że ściskam jej palce.

– Ja, Callum, biorę ciebie, Aido, za żonę i ślubuję ci: miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy jedyny i wszyscy święci.

Szybko wyrzucam z siebie słowa, które zapamiętałem, jadąc samochodem.

Aida patrzy na mnie uważnie przez moment, a w jej szarych oczach kryje się więcej powagi niż zazwyczaj. A następnie obojętnym tonem powtarza słowa przysięgi.

– Ogłaszam was mężem i żoną – oznajmia ksiądz.

Stało się. Jesteśmy małżeństwem.

Aida składa usta do niewinnego pocałunku.

Chcąc pokazać jej, kto tu rządzi, łapię ją za ramiona i całuję namiętnie, wpychając jej język do ust. Jej usta oraz język smakują słodko. Kwaskowato oraz świeżością. Smakują jak coś, czego nie czułem od bardzo dawna.

Truskawki.

Już czuję, że zaczyna mi drętwieć język. Gardło zaczyna mi puchnąć i ze świstem wypuszczam powietrze z płuc.

Kościół zaczyna wirować kalejdoskopem braw, gdy osuwam się na podłogę.

Jebana SUKA!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– AIDA

Mój mąż spędza noc na izbie przyjęć. Mimo wszystko wydaje mi się, że jego reakcja alergiczna była dość silna. Nie wynagrodzi to tygodni spędzonych przez Sebastiana w szpitalu, ani miesięcy rehabilitacji oraz zmarnowanego sezonu koszykarskiego… no ale to zawsze coś.

To również pozwala mi uniknąć całej tej farsy ze zdjęciami ślubnymi, kolacją, tańcami i pozostałymi pierdołami, w których nie chciałam uczestniczyć. Samo wypowiadanie kłamstw przed obliczem księdza było wystarczająco złe. Nie jestem religijna, jednak to w niczym nie pomogło. Ta obłuda była wisienką na torcie wszystkich ściem.

Mieliśmy z Callumem pojechać do hotelu Four Seasons, aby skonsumować nasz związek małżeński, lecz to kolejna rzecz, do której nie dojdzie. Zamiast tego udaję się do apartamentu dla nowożeńców sama. Na miejscu zdejmuję buty, zsuwam z siebie tę swędzącą, koronkową sukienkę i składam takie zamówienie, że recepcjonistka wydaje się być bardzo zaniepokojona słysząc, że potrzebny mi tylko jeden widelec.

Ogólnie rzecz ujmując, dzisiejsza noc jest wspaniała. Próbuję każdego ciasta z menu i oglądam stare odcinki *Prawa i porządku* oraz *Project Runway*.

Jednak poranek nie jest już taki radosny. Muszę spakować torbę i pojechać do mieszczącej się nad jeziorem posiadłości Griffinów. Bo właśnie tam będę teraz mieszkała. To mój nowy dom.

Gramoląc się do taksówki, czuję gorycz w stosunku do ojca oraz braci. Teraz są w domu, gdzie się urodziłam i mieszkałam na co dzień. Każdego z nich z osobna otacza rodzina, a ja muszę iść prosto do jaskini lwa. Muszę żyć pośród wrogów do końca życia. Będę otoczona ludźmi, którzy mnie nienawidzą i mi nie ufają. Nigdy tak

naprawdę nie będę czuła się swobodnie. Nigdy nie będę naprawdę bezpieczna.

Kiedy podjeżdżam na miejsce, rezydencja Griffinów wygląda na ogromną, a do tego lśni w słońcu. Nie podobają mi się ta perfekcyjnie skoszona trawa oraz błyszczące okna. To, że w ich życiu wszystko musi być takie doskonałe i bezduszne wcale mi się nie podoba. Gdzie są rozłożyste drzewa? Albo krzewy, które człowiek sadzi z miłości do zapachu kwiatów?

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mi powiedziano, że ich ogród jest pełen sztucznych roślin. Wszystko co robią, robią dla zachowania pozorów.

Tak jak stojąca w progu Imogen Griffin chcąca mnie przywitać. Wiem, że liczy się dla niej to, jak zamierzam pomóc w promocji kariery jej syna oraz to, że być może dam jej wnuki. Poza tym ma mnie głęboko w dupie.

I rzeczywiście, gdy tylko wchodzę do domu, maska pozorów znika z jej twarzy.

– Niezły numer wywinęłaś – cedzi przez blade wargi. – Domyślam się, że wiedziałaś o jego uczuleniu.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiadam.

– Nie denerwuj mnie. – Wbija płonący niebieskim ogniem wzrok prosto w moje oczy. – Mogłaś go zabić.

– Słuchaj – mówię. – Nie wiedziałam, że jest uczulony. Nic o nim nie wiem. Jesteśmy sobie obcy, pamiętasz? Może i dzisiaj jesteśmy już małżeństwem, ale czuję to samo, co wczoraj, że ledwo was znam.

– Jest coś, co powinnaś o mnie wiedzieć – oznajmia Imogen głosem ostrzejszym niż ten, który zarezerwowany jest dla pań z Country Club. – Będę ci pomagała i cię ochraniała, póki jesteś częścią tej rodziny. Ale wszyscy tutaj muszą na siebie pracować. Pracujemy razem na rzecz naszego imperium. Jeśli zagrozisz temu, co budujemy lub komuś z rodziny, to jeszcze tej samej nocy położysz się spać i już nigdy się nie obudzisz. Rozumiemy się?

Ha! Oto Imogen Griffin, na którą czekałam. Lwica salonowa o ostrych jak brzytwa kłach.

– Wiem, czym jest rodzinna lojalność – oznajmiam.

Natomiast postrzeganie siebie jako członka rodziny Griffinów, to już zupełnie inna sprawa.

Imogen przygląda mi się jeszcze przez chwilę, po czym kiwa głową i mówi:

– Pokażę ci twój pokój.

Idę za nią na piętro po szerokich, krętych schodach.

Już raz tu byłam. Wiem, co znajduje się po lewej: pokoje dziewczyn i sypialnia należąca do Imogen i Fergusa.

Jednak Imogen skręca w prawo. Mijamy nieprzypominającą już dymiącej ruiny bibliotekę. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie zajrzeć do środka. Wygląda na to, że Imogen zdążyła ją odnowić, wymieniając dywan i przemalowując ściany. Teraz są bladoniebieskie, a zamiast zasłon zauważam żaluzje. Nawet kominek został odrestaurowany, obudowano go białym kamieniem elewacyjnym. Ma nawet szklane drzwiczki, przez które widać palenisko.

– Nie będzie więcej wypadków – oznajmia cierpko.

– Tak jest o wiele bezpieczniej – przytakuję, nie wiedząc, czy mam się śmiać, czy raczej zawstydzić.

Idziemy długim korytarzem do kolejnego prywatnego apartamentu, rozmiarowo przypominającego główną sypialnię. Kiedy Imogen otwiera drzwi, zdaję sobie sprawę, że jesteśmy w pokoju Calluma. Wystrój tego miejsca jest ciemny, typowo męski. Panuje tu porządek, jakiego bym się po nim spodziewała. W powietrzu unoszą się zupełnie męskie zapachy: wody kolońskiej, płynu po goleniu, mydła oraz delikatna woń skórzanego łóżka, na którym dzisiaj nikt nie spał. Ta mieszanka sprawia, że na moich przedramionach pojawia się gęsia skórka.

Liczyłam na to, że Griffinowie dadzą mi własny pokój. Trochę tak jak arystokracja z dawnych czasów, mieszkająca w osobnych apartamentach. Myślałam, że w najgorszym wypadku Callum będzie musiał od czasu do czasu przyjść do mnie w nocy.

Ale najwyraźniej rzeczywiście liczą na to, że będziemy mieszkać w jednym pokoju. I spać obok siebie w tym szerokim, niskim łóżku. Oraz co ranek myć razem zęby w tej samej umywalce.

To takie popieprzone.

Jeszcze nie przeprowadziliśmy z Callumem ani jednej rozmowy, której nie towarzyszyłyby nerwy czy groźby. Jak ja niby mam zamknąć oczy w nocy?

– Jestem pewna, że jest tu wystarczająco dużo miejsca na twoje ubrania – mówi Imogen, spoglądając na moją niewielką walizkę. – Czy twój ojciec przyśle resztę twoich rzeczy?

– Taa – odpowiadam.

Wszystko spakowałam w zaledwie kilka pudeł. Nie mam aż tylu rzeczy. A poza tym nie chciałam tu przywozić niczego osobistego. Moja maleńka sukienka do chrztu, obrączka mojej mamy, stare albumy ze zdjęciami – wszystko to może zostać na strychu w domu ojca. Nie ma sensu tego tu przywozić.

– Kiedy… wróci Callum? – pytam z wahaniem.

– Już jest – odpowiada. – Odpoczywa przy basenie.

– Och. Dobrze.

Kurwa. Liczyłam na to, że minie więcej czasu, zanim go zobaczę.

– Zostawię cię, żebyś mogła się rozgościć – mówi Imogen.

Schowanie przyborów toaletowych i ubrań nie zajmuje mi dużo czasu. Callum starannie uporządkował przestrzeń pod jedną z umywalek oraz pół swojej ogromnej garderoby.

Naprawdę nie musiał opróżniać całej połowy. Moje ubrania wiszące w tej pustej przestrzeni wyglądają absurdalnie samotnie.

Callum wcale nie ma tak dużo ubrań. Ma tuzin identycznych białych koszul, trzy niebieskie. Ma również garnitury w kolorach od grafitowego do czarnego i utrzymane w podobnej kolorystyce codzienne ciuchy. Jego ubrania zawieszono z dokładnością godną robota.

– O mój Boże – szepczę, dotykając rękawa jednego z trzech identycznych, szarych, kaszmirowych swetrów. – Wyszłam za psychopatę.

Po rozpakowaniu się nie pozostaje mi nic innego, jak poszukać Calluma.

Idąc na dół zastanawiam się, czy powinnam przeprosić. Z jednej strony należało mu się. Z drugiej poczułam się trochę winna, kiedy zaczęła mu puchnąć twarz i łapał się za gardło, próbując złapać oddech.

Przez cały ranek jadłam truskawki, myśląc, że dostanie od nich wysypki. Że w ten sposób uda mi się zepsuć kilka durnych zdjęć ślubnych.

Rzeczywisty efekt był o wiele bardziej dramatyczny. Gdyby Imogen Griffin nie miała w torebce Birkin[13] schowanego EpiPena[14], to zamiast żoną byłabym już wdową. Podbiegła do swojego syna i wbiła mu igłę w udo, podczas gdy Fergus dzwonił po karetkę.

Jednak podchodząc do basenu zauważam, że Callum wygląda na zupełnie zdrowego. Wcale nie odpoczywa, tylko pływa. Jego ramiona przecinają taflę wody niczym nóż, iskrzące się kropelki połyskują na jego ciemnych włosach. Ciało ma szczupłe i umięśnione, a kiedy nurkuje, odpycha się od ściany i wystrzeliwuje niczym rakieta do połowy basenu. Dopiero wtedy wypływa na powierzchnię.

Siadam na jednym z leżaków i patrzę, jak pływa.

To naprawdę niesamowite, jak długo potrafi wstrzymać oddech pod wodą. Myślę, że Griffinowie muszą być w części delfinami.

Przyglądam się, jak robi jeszcze z kilkanaście okrążeń, zdając sobie sprawę, ile czasu minęło, gdy Callum nagle zatrzymuje się, opiera ręce o brzeg i strząsa wodę z oczu. Patrzy na mnie z cierpką miną.

– Tu jesteś.

– Ano. Oto jestem. Rozpakowałam się w twoim pokoju.

Nie określam go mianem „naszego” pokoju. Wcale tego nie czuję.

Callum wygląda na równie zirytowanego perspektywą życia blisko siebie.

– Nie musimy tu zostawać na zawsze – oznajmia buńczucznie. – Po wyborach możemy zacząć szukać mieszkania dla siebie. Wtedy, jeśli będziesz chciała, będziemy mieli osobne pokoje.

– Tak byłoby lepiej – przytakuję.

– Skończę – mówi Callum, przygotowując się, aby znowu odepchnąć się od ściany.

– Dobrze.

– Och, ale najpierw coś załatwię.

– Co?

Kiwa głową, żebym podeszła bliżej.

Rozkojarzona myślą, czy powinnam go przeprosić, czy nie, podchodzę do basenu.

Ręka Calluma wystrzeliwuje w górę, a jego palce zaciskają się na moim nadgarstku. Szarpiąc w dół, wciąga mnie do wody i zamyka w żelaznym uścisku ramion.

Jestem tak zaskoczona, że krzycząc wypuszczam powietrze z płuc, zamiast wziąć głęboki wdech. Woda zamyka się nad moją głową. Jest zimniejsza, niż się spodziewałam. Callum mocno zaciska ramiona, przyciskając moje ręce do boków, przez co nie jestem w stanie nimi poruszyć.

Basen jest zbyt głęboki, abym dotknęła stopami dna. Niczym kowadło ciężar ciała Calluma ciągnie mnie w dół. Oplata mnie niczym wąż, przyciskając do siebie.

Próbuję się wiercić i wierzgać, jednak nie mam w co kopać, a moje ramiona są dosłownie przyszpilone do boków. Płuca mi płoną, zaczynają falować, próbując wymusić na mnie wzięcie wdechu, mimo że wiem, że wtedy łyknę chlorowanej wody.

Odruchowo otwieram oczy. Jedyne co widzę, to jasnoturkusowa woda wzburzona przez mój bezskuteczny opór. Callum mnie zabije. Utopi mnie. To będzie ostatnia rzecz, jaką zobaczę – resztki powietrza z moich płuc, które unoszą się ku powierzchni jako chmara srebrnych bąbelków.

Drżę, szarpię się, po czym zaczynam wiotczeć, kiedy przed oczami eksplodują mi czarne mroczki.

I Callum w końcu mnie puszcza.

Błyskawicznie wypływam na powierzchnię i zaczynam dyszeć i kaszleć. Jestem wykończona tą walką. Ciężko jest pływać w miejscu, kiedy przemoczone jeansy oraz koszulka ciągną mnie w dół.

Callum wynurza się obok i jest poza zasięgiem ramion, którymi wymachuję.

– Ty… ty ZJEBIE! – krzyczę, próbując go zdzielić.

– Jak ci się podobała niemoc złapania oddechu? – pyta, gapiąc się na mnie.

– Zbiorę wszystkie jebane truskawki z całego stanu i cię nimi nakarmię! – wrzeszczę na niego, krztusząc się wodą z basenu.

– Taaa, próbuj. A następnym razem przed wrzuceniem cię do basenu przywiążę ci do nóg pierdolony fortepian.

Zanim udaje mi się dopłynąć do brzegu, on już jest po drugiej stronie basenu i z niego wychodzi.

Czekam, aż odejdzie i dopiero wtedy gramolę się na brzeg. Ociekam wodą i cała drżę.

I pomyśleć, że chciałam go przeprosić.

No cóż, dostałam nauczkę, ale Callum nawet nie wie, z kim igra.

Myślał, że wcześniej narozrabiałam w jego domu? No cóż, teraz w nim mieszkam. Tak jak on będę wszystko widziała i słyszała. I wykorzystam to, czego się dowiem, aby go zniszczyć.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– CALLUM

Stąpając ciężko, wpadam do domu. Moje ciało aż się trzęsie z wściekłości.

Ta pieprzona dziewczyna ma tupet, że zjawia się tutaj z walizką, zupełnie jakby nie próbowała mnie zabić. Zupełnie jakbym nie spędził nocy poślubnej w szpitalu z pierdoloną rurką wepchniętą do gardła.

Upokorzyła mnie na oczach wszystkich – najpierw garniturem, a potem tym, że wyglądałem na słabego, kruchego i zupełnie żałosnego.

Ta alergia to najbardziej żenująca rzecz we mnie. Czuję się przez nią jak mały dzieciak z okularami jak denka butelek coli i smarkami cieknącymi z nosa. Nienawidzę tego, że to takie irracjonalne. Nienawidzę tego, że nie mogę tego kontrolować. Nienawidzę tego, że mam taką idiotyczną słabość.

Nie wiem, jak się o tym dowiedziała, ale sam fakt, że to odkryła i wykorzystała przeciwko mnie, doprowadza mnie do wściekłości.

Więc żeby posmakowała własnego lekarstwa, wciągnąłem ją pod wodę. Żeby zobaczyć, jak się jej spodoba łapanie za gardło i bezradność wobec konieczności oddychania.

Poczułem się lepiej. Przez chwilę.

Jednak poczułem coś jeszcze.

Poczułem dotyk jej wijącego się i wierzgającego ciała.

To nie powinno być seksowne. A tymczasem moje serce bije więcej niż tylko z jednego powodu…

– Cal! – woła ojciec, kiedy mijam drzwi prowadzące do kuchni.

– Co?

Zaglądam do kuchni i zauważam go siedzącego przy blacie i pałaszującego jedno z dań, które szef kuchni zostawił w lodówce.

– Gdzie jest Aida? – pyta.

– Przy basenie – odpowiadam, krzyżując ramiona na nagiej piersi. Nie kłopotałem się zabraniem ręcznika, więc spływająca po mnie woda kapie na kafelki.

– Powinieneś ją gdzieś zabrać wieczorem. Na jakąś fajną kolację. Może na jakieś przedstawienie.

– Po co?

– Przez twój wczorajszy… wypadek, nie skorzystaliście z apartamentu dla nowożeńców.

– Jestem tego świadom – oznajmiam, starając się nie dopuścić do głosu sarkazmu.

– Trzeba, że się tak wyrażę, przypieczętować umowę. Rozumiesz, małżeństwo jest niedopełnione, jeśli nie zostanie skonsumowane.

– Chcesz, żebym ją dzisiaj zerżnął. O to ci chodzi?

Ojciec odkłada widelec obok talerza i wbija we mnie lodowaty wzrok.

– Nie musisz być taki wulgarny.

– Nazywajmy rzeczy po imieniu. Chcesz, żebym ją przeleciał, mimo że się nienawidzimy i że próbowała mnie zabić, bo nie chcesz, żeby ten twój cenny sojusz się rozpadł.

– Dokładnie – oznajmia, podnosząc widelec, żeby nabić na niego winogrono z sałatki Waldorf. – I nie zapominaj, że to nie jest *mój* sojusz. To ty na nim najbardziej skorzystasz.

– Jasne – mówię cierpko. – Jak na razie to kupa radości.

Wchodzę na górę, zdejmuję kąpielówki i odkręcam wodę tak gorącą, jak tylko jestem w stanie wytrzymać. Długo się namydlam, myję włosy i pozwalam, aby ciepłe strumienie spływały mi po ramionach.

Zdaję sobie sprawę, że pod każdym względem powinienem „uczynić z Aidy moją żonę", lecz wątpię, czy będzie miała na to ochotę po tym, jak prawie ją utopiłem. Nigdy nie słynąłem z wielkich, romantycznych gestów, ale nawet przy najbardziej elastycznej interpretacji nie wydaje mi się, aby podtapianie można było uznać za grę wstępną.

Właściwie to wątpię, żeby zgodziła się pójść ze mną nawet na kolację. Co nie jest takie złe. Bo Aida prawdopodobnie je rękoma.

Tylko narobiłaby mi wstydu, gdybym zabrał ją do jakiegoś przytulnego lokalu.

Nawet słysząc, jak wchodzi do pokoju, nie ruszam się z miejsca, rozkoszując się gorącym prysznicem. Jeśli o mnie chodzi, to może tam sobie stać i się telepać.

Słyszę ją, jak się kręci obok, jednak nie widzę, co robi, bo stoję pod prysznicem tak długo, że kabina kompletnie zaparowała.

Jestem więc zaskoczony, gdy zupełnie naga wchodzi do środka.

– Ej! – mówię. – Co ty odpierdalasz?

– Najwyraźniej biorę prysznic – odpowiada. – Jakiś dupek wciągnął mnie do basenu.

– Ale ja tu jestem – uświadamiam jej oczywistą kwestię.

– Poważnie? – pyta i patrzy na mnie niewzruszona. – Dziękuję, że mnie o tym poinformowałeś. Ta twoja przenikliwa spostrzegawczość i umiejętność pozyskiwania informacji z pewnością pomogą ci zasiąść w fotelu radnego.

– Sarkazm to najniższy rodzaj humoru – mówię, naśladując najbardziej nieznośny ton głosu mojego ojca.

– Branie od ciebie lekcji humoru byłoby jak pytanie psa o to, jak wyciąć wyrostek robaczkowy – odpowiada.

Rozpychając się łokciem przechodzi obok mnie, żeby zabrać szampon.

Jej nagie ramię muska mój brzuch i nagle zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę to nigdy wcześniej nie widzieliśmy się nago.

Przyzwyczaiłem się do szczupłych kobiet, które torturują swoje ciała na wszelkie możliwe sposoby – dietą, tabletkami, pilatesem a nawet zabiegami chirurgicznymi. Aida oczywiście nie zawraca sobie głowy którymkolwiek z tych rozwiązań. Z tego, co widziałem, to je i pije co chce i prawdopodobnie od wieków nie widziała butów do biegania. W wyniku czego jest krągła, ma miękki brzuch i duży tyłek.

No ale muszę przyznać… że jej figura jest całkiem pociągająca. Pewnie nie chciałaby tego słyszeć, ale wygląda jak klasyczna seksbomba – mógłbym na nią zarzucić futrzane bikini i byłaby jak Raquel Welch w *Milionie lat przed naszą erą*.

Ciekawi mnie, jakby to było złapać ją za to miękkie ciałko… patrzeć, jak mnie ujeżdża. Dobrać się do niej i sponiewierać ją bez

obaw, że pęknie jak ludzik z zapałek.

Jej gładka, brązowa skóra wygląda jeszcze lepiej, gdy jest bardziej odsłonięta. Różowieje, szczególnie na piersi, od gorąca panującego w kabinie. Staram się nie patrzeć na jej pełne, okrągłe piersi, jednak spływające między nie mydliny są tak rozpraszające…

Płynąca po jej ciele ciepła woda kieruje się ku trójkątnej przestrzeni między jej nogami, gdzie dostrzegam świeżo wydepilowaną cipkę. Jest zupełnie łysa i bardziej miękka od aksamitu. Sam fakt, że została specjalnie dla mnie wydepilowana zgodnie z moimi wytycznymi, jest niesamowicie erotyczny.

Aida jest taka gniewna i nieokiełznana. Zmuszenie jej do zrobienia czegokolwiek stanowi nie lada wyzwanie. Zależy jej na tym, by mnie rozzłościć, zrobić coś na przekór tego, co powiem.

Im bardziej się buntuje, tym bardziej chcę ją kontrolować. Chcę ją nagiąć do swojej woli. Chcę, żeby dla mojej przyjemności robiła wszystko, co jej każę…

Mój kutas zaczyna robić się nabrzmiały i ciążyć mi między nogami. Widzę, jak mimowolnie zerkająca w dół Aida trzepocze rzęsami.

Szybko odwraca wzrok i spłukuje szampon z włosów. Jednak chwilę później znowu omiata wzrokiem moje ciało.

Jestem świadom tego, że jestem w dobrej formie. Każdego ranka odbywam godzinny, intensywny trening siłowy, a następnie robię półgodzinne kardio. Szef kuchni przygotowuje mi makroskładnikowe posiłki, dzięki czemu dostarczam swojemu ciału idealnie wyliczone porcje białka, węglowodanów oraz tłuszczów. I wszystko to przyczyniło się do tego, że mam umięśnione ciało z niezłym sześciopakiem.

Wzrok Aidy zatrzymuje się na moim brzuchu, a członek wciąż nabrzmiewa pod jej spojrzeniem. Teraz już odstaje od ciała.

– Zobaczyłaś coś ciekawego? – pytam.

– Nie – odpowiada, uparta jak zwykle.

– Ty pieprzona kłamczucho.

Podchodzę bliżej, pocierając sterczącym kutasem o jej nagie biodro. Wsuwam udo między jej śliskie od mydła nogi. Jedną ręką

przeczesuję jej gęste, ciemne włosy i owijam je wokół palców, po czym odciągam do tyłu jej głowę tak, aby musiała na mnie spojrzeć.

– Spierdoliłaś naszą noc poślubną – informuję ją. – Wiesz, że nie zostaniemy małżeństwem, jeśli się ze sobą nie prześpimy.

– Mam tego świadomość – odpowiada.

– Chyba nie jadłaś niczego trującego, co?

Zanim udziela odpowiedzi, przyciskam mocno wargi do jej ust.

Gdy ją całowałem w kościele, zrobiłem to tylko po to, aby zakończyć tę durną ceremonię. Teraz ją całuję, bo znowu chcę poczuć smak jej ust. Chcę przycisnąć swoje ciało do jej i błądzić dłońmi po tej jedwabistej, opalonej skórze.

Jest niezwykle miękka. Nie wiem, jak ktoś mający osobowość kaktusa może mieć najdelikatniejsze usta, ramiona i piersi, jakich kiedykolwiek dotknąłem. Chcę przesunąć dłońmi po każdym centymetrze kwadratowym jej ciała.

Początkowo jest sztywna i niewzruszona, nie chce zareagować na moją osobę. Jednak kiedy pocieram udem o jej łysą cipeczkę i obejmuję dłońmi piersi, Aida sapie i rozchyla usta, pozwalając mi na wsunięcie języka do środka.

Teraz napiera na mnie, ocierając cipką o moją nogę. Odwzajemnia pocałunek, jest tak głęboki, że czuję na jej ustach smak chloru.

Kieruję dłoń w dół jej brzucha, aż ku łysej cipce. Pocieram palcami po idealnie gładkich wargach, rozkoszując się nagością i tym, jak bardzo jest widoczna. Następnie rozchylam je palcami i odnajduję niewielki guziczek nabrzmiałej od gorąca łechtaczki. Wodzę dookoła niego środkowym palcem, po czym wsuwam go niżej, chcąc sprawdzić, jak bardzo jest mokra, by po chwili wrócić do tego najwrażliwszego punktu.

Aida wzdycha, kiedy ją tam dotykam. Zaciska uda. Pociera i napiera cipką na moją dłoń.

Wsuwam w nią palec, sprawiając, że z jej gardła wyrywa się jęk. Jęczy prosto w moje usta. To głęboki odgłos bezradności.

Wiedziałem. Jest z niej napalona, mała zdzira. Tak jak ja lubi seks.

To świetnie. Bo jeśli tego chce, jeśli tego potrzebuje, to będzie musiała do mnie przyjść. A to kolejny sposób, abym mógł ją kontrolować.

Masuję ją i robię jej palcówkę, aż czuję, że jej nogi zaczynają się trząść. Jej oddech przyspiesza, a uda mocniej się zaciskają, gdy zbliża się do orgazmu.

A kiedy znajduje się tuż nad przepaścią rozkoszy, przestaję ją dotykać i zabieram rękę.

– Nie przestawaj! – sapie. Otwiera oczy i gapi się na mnie.

– Musisz zrobić mi laskę, jeśli chcesz dojść – żądam.

Patrzy na kutasa.

– Ni chuja – odpowiada. – Zrobię to sama.

Opiera się o ścianę prysznica i wsuwa dłoń między uda. Cicho wypuszcza powietrze z ust, gdy jej palce wślizgują się pomiędzy wargi cipki. Łapię ją za nadgarstek i odsuwam jej rękę.

– Ej! – krzyczy, ponownie otwierając oczy.

– Ssij, albo nie pozwolę ci dojść – oznajmiam.

Patrzy na mnie, a jej policzki są zaróżowione od ciepła oraz tego, że odmawiam jej orgazmu. Wiem, że w środku aż się gotuje, szaleje niczym trąba powietrzna. Jestem przekonany, że ją to dręczy, wywołuje ból oraz drżenie, dzięki czemu będzie dość wystarczająco zdesperowana, aby zrobić to, czego od niej żądam.

Kładę jej dłoń na ramieniu i napieram, aby wylądowała na kolanach.

Niechętnie obejmuje mojego kutasa u podstawy.

Rozchyla usta i dostrzegam błysk jej zębów. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie popełniam straszliwego błędu. Naprawdę nie chciałbym stracić kutasa z powodu gniewu mojej świeżo upieczonej żony.

A potem jej ciepłe, mokre usta zaciskają się na kutasie, a mój mózg dostaje krótkiego spięcia. Gdybym wcześniej uważał, że jej usta są miękkie, to nie miałem pojęcia, jak bolesne może być poczucie ich na wrażliwej główce penisa. Przesuwają się, całkowicie mnie otulając. Delikatnie przeciąga językiem po spodzie mojego przyrodzenia, liżąc je i ssąc.

Kuuuurwa mać, dobra jest. Nic dziwnego, że Oliver Castle miał obsesję na jej punkcie. Jeśli chociaż raz mu tak obciągnęła, to jestem sobie w stanie wyobrazić, jak leci za nią na drugi koniec planety, aby raz jeszcze tego doświadczyć.

Przesuwa dłonią po trzonie penisa, jej usta i palce pracują jednocześnie. Drugą ręką sięga pod moje przyrodzenie, aby delikatnie kołysać moje jądra i głaskać mosznę.

Wszystkie te doznania razem sprawiają, że momentalnie zmierzam ku orgazmowi…

A ona uwalnia mojego kutasa i wstaje.

– Więcej nie dostaniesz – oznajmia.

Boże, jej upór mnie irytuje. Jeśli powiedziałbym, że trawa jest zielona, to żeby zrobić mi na złość oznajmiłaby, że jest fioletowa. Naprawdę powinienem skorzystać z okazji i dać jej nauczkę.

Lecz w tej chwili oboje chcemy tego samego. To rzadki przypadek, kiedy nasze odruchy się dopasowują. I chcemy tego tak bardzo, że pożądanie wygrywa nad złością.

Aida obejmuje mnie ramieniem za szyję, łapiąc równowagę, kiedy nakierowuje główkę penisa na swoje wejście. Potem obejmuje mnie nogami w pasie, a kutas wsuwa się w nią.

Łapię ją obiema rękami za tyłek, wbijając palce w jej pośladki. Unoszę ją, gdy zaczyna mnie ujeżdżać, a jej śliskie od mydła ciało ociera się o moją pierś.

Jest tak gorąca jak prysznic, natomiast jej cipka jest jeszcze gorętsza. Zaciska się na moim penisie przy każdym pchnięciu.

Myliłem się, przypuszczając, że Aida nie jest wysportowana. Ujeżdża mnie z energią i entuzjazmem godnym seksualnej olimpijki. Przywykłem, że dziewczyny przybierają najwygodniejsze dla siebie pozy, a potem kładą się na plecach, aby je pieprzyć. Nigdy nie byłem z kimś tak… chętnym.

Znajdując się na skraju orgazmu, zaczyna ujeżdżać jeszcze bardziej. Jej cipka jest dla kutasa niczym imadło. Raz za razem przesuwa się po mnie, a intensywność tych uderzeń oraz ciepło prysznica przyprawiają mnie o zawroty głowy.

Ale się nie poddam, nie ma, kurwa, mowy. Przyciskam ją do szklanej ściany i zaczynam pieprzyć jeszcze mocniej. Jestem zdeterminowany, aby jej udowodnić, że mogę jej odwzajemnić się tym samym, lecz ze zdwojoną mocą.

Czuję przypływ triumfu, kiedy zaczyna drżeć z rozkoszy.

– O mój Boże… o mój Boże.. och… Cal…

Wyciskam z niej orgazm, który trwa i trwa, rozciągając się w czasie wraz z każdym ruchem mojego penisa. Patrzenie, jak buntownicza mina znika z jej twarzy oraz jak oddaje się przepływającej przez jej ciało rozkoszy, jest takie kurewsko seksowne.

Ja jej to robię. To ja sprawiam, że to czuje. Nieważne, czy mnie nienawidzi, czy nie, nieważne czy chciałaby, żeby to był każdy tylko nie ja, nie jest w stanie się temu oprzeć. Uwielbia to, w jaki sposób ją pieprzę.

Z tą myślą eksploduję wewnątrz niej.

I chodzi mi o to, że dosłownie eksploduję. Orgazm ma siłę bomby atomowej, która uderza z zaskoczenia. Jądra to strefa zero, natomiast fala uderzeniowa przenika przez każdy neuron mojego ciała, aż do czubków palców u rąk i nóg. Na skutek tych doznań mój mózg nie jest w stanie przesłać żadnego innego sygnału. Moje ciało wiotczeje i muszę odstawić Aidę, żeby jej nie upuścić.

Upadam na przeciwległą ścianę kabiny. Oboje dyszymy i jesteśmy zarumienieni.

Aida nie chce spojrzeć mi w oczy.

Po raz pierwszy nie jest w stanie na mnie spojrzeć. Nieważne, jak bardzo próbowałem zmusić ją do odwrócenia wzroku, zawsze udawało się jej sprostać wyzwaniu.

Lecz w tej chwili powoli się opłukuje, udając, że jest totalnie pochłonięta myciem.

Cal, tak mnie nazwała. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Nie licząc tego, jak naśmiewała się ze mnie na przyjęciu zaręczynowym.

– A więc stało się – oznajmiam. – To już.

– Owszem – odpowiada, cały czas na mnie nie patrząc.

Podoba mi się to jej zażenowanie. Podoba mi się, że znalazłem lukę w jej zbroi.

– Dobrze wiedzieć, że podczas seksu nie jesteś tak bardzo okropna – mówię chamsko.

Teraz patrzy na mnie, a jej oczy na powrót są jasne i dzikie.

– Chciałabym móc odwzajemnić ten komplement – odpowiada.

Uśmiecham się.

Aida, ty mała kłamczucho. Rób tak dalej, a wyczyszczę ci usta mydłem. A może nawet czymś innym…

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– AIDA

Życie z Griffinami jest, delikatnie mówiąc, dziwne.

Jedyna osoba, która zdaje się cieszyć moją obecnością, to Nessa. W szkole nie byłyśmy przyjaciółkami, ale jako koleżanki łączyła nas serdeczność. Mamy kilkoro wspólnych znajomych, więc teraz możemy porozmawiać o wszystkich dziwacznych rzeczach, które odwalali od czasu ukończenia szkoły.

Myślę, że Nessa lubi mnie mieć obok, bo jestem jedyną osobą, która nie zachowuje się jak jakiś bot. Zamiast pracować i jeść w ciszy śniadanie, jestem chętna do rozmowy. Poza tym obie chodzimy na zajęcia do Loyola, więc możemy tam jeździć razem jej jeepem.

Nessa jest naprawdę miła, a to zjawisko nieczęsto spotykane w dzisiejszych czasach. Sporo osób zachowuje się poprawnie, lecz to jedynie kwestia manier. Nessa każdego dnia rozdaje swoje kieszonkowe bezdomnym. Nigdy nie wciska nikomu kitu, nawet ludziom, którzy na to zasługują, na przykład rodzinie i tym najnudniejszym znajomym. Słucha, kiedy inni mówią, i mam na myśli to, że naprawdę ich słucha. Bardziej interesuje się drugą osobą, niż sobą.

Nie wiem, jakim cudem tej bandzie socjopatów udało się wychować taką dziewczynę. Właściwie to trochę głupie, bowiem Griffinowie uważają jej dobroć jako wadę, jak jakieś łagodne upośledzenie. Żartują z jej delikatności i niewinności.

Wiem, że Callumowi zależy na niej, ale traktuje ją jak zwierzątko domowe, a nie kogoś równego sobie.

Nessa wita mnie z otwartymi ramionami, ciesząc się, że ma jeszcze jedną siostrę. Zwłaszcza taką, która jest nieco mniejszym dupkiem niż Riona.

Nie wiem, jak to jest mieć siostrę. Wiem tylko tyle, co widziałam w filmach: to, że siostry czeszą sobie włosy, kradną ubrania, czasami się nienawidzą, a czasami wypłakują się sobie nawzajem. Nie wiem, czy zrobiłabym którąkolwiek z tych rzeczy, nie czując się przy tym idiotycznie.

Ale jestem wdzięczna, że mam w niej kogoś na kształt przyjaciółki. Jej osobowość kryje spokój, który pomaga mi nieco wygładzić niektóre z moich chropowatych krawędzi.

Tak naprawdę spędzam z nią więcej czasu, niż z moim świeżo upieczonym mężem. Przed wyborami Callum szalenie dużo pracuje, a kiedy wraca, ja już śpię w naszym wspólnym łóżku.

Może jest to celowe. Nie bzykaliśmy się od czasu „skonsumowania" naszego małżeństwa.

To mnie zaskoczyło. Weszłam pod prysznic, bo zmarzłam i byłam zmęczona czekaniem, chciałam tu też pokazać, że nie może mnie zastraszyć tym, że mnie prawie utopił, a już na pewno nie odrobiną nagości.

Nie spodziewałam się, że mnie pocałuje. I zdecydowanie nie spodziewałam się, że będzie mnie w ten sposób dotykać…

I tu jest problem. Lubię seks. I to bardzo. Jestem przyzwyczajona, że często go uprawiam. Więc jeśli nie chcę zdradzać męża, co z pewnych powodów jest naprawdę kiepskim pomysłem, to mogę spełnić swoje zachcianki tylko w jednym miejscu.

I nie jest tak, że będę musiała zacisnąć zęby i to wytrzymać. Callum jest seksowny. Jest zimny, arogancki i ma obsesję na punkcie kontroli – w tym tygodniu naskoczył na mnie z pięć razy za to, że zostawiam ubrania na podłodze, podczas mycia zębów brudzę lustro pastą i nie ścielę łóżka, kiedy wstaję godzinę po nim. Lecz żadna z tych rzeczy nie zmienia faktu, że ten facet to genetyczny cud. Jego twarz, ciało, no i ten kutas… ciężko jest nie patrzeć na którąkolwiek z tych rzeczy.

No i również coś tam potrafi. Nie pieprzy jak jakiś robot. Umie być delikatny, ale również i ostry, a przede wszystkim jest niezwykle spostrzegawczy. Czyta ze mnie jak z otwartej książki. Nie miałabym nic przeciwko temu, aby trochę bardziej zagłębić się w temat małżeńskiego seksu. Ale jest zbyt zajęty – albo mnie unika.

Oczywiście, gdy potrzebuje w końcu mojej pomocy, prosi o nią w najokropniejszy sposób… nie prosząc wcale, a wydając polecenie.

Nachodzi mnie w kuchni, gdzie staram się opiec bajgla. Toster Griffinów ciągle się otwiera, bo najprawdopodobniej, skoro tylko ja wiem o węglowodanach, nie był używany gdzieś od dziesięciu lat.

– Wieczorem organizuję bankiet – oznajmia Callum. – Bądź gotowa na siódmą.

– Przykro mi – odpowiadam, blokując dźwignię tostera i przytrzymując ją na miejscu. – Mam już plany.

– Co będziesz robiła?

– Maraton *Władcy Pierścieni*. Wszystkie trzy części w wersji rozszerzonej. Skończę oglądać gdzieś w okolicach jutrzejszego południa.

Toster wydaje z siebie wściekłe kliknięcie, jednak przytrzymuję dźwignię w miejscu, bo jestem zdeterminowana, aby przypiec swojego bajgla. Nawet jeśli to doprowadzi do eksplozji tego ustrojstwa.

– Bardzo śmieszne – mówi Callum, patrząc na mnie zmrużonymi bladoniebieskimi oczami. – Siódma, tylko się nie spóźnij. Oczekuję, że będziesz miała odpowiednią fryzurę oraz makijaż. Sukienkę już ci położyłem na łóżku.

Pozwalam bajglowi wyskoczyć dopiero po tym, jak się ładnie przyrumieni. Zaczynam rozsmarowywać grubą warstwę kremowego serka, który robi się jeszcze jaśniejszy, kiedy zauważam zdradzającą obrzydzenie minę Calluma.

– Przygotowałeś również moje kwestie? – pytam. – Może po prostu powieś mi na szyi plakietkę z czymkolwiek, co chcesz, żebym powiedziała.

Odgryzam spory kawałek bajgla, ciesząc się z niego jeszcze bardziej, bo Callum prawdopodobnie od lat nie pozwala sobie na zjedzenie czegoś takiego.

– Na początek możesz powstrzymać się od rzucania przekleństwami co trzecie słowo – oznajmia, a jego palce drżą. Jestem przekonana, że chce mi wyrwać kęs z ust. Powstrzymuje się, bo nie chce robić sobie ze mnie wroga przed bankietem.

– Cholernie się postaram, kochanie – mówię z ustami wypchanymi bajglem.

Callum patrzy na mnie, po czym odchodzi, pozostawiając mnie w kuchni samą. No cóż, nie tak do końca samą – wciąż towarzyszy mi mnóstwo przekąsek.

Przygotowuję miskę popcornu, żebym mogła przynajmniej zacząć oglądać *Drużynę pierścienia*.

Idąc w stronę sali kinowej, zauważam Rionę, która niesie stos teczek. Wygląda na zdenerwowaną i zestresowaną, zresztą jak zwykle. Nie rozumiem, dlaczego ciągle się zaharowuje, próbując im zaimponować – to dość oczywiste, że jej rodzice postrzegają Calluma jako gwiazdę rodziny, a ją w najlepszym wypadku jako postać drugoplanową. A im bardziej ją odpychają, ona tym mocniej walczy o to, żeby ją zauważyli. Wkurza mnie przyglądanie się temu.

Nie to, żebym miała w sobie dużo współczucia. Riona w szkole była pierwszoklasową suką. Królową wrednych dziewuch. Tylko dlatego od niej nie oberwałam, bo byłam młodsza i mnie nie zauważała.

Dokładnie tak się zachowuje, mieszkając ze mną pod jednym dachem. Dlatego też nie mogę się powstrzymać, aby od czasu do czasu się z niej ponabijać.

– Chcesz do mnie dołączyć? – pytam, unosząc miskę z popcornem. – Będę oglądała *Władcę Pierścieni*. Widziałaś? Są tam postacie, z którymi według mnie mogłabyś się utożsamić.

W szczególności te jedzące ludzkie mięso i rodzące się w błocie.

Zirytowana faktem, że się w ogóle do niej odzywam, wydaje z siebie dramatyczne westchnienie.

– Nie, nie chcę – odpowiada. – Nie jestem pierdolonym dzieciakiem, aby oglądać film o piętnastej. Mam pracę do ogarnięcia.

– Jasne – mówię, kiwając głową. – Zapomniałam, że jesteś sekretarką całej rodziny. To naprawdę poważna robota.

– Jestem prawniczką – oznajmia Riona lodowatym głosem.

– O! – Krzywię się sztucznie. – Przepraszam. Nie martw się, nikomu o tym nie powiem.

Riona opiera ciężkie teczki o biodro, przechylając na bok głowę i omiata mnie od stóp do głów tym swoim opatentowanym

spojrzeniem złośliwej dziewuchy.

– Tak jest – mówi cicho. – Wszystko dla ciebie jest żartem. Wymieniają cię jak jakąś kartę baseballową i to cię nawet nie obchodzi, prawda? Nie obchodzi cię to, że twoja rodzina cię porzuciła, że cię nam sprzedali.

To sprawia, że mój żołądek zaciska się w supeł, jednak nie zamierzam pozwolić, by Riona to dostrzegła. Zmuszam się do uśmiechu, a nawet wrzucam sobie popcorn do ust. Jest suchy jak tektura dla mojego języka.

– Przynajmniej jestem jak Toppsowy Mickey Mantle – oznajmiam. – Wątpię, żebyś była jak Jose Canseco z roku 1986[15].

Riona gapi się na mnie, kręcąc głową.

– Jesteś cholernie dziwna.

Ech… to chyba prawda.

Przepychając się obok mnie, pospiesznie rusza korytarzem.

Wchodzę do sali kinowej i zajmuję ulubione miejsce w środkowym rzędzie.

Riona to zołza. Jej zdanie znaczy dla mnie mniej niż nic.

A mimo to nie daje mi spokoju. Nie mogę nawet skupić się na melodyjnym głosie Sir Iana McKellena, mojego ulubionego, starszawego obiektu westchnień.

Prawda jest taka, że czuję się opuszczona. Tęsknię za ojcem. Tęsknię za braćmi. Tęsknię za swoim domem: starym, odrapanym i wypełnionym zabytkowymi meblami. Wiedziałam wszystko o tym miejscu. Było tam bezpiecznie i wygodnie, a każda powierzchnia wiązała się z jakimiś wspomnieniami.

Wcinam popcorn, w ogóle nie czując jego smaku, aż w końcu udaje mi się zatracić w fantastycznym świecie elfów, krasnoludów i poczciwych Hobbitów.

Około wpół do siódmej myślę, że powinnam zacząć się przygotowywać. Wyłączam film i ruszam na górę, chcąc zobaczyć, co za potworność Callum naszykował dla mnie na łóżku.

I rzeczywiście, kiedy rozpinam worek na ubrania, zauważam obcisłą sukienkę ze srebrnymi cekinami, która wygląda na sztywną, skromną i kurewsko okropną. Patrząc na nią marszczę nos, a do

pokoju wchodzi Callum. Już ma na sobie nieskazitelnie czysty smoking, a jego zaczesane do tyłu ciemne włosy są wciąż wilgotne.

– Dlaczego nie jesteś ubrana? – pyta ze złością. – Powinniśmy jechać za dwadzieścia pięć minut. Jezu Chryste, nawet się jeszcze nie uczesałaś!

– Nie założę tego – oznajmiam stanowczym tonem.

– Owszem, założysz. – Rzuca mi groźne spojrzenie. – Zakładaj. Natychmiast.

– Wziąłeś to z garderoby Imogen?

– Nie – warczy. – Kupiłem to specjalnie dla ciebie.

– To dobrze. Możesz ją zwrócić – podsumowuję.

– Dopiero po tym, jak ją dzisiaj założysz.

– Nie ma opcji – mówię, potrząsając głową.

– Właź pod prysznic – warczy. – Spóźnimy się.

Ruszam w stronę prysznica, specjalnie wolno stawiając kroki, żeby go zdenerwować. Nie potrzebuję więcej niż pół godziny, aby się przygotować. Nie jestem pierdoloną królową piękności.

A mimo to kusi mnie, żeby przez całą wieczność stać pod ciepłym strumieniem tylko po to, żeby Callum się pieklił. Z pewnością nie założę tej sukienki – mogę założyć tę żółtą, którą miałam na sobie na przyjęciu zaręczynowym. Chociaż pewnie dostanie zawału na myśl, że ktoś może dwa razy założyć to samo.

Wychodząc spod prysznica zauważam, że Callum zabrał z podłogi wygniecioną stertę moich ubrań. Miło.

Owijam się dużym, puszystym ręcznikiem – możecie mówić o Griffinach, co chcecie, ale przynajmniej mają wyśmienity gust, jeśli chodzi o dodatki – a potem idę w stronę garderoby znaleźć swoją sukienkę.

Zamiast tego widzę, że cała moja część garderoby została całkiem opróżniona. Puste wieszaki wiszą dziwnie przechylone – niektóre z nich jeszcze się kołyszą po dzikim ogołacaniu ich z ubrań.

Otwieram szuflady – również są puste. Callum zabrał najdrobniejszy element mojej garderoby, nawet bieliznę.

A kiedy się odwracam, widzę, że szeroka postać Griffina wypełnia drzwi. Stoi ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i uśmiechem przyklejonym do przystojnej twarzy.

– Wygląda na to, że sukienka albo nic – oznajmia.

– W takim razie wybieram nic – odpowiadam i upuszczam ręcznik, który ląduje w kałuży u moich stóp, po czym zakładam ręce na piersi, naśladując go.

– Zrozum – mówi cicho. – Pójdziesz ze mną na kolację, nawet jeśli będę musiał przerzucić cię sobie przez ramię i zanieść tam jak jakiś jaskiniowiec. A kiedy będę to robić, możesz mieć na sobie sukienkę, albo klnę się na Boga, Aido, że zaciągnę cię tam nagą i każę usiąść na swoim miejscu przy tych wszystkich ludziach. Kurwa, nie prowokuj mnie.

– To wprawi cię w zakłopotanie bardziej niż mnie – warczę, ale czuję, jak rumieniec rozlewa się po moich policzkach. W oczach Calluma dostrzegam większą dzikość niż zazwyczaj. I w zasadzie myślę, że mówi poważnie. Dlatego jest zdeterminowany, aby zmusić mnie do założenia tej głupiej sukienki.

Mijają kolejne sekundy, które sprawiają, że spóźnimy się na bankiet, lecz Callum nie odchodzi od drzwi. Ta brzydka cekinowa sukienka to dla niego coś, za co warto umrzeć.

– W porządku! – warczę w końcu. – Założę tę głupią sukienkę.

Głupi uśmieszek, który pojawił się na jego twarzy, sprawia, że natychmiast chcę się z tego wycofać. Skoro muszę iść na kolację w tej kiepskiej sukience, to on może tam iść ze ślicznym, pieprzonym limem.

Jestem tak zła, że aż mną telepie. Zakładam tę sztywną, gryzącą sukienkę i stoję w bezruchu, kiedy Callum zapina zamek na moich plecach. Czuję się, jakby sznurował gorset. Muszę wciągnąć brzuch, jednak po zapięciu zamka nie mogę go już wypuścić. I trochę żałuję, że zjadłam ten popcorn.

– Gdzie schowałeś moją bieliznę? – pytam.

Czuję, jak palce Calluma zamierają na górnej części suwaka.

– Nie potrzebujesz bielizny – odpowiada.

A to skurwiel jeden. To go podnieca! Wiedziałam!

I rzeczywiście, gdy się odwracam, na jego twarzy maluje się głód, zupełnie jakby chciał zerwać ze mnie sukienkę. Lecz tego nie zrobi. Będzie delektować się patrzeniem, jak chodzę w niej przez całą noc.

Wiedząc, że mnie do tego zmusił. Wiedząc, że nie mam pod spodem majtek.

Jestem tak bardzo wściekła, że mogłabym wrzeszczeć. Zwłaszcza kiedy podnosi buty, które chce, żebym założyła.

– Jak w ogóle mam je założyć?! – krzyczę. – Nie mogę usiąść w tym pierdolonym kaftanie bezpieczeństwa!

Callum przewraca oczami.

A potem robi coś, co mnie zaskakuje.

Klęka przede mną na jedno kolano i kładzie moją dłoń na swoim ramieniu, abym zachowała równowagę. Podnosi moją stopę i wsuwa na nią szpilkę, zupełnie jakby był księciem z bajki, a ja Kopciuszkiem. Kiedy dotyka podbicia mojej stopy, czuję, że jego dłonie są zaskakująco delikatne. Zapina pasek buta, a potem wsuwa drugą szpilkę na drugą stopę.

Gdy wstaje, stoimy blisko siebie. Tak blisko, że muszę nieco odchylić głowę, aby na niego spojrzeć.

– Już – mówi opryskliwie. – Przyślę Martę, żeby pomogła ci się ogarnąć.

Marta to osobista asystentka całej rodziny i tak się składa, że równie dobrze radzi sobie z fryzurami oraz makijażem, dlatego też często pomaga Rionie i Nessie w przygotowaniu się do przeróżnych imprez. Imogen maluje się sama, albo chodzi do kosmetyczki.

– Jak sobie chcesz – mamroczę.

Callum idzie na dół znaleźć Martę, ja natomiast zaczynam kuśtykać na tych obcasach w stronę łazienki.

Nie wiem, czy to brak bielizny, czy raczej coś innego, ale między nogami czuję kłopotliwą wilgoć. Każdy krok, który robię w tej ciasnej sukience, sprawia, że wargi sromowe mojej cipki ocierają o siebie. Jest ciepła i pulsująca, a ja ciągle myślę o podnieceniu wymalowanym na twarzy Calluma. Myślę o tym, jaki był nieugięty, każąc mi założyć tę sukienkę.

Co się ze mną, kurwa, dzieje?

To musi być to, że nie bzykałam się od ponad tygodnia. Bo nie ma takiej możliwości, żeby rozkazy Calluma mnie podnieciły. To idiotyzm. Kurwa, nienawidzę, kiedy ktoś próbuje zrobić ze mnie popychadło.

– Aido? – rozlega się głos za moimi plecami.

Krzyczę i odwracam się.

To tylko trzymająca kosmetyczkę Marta. Jest około trzydziestki, ma duże, brązowe oczy, ciemną grzywkę i łagodny głos.

– Callum mówił, że potrzebujesz pomocy w przygotowaniach.

– Jasne. Tak – dukam.

– Siadaj – mówi, przysuwając krzesło do lustra. – Ogarniemy cię w mgnieniu oka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– CALLUM

Aida ostrożnie, trzymając się poręczy, schodzi po schodach. Jest dwadzieścia minut po czasie, ale szczerze mówiąc, wygląda oszałamiająco. Marta upięła jej włosy w delikatnym stylu retro, co tylko podkreśla wygląd klasycznej seksbomby. Oczy zostały podkreślone kohlem, który wydobywa ich egzotyczny kształt i sprawia, że wyglądają niemal równie srebrzyście jak sukienka.

Podoba mi się to, że Aida ledwo może chodzić w tych szpilkach. To sprawia, że wygląda na taką bezbronną i musi oprzeć się na moim ramieniu, idąc w stronę samochodu.

Jest cichsza niż zwykle. Nie wiem, czy jest wkurzona tym, że ukradłem jej ciuchy, czy raczej denerwuje się dzisiejszym wieczorem.

Od kilku tygodni nie czułem się taki spokojny i bardziej skupiony. Zgodnie z przewidywaniami ojca, teraz gdy Aida i ja jesteśmy już oficjalnie małżeństwem, Włosi udzielają mi pełnego poparcia. La Spata poszedł na dno, a ja zdążyłem już wykopać cudowne brudy na Kelly Hopkins z czasów studenckich. Wtedy właśnie tkwiła po uszy w szajce oszustów, która sprzedawała bogatszym i leniwszym studentom gotowe prace dyplomowe. Biedna, mała stypendystka była zmuszona pójść na kompromis ze swoją moralnością, aby zdobyć tytuł naukowy.

Koniec końców zawsze coś się znajdzie. Nieważne jak nieskazitelnych ludzie udają, to kiedy przykręci się im śrubę, zawsze dojdą do punktu, w którym pękają. To będzie niczym strzał z łuku w sam środek jej przeświadczenia o moralnej wyższości. Dzięki temu wolne pole do popisu będzie miał jeden kandydat: ja.

Wybory są już za tydzień. Prawie nic nie może tego teraz zjebać.

Tak długo, jak długo będę w stanie trzymać żonę w ryzach.

Widzę ją siedzącą naprzeciw mnie na tyle limuzyny. Wygląda na spokojną, gdy tak patrzy na migające za oknem mijane budynki. Tylko że mnie nie oszuka. Wiem, jaka jest niesforna. Może i założyłem jej na chwilę uzdę na głowę, lecz ona i tak znowu spróbuje mnie zrzucić z siodła przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Najważniejsze to utrzymać ją w ryzach podczas tej imprezy. Później może się buntować, ile dusza zapragnie. Dzisiaj wieczorem na bankiecie będzie kilku włoskich właścicieli firm, dyrektorów generalnych, inwestorów i przedstawicieli związków zawodowych. Muszą widzieć, że mam u swego boku posłuszną żonę. Wspierającą.

Jedziemy do dzielnicy Fulton Market, niegdyś pełnej magazynów oraz zakładów zajmujących się pakowaniem mięsa, a obecnie zdominowanej przez hotele, bary, restauracje oraz modne firmy. Bankiet odbędzie się w penthousie na samym szczycie Morgan's on Fulton.

Przechodzimy przez mieszczącą się na parterze galerię sztuki, kierując się w stronę windy. To miejsce aż pęka w szwach od obrazów namalowanych w przeróżnych stylach i reprezentujących różne poziomy umiejętności ich twórców. Aida zatrzymuje się przy jednym z nich, tym wyjątkowo ohydnym. To przykład sztuki współczesnej, utrzymany w odcieniach koloru brzoskwini, szarości oraz brązu.

– Och, spójrz – mówi. – Już wiem, co damy twojej matce na Boże Narodzenie.

– Myślałem, że wolałabyś to – odpowiadam, kiwając głową w stronę mrocznego i markotnego obrazu olejnego, przedstawiającego Kronosa pożerającego swoje dzieci.

– Ooo tak – oznajmia, złowieszczo kiwając głową. – Portret rodzinny. To *Papà*, gdy zostawimy otwarte szafki albo zapomnimy zgasić światło.

Parskam cicho, a Aida wygląda na zaskoczoną, zupełnie jakby nigdy wcześniej nie słyszała, jak się śmieję. Co prawdopodobnie jest prawdą.

W końcu wchodzimy do windy i słyszymy, jak ktoś woła:

– Przytrzymajcie drzwi!

Wyciągam rękę, żeby zapobiec ich zamknięciu. I natychmiast tego żałuję, widząc jak Oliver Castle gramoli się do środka.

– Och – mówi, kiedy nas zauważa i arogancko odrzuca głowę w tył. Ma przydługie, gęste, rozjaśnione przez słońce włosy. Jego skóra jest opalona i ma ślady po oparzeniach, zupełnie jakby cały dzień spędził na łodzi. A kiedy się uśmiecha, jego zęby w porównaniu ze skórą wydają się być aż zbyt białe.

Mierzy Aidę wzrokiem z góry na dół, pozwala sobie omiatać spojrzeniem jej sylwetkę, która w tej obcisłej sukience z cekinami ma kształt klepsydry. Jego bezczelność mnie wkurza. Może mój związek z Aidą nie ma romantycznego podłoża, ale to wciąż moja żona. Należy do mnie i wyłącznie do mnie, a nie do tego przerośniętego bogatego dzieciaka.

– Aido, naprawdę przeszłaś samą siebie – oznajmia. – Nie pamiętam, żebyś tak się dla mnie ubierała.

– Domyślam się, że nie warto się było wysilać – mówię, patrząc na niego złowrogo.

Oliver prycha.

– Nie wiem. Aida chyba wysilała się, robiąc coś innego… – sugeruje z głupim uśmieszkiem.

Przed oczami pojawia mi się barwny obraz Aidy przesuwającej w górę i w dół językiem po penisie Olivera, zupełnie jak to robiła ze mną. Zazdrość uderza we mnie niczym worek mokrego błota.

Ze wszystkich sił pilnuję się, żeby nie złapać Castle'a za klapy jego aksamitnego smokingu i nie rzucić nim o ścianę.

Może nawet bym to zrobił, gdyby właśnie nie szarpnęło zatrzymującą się na najwyższym piętrze widną. Drzwi się rozsuwają i Oliver wychodzi, nawet się na nas nie oglądając.

Aida przygląda mi się tymi swoimi chłodnymi, szarymi oczami.

Nie podoba mi się ta nowa, cicha odsłona. Denerwuje mnie to i zastanawiam się, co ona knuje. Zdecydowanie wolę, kiedy wyrzuca z siebie to, o czym w danej chwili myśli. Nawet jeśli mnie to wtedy wkurza.

Penthouse stanowi duża, otwarta przestrzeń, obecnie wypełniona potencjalnymi darczyńcami, którzy upijają się darmowym alkoholem. Oczywiście wcale nie jest darmowy – spróbuję wyciągnąć od każdego z tych skurwieli resztki wsparcia, jakie mogę od nich

uzyskać. Ale póki co mogą wlewać w siebie ekskluzywne koktajle i zapychać się różnymi wyszukanymi przekąskami.

Boczną ścianę pomieszczenia stanowią przesuwne szklane drzwi, obecnie otwarte i prowadzące na znajdujący się na dachu taras. Goście mogą chodzić tam i z powrotem, rozkoszując się ciepłym, nocnym powietrzem oraz bryzą znad jeziora. Taras ozdobiono świecącymi lampionami i jest stąd niesamowity widok na światła znajdującego się poniżej miasta.

W tej chwili ani idealne rozplanowanie wszystkiego, ani wyborna frekwencja gości nie sprawia mi przyjemności. Podchodzę do baru i proszę o szklankę podwójnej, czystej whisky. Aida patrzy, jak opróżniam ją jednym haustem.

– Co? – warczę, uderzając pustą szklanką o bar.

– Nic – odpowiada, wzruszając ramionami, po czym odwraca się, żeby zamówić sobie drinka.

Próbując wyrzucić z głowy myśli o Oliverze i Aidzie, rozglądam się po tłumie, szukając swojej pierwszej ofiary. Muszę porozmawiać z Calibresem i Montezem. Zauważam stojącą przy jedzeniu matkę, która rozmawia ze skarbnikiem stanowym. Siedzi tu od kilku godzin, nadzorowała rozstawianie wszystkiego i witała pierwszych gości.

A potem zauważam kogoś, kto z pewnością nie został zaproszony. Tymon Zając, lepiej znany jako Rzeźnik. Szef polskiej mafii i wielki, pierdolony wrzód na mojej dupie.

Braterstwo kontroluje większość Lower West Side, aż po Chinatown, Little Italy i bogatszych dzielnic na północnym wschodzie, które są pod wpływami Irlandczyków – czyli mnie.

Jeśli istnieje jakaś hierarchia w świecie gangsterów, to wygląda mniej więcej następująco: na samej górze są białe kołnierzyki, szlachetni gangsterzy, którzy do utrzymywania kontroli używają polityki oraz dźwigni handlu. To chicagowscy Irlandczycy. Trzęsiemy tym miastem. Mamy więcej złota, niż pierdolone leprechauny. I zarabiamy tyle samo legalnie co i nielegalnie – a przynajmniej w tej ładnej, szarej strefie luk i transakcji typu backdoor.

Co nie znaczy, że boję się ubrudzić sobie ręce. Za moją sprawą niejedna osoba zniknęła na zawsze z tego miasta. Z tym, że robię to po cichu i wtedy, gdy jest to konieczne.

Kolejny, niższy szczebel należy do gangsterów, którzy znajdują się pomiędzy oboma – takich jak Włosi. Ciągle prowadzą mnóstwo klubów ze striptizem i nocnych klubów oraz zajmują się nielegalnym hazardem i wymuszaniem haraczy. Jednocześnie są również zaangażowani w przeróżne inwestycje budowlane, które stanowią większość ich dochodów. Mają duże wpływy w związkach zawodowych: stolarzy, elektryków, szklarzy, operatorów ciężkich maszyn, ślusarzy, murarzy, hydraulików, blacharzy i wielu innych. Jeśli chcesz, aby cokolwiek zostało zbudowane w Chicago i nie zostało to w połowie budowy spalone, rozkradzione lub pojawiło się jakieś „opóźnienie", musisz zatrudnić Włochów jako brygadzistów albo w przeciwnym razie ich spłacić.

Potem, jeszcze niżej, znajduje się polska mafia. Oni wciąż zajmują się brutalnymi przestępstwami. Robią to głośno, jawnie i ściągają na siebie niepotrzebną uwagę, stanowiąc problem dla tych z nas, którzy chcą, aby to miasto było postrzegane jako bezpieczne.

Braterstwo wciąż czynnie para się handlem narkotykami oraz bronią, kradzieżą samochodów, napadami na banki i wozy pancerne, wymuszeniami, a nawet porwaniami. Ich niecne uczynki pokazywane są w wiadomościach i bezustannie wykraczają poza granice swojego terytorium. Nie chcą zostać w Garfield, Lawndale i Ukrainian Village. Chcą wkroczyć na teren, gdzie są pieniądze. Na mój teren.

Właściwie to obecność Tymona Zająca na moim bankiecie stanowi problem sam w sobie. Nie chcę, żeby tu był ani jako wróg, ani jako przyjaciel. Nie chcę, by mnie z nim kojarzono.

Zając nie należy do facetów, którzy wtapiają się w tłum. Jest niemal równie szeroki, co wysoki, jego włosy w kolorze pszenicy dopiero zaczynają siwieć, a twarz pokrywają blizny po trądziku lub czymś gorszym. Ma rzymski nos, a kości policzkowe wyglądają, jakby były ciosane toporkiem. Ubrany jest w elegancki garnitur w prążki z białym kwiatkiem w klapie. W jakiś sposób te gustowne dodatki tylko podkreślają szorstkość jego dłoni oraz skóry na twarzy.

Wokół Zająca krąży pewna legenda. Mimo że jego rodzina od stulecia zamieszkuje Chicago, on sam wyrósł na polskich ulicach, gdzie od nastoletnich lat kierował bezkonkurencyjną grupą

zajmującą się kradzieżą aut. W pojedynkę potroił liczbę kradzieży luksusowych samochodów w kraju. Doprowadził do tego, że zamożni Polacy ledwo ośmielali się kupować importowane wozy, bo wiedzieli, że w ciągu tygodnia ich auto zniknie z ulicy albo nawet i z ich garażu.

Piął się po szczeblach warszawskiego Wołomina do momentu, gdy gang wplątał się w krwawą wojnę o wpływy z polską policją. Mniej więcej wtedy jego przyrodni brat Kacper został zamordowany przez kolumbijskich baronów narkotykowych, pomagających w przemycie kokainy, heroiny i amfetaminy do Chicago. Kolumbijczycy myśleli, że mogą zacząć handlować w mieście bez żadnych pośredników. Tymczasem Zając przyleciał do Chicago na pogrzeb brata, a następnie zorganizował dwuczęściową zemstę, w wyniku której w mieście zginęło ośmiu Kolumbijczyków, a kolejnych dwunastu zaszlachtowano w Bogocie.

Zając, uzbrojony w tasak w jednej i maczetę w drugiej ręce, sam ich wszystkich pozabijał. Właśnie z tego powodu zyskał przydomek „Rzeźnik z Bogoty".

Rzeźnik zajął miejsce swojego brata jako szef chicagowskiego *Braterstwa*. Od tego momentu nie minął nawet miesiąc i już próbował uszczknąć odrobinę ze skraju mojego imperium. To reprezentant starej szkoły. Jest wygłodniały. I wiem, że dzisiaj pojawił się tu z jakiegoś powodu.

Dlatego właśnie zamierzam z nim porozmawiać, chociaż wolałbym nie być publicznie widziany w jego towarzystwie. Czekam, aż przejdzie do mniej zatłoczonej części sali, po czym do niego podchodzę.

– Interesujesz się polityką, Zającu? – pytam.

– To prawdziwy chicagowski syndykat, czyż nie? – mówi tym swoim niskim, chrapliwym głosem. Brzmi tak, jakby palił ze sto lat, mimo że w ogóle nie czuję na jego ubraniach dymu papierosowego.

– Przyszedłeś przekazać darowiznę czy raczej szukasz księgi próśb i zażaleń? – pytam.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że bogaci nigdy nie oddają swoich pieniędzy za darmo – odpowiada.

Wyciąga z kieszeni cygaro i zaciąga się jego zapachem.

– Zapalisz ze mną? – pyta.

– Chętnie. Ale tu nie wolno palić.

– Amerykanie uwielbiają ustanawiać zasady dla innych, a sami nigdy ich nie przestrzegają. Zapaliłbyś ze mną, gdybyś był tu sam.

– Oczywiście – odpowiadam, zastanawiając się, do czego on zmierza.

Aida, cicha jak cień, pojawia się u mojego boku.

– Cześć, Tymonie – mówi.

Polską mafię łączy długa i skomplikowana historia zarówno z moją rodziną, jak i rodziną Aidy. W czasach prohibicji, gdy Irlandczycy i Włosi walczyli o przejęcie kontroli nad gorzelniami, Polacy pracowali dla obu stron konfliktu. W zasadzie właśnie Polak odpowiadał za masakrę z dnia świętego Walentego.

Jeśli chodzi o czasy bardziej współczesne, to wiem, że Zając robił interesy z Enzem Gallo – przeważnie zakończone sukcesem, chociaż słyszałem plotki o konflikcie wokół Oak Street Tower oraz doniesieniach na temat wystrzałów i szybko wylewanych fundamentów. Prawdopodobnie pod cementem pochowano ciało czy dwa.

– Słyszałem radosną nowinę – oznajmia Zając. Patrzy znacząco na pierścionek Aidy. – Byłem rozczarowany, że nie dostałem zaproszenia. Albo że twój ojciec nie złożył mi żadnej oferty. Aido, wiesz, że mam dwóch synów. Polakom i Włochom dobrze się współpracuje. Nie wyobrażam sobie ciebie uczącej się pokochać peklowaną wołowinę i kapustę.

– Uważaj, jak się zwracasz do mojej żony – przerywam mu. – Umowa została zawarta i wątpię, czy którakolwiek ze złożonych przez ciebie ofert ją teraz zainteresuje. Właściwie to wątpię, czy masz coś do powiedzenia któremukolwiek z nas.

– Zdziwiłbyś się – oznajmia Zając, patrząc na mnie wściekle.

– Mało prawdopodobne – odpowiadam z lekceważeniem.

Ku mojemu zdziwieniu Aida trzyma nerwy na wodzy.

– Tymon nie należy do ludzi, którzy marnują czas – oznajmia. – Może nam powiesz, co ci chodzi po głowie?

– Polityk jest niegrzeczny, a ognista Włoszka robi za dyplomatkę – duma Zając. – Cóż za nietypowa zamiana ról. Później to ona będzie

nosiła smoking, a ty wskoczysz w sukienkę?

– Ten smoking będzie przesiąknięty krwią po tym, jak utnę ci ten pierdolony język, staruszku – warczę.

– Młodzi ludzie grożą, starzy obiecują – odpowiada.

– Daruj sobie te bzdury rodem z ciasteczka z wróżbą – rzuca Aida, unosząc rękę, aby mnie powstrzymać. – Czego chcesz, Tymonie? Dzisiejszego wieczoru Callum musi porozmawiać z mnóstwem ludzi, a wydaje mi się, że ty nie byłeś tu nawet zaproszony.

– Chcę na własność Chicago Transit[16] – oznajmia, w końcu przechodząc do sedna.

– Nie ma opcji – odpowiadam.

– Bo już masz w planach sprzedanie go Marty'emu Rico?

Waham się przez chwilę. Nasza umowa nie została sfinalizowana, więc nie wiem skąd, kurwa, Zając o tym słyszał.

– Jeszcze niczego nie planuję – kłamię. – Ale wiem, że CTA nie trafi do ciebie. No, chyba że dysponujesz magiczną mocą, która wybieli twoją reputację i sprawi, że na nowo będzie bez skazy.

Prawda jest taka, że nie odsprzedałbym agencji transportu Rzeźnikowi. Dopiero co się pogodziłem z Włochami. Nie zaproszę Polaków na swoje podwórko. Jeśli Zając chce udawać, że jest legalnie działającym biznesmenem, to może to robić w innej części miasta, a nie w samym centrum mojego terytorium.

Rzeźnik mruży oczy. W swoich grubych palcach wciąż trzyma cygaro, które obraca raz za razem.

– Wy, Irlandczycy, jesteście tacy pazerni – oznajmia. – Gdy przybyliście do Ameryki, to nikt was tu nie chciał. Z nami było tak samo. Rozwieszają znaki mówiące, żebyśmy nie ubiegali się o pracę. Próbowali powstrzymać nas, abyśmy nie emigrowali do Stanów. Teraz, myśląc, że jesteś bezpieczny u szczytu stołu, nie chcesz, żeby ktokolwiek do ciebie dołączył. Nie chcesz podzielić się nawet okruszkami, które pozostaną z twojej uczty.

– Zawsze jestem chętny do robienia interesów – oznajmiam. – Ale nie możesz żądać, że mam ci oddać najlepszą własność publiczną w mieście. I po co? Co masz mi w zamian do zaoferowania?

– Pieniądze – syczy.

– Mam pieniądze – odpowiadam, wzruszając ramionami.

– Ochronę – dorzuca Zając.

Śmieję się po chamsku, co wcale mu się nie podoba. Twarz robi mu się czerwona ze złości, z tym że mnie to wcale nie obchodzi. Jego oferta jest uwłaczająca.

– Nie potrzebuję twojej ochrony. Pokonaliśmy cię, kiedy moja rodzina stanęła do walki z twoją. A teraz, gdy sprzymierzyłem się z Włochami, myślisz, że masz mi coś do zaoferowania? Jak śmiesz nam grozić?

– Tymonie, bądź rozsądny – mówi Aida. – W przeszłości pracowaliśmy razem. I jeszcze będziemy, tylko nie opowiadaj głupstw, przez które mogą być problemy.

Jestem w szoku, widząc, jak spokojna potrafi być Aida, rozmawiając z kimś pochodzącym z jej świata. Nie miała cierpliwości do Christiny Huntley–Hart, która zmusiła ją do pokazania się z tej najbardziej skandalicznej i pogardliwej strony. Natomiast z Tymonem, który jest bardziej, o wiele bardziej niebezpieczny i nieprzewidywalny, ona zdaje się zachowywać większy spokój niż ja.

Patrzę na nią z prawdziwym szacunkiem. Dostrzega to i przewraca oczami, bardziej tym zirytowana niż zadowolona.

– Zawsze cię lubiłem, Aido – warczy Zając. – Mam nadzieję, że nie popełniłaś błędu, wychodząc za tego nadętego Irlandczyka.

– Niedocenianie go byłoby jedynym błędem – odpowiada chłodno.

Teraz to jestem naprawdę w szoku. Aida mnie broni? Niespodziankom nie ma końca.

Rzeźnik skłania sztywno głowę, a ten gest może znaczyć dosłownie wszystko, po czym odwraca się i odchodzi. Odczuwam ulgę, widząc, że zdaje się, że opuści przyjęcie bez robienia scen.

Zerkam na Aidę.

– Naprawdę świetnie sobie z tym poradziłaś – mówię do niej.

– Taaa, szokujące, wiem o tym – odpowiada, potrząsając głową. – Wiesz, że dorastałam wśród takich ludzi. Mając zaledwie cztery lata siedziałam pod stołem, a mój ojciec negocjował z Polakami, Ukraińcami, Niemcami oraz Ormianami. Nie zawsze biegam w tę i we w tę kradnąc zegarki.

– Ma jaja, przychodząc tutaj – oznajmiam, łypiąc na drzwi, za którymi zniknął Zając.

– Z pewnością – odpowiada. Pogrążona w myślach marszczy brwi i kręci pierścionkiem dokoła palca.

Moja matka go kupiła i wysłała Aidzie. Patrzę, jak wygląda na jej dłoni i dochodzę do wniosku, że wcale do niej nie pasuje. Wybrałaby sobie coś bardziej wygodnego i zwyczajnego. Chyba powinienem był jej pozwolić wybrać coś samej, albo zabrać ją do Tiffany'ego. Tak byłoby prościej.

Na skutek okoliczności, w jakich się poznaliśmy, byłem na nią wściekły i nigdy nie zastanawiałem się, jaki pierścionek by chciała dostać. Nie myślałem również o tym, co mogłoby sprawić, że będzie jej wygodnie z tym układem lub po przeprowadzce do mojego domu.

Chcę ją zapytać, co jeszcze wie na temat Zająca. O interesach, jakie Enzo z nim robił. Jednak przerywa mi ojciec, ciekawy, co mówił Polak. Nie udaje mi się włączyć Aidy w rozmowę, bo się gdzieś wymyka.

Ojciec ciągle nawija o Rzeźniku i chce, żebym opowiedział mu, z kim dzisiaj rozmawiałem i powtórzył słowo w słowo, co mówili.

Zwykle omawiam to z nim punkt po punkcie. Tym razem jednak nie mogę się powstrzymać przed zerkaniem ponad jego ramieniem, aby zobaczyć, gdzie jest Aida. Co robi. Z kim rozmawia.

W końcu dostrzegam ją stojącą na tarasie, gdzie dyskutuje z Alanem Mittsem, skarbnikiem. A to zdziadziały drań. Chyba nigdy nie widziałem, żeby się tak uśmiechał podczas rozmowy z kimkolwiek. A jednak rozmawiając z Aidą zatracił się w jakiejś opowieści i gestykuluje rękami, a ona śmieje się i zachęca go do mówienia. Odrzuca głowę do tyłu i zamyka oczy podczas śmiechu i nie ma w tym ani krztyny uprzejmości. Jest po prostu radosna.

A ja chcę usłyszeć, co ją tak bardzo rozbawiło.

– Słuchasz mnie? – pyta ojciec ostrym tonem.

– Co? Tak. Słucham – odpowiadam, odwracając głowę.

– Na co patrzysz? – pyta i sprawdza, mrużąc oczy w stronę tarasu.

– Na Mittsa. Muszę z nim porozmawiać.

– Wygląda na to, że już rozmawia z Aidą – oznajmia ojciec tym swoim najbardziej zagadkowym tonem.

– Och. Taaa.

– Jak sobie radzi? – dopytuje się z zainteresowaniem.

– Dobrze. Zaskakująco dobrze – odpowiadam.

Ojciec patrzy na nią i kiwa głową z uznaniem.

– Naprawdę wygląda lepiej. Chociaż ta sukienka odsłania za wiele.

Wiedziałem, że to powie. Na stosie kupionych przez Martę sukienek, które zaakceptowałem, znajdowały się takie bardziej konserwatywne, lecz z nich wszystkich wybrałem akurat tę. Bo wiedziałem, że opinając krągłości Aidy, będzie jak uszyta specjalnie dla niej.

Mimo moich prób zakończenia rozmowy, ojciec wciąż gada.

– Burmistrz wpłacił na twoją kampanię trzydzieści tysięcy i poparł twoją kandydaturę, lecz to samo zrobił dla dwudziestu pięciu innych sojuszników rady, więc nie sądzę, żeby jego deklaracja była tak mocna…

Powrócił napędzany płynną odwagą Oliver Castle. Po rumieńcu, widocznym na jego spalonej słońcem twarzy i sposobie, w jaki wbija się pomiędzy Aidę a Mittsa, widzę, że jest na wpół pijany. Aida próbuje go zgubić, idąc na drugą stronę tarasu, jednak Castle rusza za nią, próbując ją nakłonić ją do rozmowy.

– Dlatego wydaje mi się, że najwydajniej i najskuteczniej będzie jeśli… – kontynuuje ojciec.

– Tato, poczekaj chwilę – przerywam mu.

Odstawiam drinka i wychodzę przez szeroko otwarte, przesuwane drzwi na zewnątrz. To miejsce oświetla słabe światło zawieszonych nad głowami lampionów, muzyka jest cichsza, a miejsca siedzące zapewniają więcej prywatności. Oliver próbuje wciągnąć Aidę w najciemniejszy i najbardziej odległy kąt, skryty za parawanem z rosnących w doniczkach klonów palmowych.

Zamierzałem od razu im przerwać, jednak zbliżając się, słyszę niski, natarczywy głos Olivera błagającego Aidę. A to obudziło moją ciekawość. Podchodzę do nich, chcąc usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Aido, wiem, że za mną tęsknisz. Wiem, że o mnie myślisz, tak samo jak ja myślę o tobie…

– Wcale o tobie nie myślę – przerywa mu zimnym tonem.

– Dobrze się razem bawiliśmy. Pamiętasz tę noc, kiedy wszyscy rozpalali wielkie ognisko na plaży, a my poszliśmy na wydmy? Ty miałaś na sobie to białe bikini, a ja zdjąłem zębami twój stanik…

Przepełniony rozpaloną do białości, roztopioną zazdrością, która bulgocze w moich wnętrznościach, stoję w miejscu. Chcę im przeszkodzić, jednak ta chorobliwa ciekawość nie daje mi spokoju. Chcę dokładnie wiedzieć, co się wydarzyło między Oliverem a Aidą. Najwyraźniej był nią zauroczony. Ale czy ona czuła do niego to samo? Czy go kochała?

– Owszem, pamiętam ten weekend – odpowiada leniwie. – Upiłeś się i rozbiłeś na Cermak Road samochód. I prawie złamałeś rękę, wdając się w bójkę z Joshuą Deanem. Stare, dobre czasy.

– To była twoja wina – warczy Oliver, próbując przyszpilić ją do relingu. – Aido, doprowadzasz mnie do szaleństwa. Wariuję przez ciebie, wiesz? To wszystko zrobiłem dopiero po tym, jak zostawiłaś mnie w Oriole.

– Taaa… – cedzi ironicznie, patrząc na rozciągającą się poniżej patio ulicę. – A pamiętasz, czemu cię zostawiłam? – pyta, a Oliver wyraźnie się waha. Widzę, że pamięta to zdarzenie, ale nie chce tego przyznać. – Wpadliśmy na twojego wuja. Zapytał o to, kim jestem. A ty powiedziałeś: „to tylko przyjaciółka". Podobało ci się bycie buntownikiem spotykającym się z córką Enza Gallo, ale nie chciałeś ryzykować ulokowanymi kapitałami ani posadką w firmie tatusia. Nie miałeś jaj, żeby przyznać, czego tak naprawdę chcesz.

– Popełniłem błąd. – Głos Olivera jest niski i natarczywy. Widzę, że próbuje złapać Aidę za rękę, jednak ona odsuwa się i znajduje się poza jego zasięgiem. – Aido, dostałem nauczkę. Daję ci słowo. Tak bardzo za tobą tęskniłem, że mógłbym się stukrotnie rzucić z dachu Keystone Capital. Siedzę w tym biurze i jestem kurewsko nieszczęśliwy. Na moim biurku stoi zdjęcie zrobione na diabelskim młynie. To, na którym się śmiejesz i kurczowo trzymasz się mojego ramienia. Aido, to był najlepszy dzień w moim życiu. Jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, to udowodnię ci, ile dla mnie znaczysz. Wsunę ci pierścionek na palec i pokażę całemu światu.

– Już mam pierścionek – mówi z przygnębieniem dziewczyna, unosząc rękę, aby mu go pokazać. – Wyszłam za mąż, pamiętasz?

– To małżeństwo to jakaś bzdura. Wiem, że zrobiłaś to wyłącznie po to, żeby mnie zranić. Nie zależy ci na pierdolonym Callumie Griffinie, reprezentuje wszystko to, czego nienawidzisz! Nie znosisz aroganckich ludzi popisujących się pieniędzmi. Jak długo się z nim w ogóle umawiałaś? Widzę, że jesteś nieszczęśliwa.

– Nie jestem nieszczęśliwa – odpowiada, nie brzmi jednak zbyt przekonująco.

Wiem, że powinienem im przerwać, jednak utknąłem w miejscu. Jestem wściekły na to, że Oliver Castle ma tupet, żeby próbować uwieść moją żonę podczas mojego pierdolonego bankietu, ale też jestem perwersyjnie ciekawy, jak Aida na to zareaguje.

– Pójdź ze mną jutro na kolację – błaga ją Oliver.

– Nie. – Aida kręci głową.

– W takim razie przyjdź do mojego apartamentu. Wiem, że on cię nie dotyka jak ja kiedyś.

Zgodzi się? Wciąż ma ochotę się z nim pieprzyć?

Oliver próbuje ją objąć i pocałować w szyję. Ona odpycha jego ręce, lecz została zapędzona w kozi róg, no i ciasna sukienka oraz szpilki utrudniają jej ruchy.

– Przestań, Oliverze!

– Wiem, że brakuje ci tego…

– Mówię poważnie, przestań albo… – Aida próbuje go odepchnąć.

Przyciska ją do balustrady, próbując wsadzić rękę pod jej sukienkę. Wiem, że nie ma pod nią majtek, bo w końcu sam ją ubierałem. Myśl o dotykającym warg jej nagiej cipki Oliverze jest tym, co sprawia, że pękam.

Słyszałem o ludziach zaślepionych przez wściekłość. Nigdy wcześniej mi się nic takiego nie przydarzyło – nawet w przypływie największego gniewu zawsze potrafiłem nad sobą zapanować.

Lecz teraz, w jednej chwili, wychodzę zza klonów palmowych i łapię Olivera Castle'a za gardło, zaciskając na nim palce lewej ręki tak mocno, jak tylko potrafię. Z kolei prawą raz za razem uderzam go w twarz. Słyszę szalony ryk i zdaję sobie sprawę, że dobiega on z mojego gardła, kiedy tak tłukę mężczyznę, który obmacywał moją żonę. W pewnej chwili nawet zaczynam go unosić, zupełnie jakbym miał zamiar wyrzucić go przez balustradę.

Właściwie to zrobiłbym to, gdyby ojciec, Aida oraz kilka innych osób nie złapało mnie za ramiona i nie odciągnęło od Castle'a.

Twarz Olivera przypomina krwawy ochłap, ma pękniętą wargę i poplamioną krwią koszulę. Zerkam na swoją i widzę, że również jest zbryzgana szkarłatnym płynem.

Cała impreza zupełnie zamarła. Wszyscy znajdujący się w środku oraz na zewnątrz patrzą na nas.

– Wezwijcie ochronę – warczy ojciec. – Ten człowiek próbował zaatakować panią Griffin.

– Chuja zrobiłem – warczy Oliver. – On…

Ojciec ucisza go kolejnym ciosem w twarz. Fergus Griffin wciąż jest w formie – głowa Castle'a odskakuje, po czym Oliver osuwa się na podłogę patio. Na taras wbiega dwóch ochroniarzy, aby go wyprowadzić.

– Wynocha. Już – syczy na mnie ojciec pod nosem.

– Odwiozę żonę do domu – mówię wystarczająco głośno, żeby wszyscy mogli to usłyszeć. Zdejmuję marynarkę i zarzucam ją Aidzie na ramiona, zupełnie jakby właśnie przeżyła szok.

Pozwala mi na to, bo *jest* w szoku. Jest w szoku, że niczym wściekły pies zaatakowałem Olivera Castle'a.

Obejmuję ją ramieniem, po czym przeciskamy się przez tłum i zjeżdżamy windą na parter.

Wciągam ją do czekającej na dole limuzyny.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– AIDA

Gdy tylko wsiadamy do limuzyny, Callum warczy „jedź” i podnosi oddzielającą nas od szofera ściankę.

Krew pokrywa mu ręce oraz białą koszulę. Szkarłatne kropelki ochlapały również jego twarz, natomiast rozczochrane włosy opadły mu na czoło. Oczy ma dzikie, a źrenice niezwykle czarne na bladoniebieskim tle tęczówek. Ciemne pierścienie otaczają tęczówki, sprawiając, że patrząc na mnie, wygląda niczym jakiś drapieżny ptak.

Widzę drżące mięśnie jego szczęki oraz pulsujące na szyi żyły.

– Jesteś szalony! – krzyczę, kiedy limuzyna odjeżdża od krawężnika.

Zirytowana, że pozwoliłam sobie zarzucić marynarkę na ramiona, jakbym była jakąś ofiarą, zrzucam ją z siebie.

– Ten tłusty skurwiel cię obmacywał – oznajmia Callum.

Jego głos zdradza gniew. Słyszałam, jak się wścieka, lecz nie aż tak. Zakrwawione ręce aż mu drżą. Widziałam, jak próbował podnieść Olivera i przerzucić go przez balustradę. Miał zamiar to zrobić. Miał zamiar go zabić.

Być może nie doceniałam Calluma Griffina.

– Poradziłabym sobie z tym sama – warczę. – On był po prostu pijany. Mogłam od niego uciec, nie robiąc scen.

– Próbował cię uwieść na moich oczach – warczy.

– Szpiegowałeś mnie!

– A żebyś wiedziała. Jesteś moją żoną. Nie masz przede mną żadnych tajemnic.

– Tyle, że to działa tylko w jedną stronę, tak? – drwię. – Całymi dniami jesteś na jakichś tajnych spotkaniach. Zaszywasz się w gabinecie tatusia i snujesz plany.

– Pracuję – cedzi przez sztywne wargi.

Widzę, że wciąż jest nabuzowany na maksa. Przez jego ciało przepływają tysiące woltów czystej, żądnej zemsty energii. Przerwano mu, kiedy wyładowywał agresję na Oliverze. Teraz nie ma jak spożytkować tej energii i wygląda, jakby przy najdelikatniejszym dotknięciu miał eksplodować.

Jestem nieziemsko wkurwiona. Skąd mu przyszło do głowy, aby podsłuchiwać moją prywatną rozmowę? Żeby zachowywać się tak, jakbym była jego własnością i miał prawo być zazdrosny?

Oliver przynajmniej mnie kochał na ten swój głupi, niedojrzały sposób. Callum natomiast mnie nie kocha. Dlaczego miałby się przejmować, że jakiś facet próbuje mi wsadzić rękę pod spódnicę?

– To pracuj dalej – syczę do niego. – I trzymaj się z dala od mojego życia osobistego. Chciałeś mieć ładny dodatek u swojego boku? Zrobiłam to, poszłam na twoje głupie przyjęcie i założyłam tę okropną sukienkę. Powiedziałam Mittsowi, że powinien cię poprzeć. Dotrzymuję swojej części umowy. A to, z kim się wcześniej spotykałam, to nie twój pieprzony interes!

– Kochałaś go? – pyta.

– Nie twoja sprawa! – krzyczę. – Przed chwilą o tym, kurwa, mówiłam!

– Powiedz mi – rozkazuje. – Kochałaś tego aroganckiego gnoja?

Znowu wygląda na szalenie wygłodniałego. Zupełnie jakby to doprowadzało go do szału i musiał to wiedzieć.

Gówno mu powiem. Jestem wkurwiona, że podsłuchiwał oraz sądzi, że ma prawo znać moje myśli i uczucia, skoro nawet nie zaskarbił sobie ani trochę mojego zaufania.

– Co cię to obchodzi? – pytam. – Co to za różnica?

– Muszę to wiedzieć. Podobało ci się, kiedy cię dotykał? Kiedy cię pieprzył?

Wygląda na to, że nie zdaje sobie sprawy, że kładzie rękę na moim nagim udzie. Jego palce przesuwają się w górę, pod skraj sztywnej, ozdobionej cekinami sukienki, którą kazał mi założyć.

Odpycham od siebie jego dłoń i na wszelki wypadek popycham go w pierś.

– Może i tak – odpowiadam.

– Kto cię lepiej pieprzy? Ja czy on? – dopytuje. Jego ręka znowu ląduje na moim udzie, drugą natomiast za kark próbuje przyciągnąć mnie bliżej. Przyciska mnie do oparcia i siada okrakiem nad moimi nogami.

Tym razem obrywa w twarz i to na tyle mocno, że aż pęka mu warga.

Odgłos plaśnięcia niesie się echem po tylnej części limuzyny. Nie gra tu żadna muzyka, więc zdaje się brzmieć dość głośno.

Przez chwilę myślę, że dzięki temu się ocknął.

Callum trzepocze powiekami, a w jego oczach widać większe niż zazwyczaj pożądanie. Jest wygłodniały jak wilk.

Całuje mnie, napierając ustami na moje. Wpycha język do środka. Czuję smak krwi wypływającej z jego rozciętej wargi. Jest słona i gorąca.

Ciężarem wgniata mnie w skórzane siedzenie. Jego ciało wydaje się mieć ze dwieście stopni.

Najbardziej nienawidzę Calluma, kiedy jest taki zimny, sztywny… kiedy przypomina robota. Kiedy przechodzi obok mnie korytarzem, zachowując się, jakby mnie tam wcale nie było, a śpiąc obok mnie w łóżku, nie przytula mnie, ani nawet nie dotyka.

Kiedy doprowadzam go do takiej wściekłości, kiedy pęka i traci nad sobą kontrolę, wtedy go nie nienawidzę. Właściwie to nawet go wtedy lubię. Bo wtedy dostrzegam trochę więcej samej siebie.

Kiedy się denerwuje. Kiedy jest wściekły. Kiedy chce kogoś zabić. Wtedy właśnie go rozumiem. Wtedy w końcu coś nas łączy.

Odwzajemniam pocałunek i obejmuję dłońmi jego twarz. Wplatam mu palce we włosy. Są mokre od potu, a ze skóry na głowie bije ciepło. Tak samo jak z szyi.

Chcę poczuć resztę jego ciała.

Majstruję przy głupich, ukrytych pod dodatkową warstwą materiału guzikach. To guziki z rodzaju tych, których nie można rozpiąć, nawet jeśli widać je w pełnym świetle.

Zamiast tego rozrywam jego koszulę, jakby był Supermanem, a w naszą stronę właśnie leciała asteroida. Przesuwam dłońmi po rozpalonym ciele, czując, jak mięśnie drżą mu z podniecenia.

Językiem wdziera się tak głęboko w moje usta, że niemal się dławię. Krótko przystrzyżony zarost, pokrywający jego twarz, drapie mnie w policzek. Callum próbuje zdjąć ze mnie sukienkę, jednak jest taka sztywna i ciasna, że nie udaje mu się jej nawet podciągnąć do pasa.

Warcząc z frustracji, chwyta leżącą na podłodze marynarkę i z kieszeni na piersi wyciąga nóż. Naciska przycisk i z rękojeści błyskawicznie wyskakuje brutalnie ostra klinga. Nóż jest bardzo podobny do tego, który nosi Nero. Po sposobie, w jaki Callum go trzyma, widzę, że tak jak Nero, wie jak z niego korzystać.

– Nie ruszaj się – warczy, przyszpilając mnie do siedzenia.

Siedzę zupełnie nieruchomo. Pięć lub sześć ruchów wystarcza, aby rozciąć sukienkę i zostawić ją w strzępach na podłodze limuzyny.

Pod spodem nic nie mam.

Callumowi wystarcza sekunda, aby omieść wzrokiem moje ciało. A potem rozpina spodnie, uwalniając kutasa.

Nigdy mu tego nie powiem, ale ma wspaniałego kutasa. Nie widziałam wcześniej czegoś takiego. Głębokie zagłębienia jego bruzd biodrowych prowadzą bezpośrednio do grubego trzonu członka, który jest zbyt gruby, abym mogła zacisnąć na nim palce. Ma bladą, kremową skórę, a jego penis jest dokładnie tego samego koloru i ma różową główkę.

Miałam wielką przyjemność z trzymania go w buzi pod prysznicem. Był taki niesamowicie gładki, z łatwością ślizgał się w moich ustach.

Szczerze mówiąc, byłabym skłonna to w tej chwili powtórzyć. Z tym że Callum się niecierpliwi.

Sadza mnie okrakiem na kolanach. Kutas sterczy między nami, niemal dotykając mojego pępka. Przesuwam cipką wzdłuż trzonu jego przyrodzenia, nawilżając go. A potem opuszczam się na grubą główkę, pozwalając, aby się we mnie wśliznęła.

Kiedy moja cipka zaczyna pochłaniać kutasa, Callum odchyla głowę do tyłu i wydaje z siebie głęboki, gardłowy ryk. Mocno obejmuje mnie w pasie i ciągnie w dół.

O mój, kurwa, Boże, to takie przyjemne…

Doprowadzające mnie do szału pocieranie się warg cipki sprawiało, że całą noc byłam mokra. Co więcej, byłam napalona i sfrustrowana, zastanawiając się kiedy, do diabła, znowu będę uprawiała seks.

Muszę przyznać, że przez chwilę propozycja Olivera nie wydawała się taka zła. Jest arogancki i niedojrzały, to trochę idiota, ale przynajmniej uwielbiał moje ciało.

Ale kiedy mówił o tej nocy, gdy pieprzyliśmy się na wydmach, w mojej głowie pojawił się zupełnie inny obraz: Calluma, popychającego mnie na szklaną ściankę prysznica i wsuwającego we mnie tego swojego grubego, pięknego kutasa. Myślałam wtedy nie o byłym chłopaku, lecz o wędrujących po moim ciele dłoniach męża.

Nie mogę przestać o tym myśleć.

A teraz znowu tego doświadczam i czuję się jeszcze lepiej niż za pierwszym razem. Callum jest bardziej żarłoczny i jeszcze dzikszy niż poprzednio. Unosi moje piersi do ust i zaczyna ssać naprzemiennie sutki, jakby umierał z głodu, a one były jedyną rzeczą, która utrzymuje go przy życiu. Uwalnia sutek i zaczyna ssać szyję, robi to tak ostro i drapieżnie, że będę miała jutro ślady. Jestem tego pewna.

Podskakując na jego kolanach, zaczynam go ujeżdżać. Ruch limuzyny, pokonującej nierówne fragmenty drogi lub skręcającej na zakrętach, tylko zwiększa tarcie podczas ujeżdżania Calluma. To wrażenie potęgują nawet wibracje silnika. Czuję zapach drogiej skóry, którą obito siedzenia, alkoholu z barku, krwi na koszuli Calluma oraz potu na jego skórze.

Łapie garść moich włosów i gryzie mnie w szyję niczym wampir, za którego go miałam. To przyprawia mnie o dreszcze, sprawia, że przylegam do niego, a cipka mocniej zaciska się na penisie.

– Aido – jęczy mi do ucha. – Jesteś zajebista.

Na chwilę zamieram.

Callum nigdy nie prawił mi komplementów. Myślałam, że podobają mu się dziewczyny takie jak Christina Huntley–Hart – chude, eleganckie i popularne blondynki. Dobrze urodzone niczym pudle wystawowe.

Kiedy zaatakował Olivera, myślałam, że zrobił to z powodu dumy. Irytacji wynikającej z tego, że Oliver zepsuł mu bankiet i próbował obmacywać jego własność.

Nigdy nie sądziłam, że Callum może być zazdrosny.

Czy mój spięty, nadęty mąż perfekcjonista… jest mną zainteresowany?

Znowu zaczynam go ujeżdżać, kręcąc przy tym biodrami, więc moja cipka ślizga się w górę i w dół po całej długości jego trzonu.

Callum jęczy i obejmuje mnie ramionami tak mocno, że ledwo oddycham.

Przysuwam usta do jego ucha i szepczę:

– Chcesz mnie, Cal?

– Nie chcę – jęczy ochrypłym i surowym głosem. – Potrzebuję cię.

Jego słowa coś we mnie uwalniają. Tę część mnie, która próbowała powstrzymać to rozpaczliwe zauroczenie tym człowiekiem, bo było ono zbyt intensywne i niebezpieczne, abym mogła sobie na to pozwolić. Nie mogłam sobie pozwolić tęsknić za tym mężczyzną, bo byłoby to bezcelowe. Sądziłam, że nie mam nad nim żadnej władzy.

Ale teraz już wiem, że potrzebuje tego tak samo jak ja. I zaczynam mieć mocny orgazm, tak silny, że moje ciało drży w jego ramionach. Wydaje mi się, że przepływa przeze mnie istny wodospad. Pieprzona Niagara przyjemności, spływająca z hukiem w dół. Nie można jej zatrzymać.

I nawet kiedy już doszłam, chcę więcej. Orgazm był niesamowity, ale nie do końca satysfakcjonujący. Potrzebuję czegoś więcej.

Callum układa mnie na plecach, po czym wbija się we mnie. Teraz patrzy mi prosto w oczy. Jego czysto błękitne tęczówki wpatrują się w przydymioną szarość moich.

Zazwyczaj patrzę mu w oczy, kiedy jestem wściekła i próbuję powalić go spojrzeniem. Nigdy wcześniej nie patrzyliśmy na siebie w ten sposób: tak otwarcie, pytająco i z zaciekawieniem.

Callum nie jest robotem i wszystko odczuwa równie intensywnie co ja. A może nawet mocniej, bo zawsze stara się to stłumić w sobie.

Po raz pierwszy jego usta delikatnie przywierają do moich warg. Jego język smakuje i odkrywa mnie.

Odwzajemniam pocałunek, wciąż kołysząc biodrami. Czuję, jak narasta we mnie kolejny orgazm. Dlaczego nasze ciała tak idealnie do siebie pasują, skoro we wszystkich innych kwestiach jest zupełnie odwrotnie?

– Aido, jesteś moja – warczy mi do ucha. – Zabiję każdego, kto będzie próbował cię dotknąć.

Mówiąc to, eksploduje wewnątrz mnie. Ja również dochodzę, a drugi orgazm jest silniejszy od pierwszego. Właściwie to nigdy wcześniej nie miałam tak intensywnego. Nie mam pojęcia, czy będę żyła, kiedy to się skończy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– CALLUM

Strzępy sukni Aidy leżą rozrzucone na podłodze limuzyny. Na szczęście przyjeżdżamy do domu jako pierwsi, lecz wcale ją to nie obchodzi. Niczym lekkoduch owija się marynarką i biegnie boso do środka, po drodze salutując żwawo szoferowi.

Chciałbym ruszyć za nią, ale czuję wibrujący w kieszeni telefon – to ojciec dzwoni, aby mnie zbesztać.

– Coś ty sobie, kurwa, myślał? – pyta, kiedy odbieram.

– Ten gnój napastował moją żonę.

– Wdałeś się w bójkę na własnym bankiecie. Z Oliverem Castle'em! Wiesz, jak to wygląda?

– Ma szczęście, że jego mózg nie rozpaćkał się na betonie – odpowiadam zirytowany.

– Siedziałbyś teraz w pierdlu, gdybyś to zrobił! – krzyczy ojciec. – Nie uderzyłeś byle chłopaczka z bractwa… Henry Castle to jeden z najbogatszych ludzi w Chicago. Ofiarował na twoją kampanię pięćdziesiąt tysięcy!

– Nie odzyska tych pieniędzy – oznajmiam.

– Musisz mu zagwarantować coś więcej niż tylko zwrot pieniędzy, żeby nie storpedował twojego wyścigu po stanowisko radnego.

Zgrzytam zębami tak mocno, aż mam wrażenie, że trzonowce zaraz pękną mi na pół.

– Czego chce? – pytam.

– Przekonasz się jutro rano. Ósma rano, Keystone Capital. Nie spóźnij się.

Kurwa mać. Henry Castle jest gorszy od swojego syna – nadęty, arogancki i niezwykle wymagający. Będzie chciał, żebym się przed nim płaszczył i pocałował jego sygnet. Ja natomiast mam ochotę go wykastrować, żeby nie mógł spłodzić kolejnych debili.

– Będę tam – oznajmiam.

– Straciłeś nad sobą panowanie – mówi ojciec. – Co jest, do cholery, między tobą a tą dziewczyną?

– Nic.

– Ona powinna być atutem, a nie kulą u nogi – wścieka się.

– Nic nie zrobiła. Mówiłem ci, że to był Castle.

– No cóż, załatwcie to między sobą. Nie możesz pozwolić, aby przeszkodziła ci w osiągnięciu celu – kończy rozmowę.

Rozłączam się, kipiąc od tych wszystkich niewypowiedzianych słów, które chciałem wykrzyczeć do telefonu.

To on zmusił mnie do poślubienia Aidy, a teraz się wkurwia, bo w przeciwieństwie do innych ludzi ona nie jest pionkiem, który mógłby przesuwać po planszy?

Właśnie to w niej podziwiam. Jest dzika i zawzięta. Musiałem dać z siebie wszystko, żeby założyła tę cholerną sukienkę. Ona nigdy by się nie płaszczyła przed Henrym Castle'em. Ja też nie zamierzam tego robić.

Wchodzę na górę i kieruję się do naszego pokoju, spodziewając się, że Aida będzie myła zęby i szykowała się do spania.

Ona tymczasem rzuca się na mnie, gdy tylko wchodzę. Całuje mnie namiętnie i ciągnie w stronę łóżka.

– Nie jesteś zmęczona? – pytam.

– Jeszcze nie ma północy – śmieje się. – Ale jeśli wolisz iść spać, staruszku…

– Zobaczymy, czego trzeba, żeby cię zmęczyć, ty pieprzona wariatko – oznajmiam, rzucając ją na materac.

***

Następnego ranka Aida wciąż mocno śpi, kiedy muszę wstać na spotkanie z Henrym Castle'em. Przykrywam kocem jej nagie ramiona, chociaż szkoda zakrywać tę gładką, błyszczącą skórę.

Wygląda na wyczerpaną naszymi figlami, które uskutecznialiśmy zeszłej nocy. Przez godzinę robiliśmy coś, czemu było bliżej do zapasów niż pieprzenia. Sprawdzała mnie, czy pozwolę jej dominować oraz moją wytrzymałość, a także to, ile mam energii.

Nie było, kurwa, opcji, żebym jako pierwszy się poddał. Za każdym razem, kiedy próbowała przejąć kontrolę, przyszpilałem ją do łóżka i bezlitośnie pieprzyłem, aż oboje zaczęliśmy dyszeć i ociekać potem.

Widziałem, jak ją podniecało to, że używałem siły przeciwko niej, wiedząc, że ani trochę nie ustąpię. Lubi mi dokuczać, chcąc przekonać się, jak daleko może się posunąć, zanim pęknę. Robi to zarówno w sypialni jak i poza nią.

No cóż, jestem jebaną górą, której nie można pokonać. A Aida niedługo się o tym przekona.

Tak samo będzie z Henrym Castle'em. Wiem, że sądzi, że przyszedłem do jego biura płaszczyć się przed nim, ale, kurwa, tak się nie stanie.

I kiedy recepcjonistka każe mi usiąść i zaczekać pod drzwiami, mówię:

– Jesteśmy umówieni na ósmą. – A następnie wchodzę do środka.

Tak jak podejrzewałem, Henry siedzi za swoim biurkiem i nic nie robi.

To duży, kompletnie łysy mężczyzna. Jest umięśniony, ale nie gruby. Nosi luźny garnitur z szerokimi ramionami, co tylko potęguje wrażenie, że jest opasły. Jego niezwykle czarne brwi wyglądają, jakby były nie na miejscu na bezwłosej głowie.

– Griffin – rzuca surowo, kiwając głową. Próbuje przyjąć rozkazujący ton.

Gestem ręki każe mi usiąść przy biurku. Stojące przed nim krzesło jest niskie i wąskie, świadomie wybrano lichsze w porównaniu do tego, na którym siedzi sam Henry.

– Nie, dziękuję – odpowiadam. Stojąc, opieram się swobodnie o jego biurko. Teraz to ja patrzę na niego z góry. Widzę, że to go denerwuje. Niemal natychmiast wstaje, pod pretekstem przyjrzenia się niektórym ze zdjęć stojących na półce z książkami.

– Wiesz, że Oliver jest moim jedynym synem – oznajmia, podnosząc oprawione zdjęcie, na którym uwieczniono biegnącego po plaży chłopca. Za nim widać dom: mały, niebieski, bardziej przypominający wiejski domek. Schodząc z ganku, wchodzi się od razu na piasek.

– Mhm – mamroczę, niezobowiązująco kiwając głową. – Gdzie to?

– Chesterton – rzuca krótko Henry. Chce zmienić temat. A ja tymczasem ciągnę go za język, chcąc go jeszcze bardziej zirytować.

– Często tam jeździcie?

– Kiedyś jeździliśmy tam każdego lata. Tylko że właśnie go sprzedałem. Zrobiłbym to wcześniej, ale Oliver zrobił mi awanturę z tego powodu. Jest bardziej sentymentalny niż ja.

Odstawia zdjęcie z powrotem na półkę i odwraca się w moją stronę. Jego grube, czarne brwi niemal opadają na oczy.

– Wczoraj wieczorem zaatakowałeś mojego syna – oznajmia.

– Napastował moją żonę – odpowiadam spokojnie.

– Aidę Gallo? – pyta Henry, uśmiechając się lekko. – Bez urazy, ale nie wierzyłbym jej na słowo.

– To nie do przyjęcia – mówię, nie spuszczając z niego wzroku. – Nie wspominając już o tym, że widziałem to na własne oczy.

– Kazaliście ochronie go wyprowadzić – mówi krótko. – Oczekuję, że będziesz lepiej traktować jednego ze swoich największych darczyńców.

– Proszę cię – prycham cicho. – Mam mnóstwo pieniędzy. Nie zamierzam sprzedawać swojej żony za pięćdziesiąt patyków. W każdym razie robię interesy z tobą, nie z Oliverem. I szczerze wątpię, abyś nie był świadom tego, że jest pijakiem i lubi obmacywać kobiety. Przejdźmy do kwestii, która cię niepokoi, bez dalszego owijania w bawełnę.

– Dobrze – warczy Henry. Jego twarz czerwienieje, sprawiając, że łysa głowa lśni bardziej niż zazwyczaj. – Słyszałem, że sprzedajesz Marty'emu Rico CTA. Chcę je.

Jezu Chryste. Jeszcze nie zostałem radnym, agencja nie jest na sprzedaż, a i tak połowa ludzi w Chicago próbuje zacisnąć na niej swoje brudne łapska.

– Kilka osób interesuje się tym tematem – odpowiadam, delikatnie stukając palcami o blat biurka. – Wezmę pod uwagę wszystkie oferty.

– Ale przekażesz ją mnie – rzuca groźnie Castle.

Może sobie grozić, ile tylko dusza zapragnie. Nie oddaję niczego za darmo.

– O ile cena będzie odpowiednia – informuję go.

– Nie chcesz robić sobie ze mnie wroga. – Henry na powrót zajął miejsce za biurkiem. Stoi za nim, bo chce się nade mną pochylić. Na jego nieszczęście ta sztuczka nie działa, bo niestety nie jest najwyższym człowiekiem w tym pomieszczeniu.

– Jestem przekonany, że wpadniesz na coś dobrego – oznajmiam. – W końcu na drzwiach widnieje słowo „inwestycyjny".

Twarz Henry'ego robi się jeszcze ciemniejsza. Teraz wygląda, jakby miał zaraz dostać zawału.

– Skontaktuję się z twoim ojcem w tej sprawie – syczy.

– Nie zawracaj sobie głowy – mówię. – W przeciwieństwie do twojego syna, potrafię mówić za siebie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

– AIDA

Callum wstaje wcześnie rano, a następnie cicho wślizguje się do łazienki i zamyka za sobą drzwi, aby szum prysznica mnie nie obudził.

Kiedy w końcu się budzę, jego już nie ma. Prawdopodobnie pojechał na jakieś spotkanie. Wciąż czuję w powietrzu zapachy jego szamponu oraz wody po goleniu. To mieszanka, która staje się dla mnie coraz bardziej erotyczna.

Jestem usatysfakcjonowana wczorajszą nocą.

Nigdy bym nie uwierzyła, że Callum Griffin potrafi być taki namiętny i zmysłowy. Szczerze mówiąc, to był najlepszy seks w moim życiu i to z osobą, której nie lubię. I tu tkwi szkopuł: to prawie sprawiło, że czuję do niego sympatię, a wcale czegoś takiego nie planowałam.

Kręci mi się w głowie. Co się, do cholery, dzieje? Czy od zbyt długiego przebywania pośród Griffinów cierpię na syndrom sztokholmski?

Na szczęście jadę dziś do domu, więc będę mogła odzyskać odrobinę poczytalności.

Chciałabym, żeby powód mojej wizyty był bardziej radosny. Dzisiaj jest rocznica śmierci mamy – to dzień, który zawsze spędzam w towarzystwie ojca i braci.

Cieszę się, że ich odwiedzę. Od ślubu w ogóle tam nie byłam. Zastanawiam się, jak się teraz będę czuła, kiedy, technicznie rzecz biorąc, mieszkam gdzie indziej.

Kurewsko pewne jest to, że w posiadłości Griffinów nie czuję się jak w domu. Owszem, jest tu kilka rzeczy, które mi się podobają – głównie chodzi mi o kino oraz basen. Wszystko jest wiecznie irytująco uporządkowane, zupełnie jakby w każdej chwili ktoś miał

tu przyjść i nakręcić jakiś film dokumentalny. Większość kanap wygląda tak, jakby w ogóle nie powinno się na nich siadać, są obłożone sztywnymi poduszkami i brakuje na nich wygód w postaci takich akcesoriów jak książki czy koce.

A poza tym w domu pracuje liczny personel. Sprzątaczki, kucharze, asystenci, kierowcy, ochroniarze… Trudno czuć się swobodnie, wiedząc, że w każdej chwili ktoś może zajrzeć do pokoju. Jednak zawsze grzecznie wychodzą, widząc, że dane pomieszczenie jest zajęte, ale i tak przypominają człowiekowi, że nie jest sam i w przeciwieństwie do nich należy do klasy wyższej.

Próbowałam rozmawiać ze „służbą" – szczególnie z Martą, którą najczęściej widuję. Ma siedmioletnią córkę, słucha reggaeton i w kwestii robienia makijażu jest niczym Michał Anioł. Zdaje się być sympatyczna i mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Tyle że ma na mnie czekać i mi usługiwać, jakbym była Griffinem.

To zabawne, bo Gallo też nie należą do biednych. Tak jak wszystko inne, bogactwo też ma różne poziomy.

W każdym razie cieszę się, że na jeden dzień wrócę do rzeczywistości.

Nessa pożycza mi swojego jeepa. Tak naprawdę to nie mam własnego auta, w garażu Papy zawsze było dość przeróżnych wozów, które mogłam pożyczać, o ile Nero z jakiegoś dziwnego powodu nie wyjął z któregoś silnika. Sądzę, że teraz mogłabym mieć swój wóz. Mam odłożone sporo pieniędzy w banku, ale strasznie nie podoba mi się myśl, że musiałabym błagać Griffinów o miejsce parkingowe.

Jadę do Old Town, mając wrażenie, że od mojej ostatniej wizyty minęły nie tygodnie, ale miesiące.

Jeżdżąc po tych znajomych ulicach czuję się, jakbym znowu stawała się sobą. Widzę dobrze znane mi sklepy oraz piekarnie i myślę sobie, że przez te wszystkie lata mieszkaliśmy z Callumem zaledwie kilka kilometrów od siebie, a mimo to żyjemy w zupełnie różnych światach.

Przez lata Old Town zamieszkiwali przeróżni ludzie – kiedyś było tu mnóstwo niemieckich farm i to miejsce nazywano „polem kapusty". Później wprowadzili się tu Portorykańczycy oraz mrowie artystów, a także wielu Włochów.

Dziadek kupił nasz dom w latach pięćdziesiątych. Wielki, stary – z naciskiem na to słowo – wiktoriański dom. To czteropiętrowy, zaciemniony budynek z dwuspadowym stromym dachem, który wygląda niczym nawiedzony dom. Stoi w cieniu rosnących nieopodal dębów, a za nim znajduje się ogród otoczony murem.

Mój ojciec zbudował podziemny parking dla wszystkich cacuszek Nero, więc zjeżdżam poniżej poziomu ulicy i parkuję jeepa. Potem ruszam schodami do kuchni, gdzie zaskakuję Gretę, obejmując jej pulchną talię.

– *Minchia*![17] – woła, wymachując trzymaną w dłoni łyżką, przez co ochlapuje mnie sosem pomidorowym. – Aido! Czemu nie mówiłaś, że przyjedziesz? Przygotowałabym obiad!

– Przecież go robisz – zauważam.

– Zrobiłabym coś lepszego.

– Uwielbiam wszystko, co przygotujesz – oznajmiam, próbując wyrwać jej z ręki łyżkę, aby spróbować sosu.

Ale ona uderza mnie nią w kostki.

– Nie! Jeszcze nie jest gotowy!

Obejmuję ją w pasie i raz jeszcze mocno przytulam, próbując unieść.

– *Smettila*![18] – warczy. – Przestań, bo złamiesz sobie kręgosłup. Albo mój!

Muszę zadowolić się, dając jej całusa w policzek.

– Brakuje mi ciebie. Kucharz Griffinów przygotowuje strasznie gówniane jedzenie.

– Mają tyle pieniędzy i nie zatrudniają dobrego kucharza? – pyta zdziwiona.

– Robi samą zdrową żywność. Nienawidzę jej.

Greta wzdryga się, jakbym powiedziała, że podają tam żywe szczury.

– Nie ma nic zdrowszego niż oliwa z oliwek i czerwone wino. Jedz jak Włoszka, a będziesz żyła wiecznie. Bycie chudym nie jest dobre.

Powstrzymuję śmiech. Nie wydaje mi się, aby Gretę kiedykolwiek od szczupłej sylwetki dzieliło mniej niż dwadzieścia kilo. No i szczerze mówiąc, sama też nigdy nie byłam chuda jak szczapa. Więc

nie mówimy o tym z doświadczenia, ale chudzielce wyglądają żałośnie.

– Gdzie *Papà*? – pytam.

– W pokoju twojej matki.

Mówiąc to, ma na myśli pokój muzyczny. Mama, zanim poznała ojca, uczyła się grać muzykę klasyczną. Jej fortepian ciągle stoi w najbardziej nasłonecznionym pokoju na najwyższym piętrze, a wraz z nim wszystkie jej notatki i nuty.

Aby znaleźć ojca, wspinam się po schodach na drugie piętro. Klatki schodowe w naszym domu są wyjątkowo wąskie i skrzypią, drewniane stopnie są szerokie na tyle, aby Dante mógł się po nich wspinać, nie szorując ramionami po obu ścianach.

Papà siedzi na ławce przy fortepianie mamy i wbija wzrok w klawisze. Co roku serwisuje fortepian, mimo że mama była jedyną osobą, która w ogóle na nim grała.

Doskonale pamiętam, że siedziała dokładnie w tym samym miejscu. Zaskakiwało mnie to, jak szybko jej palce tańczyły na klawiszach, zwłaszcza że była drobna, a dłonie miała niewiele większe od moich.

Niestety nie mam zbyt wielu innych wspomnień o niej. Zazdroszczę braciom, że znali ją znacznie dłużej niż ja. Kiedy umarła, miałam zaledwie sześć lat.

Myślała, że to zwyczajna grypa. Nie chcąc nas zarazić, zaszyła się w swojej sypialni. Było już za późno, jak ojciec zdał sobie sprawę, jak poważnie jest chora. Zaledwie dwa dni od zachorowania zmarła na zapalenie opon mózgowych.

Ojciec czuł się strasznie winny. Wciąż się za to obwinia.

W naszym świecie wiemy, że możemy w brutalny sposób stracić któregoś członka rodziny. Gallo stracili ich bardzo wielu. Jednak nigdy nie spodziewamy się, że cichy zabójca w postaci jakiejś choroby dopadnie tak młodą i zdrową kobietę.

Papà był zdruzgotany. Bardzo kochał mamę.

Widział ją, jak występowała w Rivera Theatre. Zanim zgodziła się pójść z nim na kolację, to przez kilka tygodni wysyłał jej kwiaty, perfumy oraz biżuterię. Był od niej dwanaście lat starszy i już cieszył się niesławą.

Po dwóch latach nakłaniania w końcu za niego wyszła.

Nie wiem, co sądziła o jego pracy albo rodzinie. Wiem, że uwielbiała swoje dzieci. Zawsze mówiła, że ma trzech przystojnych chłopców oraz mnie, swoją najmłodszą małą niespodziankę.

Dante odziedziczył po niej umiejętność skupienia uwagi. Nero talent, Sebastian natomiast dobroć. A ja? Nie wiem… chyba oczy.

Trochę umiem grać na fortepianie, lecz nie tak jak ona.

Widzę otulone materiałem garnituru szerokie ramiona taty, gdy tak siedzi zgarbiony nad klawiszami. Palcem zbyt grubym, by nie wychodził poza krawędzie klawisza, dotyka środkowego „c". Jego masywna głowa jest osadzona niemal bezpośrednio na ramionach. Ciemne, kręcone włosy przeplatają białe pasma. Brwi ojca są grube jak mój kciuk, wciąż czarne, podobnie jak wąsy. Natomiast brodę *Papà* ma już siwą.

– Chodź, Aido, zagraj ze mną – mówi, nie odwracając się w moją stronę.

Nie można się do niego zakraść. Nie w domu, gdzie schody skrzypią.

Przesuwa się, a ja zajmuję na ławeczce miejsce obok niego.

– Zagrajmy utwór twojej matki – oznajmia.

Rozpościeram palce na klawiszach. Za każdym razem wydaje mi się, że o tym zapomnę. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak ten utwór się zaczyna ani nawet nie potrafię go zanucić. Jednak ciało pamięta znacznie więcej niż mózg.

Mama grała go na okrągło. To nie było najtrudniejsze ani najpiękniejsze dzieło. Po prostu utkwiło jej w pamięci.

Gnossienne No. 1 skomponowany przez Erika Statie. Dziwna i zapadająca w pamięć muzyka.

Zaczyna się rytmicznie, tajemniczo. Niczym pytanie. Potem wydaje się, że pada na nie odpowiedź. Gniewnie i dramatycznie. A potem cała sekwencja się powtarza, jednak nie brzmi już tak samo.

Ten utwór nie ma metrum ani taktu. Można go interpretować, jak się chce. Mama czasami grała go szybciej albo wolniej, głośniej lub ciszej – w zależności od humoru. Po drugiej sekwencji jest łącznik – najbardziej melancholijny ze wszystkich. A potem utwór raz jeszcze wraca do otwierających go akordów.

– Co to znaczy? – pytałam ją, będąc małą. – Co to jest gnossienne?

– Tego nikt nie wie – powiedziała. – Satie to wymyślił.

Gram ten utwór dla taty.

Zamyka oczy i wiem, że wyobraża sobie, jak jej dłonie poruszają się po klawiszach z większą czułością niż moje.

Widzę, jak z zamkniętymi oczami kołysze się w rytm muzyki. Czuję zapach świeżych bzów, które trzymała na stojącym przy oknie wazonie.

A kiedy otwieram oczy, w pokoju jest ciemniej, niż to lubiła. Od tamtego czasu dęby zrobiły się grubsze oraz wyższe i przysłaniają okno. Nie ma tu świeżych kwiatów ani wazonu.

W progu stoi Nero – jest wysoki, szczupły, jego czarne włosy przysłaniają mu jedno oko. Niczym anioł zemsty ma przystojne i jednocześnie okrutne oblicze.

– Ty to powinieneś zagrać – mówię do niego. – Jesteś lepszy ode mnie.

Szybko potrząsa przecząco głową i schodzi na dół. Jestem zaskoczona, że najpierw przyszedł tutaj. Nie lubi wspominek. Ani okazywania emocji. Ani rocznic.

Papà zerka na pierścionek na mojej lewej ręce. Stanowi obciążenie i utrudnia mi granie.

– Są dla ciebie dobrzy, Aido? – pyta.

Waham się, myśląc o tym, jak zeszłej nocy Callum ukradł mi ubranie, rzucił się na mnie w samochodzie i pociął moją sukienkę. Myślę o smaku jego ust. O tym, jak jego ciało zareagowało na moje…

– Wiesz, że umiem o siebie zadbać – odpowiadam w końcu.

– Wiem – mówi, kiwając głową.

– Wczoraj Tymon Zając przyszedł na bankiet Calluma – oznajmiam.

Papà gwałtownie wciąga powietrze. Gdybyśmy byli na zewnątrz, splunąłby na ziemię.

– Rzeźnik – cedzi. – Czego chciał?

– Mówił, że chce mieć prawo własności CTA, które ma zostać zlicytowane. Jednak nie sądzę, żeby o to chodziło, przynajmniej nie do końca. Myślę, że chciał sprawdzić Calluma. I być może mnie również. Chciał zobaczyć, jak zareagujemy na jego żądania.

– A co mówił Callum?

– Powiedział mu, żeby spierdalał.

– Jak Zając to przyjął? – *Papà* patrzy zaciekawiony.

– Wyszedł.

– Uważaj, Aido – mówi ojciec, marszcząc brwi. – To nie pozostanie bez odpowiedzi.

– Wiem. Nie martw się, Griffinowie wszędzie mają ochronę – uspokajam go.

Kiwa głową, jednak nie wygląda na zadowolonego.

Słyszę dobiegający z kuchni stukot. Dom nie ma izolacji i hałas niesie się po całym budynku.

Następnie słychać dudniący głos Dantego oraz śmiech Sebastiana.

– Twoi bracia są w domu – oznajmia *Papà*.

– Chodź. – Kładę dłoń na jego ramieniu i wstaję z ławki.

– Zaraz zejdę – mówi.

Schodzę i widzę, że rzeczywiście wszyscy trzej tłoczą się wraz z Gretą w niewielkiej kuchni. Dante stara się pozbierać odłamki rozbitych talerzy, które Sebastian zrzucił jedną z kul. Jego kolano wciąż jest zamknięte w jakiejś zaawansowanej technicznie szynie, która powinna mu pomóc, lecz zamiast tego zrobiła z niego jeszcze większą chodzącą katastrofę.

Przynajmniej chodzi. No, tak jakby.

– Hej, niezdaro – mówię, przytulając się do niego.

– To ty grałaś? – pyta, odwzajemniając uścisk.

– Taaa… – potwierdzam.

– Grasz jak ona.

– Nie, wcale nie. – Kręcę głową.

– Zdecydowanie nie – przytakuje Nero.

– Daj mi miotłę – żąda Greta, zwracając się do Dantego. – Robisz tylko większy bałagan.

Gdy Greta stoi odwrócona plecami do Nero, on kradnie jedną ze zrobionych przez nią bułeczek pomarańczowych i wpycha ją sobie do ust.

Wyczuwając, że ktoś się niepoprawnie zachowuje, ona odwraca się i rzuca mu twarde spojrzenie. Nero stara się w ogóle nie poruszać twarzą, mimo że policzki ma wypchane jak chomik.

– To na obiad! – krzyczy Greta.

– Est jusz obad! – Nero mówi niewyraźnie z ustami wypchanymi bułeczką.

– Nie, jeszcze nie! Nie jecie bez ojca!

Nero z trudem przełyka wszystko.

– On nie będzie nic jadł. Wiesz, jak się czuje dzisiaj.

– No to tego nie pogarszajcie! – oznajmia Greta. – A ty – wskazuje palcem na Sebastiana – zmykaj stąd, zanim stłuczesz coś więcej.

– Dobrze, dobrze. – Sebastian wsuwa kule pod pachy i odwraca się w stronę salonu. Ledwo omija Gretę i przewraca miotłę.

Nero zwinnie łapie prawą ręką za jej trzonek, a lewą zabiera kolejną bułeczkę. Podaje gosposi miotłę, chowając zdobycz za plecami.

– Proszę, Greto – mówi. – Wiesz, że chcę ci tylko pomóc.

– Pomógłbyś sobie, diable, zdzierając ze mnie ostatnią koszulę – prycha kobieta.

– To zależy. Jakiego jest rozmiaru?

Greta stara się go strzelić ścierą, a on wybiega z kuchni i przepychając się obok Sebastiana, niemal go przewraca.

Dante spokojnym krokiem wychodzi z pomieszczenia. Ja idę na samym końcu, zerkając na świeżo glazurowane bułeczki pomarańczowe, jednak nie chcę ryzykować gniewu Grety.

W końcu, wyciągając stary zestaw mahjonga i otwierając butelkę przyniesionego przez Dantego wina, udaje nam się ściągnąć tatę. Rozgrywamy turniej rotacyjny, który ostatecznie wygrywa Nero, jednak nie obywa się bez zarzutów o oszustwo i żądań, aby ponownie przeliczyć wszystkie pionki, na wypadek gdyby niektóre „zgubiły się” podczas gry.

Kiedy obiad jest już gotowy, siłą sadzamy Gretę, żeby usiadła i zjadła z nami, zamiast zasuwać przez cały dzień. Nero przekonuje ją, żeby wypiła kieliszek wina… a potem jeszcze kilka. W efekcie zaczyna opowiadać nam o pewnym słynnym pisarzu, którego znała i z którym mogła „raz czy dwa” się przespać, dopóki nie opisał postaci wzorowanej na jej osobie, co ją strasznie uraziło.

– Czy to był Kurt Vonnegut? – pyta Sebastian.

– Nie. – Greta kręci głową. – Przez jakiś czas był żonaty, więc nie powiem wam, jak się nazywa.

– Czy to Steinbeck? – pyta szczerzący się szelmowsko Nero.

– Nie! Ile według ciebie ja mam lat? – mówi oburzona Greta.

– Maya Angelou – rzucam z niewinną miną nazwisko poetki.

– Nie! Nie zgadujcie, wy małe, niegrzeczne bestie.

– Nie jesteśmy niegrzeczni – oznajmia Dante. – To sami znakomici pisarze. A gdybyśmy powiedzieli Dan Brown…? – zawiesza głos, patrząc uważnie na reakcję kobiety.

Uwielbiająca *Kod da Vinci* Greta ma już nas wszystkich serdecznie dość.

– Dość tego! – rzuca groźnie, wstając z miejsca. – Wrzucę wasz deser do śmieci!

Nero gorączkowo daje mi znać, żebym poszła do kuchni i uratowała znajdujące się w zamrażarce *semifreddo*[19], nim Greta spełni swoją groźbę.

W sumie dzień był tak wesoły, jak miałam nadzieję, że będzie, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę okoliczności. Jedyną osobą, która się nie cieszy, jest jak zwykle Sebastian. Robi wszystko, co w jego mocy, aby się uśmiechać, uczestniczyć w zabawach i rozmowie z resztą z nas, jednak widzę, że te wszystkie tygodnie bezczynności i utrata najbardziej ulubionej aktywności na świecie nie dają mu spokoju. Wygląda na wychudzonego i zmęczonego. Ma bladą twarz, zupełnie jakby mało spał.

Wiem, że nie chce, żebym go raz jeszcze przepraszała. Dobija mnie to, kiedy patrzę, jak próbuje chodzić o tych cholernych kulach wąskimi korytarzami i po licznych schodach.

Popołudnie szybko dobiega końca. Po zjedzeniu i sprzątnięciu ze stołu, Dante i Nero muszą wrócić do prac nad budową Oak Street Tower, Sebastian natomiast ma zajęcia z biologii.

Mogłabym zostać z ojcem, lecz wiem, że zamierza skończyć wino, przeglądając stare albumy ze zdjęciami. Wszystkie przedstawiają jego, mamę oraz moich braci, jak podróżowali po Sycylii, Rzymie, Paryżu oraz Barcelonie. Zostały zrobione, kiedy mnie jeszcze nie

było na świecie albo w najlepszym wypadku byłam niemowlakiem w wózku. Tylko mi przypominają o tym, co mnie ominęło.

Całuję więc ojca i proponuję – bo wiem, że i tak się nie zgodzi – że pomogę Grecie w zmywaniu naczyń, a potem idę do garażu po jeepa Nessy.

Do rezydencji Griffinów wracam po piętnastej.

Nie liczę na to, że zastanę tam kogoś spoza personelu. Kiedy Imogen nie zajmuje się rodzinnym interesem, rozszerza swoje wpływy w dziesiątkach organizacji charytatywnych, zarządach lub odbywa strategiczne spotkania z bogatymi i wpływowymi żonami najznamienitszych mieszkańców Chicago. Fergus, Callum oraz Riona pracują do późna, a Nessa niemal codziennie ma zajęcia – albo w Loyola, albo w Lake City Ballet.

Jednak kiedy wchodzę do kuchni bocznymi drzwiami, słyszę dwa męskie głosy.

To Callum i jego ochroniarz. Obaj siedzą na barowych stołkach, ich marynarki są przewieszone przez oparcia.

Nie wiem, o czym rozmawiają, ale od razu wpadam w szał na widok brutalnego karka, który jak już teraz wiem, nazywa się Jackson Howell Du Pont. Callum poznał go na studiach, podczas nauki w Lakeside Academy. Jack jest jednym z wielu potomków rodu Du Pont, którzy najpierw zbili fortunę na prochu, a później wynaleźli nylon, kevlar oraz teflon.

Na nieszczęście dla małego Jackiego, Du Pontowie odnieśli trochę za duży sukces, jeśli chodzi o szerzenie swojego nazwiska oraz genów, bo jest ich teraz około czterech tysięcy. Gałąź ich rodu, z której wywodzi się Jack, ledwo miała dość pieniędzy na opłacenie jego nauki w luksusowej szkole prywatnej, nie posiadając żadnych pasywnych dochodów. I tak oto biedny Jack został zredukowany do bycia kierowcą Calluma, załatwiania jego spraw, pilnowania jego tyłów i łamania od czasu do czasu kolan w jego imieniu. Tak jak to miało miejsce z moim bratem.

Nie tak dawno widziałam cienie pod oczami oraz nieszczęśliwy uśmiech Sebastiana i sprawia to, że mam ochotę wyrwać strunę z najbliższego fortepianu i zacisnąć ją wokół pierdolonego gardła Jacka. Callum rozsądnie trzyma swojego goryla z dala od posiadłości

i poza zasięgiem mojego wzroku. Jednak wydaje mi się, że nie spodziewał się, że wrócę tak wcześnie.

– Co on tu, do kurwy nędzy, robi? – warczę.

Zaskoczeni moim nagłym pojawieniem się Callum i Jack wstają.

– Spokojnie, Aido – mówi Callum, unosząc obie ręce w ostrzegawczym geście. – Było, minęło.

– Tak? – warczę. – Bo Sebastian wciąż kuleje. A ten pierdolony bokser, ochlejmorda, najwyraźniej wciąż znajduje się na twojej liście płac.

Jack przewraca oczami, podchodzi do leżącej na blacie miski z owocami i wyciąga z niej ładne, soczyste jabłko.

– Weź swoją sukę na smycz – rzuca do Calluma.

A on, ku mojemu zdziwieniu, opuszcza ręce i odwraca się do niego. Jego twarz pozostaje nieruchoma, lecz oczy aż płoną.

– Coś ty powiedział? – syczy do niego.

Dostrzegam słaby błysk metalu znajdującego się w wewnętrznej kieszeni marynarki Jacka. To Ruger LC8, który zamiast być bezpiecznie przytroczony do jego ciała, wisi wraz z marynarką na oparciu krzesła. Co za jebany amator.

Robię dwa kroki i znajduję się już przy stołku. Wyciągam z kieszeni broń. Sprawdzam, czy jest naładowana, po czym ją odbezpieczam i wprowadzam nabój do komory. Callum i Jack, niczym widzące światło na autostradzie jelenie zamierają, słysząc ten dźwięk.

– Aida! – rzuca ostro Callum. – Nie…

Z tym że ja już celuję w Jacka.

– Zostawiasz broń na widoku. – Cmokam językiem, kręcąc przy tym głową z udawaną dezaprobatą. – Bardzo niechlujnie, chłopczyku. Gdzieś ty się szkolił? W chicagowskiej Akademii Policyjnej? A może w college'u dla klaunów?

– Pierdol się, pyskata pizdo! – warczy Jack, błyskając zębami. Jego kanciasta twarz jest czerwona z wściekłości. – Gdybyś nie była jego żoną…

– To co? Zarobiłbyś kopa w zęby jak ostatnio? – parskam.

Jack jest tak bardzo wściekły, że pewnie gdybym nie mierzyła w jego pierś, to już by się na mnie rzucił.

Callum znajduje się w o wiele gorszym położeniu. Widzę, że z jednej strony jest wkurwiony, że dobyłam broni w jego kuchni i celuję w jego ochroniarza. Z drugiej natomiast nie podoba mu się sposób, w jaki Jack się do mnie odzywa. Ani trochę mu się to nie podoba.

– Aido, odłóż broń – rozkazuje.

Jednak to na Jacka patrzy z zimną furią w oczach.

– Zrobię to – mówię, opuszczając broń, aby lufa była skierowana w kolano Jacka. – Po tym, jak zapłaci za to, co zrobił mojemu bratu.

Właściwie to jeszcze nigdy nikogo nie zastrzeliłam. Wielokrotnie byłam z braćmi na strzelnicy. Zawieszaliśmy wycinki z gazet, czasami ludzkie sylwetki, a czasami postacie włamywaczy lub zombiaków. Umiem trafiać w klatkę piersiową oraz koncentrować strzały w jednym miejscu. Wiem, jak pociągać za spust, zamiast nim szarpać oraz jak zapanować nad odrzutem.

Dziwnie jest celować do żywej osoby. Widzę kropelki potu gromadzące się wzdłuż linii włosów Jacka. Patrzy na mnie, a jego prawe oko lekko drży. Zauważam, że klatka piersiowa mężczyzny nieustannie unosi się i opada. Może i jest wściekłym dupkiem, ale to wciąż żywy człowiek. Czy naprawdę zamierzam wpakować w niego kulkę?

Jack postanawia, że najlepszym sposobem na wyjście z tej sytuacji będzie próba ośmieszenia mnie. Może myśli, że to psychologia odwrócona. A może jest po prostu głupi.

– Nie zastrzelisz mnie – drwi. – Jesteś tylko rozpieszczonym, mafijnym bachorem. Pseudotwardzielką jak twój cipowaty brat.

Bardziej spostrzegawczy od Jacka Callum już wie, co zamierzam zrobić, zanim jeszcze zdążę się poruszyć.

Rzuca się po broń, unosząc moje ręce do góry w chwili, gdy pociągam za spust.

W ciasnej kuchni rozlega się zadziwiająco głośny huk. Mam wrażenie, że ogłusza nas, odbijając się echem od ścian.

Na skutek interwencji Calluma nie trafiłam w Jacka. Pocisk natomiast muska lewe ramię mojego męża, po czym wbija się w drzwi jednej z robionych na zamówienie cedrowych szafek Imogen.

Krew wsiąka w jego rękaw, niczym szkarłatny atrament w biały arkusz papieru. Callum ze stoickim spokojem patrzy na nią, przyglądając się obrażeniom, po czym wykręca mi rękę za plecami i mocno ją do nich przyciska.

– Powiedziałem „nie” – warczy mi wściekle do ucha.

– Ona próbowała mnie zastrzelić! – krzyczy z niedowierzaniem Jack. – Pociągnęła za spust! Ty paskudna suko! Zaraz cię…

– Zamknij pysk i go nie otwieraj! – warczy Callum.

Jack zamierza podejść do mnie, lecz zastyga w pół kroku. Na jego szerokiej, kwadratowej twarzy maluje się dezorientacja.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek odezwiesz się w ten sposób do mojej żony, to osobiście wpakuję w twoją pierś cały magazynek – oznajmia lodowatym tonem Callum.

Jack otwiera usta, jakby miał właśnie zaprotestować, jednak zamyka je, widząc minę Griffina.

Ja jej nie widzę, bo Callum cały czas w bolesny sposób wykręca mi rękę. Jednak czuję bijące od jego ciała ciepło. Po jego głosie słyszę, że mówi śmiertelnie poważnie. Każde wypowiedziane słowo było powiedziane na poważnie.

– Sz… Szefie, ty krwawisz – zauważa pokornie Jack.

W rzeczy samej, na podłodze obok lewej stopy Calluma tworzy się niewielka szkarłatna kałuża. Krew wsiąka w nieskazitelnie czystą fugę pomiędzy płytkami. To będzie kolejna rzecz, która naprawdę wkurwi Imogen.

– Sprzątnijcie to, proszę – rzuca Callum w stronę drzwi.

Zdaję sobie sprawę, że przynajmniej trzy osoby ze służby zaglądają do kuchni, próbując bez wpakowania się w tarapaty dowiedzieć się, co tu się, do cholery, dzieje. Linda, jedna z pokojówek, wydaje się być szczególnie zaniepokojona faktem, że Callum wykręca mi rękę. Zaglądający do kuchni przez okno Martino, architekt krajobrazu, wygląda tak, jakby go mdliło od widoku krwi na podłodze.

– Wracaj do domu – rozkazuje Jackowi Callum. – Rano do ciebie zadzwonię.

Skarcony Jack kiwa głową. Przechodząc obok mnie, nie nawiązuje ze mną kontaktu wzrokowego.

Spodziewam się, że Callum puści moją rękę, gdy Jack już zniknie. Przypuszczałam, że przytrzymywał mnie, aby mieć pewność, że znowu nie rzucę się na ochroniarza.

On tymczasem wyciąga mnie z kuchni na korytarz.

– Gdzie idziemy? – nalegam, jednocześnie próbując uwolnić nadgarstek z jego uścisku, który tylko przybiera na sile.

Ból przeszywa mi ramię, a ręka zdążyła już zdrętwieć. Objął mnie lewym ramieniem, zaciskając dłoń na mojej koszuli. Plecy mam przyciśnięte do klatki piersiowej Calluma. Przez to czuję, jak jego serce szybko i wściekle, niczym bęben wojenny, tłucze się mu w piersi.

– Możesz puścić, nie…

Szybko i mocno popycha mnie w stronę schodów, sprawiając, że moje stopy ledwo dotykają ziemi. Ciągle idzie naprzód, aż w końcu mijamy korytarz i wchodzimy do naszego pokoju. Dopiero wtedy puszcza mnie i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Odwraca się, a jego źrenice zwężają się niczym łebki szpilek, przez co oczy są bardziej niebieskie i chłodniejsze niż zazwyczaj. Już nie jest tak wampirycznie blady, ma zarumienioną skórę, a szczęki zaciska tak mocno, że praktycznie zgrzyta zębami.

– Słuchaj – mówię. – Wiem, że trochę…

Jednym krokiem pokonuje dzielącą nas odległość i bierze moje włosy w garść. Odchyla mi głowę w tył i zaczyna dziko całować.

To ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewała. Wszelkie nieposłuszeństwo natychmiast opuszcza moje ciało i z bezwładną ulgą padam mu w ramiona. Myślę, że mi wybaczył albo przynajmniej rozumie, dlaczego to zrobiłam.

Jednak natychmiast uświadamiam sobie, jak bardzo się myliłam. Gdy tylko nasze klatki piersiowe się stykają, czuję, że wciąż płonie i drży, a każdy mięsień pulsuje mu z wysiłku włożonego w tłumienie emocji.

Jego język wypełnia mi usta, a wargi ocierają się o moje z taką siłą, że niemal miażdży mi je tym pocałunkiem. Napiera ciągle z determinacją, mimo że już się poddałam. Dopiero kiedy kolana dosłownie się pode mną uginają, unosi mnie i stawia na podłodze obok łóżka.

Zaczyna zdejmować mi przez głowę koszulkę, a ja współpracuję i niczym dziecko podnoszę ręce. Jednak gdy koszulka jest już nad głową, Callum odchyla moje dłonie do tyłu, następnie używa jej, aby związać razem skrzyżowane nadgarstki.

Potem rozpina mi szorty i jednym silnym szarpnięciem zdejmuje je wraz z majtkami, opuszczając je na wysokość moich kolan.

Czuję się bardzo głupio, stojąc tak ze związanymi z tyłu rękami i równie skutecznie unieruchomionymi kostkami… dopóki nie będę chciała spróbować wyjść z szortów bez przewrócenia się na twarz.

– Callumie – mówię z wahaniem. – Czy możesz…?

On tymczasem zdejmuje krawat i podchodzi, trzymając go napiętego w dłoniach niczym garotę. Jestem nieco zaniepokojona, że zaraz mnie nim udusi. Zamiast tego knebluje mnie nim, urywając mi w połowie zdania, po czym wiąże go ciasno z tyłu mojej głowy.

Czuję na języku gładkość jedwabiu. Musiał być drogi.

Odnoszę niejasne wrażenie, że planuje mnie związać i zostawić tutaj jako karę za strzelanie do jego pracownika. Dopiero chwilę później uświadamiam sobie, że on wcale nie ma zamiaru nigdzie wychodzić. Siada na skraju łóżka i brutalnie wciąga mnie sobie na kolana. Rzuca na nie tak, że moja twarz zwisa przy jego goleniach, natomiast nagi tyłek wypina się ku górze.

W mgnieniu oka zdaję sobie sprawę, co on planuje i zaczynam się dziko wiercić i kręcić, starając się uwolnić stopy z szortów oraz krzyczeć przez knebel „ani mi się waż” chociaż to brzmi bardziej jak: „ai mi siewasz”.

Callum unosi wielką, silną dłoń i ze świstem opuszcza ją na mój pośladek. Rozlega się ostry trzask, niemal tak samo głośny, jak wystrzał w kuchni, a sekundę później czuję palący ból.

– Auuu! – krzyczę przez knebel.

PLASK!

Nawet nie wiedziałam, że znowu podniósł rękę, a on już mi daje kolejnego klapsa, uderzając dokładnie w to samo miejsce, tym razem jeszcze mocniej.

PLASK!

PLASK!

PLASK!

Jest okrutnie precyzyjny. Każdy cios ląduje dokładnie w tym samym miejscu na moim prawym pośladku, sprawiając, że mam wrażenie, jakby ktoś mi go polał benzyną i podpalił.

Próbuję kopać i zsunąć mu się z kolan, jednocześnie wykrzykując wszelkiego rodzaju przekleństwa. Callum lewą ręką między moimi łopatkami mocno przyciska mnie do kolan, z kolei prawą wciąż wymierza mi karę.

Toczę z nim wyjątkowo energiczny bój, a on warczy:

– Nie ruszaj się! Albo oberwiesz podwójnie!

Jego słowa sprawiają, że zaczynam jeszcze bardziej wierzgać. Jak on, kurwa, śmie dawać mi klapsy! Jak on śmie mi grozić! Gdy się uwolnię, zdzielę go dokładnie w ranę od kuli, a potem kopnę w bardziej bolesne miejsce.

PLASK!

Teraz uderza mnie w lewy pośladek. Więc dlaczego boli mnie to jeszcze bardziej? Jak on to robi, że bije mnie tak mocno? Jest niczym dżokej biczujący konia!

PLASK!

PLASK!

PLASK!

Nigdy wcześniej nie dostałam klapsów. Nie mogę uwierzyć w to, że mój tyłek płonie i pulsuje.

Kazał mi się nie ruszać, jednak nie jestem w stanie tego zrobić. Nie potrafię się powstrzymać i przed kolejnym ciosem zaciskam nogi i wiercę się na twardym wybrzuszeniu jego spodni.

To wszystko wpływa na mnie w pewien żenujący sposób.

W końcu jestem naga, a zaciskanie ciała i wiercenie się na cienkiej wełnie spodni Calluma wywołuje mnóstwo tarcia w pewnych bardzo wrażliwych miejscach…

Schowane w miseczkach biustonosza sutki są twarde jak skały. Czuję ciepło oraz wilgoć między udami. Nie widzę tego, ale podejrzewam, że moje policzki są równie rozpalone jak pośladki.

Przestaję walczyć, głównie dlatego, że nie chcę być przypadkowo bardziej podniecona, niż już jestem. Nie chcę również, aby Callum to zauważył. To takie cholernie upokarzające. Jeśli zda sobie sprawę, jak

to na mnie wpływa, to już nigdy nie będę w stanie spojrzeć mu w twarz.

Z tym że on już o tym wie. Jest taki cholernie spostrzegawczy. W chwili, gdy tylko przestaję z nim walczyć, gdy zaczynam inaczej oddychać, a moje ciało się napina, Callum przestaje mnie bić w tyłek. Na chwilę zamiera, a jego ciężka dłoń leży na moich pulsujących pośladkach.

A potem zaczyna je delikatnie ugniatać.

To masowanie jest nieziemsko przyjemne. Jest tak jak wtedy, gdy przed masażem ukradłam jedno ze specjalnych brownie Dantego i je zjadłam w całości. Każde ściśnięcie pośladka wysyła przyjemny impuls, wędrujący po moich neuronach i sprawiający, że zaczynają się świecić jak sznur świątecznych lampek.

Bezwiednie wydaję z siebie jęk i napieram udami na zewnętrzną część nogi Calluma.

– Podoba ci się? – warczy. Jego głos nigdy wcześniej nie był tak niski i szorstki.

Palcami tańczy po rowku mojego tyłka, wsuwa je pomiędzy uda, aby znaleźć potwierdzenie tego, co już i tak podejrzewa. Oczywiście z łatwością prześlizguje nimi po mokrej cipce.

– Tak myślałem – oznajmia szeptem.

Bez ostrzeżenia wbija we mnie dwa palce. Z mojego gardła dobiega głęboki, rozpaczliwy jęk. Wnętrze mojej małej jest nabrzmiałe i ciepłe, przez co te palce są najprzyjemniejszą rzeczą, jaka kiedykolwiek była we mnie. Mam wrażenie, że są dostosowane do moich potrzeb, mają supermoc i są jak na zamówienie, niczym jedna z pieprzonych szafek Imogen.

Callum porusza palcami, wysuwając i wsuwając je we mnie, rozkoszując się przy tym niespokojnymi, błagalnymi odgłosami, które wydaję zza knebla.

O mój Boże, chcę zostać zerżnięta.

Tak bardzo tego pragnę, że czuję, że dostawszy to, czego mi trzeba w ciągu najbliższych pięciu minut, mogłabym później umrzeć.

– Spójrz, co zrobiłaś. – Callum dotyka rannego ramienia. A kiedy zbliża opuszki palców do mojej twarzy, widzę, że lśni na nich świeża krew. – Mam tego dość, tych twoich odpałów – oznajmia. – Dzisiaj

dobiegają końca. Od teraz będziesz żoną, jaką mi obiecano. Pomocną. Przydatną. Posłuszną.

Wsuwając ręce pod moje ciało, Callum wstaje i unosi mnie z kolan. Następnie rzuca twarzą w dół na łóżko, z nadgarstkami wciąż związanymi z tyłu i ugiętymi kolanami, przez co wypinam tyłek ku górze.

Słyszę dźwięk rozsuwanego rozporka. Silne, ciepłe dłonie łapią mnie za biodra, prawa na moment się wycofuje i Callum kieruje kutasa na moje wejście, a potem na powrót kładzie mi dłoń na biodrze.

Jednym płynnym ruchem wbija się we mnie. Wchodzi tak głęboko, że udami uderza o mój tyłek. Trzyma mnie mocno, pozwalając żeby jego przyrodzenie było w pełni zanurzone tak głęboko we mnie, że czuję, jak główka penisa pulsuje, dotykając szyjki macicy.

Dopiero wtedy wysuwa się niemal do końca, po czym wbija we mnie z powrotem.

Robiąc to kilkukrotnie, pozwala mi docenić rozmiary jego kutasa. Dopiero potem zaczyna mnie mocno pieprzyć. Robi to coraz mocniej i szybciej, nasze ciała uderzają o siebie, wydając ostry dźwięk przypominający klapsy, z tym że jest szybszy i bardziej uporczywy.

Bycie tak bardzo podnieconą, a następnie tak agresywnie obsłużoną, jest po prostu takie… zadowalające. Niczym lody w upalny dzień lub rozwydrzony bachor, który przewrócił się na pysk. Jestem na szczycie zadowolenia. Ja nie tylko tego chcę, ja tego kurewsko potrzebuję.

Ale wtedy Callum naprawdę zaczyna mnie torturować.

Sięga pod moim biodrem do łechtaczki. Delikatnie drażni mnie opuszkami palców, po czym stopniowo zaczyna zwiększać nacisk.

Dyszę i jęczę prosto w knebel, wyginając biodra, żeby zwiększyć nacisk w odpowiednim miejscu.

Callum jednak nie daje mi tego. Wie, czego chcę, lecz ignoruje moje potrzeby.

Ciasno oplata mnie ramieniem, ciągle wbijając się we mnie coraz głębiej. Pochyla się i warczy mi do ucha:

– Będziesz grzeczną dziewczynką, Aido? Będziesz moją grzeczną żonką?

Jęczę, prawie błagam, ale nie chcę tego mówić. Niech go szlag, nie chcę tego mówić!

– Powiedz – naciska Callum. – Powiedz mi, że będziesz grzeczną dziewczynką.

Nie ma mowy.

Nie zrobię tego.

Zrobię to.

Potakująco kiwam głową, zaciskając mocno oczy.

Callum mocno napiera na łechtaczkę. Masuje mnie w takt pchnięć biodrami. Dotyka odpowiedniego miejsca i w odpowiedni sposób, sprawiając, że zaczynam mknąć w kierunku stratosfery.

Startujemy. Panie i panowie, opuściliśmy planetę, otaczają nas płonące gwiazdy.

Dryfuję, lecę, oddalam się na odległość miliona kilometrów, doświadczając przyjemności, jakiej nigdy wcześniej sobie nawet nie wyobrażałam. Surowej, rozpustnej, bezkresnej.

Tracę zmysły i nie jestem świadoma tego, co robi Callum. Po prostu odleciałam.

Wracam na ziemię dopiero, gdy Callum bierze mnie w ramiona i mocno obejmuje.

Zdążył już wyjąć mi z ust knebel i pozbyć się prowizorycznych więzów. Leżę naga na jego również nagiej piersi. Moje ciało unosi się i opada w rytmie jego oddechu. Przytula podbródek do mojej skroni.

Oddycha równo i spokojnie, a oplatające mnie ramiona są ciepłe i delikatne. Nie wiem, czy kiedykolwiek czułam, żeby był tak rozluźniony. Widziałam, jak był spięty i opanowany, lecz nigdy nie widziałam go spokojnego.

– Też tam zabrnąłeś? – pytam go minutę później.

Całuje mnie w skroń.

– Oczywiście.

– To było…

No właśnie, jakie? Szalone? Wstrząsające? Dziwne? Zapierające dech w piersiach? Niezapomniane?

– Wiem – odpowiada Callum.

Zapada długa cisza, lecz po chwili nie mogę się powstrzymać i pytam:

– Robiłeś to już wcześniej?

Kolejna pauza i myślę, że mi nie odpowie.

– Nie tak – mówi w końcu.

Dobry Boże.

Jestem dość pewną siebie dziewczyną. Sądziłam, że wiem, co lubię, a czego nie, ale być może przed chwilą odkryłam coś, co należy do zupełnie innej kategorii…

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– CALLUM

Aida leży w moich objęciach. Wciąż wydaje mi się, że jest zadowolona i rozpalona. Widziałem, że miała intensywny orgazm. Gdybym nie był tak rozkojarzony przez własne doznania, martwiłbym się o to, jak się po wszystkim czuje.

Już wcześniej wiązałem kobiety i ostro je posuwałem. Niektóre same o to proszą, z innymi po prostu eksperymentowałem. Pieprzenie niektórych dziewczyn było tak nudne, że równie dobrze można by było je związać, bo i tak po prostu leżą jak kłody.

We wszystkich tych przypadkach czułem się, jakbym udawał.

Z Aidą było zupełnie inaczej.

Z nią seks zawsze jest inny.

Kiedyś pieprzenie było po to, żebym sobie ulżył. To była rutynowa czynność, która może być dobra, zła lub neutralna.

Nigdy bym nie pomyślał, że podczas robienia tego, można czuć się tak dobrze… na tyle, że ta przyjemność przejmuje nad człowiekiem kontrolę. Nad jego ciałem oraz umysłem. To czysta, fizyczna przyjemność. Niesamowicie intensywna. O dziwo jest silniejsza niż to, do czego jestem przyzwyczajony.

A potem w grę wchodzą aspekty psychologiczne. Aida przyciąga mnie do siebie w niezrozumiały sposób. Zupełnie jakby ukształtowano ją zgodnie z jakimś tajemniczym kodem, który tkwi zakorzeniony w moim mózgu. Ten jej ciemny makijaż wokół oczu w kształcie migdałów. Obłędne krągłości jej ciała. Gładka skóra w kolorze cedru. Błysk zębów, kiedy się uśmiecha. Odruch przygryzania dolnej wargi, kiedy jest podniecona lub stara się powstrzymać śmiech.

Czy z nią to nie na jedno wychodzi? Uwielbia pasję w każdej postaci. Uwielbia być zła, uparta, radosna lub złośliwa. Nie podoba

się jej jedynie brak uczuć.

A ja, niestety, taki właśnie jestem. Zimny. Powściągliwy. Nie odczuwam przyjemności. Dopóki nie jestem przy niej, bo wtedy moje zmysły rozpalają się do czerwoności. Mam wyostrzony węch, smak oraz wzrok. To może być ciut za dużo.

Przeraża mnie to, że tracę przy niej panowanie nad sobą. Znam Aidę od zaledwie kilku tygodni, a już straciłem nad sobą kontrolę więcej razy niż przez te wszystkie lata.

Ale nie chcę, aby to się skończyło. Nie wyobrażam sobie powrotu do tej nudnej obojętności. Aida jest bramą do innego świata. Chcę, aby już zawsze była u mego boku.

Jezu, co ja wygaduję?

Nigdy wcześniej nie miałem takich myśli, nie mówiąc już o wypowiedzeniu ich na głos.

Jak to jest, że skupiam się na dziewczynie, która – szczerze mówiąc – postradała zmysły? Próbowała zastrzelić Jacka! W mojej kuchni! Gdyby do tego doszło w trakcie trwania kampanii, zostałbym koncertowo wyruchany. Jednak wcale bym się nie zdziwił, gdyby to zrobiła.

Muszę się uspokoić i przestać odchodzić od zmysłów.

Trwam w tym postanowieniu gdzieś przez pięć sekund. Potem przyciskam nos do jej włosów i zaciągam się jej dzikim zapachem. Pachnie niczym słońce, sól morska, czarna kawa, pieprz oraz odrobina słodkiego miodu. Znowu doświadczam tego wstrząsu, zastrzyku adrenaliny, który wyłącza wszystkie receptory przekazujące impulsy nerwowe.

Kiedy jej telefon zaczyna dzwonić, niemal dostaję zawału.

Aida, która zasnęła na moim ramieniu, budzi się gwałtownie.

– Kto to? – mamrocze.

– To twój telefon – odpowiadam.

W zabawnie niezdarny sposób stacza się z łóżka. Nawet nie sili się na to, aby zejść z niego z gracją, po prostu spada z materaca niczym panda. Potem zaczyna szukać telefonu, który ostatecznie znajduje pod łóżkiem.

– Dante? – rzuca, przykładając aparat do ucha.

Słucha go przez chwilę, a jej brwi ściągają się w grymasie, który przypomina normalny wyraz twarzy jej rozmówcy.

– *Cavalo!*[20] – krzyczy. – *Sie serio? Che palle*![21]

Nigdy nie słyszałem, aby Aida wypowiedziała więcej niż jedno czy dwa słowa po włosku. Zastanawiam się, czy w domu rozmawia w tym języku z rodziną. Oczywiście posługuje się nim niezwykle płynnie.

Aida ma wiele ukrytych talentów.

Nie doceniałem jej, kiedy się poznaliśmy. Brałem ją za rozpieszczoną, młodą, dziką, beztroską, niewykształconą i pozbawioną motywacji dziewczynę.

A jednak kilkukrotnie pokazała mi, że wie więcej o interesach swojego ojca, niż przypuszczałem. Kiedy chce, potrafi być bystra, spostrzegawcza oraz przekonująca. Jest też sprytna i zaradna. Wie, jak używać broni – o czym świadczy mój pulsujący bólem biceps. No i jest odważna jak diabli. To jak patrzyła na mnie, wyrzucając do wody zegarek mojego dziadka… to była skurwysyńska zagrywka, ale w rzeczywistości całkiem sprytnie to obmyśliła.

Nie miała z Sebastianem żadnych szans. Gdyby oddała mi zegarek, mógłbym ich oboje zastrzelić i odejść. Wrzucając go do jeziora, zmusiła mnie, abym działał instynktownie. Wywołując zamieszanie, rozdzieliła swoich przeciwników.

Aida może działa pochopnie i bywa wściekła, lecz nie wpada w panikę. Nawet teraz, rozmawiając ze swoim bratem, nie traci głowy, mimo że coś ewidentnie jest nie tak. Zbiera od niego informacje, odpowiada szybko i zwięźle.

– *Capisco. Si. Sarò lì presto*[22].

Rozłącza się i odwraca głowę w moją stronę.

W bladym świetle wpadającym przez żaluzje błyszczy niczym opalona bogini. Nie zauważa, albo też ma to gdzieś, że jest kompletnie naga.

– Dante mówi, że ktoś podpalił sprzęt na budowie Oak Street Tower. Straciliśmy maszyny za dwa miliony, plus to, co zniszczono w budynku.

– Jedźmy – rzucam, wstając z łóżka.

– Nie…. Chciałam tam jechać, ale ty nie musisz tego robić – mówi.

– Nie chcesz, żebym jechał? – pytam, zatrzymując się w progu między sypialnią a łazienką.

– Nie. To znaczy chcę, możesz jechać, ale nie… – Przestępuje nerwowo z nogi na nogę. Moja mała Aida nie wstydzi się nagości, ale rumieni się, gdy zapyta się ją wprost o to, czego chce.

– Jadę – rzucam stanowczo. – Teraz gramy w tej samej drużynie, prawda?

– Tak… – mówi, choć nie jest do końca przekonana.

Potem, wyglądając na nakłonioną do tego pomysłu, rusza za mną do pokoju, w którym schowałem jej ubrania. Zajęło mi to aż pięć minut.

Poleciłem Marcie, aby kupiła Aidzie odpowiednie, bardziej profesjonalne ubrania. Do końca tego tygodnia moja żona powinna mieć pełen komplet sukni, sukienek koktajlowych, spodni, letnich sukienek, kardiganów, bluzek, spódnic, sandałów, szpilek, kozaków oraz marynarek. A to, czy będzie chciała je nosić, czy też nie, to już zupełnie inna kwestia.

Na razie zakłada jeansowe szorty oraz starą koszulkę Cubsów[23]. Potem siada na dywanie, aby zawiązać trampki.

Ja tymczasem zakładam swoje ciuchy.

Zszokowana Aida unosi brew.

– Jeansy? – pyta, próbując ukryć uśmiech.

– I co z tego?

– Nigdy nie widziałam, żebyś nosił jeansy. No, chyba że to Balenciaga[24] – dodaje, przewracając oczami.

– Aido – mówię spokojnie. – Ja nie wybieram tych ciuchów, włącznie z jeansami. Nawet nie wiem, czym jest ten Balan… czy jak ta marka się nazywa.

– Co? – pyta, szeroko otwierając oczy. – Nie kupujesz sobie ciuchów?

– Nie.

– To kto to robi?

– Obecnie Marta. Wcześniej robił to inny asystent, Andrew. Ustalamy kwestie estetyki, a potem…

– Więc nigdy nie byłeś w centrum handlowym?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie powinniśmy wychodzić? – pytam.

– No tak! – Aida zrywa się na równe nogi. A kiedy pospiesznie schodzimy na dół, wciąż wierci mi dziurę w brzuchu: – A co, jeśli nie spodoba ci się kolor albo…

Wpycham ją do samochodu, mówiąc:

– Aido, pracuję dosłownie non stop. Albo zajmuję się prowadzeniem kampanii, albo zajmuję się którymś z naszych licznych interesów. Jak wiesz, niektóre z nich są bardziej skomplikowane i bardziej niebezpieczne od innych. Jak już się z kimś spoufalam, to robię to wyłącznie na imprezach, na których muszę nawiązywać korzystne znajomości. Nie pamiętam, kiedy ostatnio sam załatwiłem jakąś sprawę lub zrobiłem coś dla frajdy.

Aida przez chwilę siedzi cicho. Milczy o wiele dłużej niż zazwyczaj, po czym mówi:

– To smutne.

Parskam, kiwając głową.

– Lubię być zajęty. To nie jest smutne, to celowe działanie.

– Ale jaki w tym sens? – pyta. – Skoro po drodze nie możesz się dobrze bawić.

– No cóż – odpowiadam, zerkając na nią z ukosa – nie uważam maratonów *Władcy Pierścieni* za takie fajne.

Nie mogę się powstrzymać od delikatnego szturchnięcia jej łokciem, bo doskonale zdaję sobie sprawę, że Aida często się nudzi lub bywa niedostatecznie pobudzona. I właśnie dlatego pakuje się w tarapaty.

Oczywiście, nie odpowiada mi w swój zwykły nonszalancki sposób. Zamiast tego przygryza paznokieć. Jest bardziej zamyślona niż zirytowana.

– Stać mnie na więcej – oznajmia.

– Tak się składa, że wiem o tym – odpowiadam.

Zerka na mnie, chcąc sprawdzić, czy z niej nie drwię.

Nie drwię.

– Widzę, jaka jesteś mądra. Przejrzałaś Madeline Breck lepiej niż ja – oznajmiam.

– Mam sporo dobrych pomysłów – mówi. – *Papà* zawsze bardzo się bał, że zrobię sobie krzywdę. A ja jestem tak samo mądra jak Dante lub Nero. Albo Seb. Jestem wystarczająco sprytna, aby nie dać się zabić.

– Tak długo, jak potrafisz nad sobą zapanować – mówię z półuśmiechem.

– Ja nie… – zaczyna gwałtownie, lecz urywa, zauważając, że się z nią droczę. – Nie wściekam się – mówi z godnością. – Nie wiesz, jak to jest ciągle być tym najmniejszym wilkiem w stadzie. Muszę najmocniej zaatakować i zrobić to jako pierwsza. Nigdy nie byłam szczególnie delikatna. Nie byłam i nie mogę taką być.

Nie wyobrażam sobie jej w delikatnym wydaniu. To by ją pozbawiło uroku.

– W każdym razie – dodaje szybko – nadal nie wiem, dlaczego chcesz zostać radnym. Griffinowie są bogatsi niż sam Bóg. Macie przyjaciół w całym mieście. Wasze terytorium jest chronione. Czemu, do cholery, chcesz siedzieć w biurze i zajmować się tymi wszystkimi pierdołami?

– Jak myślisz, dlaczego ludzie wydają pół miliona dolarów na kampanię podczas wyścigu o fotel radnego, skoro pensja na tym stanowisku wynosi 122 tysiące dolarów? – pytam.

– Cóż, oczywiście możesz namieszać z zagospodarowaniem przestrzennym oraz prawem podatkowym i dopasować je do swoich interesów, a także możesz wyświadczać przysługi innym ludziom.

– Oczywiście – mówię, zachęcając ją do dalszego zgadywania.

– Ale wydaje mi się, że to nie jest warte zachodu. To wszystko możesz osiągnąć za pomocą łapówek lub handlem przysługami. Albo dobrą staroświecką przemocą.

– Ale zawsze się jest na czyjejś łasce, na przykład jakiegoś nieprzekupnego detektywa albo chciwego polityka, któremu ktoś zaoferował lepszą ofertę – mówię. – Funkcjonujący system nie jest mocą, jest nią rządzenie tym systemem. A nawet lepiej… tworzenie go.

Zatrzymuję się, przypominając sobie to i owo z pokrywającej się historii naszych rodzin.

– Pamiętasz, jak miastem rządzili Włosi? – pytam. – Capone miał burmistrza na swojej liście płac. Wyobraź sobie, co by było, gdyby Capone był burmistrzem. Albo gubernatorem. Albo pierdolonym prezydentem.

– Nie podoba mi się to, że mówisz w czasie przeszłym o dniach naszej chwały – mówi z ciężkim sercem. – Ale wiem, o co ci chodzi. To tłumaczy, dlaczego twój ojciec chciał, aby nasze rodziny doszły do porozumienia. W grę nie wchodzą bieżące wybory. Chodzi o następne. Naprawdę nas potrzebujecie, jeśli chcecie rządzić całym miastem.

– Owszem – odpowiadam cicho.

Podjechaliśmy pod wieżę, której wybudowany do połowy szkielet wznosi się ku niebu. Zniszczone zostało tylko kilka dolnych pięter. Na placu budowy panuje istny rozgardiasz, pełno tu ciężkich maszyn, stosów materiałów budowlanych, są tu również prowizoryczne biura, toi toie i zaparkowane ciężarówki.

Całe to miejsce otulałby mrok, gdyby nie stojące w północnej części samochody. Światła oraz stroboskopy wozu strażackiego, dwóch karetek oraz kilku radiowozów rozświetlają plac. Dante rozmawia z umundurowanym oficerem, natomiast kolejny gliniarz sporządza notatki, rozmawiając z poturbowanym, zabandażowanym ochroniarzem. Zakładam, że to strażnik, który był na służbie, w chwili gdy ktoś podpalił maszyny.

W powietrzu unosi się smród benzyny i zwęglonego metalu. Co najmniej cztery ciężkie maszyny są nie do odratowania, w tym dwie koparki, koparko-ładowarka i dźwig. Ze sczerniałych kadłubów wciąż unosi się dym, a ziemia pod nimi za sprawą strażackich węży przypomina błotniste bajoro.

– To ten jebany polaczek, wiem o tym. – Słyszę dobiegający z przeciwnej strony głos Aidy.

Z ciemności, cicho niczym nietoperz, wyłania się Nero.

Jest szybki i cholernie sprytny. Prawdopodobnie mógłby wyciągnąć zza pasa najbliższego gliniarza broń, a ten zauważył jej brak dopiero wtedy, kiedy miałby zamiar go rozbroić.

– Skąd ta pewność? – mruczy w odpowiedzi Aida. Ścisza głos, bo nie chcemy zwracać na siebie niczyjej uwagi. Ja, bo nie chcę, żeby

kojarzono moje nazwisko z tą sprawą, a Nero, ponieważ ma w chuj – albo i jeszcze więcej – nieopłaconych mandatów.

– To ich wizytówka – oznajmia. – Oni są jak Rosjanie, z tym że są bardziej szaleni. Uwielbiają urządzać przedstawienia i kochają symbolikę. Poza tym – kiwa głową w stronę dźwigu, u stóp którego tli się poczerniały kształt – zostawili to.

– Co to jest? – szepcze Aida.

Jej twarz robi się blada. Wiem, że myśli o tym samym co ja – to coś wygląda jak kawał surowego, popękanego i zwęglonego mięsa.

– To łeb knura – oznajmia Nero. – Wizytówka Rzeźnika.

Podchodzi do nas Dante, jest cały umazany od sadzy, jego twarz jest prawie cała czarna. Pot pozostawił widoczne jasne smugi na porośniętych szczeciną policzkach. Mężczyzna ma czarne błyszczące oczy, od których odbijają się migające światła policyjnych stroboskopów.

– Ochrona mówi, że to jakaś banda gnojków. Zrozumieliśmy prawdę przed przyjazdem policji. Na szczęście strażacy byli od nich szybsi, bo inaczej stracilibyśmy pół budynku.

– Nie chcesz, by wiedzieli, że to Zając? – pytam.

– Nie chcemy, żeby wiedzieli o naszych interesach, koniec kropka – odpowiada Dante. Właściwie to patrzy na Aidę pytająco, jakby chciał wiedzieć, co ja tu robię.

– Chciałem tu przyjechać – informuję go. – Czuję się za to odpowiedzialny, bo to ja zdenerwowałem Zająca podczas bankietu.

– I tak się na nas uwziął – odpowiada, szybko kręcąc głową. – Już dwukrotnie dał nam po dupie, gdy jego ludzie wkradli się na nasze terytorium. Okradali naszych dostawców oraz obrabowali banki w naszych dzielnicach.

– To oczywiste, że chce popaść w konflikt – mówi Dante. Jego głęboki, dudniący głos przypomina silnik na jałowym biegu. – Powinniśmy…

Jednak jego propozycja zostaje przerwana przez następujący po sobie huk wystrzałów z broni półautomatycznej. Odgłos ten kojarzy się z wybuchami petard „pchełek”, lecz sto razy głośniejszymi. Obok nas z rykiem silnika przejeżdża czarny land rover, a z otwartych

okien wychyla się trzech mężczyzn. Błyski luf oświetlają ich zamaskowane twarze.

Gdy tylko rozlegają się strzały, bracia Aidy rzucają się, aby spróbować ją otoczyć. Ale ja już zdążyłem wziąć ją w ramiona i ciągnę ją za koło stojącej najbliżej ciężarówki.

Znajdujący się na placu policjanci krzyczą, rzucają się w poszukiwaniu schronienia oraz wzywają wsparcie przez krótkofalówki. Kilku z nich kuli się za samochodami i nawet próbuje odpowiedzieć ogniem, lecz SUV, który zasypał gradem kul cały parking, zdążył już zniknąć za rogiem.

Jeden z policjantów dostał w pierś. Dzięki kamizelce kuloodpornej jedynie poleciał w tył i uderzył o zderzak swojego wozu. Inny funkcjonariusz miał nieco mniej szczęścia i dostał w udo. Jego partner, wzywając medyka, ciągnie go za stos pali fundamentowych.

– Oberwaliście? – pyta Dante, warcząc do nas.

– Nie – natychmiast odpowiada Nero.

– A ty? – pytam Aidę, przesuwam dłońmi po jej nagich ramionach oraz nogach, chcąc się upewnić, że nie została ranna.

– Nic mi nie jest – odpowiada stanowczo.

Ponad łomotem krwi w uszach i szaleńczą eksplozją neuronów próbuję wreszcie skupić się na własnym ciele. Wygląda na to, że mnie również nie postrzelili.

– Nic nam nie jest – informuję Dantego.

– Widzieliście któregoś ze strzelców? – pyta.

– Mieli zasłonięte twarze – odpowiadam. – Myślę, że u jednego widziałem złoty zegarek. Ale to mało przydatna informacja.

– Tablica rejestracyjna ich wozu kończyła się na 48996 – wypala Aida.

– Jak ją zobaczyłaś? – pyta Dante.

– Jestem niższa, więc zwracam uwagę na inne detale – odpowiada, wzruszając ramionami.

– Popieprzony sukinsyn! – mówi Nero, ze zdumieniem kręcąc głową. – On naprawdę chce, żebyśmy go rozjebali, co?

– Próbuje nas sprowokować, byśmy mu odpowiedzieli – zauważa Dante, marszcząc brwi.

– Nie wstawaj! – rzucam ostrym tonem, widząc, że Nero chce się podnieść. – Nie wiemy, czy wysłali tylko jeden wóz. Gdzieś może być kolejny. Albo gdzieś mogli rozstawić innych strzelców. – Kiwam głową w stronę niezliczonych okien wieżowców otaczających plan budowy.

– Nie możemy tu zostać – mruczy Aida. – Gliniarze przeszukają cały teren. O ile nie są tacy głupi i nie odnotują tego jako zbiegu okoliczności, to podejdą do tej sprawy znacznie poważniej.

Powoli przemykamy na drugą stronę placu, ruszając w stronę samochodu Nero. Zaparkował najbliżej, w najsłabiej oświetlonym miejscu.

Siedzimy w jego aucie ściśnięci jak sardynki, żeby Nero mógł podrzucić mnie i Aidę za róg, tam, gdzie zostawiliśmy mój wóz.

– Nie możemy działać pochopnie – oznajmia Dante. – Zając może próbować zarzucić na nas przynętę, żebyśmy szybko wzięli odwet. Musimy przeczekać dzisiejszą noc. Musimy wykombinować, jak mu odpowiemy. Aido, powinnaś wrócić z nami do domu.

– Zostanie ze mną – rzucam natychmiast.

– Nie wiemy dokładnie, kto jest celem Rzeźnika – mówi Dante, marszcząc brwi. – Zaatakował nasz plac budowy, ale był na twoim bankiecie. Nie wiemy, czy chodzi mu o Aidę, czy o ciebie. A może o oboje.

– Właśnie – przytakuję. – Dlatego Aida powinna zostać ze mną. Z moją rodziną będzie bezpieczniejsza, jeśli okaże się, że jego ataki są wymierzone w waszą.

– Co dokładnie Zając wam powiedział? – pyta Dante.

Po krótce streszczam im całą rozmowę.

– Nie wiem, czy on naprawdę chce dostać CTA, czy tylko mnie sprawdzał. Właściwie, to on wydawał się być bardziej wkurzony ślubem. Myślę, że spróbuje się z nami rozprawić, póki nasz sojusz nie został jeszcze scementowany.

– Możliwe – mówi Dante, marszcząc czoło w zamyśleniu. – Rzeźnik jest drażliwy i niesamowicie dumny, łatwo go można urazić. Prawdopodobnie wkurza się, że to właśnie jemu nie zaoferowaliśmy w pierwszej kolejności ręki Aidy.

– Kurwa, obrzydliwe – wtrąca się moja żona. – Po pierwsze, to stary cap. Po drugie, co ja, dziwką jestem?!

– Tak czy siak, jest już za późno – warczę. – Jesteś moja. Jeśli wymyślił sobie jakąś nagrodę pocieszenia, to cokolwiek by to nie było, i tak tego nie dostanie.

– Nadal myślę, że Aida powinna jechać z nami – mówi Dante. – Znamy Rzeźnika lepiej od ciebie.

– Nie ma mowy – mówię stanowczo. Nie spuszczam Aidy z oczu.

Dante krzywi się, nie jest przyzwyczajony do tego, że ktoś sprzeciwia się jego poleceniom. Ale nie chodzi tu o jego ego. Widzę po jego twarzy, że troszczy i boi się o Aidę. A to sprawia, że nieco spuszczam z tonu.

– Będą ją chronić – obiecuję.

Brat Aidy nieznacznie kiwa głową. Wierzy mi.

– Przeżyjemy dzisiejszą noc – powtarza Dante. – A rankiem odkryjemy, gdzie Zając się ukrywa, i opracujemy plan, jak mu odpowiedzieć.

– To będzie skoordynowana odpowiedź – kwituję.

– Owszem – przytakuje mężczyzna.

Wysiadamy z Aidą z samochodu i przesiadamy się do mojego audi. Zauważam, że Dante wciąż niechętnie pozwala siostrze odjechać ze mną.

Jednak osobą, która go do tego przekonuje, jest sama Aida.

– Z Callumem będę bezpieczna – oznajmia. Szybko przytula najstarszego brata i ściska ramię Nero. – Widzimy się wkrótce.

– Cieszę się, że zostałaś ze mną – mówię, nie patrząc na nią, kiedy ruszam autem.

Aida przechyla głowę i patrzy na mnie.

– Chciałabym, żebyśmy byli partnerami – oznajmia. – A nie wyłącznie… współlokatorami z przymusu.

– Również tego chcę – mówię.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić. Ale taki stan rzeczy już nie wydaje się być nierealny. Zaczynam wierzyć, że oboje z Aidą naprawdę możemy pracować ramię w ramię. Razem. Razem możemy być silniejsi niż osobno.

Aida wzdycha.

– Z pewnością uderzy tam, gdzie nas zaboli – mówi.

– Ponieważ wieża to takie duże przedsięwzięcie? – pytam.

– Nie. Nie chodzi o pieniądze, tylko o pracę. Musimy dbać o stały przepływ zamówień z przeróżnych branż oraz związków, aby wciąż byli wobec nas lojalni. Materiały, miejsca pracy… Jeśli nie możesz nakarmić całej machiny, to wszystko staje w miejscu. Naturalnie – patrzy na mnie z ukosa – w tej machinie są również i inne tryby. Dostawy, w których jest nie tylko drewno. Firmy piorące pieniądze dla innych firm. To sieć, gdzie wszystko jest ze sobą połączone i zależne od sprawnego działania poszczególnych trybów.

– My działamy w ten sam sposób. – Przytakuję skinieniem głowy.

Nasze interesy może i są różne, ale korzystamy z bardzo podobnej strategii.

– Wybory są już za kilka dni – duma Aida. – Zastanawiam się, czy Zając też spróbuje je storpedować.

Zaciskam dłonie na kierownicy.

– Jeśli spróbuje to zrobić, to tym razem Rzeźnik znajdzie się po drugiej stronie tasaka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

– AIDA

Nazajutrz muszę wyjść wczesnym rankiem, aby pójść na zajęcia z literatury, których nie chcę przegapić. W tym semestrze wzięłam się w garść i udaje mi się wszystko zaliczać. Myślę, że nadeszła pora, aby przestać się pieprzyć i skończyć te studia.

Callum nie chce, żebym gdziekolwiek jechała, dopóki sprawa z Zającem się nie wyklaruje, jednak ustępuje pod warunkiem, że jeden z jego ludzi będzie woził mnie i Nessę.

Niestety, jedyną wolną osobą jest Jack.

Z rozkazu Calluma z wymuszoną uprzejmością otwiera dla mnie drzwi do samochodu, jednak zarówno od niego, jak i ode mnie aż biją fale obrzydzenia. Napięcie w samochodzie jest tak duże, że biedna zdezorientowana Nessa siedzi z szeroko otwartymi oczami i czuje się zbyt nieswojo, żeby jak zwykle zalać nas potokiem radosnych słów.

– Więc… eee… wiedzieliście, że dzisiejszego wieczoru ma być deszcz meteorytów? – pyta nas.

Jack chrząka coś zza kierownicy.

Patrzę na tył jego głowy, zastanawiając się, czy nie warto grzmotnąć go w ucho i wywołać kolejną awanturę z Callumem. Nie zdążę jednak tego zrobić, bo w tej właśnie chwili podjeżdżamy pod kampus.

– Co? – pytam Nessę.

– Mówiłam, że… och, nieważne.

Jack z wzrokiem wbitym przed siebie zostawia nas przed budynkiem biblioteki Cudahy i czeka, aż wysiądziemy z auta.

– Dziękuję, Jack – mówi grzecznie Nessa.

– Taaa, dzięki Jeeves[25] – mamroczę, ruszając w stronę drzwi.

Widzę bielejące mu na kierownicy knykcie i słyszę, jak zgrzyta zębami.

Aby go jeszcze bardziej zdenerwować, trzaskam za sobą drzwiami, a potem idę na zajęcia z nadzieją, że Jack będzie zbyt wkurwiony, aby mnie z nich odebrać.

Podczas zajęć ciągle zerkam na telefon, chcąc zobaczyć, czy któryś z braci do mnie pisał. Albo Cal. Wiem, że polują na Rzeźnika.

Mam nadzieję, że cokolwiek robią, trzymają się razem. Zając mnie przeraża. Wiem, skąd pochodzi. Jest różnica między dorastaniem w przestępczej rodzinie a walką podczas wspinania się na wyższe szczeble przestępczego świata. Rzeźnik bawi się w to, aby albo wygrać, albo zginąć. On nie uznaje żadnych kompromisów.

Dlatego cieszę się, że moi bracia nie są sami. Chociaż wkurza mnie to, że po raz kolejny zostałam wykluczona z wzięcia udziału w akcji. Dzisiejszego ranka chciałam zażądać, aby Cal zabrał mnie ze sobą, lecz odmówił, nim cokolwiek zdążyłam powiedzieć.

– Nie, Aido. Nie mam pojęcia, gdzie jest Rzeźnik i jak daleko się posunie. Gdziekolwiek pójdziemy, możemy wpaść w zasadzkę.

– Więc czemu *ty* tam jedziesz? Wyślij kogoś innego. Na przykład Jacka – oznajmiłam z nadzieją.

– To nie jest zadanie dla chłopca na posyłki. Zając nie pierdoli się w tańcu. Zeszłej nocy nie strzelał wyłącznie do nas, postrzelił dwóch gliniarzy. Nie mam pojęcia, jak daleko ma zamiar się posunąć.

– Znam ludzi, którzy znają jego podwładnych. Mogę pomóc – upierałam się.

Callum złapał mnie za ramię i zrobił to na tyle mocno, abym poczuła ból. Wbił we mnie te swoje wąskie, przeszywające na wylot niebieskie oczy.

– Aido, trzymaj się od tego z daleka. Klnę się na Boga, że prędzej zamknę cię na miesiąc w szafie, niż pozwolę łazić po Little Ukraine i rozmawiać z barmanami oraz striptizerkami.

Ilekroć ktoś mówi mi, że czegoś *nie mogę* zrobić, sprawia to, że jestem sto razy bardziej zdeterminowana, aby to zrobić.

Callum dostrzegł błysk buntu w moich oczach i tylko westchnął, puszczając moje ramię.

– Obiecuję ci, że zadzwonię do ciebie, gdy tylko się czegoś dowiem.

– Albo napiszesz – nalegałam.

Odpowiedział mi skinieniem głowy.

– Obiecuję.

Więc pozwoliłam mu jechać, ale nie poszłam od razu na zajęcia, tylko zawędrowałam do Little Ukraine. Gdybym chciała uzyskać informacje o Rzeźniku, to wcale bym tam nie poszła. Rozejrzałam się, po czym wróciłam do szkoły. Mam o wiele lepszy trop niż ten nędzy klub.

Lecz teraz utknęłam na zajęciach z literatury porównawczej, zupełnie ignorując analizę postaci feministycznych w powieściach Jane Austen. Za to zastanawiam się, co chciał przekazać mi Nero w treści tego SMS-a:

Znaleźliśmy strzelca. Dostałem też cynk na temat tego starego drania.

Odpisuję mu, lecz nie dostaję od niego kolejnej wiadomości.

Zajęcia nagle dobiegają końca – a przynajmniej tak mi się wydaje, bo przez ostatnich kilka minut wyglądałam przez okno i teraz jestem rozkojarzona.

Zgarniam stos podręczników, nawet nie zawracając sobie głowy, by je schować do torebki, po czym wychodzę na dwór i idę przez kampus w stronę zachodniego parkingu, gdzie mam się spotkać z Nessą i naszym paskudnym szoferem.

Jestem już niemal we wskazanym miejscu, gdy słyszę męski głos:

– Młoda damo, trzeba ci pomóc nieść te wszystkie książki?

Przez chwilę myślę, że to Callum. Nie wiem dlaczego – on nie robi takich błahych rzeczy, jak zaoferowanie pomocy przy niesieniu czegoś. Gdy się odwracam, zamiast mojego męża, zauważam opaloną, uśmiechniętą twarz Olivera. Ma siniaki w miejscach, które Callum okładał pięściami. Przez środek jego wargi biegnie ciemna linia, wskazując miejsce, w którym pękła skóra.

– Och, to ty – mówię rozdrażniona.

– Nie liczyłem na aż tak entuzjastyczne powitanie – oznajmia idący obok mnie Oliver.

– Co ty tu robisz? – naciskam na niego. Skończył już naukę i nie ma po co się tu kręcić.

– Przyszedłem, aby z tobą porozmawiać.

Potykam się o schowany w trawie kamień i czuję, jak moja kostka przekręca się w mało przyjemny sposób.

– Auć! Kurwa! – syczę, delikatnie kulejąc.

– Ostrożnie – rzuca Oliver, łapiąc mnie za łokieć.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, próbując strącić jego rękę. Tyle że teraz coraz mocniej kuleję. Nie wydaje mi się, żeby kostka była zwichnięta, ale to na tyle delikatna i słaba część ciała, że przez chwilę trzeba obchodzić się z nią jak z dzieckiem.

– Chodź tutaj – mówi. – Usiądź na chwilę.

Prowadzi mnie z parkingu w stronę podziemnego przejścia, na którego końcu znajduje się kamienna ławka, częściowo skryta pod betonowym występem.

Oliver jest taki duży i władczy, że nie mam siły, aby go odepchnąć bez robienia sobie krzywdy. Opadam na ławkę, a on siada obok i zajmuje sporo miejsca, czym niemal zmusza mnie, bym objęła go ramieniem. Czuję zapach wody kolońskiej, której zawsze używa. To przyjemna woń, lecz również trochę przytłaczająca.

– Nie mogę tu zostać – oznajmiam. – Ktoś po mnie przyjeżdża.

On tymczasem zdejmuje moją tenisówkę i zaczyna gładzić moją kostkę, starając się ją rozmasować.

– Chwilę może zaczekać – mówi Oliver.

Unosi moją obolałą stopę i kładzie ją sobie na kolanach, po czym kontynuuje ugniatanie i masowanie mojej kostki. To miłe uczucie, jednak nie chcę, żeby strzelił mu do łba jakiś głupi pomysł. Dlatego też po minucie mówię:

– Wystarczy, dziękuję. – Po czym cofam stopę.

Oliver patrzy na mnie tymi swoimi dużymi, piwnymi oczami, a na jego twarzy maluje się wyrzut.

– Aido, bardzo mnie zraniłaś tym, co zrobiłaś. Czy wiesz, jak bolesne było zobaczenie twojego zdjęcia na pierdolonym Facebooku w tej cholernej sukni ślubnej? Patrzenie, jak stoisz obok *niego?*

Biorę głęboki wdech, starając się zachować cierpliwość.

– Przepraszam, Oliverze. To było tak nagle. Sama byłam tym cholernie zaskoczona.

Nie wiem, jak mu to wyjaśnić bez zdradzania zbyt wielu szczegółów. Jedyne, co mogę powiedzieć, to kiepskie:

– Nie zrobiłam tego, żeby cię skrzywdzić.

– Ale to zrobiłaś. Ciągle mnie krzywdzisz. Zabijasz mnie każdego dnia.

Wypuszczam powietrze z płuc. Czuję się zarówno winna, jak i zdenerwowana. Oliver potrafi nieco… dramatyzować.

– Nawet nie wiedziałem, że się z nim spotykasz! – mówi z wyrzutem.

Zaciśniętą pięścią podpieram czoło. Kostka u nogi wciąż pulsuje bólem. Siedzimy z dala od promieni słonecznych i blisko chłodnego, cementowego tunelu, co sprawia, że jest mi trochę zimno.

Naprawdę źle mi z tym, że w taki sposób rzuciłam Olivera. To było najdziwniejsze. W sumie to nigdy niczego złego nie zrobił. Zabierał mnie na wycieczki, kupił mi z tysiąc prezentów, opowiadał, jak strasznie jest mną zauroczony.

Zaczęło się od przelotnego romansu. Nie sądziłam, że jakiś dziany superkapitalista z klubu country będzie tak agresywnie mnie nagabywać. Myślałam, że Oliver po prostu chciał się pieprzyć ze złą dziewczyną. Że jest zmęczony Medisonkami i Harperkami, które nie patrzyły mu w oczy podczas robienia loda.

Dwa lata temu przypadkiem byliśmy na tej samej imprezie. Po pijaku całowaliśmy się w hangarze na łodzie, a on potem próbował wsadzić mi rękę do majtek od bikini, za co wepchnęłam go do jeziora.

Kilka tygodni później spotkaliśmy się ponownie, tym razem na imprezie w Wicker Park. Pieprzył mi głupoty na temat sytuacji nad jeziorem, a ja mu odpowiedziałam, że ma szczęście, że byliśmy nad wodą, a nie wspinaliśmy się po górach.

Następnego dnia przysłał do domu mojego ojca bukiet składający się z trzystu różowych róż.

I tak to było od tamtej pory. Uganiał się za mną, siląc się na zrobienie dobrego wrażenia, oryginalne gesty, na które przez jakiś czas przystawałam. Kolacje, tańce, weekendowe wyjazdy. Tylko że nie traktowałam tego poważnie. Wątpiłam w to, że chciałby przyprowadzić do domu córkę gangstera i przedstawić ją panu i pani

Castle. Nawet w towarzystwie przyjaciół widziałam, że był dumny i się mną popisywał, czasami się denerwował, zupełnie jakbym mogła wyciągnąć z kieszeni nóż sprężynowy i kogoś nim dźgnąć.

Kusiło mnie raz czy dwa, aby to zrobić. Znałam niektórych z jego przyjaciół z racji tego, że oboje obracamy się w tych samych kręgach imprezowych, kryminalnych oraz mamy styczność z tymi zamożnymi spadkobiercami Chicago.

Nie wszyscy byli źli. Ale niektórzy potencjalni członkowie elit społecznych sprawili, że chciałam przekłuć sobie bębenki tylko po to, by nie słuchać ich głupot.

Poza tym trochę przeraziło mnie to, kiedy po kilku tygodniach Oliver oznajmił, że mnie kocha. Nazywał mnie boginią, aniołem, mówił, że jestem jedyną prawdziwą osobą na Ziemi.

To dziwne, bo wcale nie jestem aniołem.

Mówił, że jesteśmy bratnimi duszami, lecz dla mnie był tylko kolejnym facetem – czasem zabawnym, czasami dobrym w łóżku, ale ledwo bym go określiła mianem chłopaka, a już na pewno nie najlepszego przyjaciela czy bratniej duszy.

Miałam wrażenie, że Oliver w ogóle mnie nie zna. Jakby w jego głowie tkwiła przerysowana wersja mnie, którą pokochał.

Kilkukrotnie próbowałam z nim zerwać, ale łaził za mną, znajdował mnie na każdej imprezie i błagał, żebym do niego wróciła. Raz nawet poleciał na Maltę, żeby zrobić mi niespodziankę podczas wycieczki. Potrafił być przekonujący. To przystojny, taktowny, całkiem przyzwoity kochanek. Kiedy panował u mnie okres samotności, z łatwością sprawiał, że znowu wpadałam w jego ramiona.

Jednak wiedziałam, że muszę z nim zerwać na dobre. Bo jeśli naprawdę mnie kochał, nie mogłam tego przeciągać – nie, skoro nie czułam tego samego do niego.

Dlatego też w końcu go rzuciłam. Zrobiłam to tak brutalnie i ostatecznie, jak tylko byłam w stanie. Starałam się sprawić, aby w końcu przyjął to do wiadomości.

Potem przez kilka miesięcy musiałam żyć jak pustelniczka. Bez chodzenia na przyjęcia, kolacje, tańce, a nawet pieprzone kręgle, bo

wiedziałam, że Oliver będzie pilnował, aby znaleźć sposób na to, by znowu „wpaść na mnie".

Musiałam go wszędzie zablokować i zmienić numer telefonu. Wreszcie, po kilku miesiącach mnóstwa nieodebranych połączeń, wysyłania mi kwiatów, SMS-ów, a nawet pierdolonych listów, Oliver przestał. Przestał na prawie dwa miesiące. Więc zobaczenie go znowu na przyjęciu zaręczynowym było dość niepokojące. A potem kolejny raz na bankiecie. A teraz w szkole…

To najbardziej niedogodne spotkanie ze wszystkich. Skąd wiedział, że tu jestem? Zna mój plan zajęć?

– Oliverze – przerywam mu – przestań pieprzyć. Musisz skończyć z tym stalkowaniem.

Pokazuje mi ten swój zraniony wyraz twarzy. Wygląda jak gigantyczny szczeniak, którego ciągle kopię.

– Aido, ja cię nie *stalkuję*. Odwiedzam młodszą siostrę Marcusa. Obiecałem, że w jej urodziny zabiorę ją na lunch.

Hm. Możliwe. Jednak próba wzbudzenia we mnie zazdrości jest chybiona.

– W porządku, wierzę ci. Ale i tak lepiej przestań próbować rozmawiać ze mną, gdziekolwiek się nie ruszę. Mój mąż jest trochę zazdrosny, jeśli tego nie zauważyłeś.

– Dokładnie wiem, jaki jest Callum Griffin – oznajmia przez zaciśnięte zęby. – To wypychający sobie kabzę lewą forsą, nadęty, arogancki dupek. Bez urazy – dodaje, pamiętając, że moje pieniądze są równie „lewe", jak i Calluma. A także, że jestem jego żoną. – Nie mogę uwierzyć, że co noc dotyka cię tymi swoimi zimnymi, trupimi łapskami – mówi, a jego oczy błyszczą rozpaczliwie. – Aido, jak, do cholery, do tego doszło? Jak mu się udało sprawić, że się w nim zakochałaś, skoro nawet mi się nie udało?

To sprawia, że czuję się źle. Przynajmniej trochę. Nie zakochałam się w Callumie. To okrutne z mojej strony, że pozwalam Oliwierowi myśleć, że jest inaczej.

– To nie było… nie jest… – Oblizuję usta. – Nie do końca chodzi o miłość.

– Wiedziałem – wzdycha. – Wiedziałem, kiedy tylko zdałem sobie sprawę, co to jest za rodzina. To pieprzona mafia, zupełnie jak wy.

Krzywię się. Nigdy nie wyjawiłam Oliverowi żadnych sekretów. Jednak to, że Gallo przez ostatnie sześć pokoleń byli gangsterami, nie jest ściśle tajną informacją.

– Nasze rodziny zawarły… układ. Chyba zgodzisz się, że ja i Callum bardziej pasujemy do siebie pod kątem kulturowym niż ty i ja. Więc nie ma sensu…

– Pierdolenie – przerywa niskim, natarczywym głosem. Próbuje złapać mnie za ręce, lecz ja cofam swoje, jakbyśmy właśnie grali w łapki. – Wiem, że cię do tego zmusili. Aido, wiem, że wróciłabyś do mnie…

– Nie – rzucam ostro. – Oliverze, nie wracaliśmy do siebie. Nigdy nie wrócimy. Bez względu na to, czy Callum jest na horyzoncie, czy nie.

– Zobaczymy – oznajmia, przyglądając mi się uważnie.

Zamierzam wstać. Już jestem spóźniona – Nessa będzie czekała co najmniej dziesięć minut. Jednak Oliver łapie mnie za nadgarstek i z powrotem ciągnie, bym usiadła na ławce. Trzyma mnie mocno, patrząc mi prosto w oczy.

– Aido, wiem, co do mnie czujesz – oznajmia. – Nieważne, czy się do tego przyznasz, czy nie.

Patrzy na moją klatkę piersiową i widoczne przez bluzkę sutki.

– To nie… po prostu na tej ławce jest kurewsko zimno! – krzyczę.

Oliver mnie ucisza, przyciskając swoje usta do moich warg. Jego pocałunek jest głęboki i mokry.

Czym prędzej go od siebie odpycham i zrywam się z ławki, by chwilę później znowu się potknąć przez tę głupią kostkę.

– Nie! – mówię i unoszę dłoń, aby go powstrzymać, widząc, że próbuje wstać. – Muszę wracać. Nie idź za mną. Nie dzwoń do mnie. A już na pewno mnie, kurwa, nie całuj.

Oliver nic nie odpowiada. Po prostu tam stoi, marszczy brwi i trzyma ręce w kieszeniach.

Kuśtykając, ruszam z powrotem w stronę zaparkowanych samochodów. Podskakuję na zdrowej nodze i wściekam się odbytym przed chwilą spotkaniem.

Jestem wkurwiona, że mnie pocałował! Moje małżeństwo z Callumem może nie do końca jest prawdziwe, ale nie jestem gotowa,

aby go zdradzić. Zwłaszcza z Oliverem, który zaczyna mnie przerażać.

Docierając na parking, zauważam stojącą na chodniku Nessę z przewieszoną przez ramię torbą.

– Gdzie jest Jack? – pytam.

– Samochód stoi tam. – Nessa wskazuje na jedno z miejsc parkingowych. – Ale jest zamknięty i nikogo w nim nie ma.

Wyjmuję telefon, aby napisać Jackowi prostą i uprzejmą wiadomość, na przykład wysłać mu emotkę przedstawiającą środkowy palec. A on nagle pojawia się tuż obok mnie i mówi:

– Jesteście gotowe?

– Tak! – odpowiada uprzejmie Nessa.

– Jesteśmy gotowe od dwudziestu minut – kłamię. – Gdzie byłeś?

– Odlać się.

Otwiera tylne drzwi, żebyśmy mogły wejść do środka. Nie do końca mu wierzę, ale opieram się o skórzane siedzenie.

W drodze powrotnej do rezydencji Griffinów siedzę cicho i zastanawiam się, jak, do cholery, mam w przyszłości unikać Olivera Castle'a. Mniej więcej w połowie drogi do domu dostaję od Calluma SMS–a o treści:

Przyjdź do biblioteki, kiedy wrócisz.

Kiedy tylko samochód się zatrzymuje, wysiadam z niego i pospiesznie wchodzę do przyjemnie chłodnego domu i idę po schodach prosto do biblioteki.

Callum siedzi w jednym z nowych foteli – tym razem obitych kremową, a nie brązową skórą. Zajmuję miejsce naprzeciwko.

W tym ciemnym garniturze wygląda blado. Po ułożeniu ramion widzę, że coś odkrył.

Zanim cokolwiek powie, chcę mu powiedzieć, że Oliver był na kampusie. Problem w tym, że tamtej nocy, kiedy Oliver mnie obmacywał pierwszy i jedyny raz, widziałam, jak Callum stracił nad sobą panowanie. To nieco drażliwy temat. Wcale się nie cieszę, że będę musiała go poruszyć. Zwłaszcza że tak nam się dobrze pracuje razem.

Zanim zacznę, Callum mówi:

– Znaleźliśmy jednego ze strzelców. Tylko że to nie Rzeźnik. Twoi bracia uważają, że dziś wieczorem powinniśmy rozwalić kasyno Zająca, aby spróbować go w ten sposób wypłoszyć.

– Idziesz z nimi? – pytam.

Przez chwilę się przygotowuje, aż w końcu mówi:

– Owszem. Również możesz iść, jeśli chcesz.

Wiem, że *on* wcale tego nie chce, ale składa mi tę propozycję, zanim będę próbowała to na nim wymusić.

Teraz zdecydowanie nie mam ochoty mówić mu o Oliverze.

Zamiast tego mówię:

– Chcę iść z wami.

Callum wygląda na nieco zmartwionego, lecz nie wycofuje swojej oferty.

To zabawne, że zaprosił mnie do biblioteki. Od tamtej nocy, kiedy się poznaliśmy, wcale tu nie przychodziłam.

Odnowiony portret jego którejś w kolejności praprababki znowu wisi nad kominkiem. Na półeczce także stoi zegar powozowy oraz klepsydra. Jednak pośród nich nie ma już zegarka kieszonkowego.

Callum dobrze wie, czemu się przyglądam.

– Zegarek należał do mnie, zegar jest Riony, a klepsydra Nessy – oznajmia.

– Co one oznaczają? – pytam. Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę to wiedzieć.

– Dziadek podarował je nam, kiedy się urodziliśmy. Zwykle mawiał: „Wszystko, co mamy, to czas”.

– Byłeś z nim blisko? – pytam.

– Owszem. – Callum kiwa głową. – Bliżej niż ktokolwiek inny.

Kurwa, nienawidzę mieć wyrzutów sumienia. Po co wzięłam ten pieprzony zegarek? Gdybym nigdy go nie ruszyła…

To chyba wtedy by mnie tu nie było. Nie patrzyłabym na smukłe, przystojne oblicze Calluma.

– Ja… przepraszam za tamto – oznajmiam.

Callum kręci głową, jakby zapomniał, że zegarek przepadł.

– Aido, to już przeszłość. Skupmy się na dzisiejszym wieczorze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– CALLUM

Muszę przyznać, że kiedy zaczynamy polowanie na Rzeźnika, cholernie się cieszę, że mam po swojej stronie braci Aidy. Mój ojciec mógł mieć rację, mówiąc, że byłem zbyt pewny siebie i za bardzo przekonany o naszej dominacji w mieście. Mam za dużo na głowie: walczę o głosy w kampanii, próbuję ochronić nasze interesy i staram się powstrzymać Zająca.

Zabawne jest, że cieszę się z tego, że mam Aidę po swojej stronie. Jak nie podpala naszej biblioteki i nie wrzuca mojej ukochanej własności do wody, jest naprawdę cholernie pomocna. Dzięki numerowi rejestracyjnemu, który zauważyła, udało mi się wytropić jednego z ludzi Zająca. To właściciel Land Rovera, którego użyli podczas obstrzału. Gość nazywa się Jan Kowalski, jednak wszyscy wołają na niego Rollie.

Dzwonię do Dantego oraz Nero, żebyśmy mogli go razem wyśledzić.

Znajdujemy mężczyznę w East Garfield w komisie z używanymi samochodami. Rzeźnik jest właścicielem kilku salonów samochodowych oraz warsztatów. Dzięki temu jest w stanie upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, pierze pieniądze, sprzedając samochody, oraz sprzedaje części ze skradzionych przez jego sługusów aut.

Nero idzie na tyły budynku, z kolei Dante i ja wchodzimy przez frontowe drzwi, szukając Rolliego. Wiem, jak ten gość wygląda, bo w przeszłości miałem z nim do czynienia. A dzięki idiotycznym mediom społecznościowym Dante i Nero również mieli okazję, by przejrzeć zdjęcia Rolliego: zalewającego się w trupa w barze i pokazującego nowe, najprawdopodobniej skradzione, buty Yeezy,

oraz robiącego sobie najgorszy na świecenie tatuaż, który przedstawiał dłonie złożone do modlitwy.

Bez problemu zauważamy Rolliego w hali serwisowej. Ma na sobie kombinezon roboczy, a jego długie włosy w kolorze piasku są związane brudną bandaną. Gdy tylko dostrzega w drzwiach szeroką postać Dantego, wyrzuca trzymaną miskę olejową serwisowanego forda F150 i próbuje wybiec przez drzwi do hangaru niczym pieprzony królik.

Na jego nieszczęście za stosem opon już czeka Nero. Jeśli Rollie to królik, to Nero jest chartem – chudym, szybkim i kompletnie bezwzględnym. Podcina nogi uciekiniera łyżką do opon, a potem rzucając mu się na plecy, przygniata go do ziemi.

Dante tymczasem nokautuje kierownika za pomocą brutalnego prawego sierpowego, a ja przeczesuję sklep, aby upewnić się, że nie pominęliśmy żadnego pracownika.

Znajduję przycupniętego za BMW mechanika. To starszy mężczyzna, który nie wygląda na członka polskiej mafii – brak mu typowych dla nich tatuaży, złotych łańcuchów i krzykliwych pierścieni – więc zakładam, że jedynie dłubie przy samochodach i nie należy do grona żołnierzy Rzeźnika.

Ale i tak go przeszukuję i zamykam w biurze, po wcześniejszym wyrwaniu kabla telefonicznego ze ściany.

Dante i Nero już okładają Rolliego pięściami. Po krótkiej chwili zmuszają go do mówienia. Kowalski podaje nam numer telefonu, którego Rzeźnik używa, aby się z nim kontaktować, oraz listę kilku miejsc, w których Zając być może przebywa.

– Nie obchodzi mnie, gdzie on *może* być – syczy Nero. – Mów, gdzie on jest. Już!

– Nie wiem! – krzyczy Rollie, ocierając wierzchem dłoni zakrwawiony nos. Oczywiście to sprawka Nero. – Nie należę do jego najlepszych ludzi.

– A mimo to wczoraj wysłał cię, żebyś ostrzelał plac budowy – rzucam.

Rollie strzela oczami to na Nero, to na mnie, nerwowo oblizując usta.

– Nie wiedziałem, kto tam jest – oznajmia. – Nie wiedziałem, że strzelam do was. Kazał nam ostrzelać plac, zaatakować gliniarzy i wywołać zamieszanie.

– Pierdolenie – warczy Dante, a jego głos jest szorstki niczym żwir. – Wiedziałeś, że ten plac budowy należy do nas.

– Nie wiecie, jaki on jest – bełkocze Rollie. – U niego nie jest tak jak u innych bossów, u których można podjąć się roboty lub nie. U niego, jeśli spierdolisz, dostaniesz ostrzeżenie. Spierdolisz jeszcze raz i jest po tobie.

– Jakie ostrzeżenie? – dopytuje Dante.

Rollie unosi prawą rękę. Nie ma małego palca, którego ucięto mu u podstawy. Szeroka, różowa blizna wskazuje na to, że to dość świeżo zagojona rana.

– Nie obchodzi mnie, czy to jakieś pierdolone straszydło – oznajmia Nero, łapiąc go za kombinezon i przyciągając do siebie. – W tym mieście powinieneś się bać tylko jednego nazwiska. Cokolwiek Zając ci zrobi, ja to zrobię sto razy gorzej. Jeśli strzeli ci w twarz, to ja wyciągnę twoją zawodzącą duszę z piekła, tylko po to, żeby cię zabić raz jeszcze.

Oczy Nero w cieniu hali warsztatu wyglądają na mroczne i pozbawione emocji. Można powiedzieć, że pod pewnymi względami jest najprzystojniejszym bratem Aidy – ma wysokie kości policzkowe i pełne usta. A to sprawia, że złowieszczy ton jego wypowiedzi jest jeszcze bardziej niepokojący.

Wyciąga z kieszeni nóż i tak szybko wysuwa ostrze z rękojeści, że zdaje się pojawiać dosłownie znikąd. Przyciska czubek klingi do pulsującej żyły na gardle Rolliego.

– Mów, gdzie jest Zając, albo ci przetnę tętnicę. Wtedy będziesz miał tylko dwanaście sekund, aby mi odpowiedzieć, bo potem wykrwawisz się na podłogę.

On mu wcale nie grozi. Jego twarz zdradza optymizm. Ręka go swędzi, aby to zrobić, i Nero ma nadzieję, że Rollie nie będzie gadać, bo pragnie pozbawić go życia.

– Nie wiem! Przysięgam…

Jednym szybkim cięciem brat Aidy rani Kowalskiego, rozcina mu przedramię od podwiniętego rękawa kombinezonu aż po nadgarstek.

Klinga jest niezwykle ostra. Krew leje się ciurkiem i kapie na cementową podłogę.

– Ach, kurwa! Przestań! – wyje Rollie, próbując przykryć ranę brudną od oleju dłonią.

– Ostatnie ostrzeżenie – oznajmia Nero, ponownie przygotowując ostrze.

– Nie wiem! Czekaj, czekaj! – krzyczy Rollie, gdy ostrze noża zbliża się do jego szyi. – Wiem coś… o dziewczynie, z którą się spotyka.

– Mów dalej – mówię.

– Pracuje w Pole. Mieszka gdzieś w Lawndale, a on płaci za to mieszkanie. To wszystko, co wiem, przysięgam!

– Wierzę ci – oznajmia Nero, a potem przesuwa ostrze bliżej gardła Rolliego. Rozprułby je, gdyby nie łapiący go za nadgarstek Dante. Ostrze noża drży milimetry od szyi Kowalskiego.

– To nie będzie konieczne – oznajmia Dante. – Powiedział nam to, co wie.

– Jakbyś nie pamiętał, to koleś próbował nas zastrzelić – warczy Nero, odrzucając włosy opadające mu na oczy.

– Pamiętam – oznajmia Dante, puszczając nadgarstek brata.

Gdy tylko Dante zabiera rękę, Nero atakuje ponownie. Jednak ostrze nie rozcina gardła Rolliego, lecz jego policzek.

Polak wyje, przyciskając dłoń do długiego rozcięcia ciągnącego się od ucha do szczęki.

– Niech to będzie dla ciebie przypomnienie – oznajmia Nero. – Następnym razem, jeśli będziesz chciał do kogoś strzelać, to albo popracuj nad celnością, albo zostań w domu.

Dante patrzy na niego wilkiem, ale odpuszcza.

Już mamy wychodzić, gdy nagle słyszę trzask. Odgłos tłuczonego szkła, a potem ryk, gdy ktoś biegnie wprost na mnie, wymachując kijem bejsbolowym.

Robię unik, a kij ze świstem przelatuje nad moją głową. Odruchowo uderzam mężczyznę prosto w brzuch. A kiedy się zgina w pół, wyrywam mu kij z ręki i uderzam go raz jeszcze, tym razem w szczękę.

To tamten starszy mechanik. Wokół knykci ma owiniętą jakąś szmatę czy coś, co ochroniło jego rękę, gdy wybijał okno w biurze. Z

ramienia sączy mu się krew. Jak tylko został pozbawiony broni, stracił wszelki zapał do walki. Zakładam, że skoro nie miał szans na pokonanie w walce mnie, Dantego i Nero, kierowała nim wyłącznie desperacja.

Teraz dyszy i rzęzi, starając się zdecydować, czy warto stawiać jeszcze opór.

– Nie ruszajcie się, kurwa – mówi Nero, rzucając go na ziemię obok Rolliego. – W sumie to kładźcie się na brzuchu i liczcie do stu. Potem możecie wstać, bo inaczej wpakuję wam kulkę w łeb.

Nie wiem, czy Nero rzeczywiście ma przy sobie broń, ale obaj mężczyźni posłusznie kładą się twarzami w dół, a Rollie zaczyna odliczanie. Zostawiamy ich i ruszamy biegiem w stronę naszych samochodów.

– Nie wiedziałem, że umiesz walczyć, bananowy chłopcze – oznajmia, patrząc na mnie z zaskoczeniem.

– Nie stanowił dużego wyzwania – odpowiadam. Mechanik miał co najmniej pięćdziesiąt lat i był dobre piętnaście centymetrów niższy ode mnie.

To tylko pokazuje, jak bardzo Zając musi być przerażający. Mechanik wolał stanąć do walki z naszą trójką, niż tłumaczyć się Rzeźnikowi.

– No – mówi Dante – szybko się uwinąłeś.

– Uściski dłoni i poklepywanie po plecach to dla mnie coś nowego. – Wzruszam ramionami. – Ciągle pamiętam, jak pobrudzić sobie ręce.

– Fergus umie się bić – oznajmia Dante. – Kiedyś wołali na niego Bone Doctor[26], prawda?

Mówi o czasach, kiedy to mój ojciec był windykatorem i egzekutorem, zanim przejął kontrolę nad pozostałościami należącymi do rodu Griffinów.

– Owszem – przytakuję.

Mój ojciec mógł zafundować komuś spiralne złamanie ręki, wykręcając mu jedynie nadgarstek. O ile w ogóle takie zagranie było konieczne, aby wyegzekwować ratę zaległości.

Zdecydowanie nauczył mnie kilku rzeczy. Najważniejsze było to, żeby nigdy nie stawać do walki, kiedy w grę wchodzą negocjacje. Bo w przypadku walki, wynik nigdy nie jest do końca pewny.

Problem w tym, że Zając chyba nie chce negocjować. A przynajmniej nie bez uprzedniego drobnego rozlewu krwi.

Aida wraca do domu niedługo po mnie. Przychodzi do biblioteki, a ja opowiadam jej o tym, co robiliśmy.

Widzę, że jest wkurzona, że nie zabraliśmy jej na poranną akcję. Jednak dotrzymam słowa i jeśli naprawdę tego chce, wezmę ją ze sobą wieczorem.

A kiedy rusza do naszego pokoju, aby zostawić książki, do biblioteki zagląda Jack.

– Szefie, mogę z tobą chwilę porozmawiać? – pyta.

Przyjaźnimy się z Jackiem od dawna. W trakcie studiów sprzedawał na imprezach molly[27], aby opłacić rentierski styl życia, mimo że w ogóle nie miał żadnych dochodów pasywnych. Kiedy gliniarze wparowali do akademika, musiał spuścić w kiblu towar wart dwadzieścia osiem tysięcy dolarów. Spłaciłem jego dostawcę, a potem kazałem Jackowi pracować dla mnie.

To dobry pracownik oraz przyjaciel, jednak czasami bywa nieco nadgorliwy. Jak wtedy z bratem Aidy na molo. A czasami w stosunku do niej samej. Aida może i doprowadza mnie do złości, ale jednak to moja żona. Jeśli Jack nie wyciągnie wniosków po lekcji, którą dostał w kuchni, to szybko mu ją powtórzę.

– Odebrałem dziewczyny ze szkoły – informuje.

– Dobrze.

– Aida z kimś rozmawiała.

Na wypadek gdyby znowu zaczął pieprzyć głupoty, rzucam mu ostre spojrzenie.

– Może to robić – oznajmiam.

– Rozmawiała z Oliverem Castlem.

Mój żołądek w sekundę zaciska się w supeł. Zignorowałbym to, gdyby wymówił inne nazwisko. Ale nie mogę przestać czuć się zazdrosny o tego bezmózgiego, niespełnionego playboya. Z tego, co wiem, był jedynym prawdziwym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek

miała i z jakiegoś powodu ta myśl zżera mnie żywcem. Myśl o tym, jak pływają na wodzie dookoła jakiejś tropikalnej plaży, śmieją się i rozmawiają, Aida jest w bikini, a jej skóra jest bardziej opalona niż zwykle… To wszystko sprawia, że mam ochotę zedrzeć Castle'owi skórę z twarzy.

A poza tym, cholernie dobrze wiem, że nie studiuje na Loyoli. Więc pojawił się na kampusie wyłącznie z jej powodu.

– Co mówił? – popędzam go.

– Nie wiem – odpowiada. – Nie byłem w stanie podejść na tyle blisko, żeby usłyszeć. Ale rozmawiali przez jakiś czas.

Czuję, że drży mi powieka. Aida nic nie wspomniała o Oliverze. Nie wspomniała, że się z nim widziała.

– Jesteś pewien, że to był Castle?

– Na sto procent. Poszedł sobie, jak skończyli rozmawiać, a ja śledziłem go aż do jego samochodu. Szarego Maserati.

Kiwam głową. To na pewno on.

– Jest coś jeszcze – mówi Jack.

– Co? – warczę.

– Całowali się.

Czuję się tak, jakby podłoga uciekała mi spod stóp.

Kompletnie zapominam o Zającu. Cała moja złość, cała żądza przemocy oraz zemsty skierowane zostają przeciw Castle'owi. Gdyby znajdował się ze mną w jednym pomieszczeniu, to strzeliłbym mu prosto w twarz.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś – cedzę sztywnymi ustami.

Pocałowała go. A potem, jak gdyby nigdy nic, wróciła radosna do domu.

Może dla niej to nic takiego.

Tak naprawdę nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nigdy nie obiecywaliśmy sobie wierności. Nie mogę zapominać o tym, że nasze małżeństwo to umowa biznesowa. Przysięga, którą złożyliśmy, nic nie znaczy. Jedynie nasi ojcowie złożyli prawdziwe obietnice.

A jednak mnie to gryzie.

Czy spotyka się z nim w tajemnicy? Czy się pieprzą? Czy wciąż go kocha?

Zapytam ją.

Idę wzdłuż korytarza, kierując się do naszego pokoju. Jestem zdecydowany, aby stawić jej czoła.

Gdy wpadam przez drzwi do pokoju, Aida pisze coś na telefonie. Cokolwiek to było, szybko to przerywa, przesuwając palcem w górę, aby przełączyć aplikację, a potem odwraca telefon ekranem w dół i kładzie go na łóżku.

– Co tam? – pyta.

– Co robiłaś?.

– Co masz na myśli?

– Przed chwilą. Na telefonie.

– Och – odpowiada, a jej policzki nieco się rumienią. – Po prostu zapisywałam nowe piosenki na Spotify. Muszę przygotować playlistę zwycięstwa na dzień po wyborach.

Kłamie. Jestem pewien, że pisała jakąś wiadomość.

Powinienem zabrać jej komórkę i zażądać, by mi pokazała, co robiła.

Aida jest cholernie uparta i ma zabezpieczony hasłem telefon. Nie oddałaby mi go. To by się przerodziło w istną batalię.

Lepiej będzie zaczekać. Wykradnę jej hasło, a potem nic jej o tym nie mówiąc, będę grzebać jej w telefonie.

Zmuszam się do zachowania spokoju i z pozbawioną wyrazu twarzą mówię:

– W porządku. Powinniśmy zjeść, zanim wyruszymy.

– A co byś zjadł? – pyta z ulgą, że zmieniłem temat.

– Wszystko mi jedno – odpowiadam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– AIDA

Cal przeszkodził w czymś, czego na razie wolałabym mu nie pokazywać. Ale teraz zaczął się dziwnie zachowywać. Schodzimy na dół i bierzemy dwie porcje jedzenia, które kucharz zostawił w lodówce. Cal żuje mięso tak, jakby nawet nie czuł jego smaku, i patrzy w okno, przez którego szybę widać basen.

– Co się dzieje? – pytam, odgryzając kawałek duszonego żeberka z grillowaną marchewką. W domu Griffinów to takie rozpustne danie, że staram się cieszyć z jedzenia. Jednak ciężko jest to zrobić, kiedy obok mnie siedzi Callum z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nic – odpowiada krótko.

– Jesteś czymś zdenerwowany? Wkładaniem kija w mrowisko?

Zdaję sobie sprawę, że prowokowanie kogoś o ksywie „Rzeźnik" nie jest najlepszym pomysłem. Mimo to jestem podekscytowana perspektywą polowania na Zająca. Od tygodni grywam dobrą dziewczynkę. Nadszedł czas, by wpakować się w małe kłopoty.

– Tak – odpowiada cierpko Callum. – Obawiam się wejść na kurs kolizyjny z niezrównoważonym gangsterem. Zwłaszcza że wybory są za dwa dni.

– W takim razie może powinniśmy zaczekać – oznajmiam. – Poczekać ze skopaniem mu tyłka.

– Tak też zrobię, jeśli go dzisiaj nie znajdziemy – odpowiada. – Ale wolałbym to załatwić wcześniej niż później. – Brzęczący telefon Calluma informuje o nadejściu nowej wiadomości. Zerka na ekran i mówi: – Przyjechali twoi bracia.

Podjeżdżają pod dom minutę później, parkują i powoli wysiadają z escalade'a Dantego. Nie byli tutaj od czasu przyjęcia Nessy. Kiedy wchodzą przez kuchenne drzwi, zauważam, że czują się nieswojo.

– Ładny dom – mówi uprzejmie Dante, zupełnie jakby nigdy wcześniej go nie widział.

– Taaa, bardzo ładny – przytakuje Nero, wkładając ręce do kieszeni i rozglądając się po lśniącej, nowoczesnej kuchni. Jego wzrok spoczywa na jedynej rzeczy, która nie pasuje do tego miejsca. Pochyla się, aby przyjrzeć się temu z bliska. – Czy to…

– Tak – przerywam, pokazując bratu mimiką, aby nie kontynuował tematu. – Nie musimy o tym rozmawiać.

Imogen zrobiła mi awanturę za tę dziurę po kuli w drzwiczkach jej szafki. Myślę, że była bardziej wkurzona, niż kiedy próbowałam otruć jej syna. Ten dom naprawdę jest jej ulubionym dzieckiem. Byłoby kiepsko, gdyby Callum nie wstawił się za mną, mówiąc, że to był wypadek.

Ona i tak nie wyglądała na przekonaną.

– Jak mam wezwać kogoś, żeby to naprawił? – zapytała, a jej oczy aż płonęły. – Jak mam wytłumaczyć jakiemuś stolarzowi, że przed wypełnieniem dziury będzie musiał wyciągnąć z niej kulę?

– Zawsze możesz udawać kompletnie zdziwioną – podpowiedziałam uprzejmie.

Callum zerknął na mnie, mówiąc bez słów, żebym natychmiast się zamknęła.

– Mogę wyciągnąć tę kulę – oświadczył.

– Nie! – warknęła Imogen. – Nie ruszaj tego. Już dość narobiliście.

Do tej pory nikt tego nie naprawił i jest to kolejny drażliwy temat, którego Nero nie musi poruszać przed wyjazdem.

Nagle do kuchni wchodzi Drażliwy Temat Numer Trzy.

– Samochód stoi już przed domem – oznajmia Jack, unosząc kluczyki.

– Nie mów mi, że on też idzie – mówię do Calluma.

– Tak. Idzie – odpowiada mi.

– Nie potrzebujemy…

– Nie pójdziemy bez wsparcia – przerywa mi. – Twoi bracia też kogoś przyprowadzili.

– Gabriel jest w samochodzie – potwierdza Dante.

Gabriel to nasz kuzyn, który jest jednocześnie gorylem moich braci. Mimo że wygląda jak wielki, gburowaty pluszowy miś, to kiedy

trzeba, potrafi być straszny.

– W porządku – rzucam tylko trochę poirytowana. – To jaki mamy plan?

– Dobra – zaczyna Callum, wymieniając spojrzenia z moimi braćmi – mamy dwie opcje. Po pierwsze, spróbować ruszyć tropem pieprzonej przez Zająca dziewczyny.

– Ale nie wiemy, gdzie mieszka – mamrocze Nero, który oczywiście nie jest fanem tego rozwiązania. – I nie wiemy, jak często się spotykają.

– Albo – ciągnie dalej Callum, zupełnie jakby nikt mu nie przerywał – możemy zaatakować któryś z jego interesów. Rozwalić coś, może coś zabrać i zaczekać, aż się z nami skontaktuje.

– Skłaniamy się ku jego kasynu. Znajduje się na uboczu i trzyma tam sporo gotówki – oznajmia Dante.

– Czemu nie zrobimy tego i tego? – pytam. – Mówicie o Francie Ross? Pracuje w Pole, prawda?

– Znasz ją? – pyta szybko Callum.

– Nie. Ale znam dziewczynę, która ją zna – odpowiadam. – Właśnie to starałam ci się wcześniej powiedzieć.

Callum rzuca mi na wpół zirytowane, na wpół zaciekawione spojrzenie.

– Czy twoja przyjaciółka wie, gdzie mieszka Francie?

– Może i wie – mówię. – Powinniśmy ją zapytać.

– Po co się męczyć?! – warczy Nero. – Kogo obchodzi znalezienie Zająca. Musimy się zrewanżować za to, co zrobił na naszej budowie. Aby kopnąć kogoś w jaja, wcale nie trzeba mu patrzeć w oczy.

Dante wygląda tak, jakby mógł wybrać obie drogi.

– Kasyno wydaje się być pewniejsze – rzuca.

– Dobrze… – Callum zerka na mnie. – Zróbmy i to, i to. Wy zaatakujecie kasyno, natomiast ja i Aida porozmawiamy z jej przyjaciółką.

– Myślisz, że trzy osoby wystarczą? – Dante pyta Nero.

– Oczywiście – odpowiada, potrząsając głową.

– Weźcie też i Jacka – oznajmia Callum.

– Wtedy ty i Aida zostaniecie sami… – zauważa Dante.

– Armia nie jest nam potrzebna – oświadczam. – Będziemy tylko rozmawiać z kelnerką.

Dante marszczy brwi i wsuwa rękę pod kurtkę. Podaje mi naładowanego glocka.

– Czy to rozsądne? – pyta Jack, patrząc na pistolet, który Dante wkłada mi do ręki.

– Nie martw się – mówię słodko. – Nie położę go nigdzie jak jakaś *idiotka*.

Jack wygląda, jakby chciał rzucić jakąś ciętą ripostę, lecz odpuszcza, bo Callum stoi nieopodal.

– Czy wszyscy wszystko mają? – pyta Dante. Zgodnie kiwamy głowami. – W takim razie ruszajmy.

Dante i Nero wsiadają do escalade'a. Macham przez okno Gabrielowi. On w odpowiedzi uśmiecha się i delikatnie mi salutuje. Jack gramoli się na tylną kanapę i siada obok niego, po czym przedstawia się burknięciem i krótkim skinieniem głowy.

Bardzo się cieszę, że nie muszę już siedzieć zamknięta z nim w samochodzie. Tym bardziej się cieszę, że ruszamy z Calem moim tropem. No dobra, to poniekąd też i jego trop – ale ja pierwsza wpadłam na ten pomysł.

Zresztą, lubię, kiedy Cal prowadzi. Dzięki temu mogę mu rzucać ukradkowe spojrzenia, gdy skupia się na drodze.

Za każdym razem, kiedy jesteśmy sami, energia między nami zdaje się zmieniać. W powietrzu daje się wyczuć napięcie, a mój umysł nieubłaganie wraca do tego, co robiliśmy, gdy byliśmy ostatnio razem. Sami.

Jestem zatopiona w myślach dotyczących przyjemnych rzeczy, dlatego zaskakuje mnie, gdy Callum nagle pyta:

– Dlaczego zerwałaś z Oliverem Castle'em?

Jego pytanie mną wstrząsa i sprawia, że ze złością przypominam sobie o tym, że wczoraj Oliver zaczepił mnie na kampusie. Jak on to robi, że ciągle na mnie wpada? Na początku, gdy niby przypadkiem spotykaliśmy się na każdej imprezie, zakładałam, że moi znajomi pisali do niego. Ale później…

– No? – Callum przerywa mi dalsze rozmyślanie.

Wzdycham, zirytowana tym, że znowu o tym rozmawiamy. I tym razem po wszystkim nie będzie zboczonego, napędzanego zazdrością seksu.

– Było w tym coś niewłaściwego – odpowiadam. – To było jak założenie buta na złą nogę. Od początku było niezręcznie, a im dłużej to trwało, tym było gorzej.

– Więc go nie kochałaś? Gdy się poznaliśmy? – pyta.

W jego pytaniu słychać delikatną nutę wrażliwości.

Nigdy nie słyszałam, żeby Callum był wrażliwy. Ani trochę. Czuję bardzo silną potrzebę, wręcz desperacką, aby na niego spojrzeć, lecz używam całej siły woli, aby tego nie robić. Czuję, że przez chwilę jesteśmy wobec siebie szczerzy i nie chcę tego popsuć.

– Nigdy go nie kochałam – oznajmiam spokojnym i pewnym głosem.

Callum wypuszcza powietrze z płuc i wiem, po prostu wiem, że temu westchnięciu towarzyszy ulga.

Myślę o czymś poetyckim, romantycznym, więc na mojej twarzy musiał pojawić się uśmiech.

– Co? – pyta Callum.

– Cóż, jak na ironię, po zerwaniu z Oliverem, pomyślałam sobie, że powinnam znaleźć kogoś, kto bardziej do mnie pasuje. Kogoś bardziej podobnego do mnie.

– Zamiast tego dostałaś dokładne przeciwieństwo – mówi Cal ze śmiechem.

– Owszem – odpowiadam.

W przeciwieństwach jest pewien rodzaj symetrii. Ogień i lód. Srogość i żartobliwość. Impulsywność i powściągliwość. W pewnym sensie stanowią jedną całość.

Oliver i ja byliśmy bardziej jak dwa losowo dobrane przedmioty: długopis i sowa, ciastko i łopata.

Dlatego poza obojętnością nie okazywałam żadnych uczuć. Przyciąganie i odpychanie jest potrzebne do poczucia miłości. Albo nienawiści.

Podjeżdżamy pod Pole. To nocny klub mieszczący się w zachodniej części miasta, znajdujący się w ciemnym, rozległym i obskurnym budynku z niskimi sufitami. Jednak to szalenie popularne miejsce, bo

nie jest to typowy klub ze striptizem. Odbywające się tu występy są mroczne, perwersyjne i związane z różnymi fetyszami. Niektóre tancerki są nawet sławne w całym mieście, w tym Francie Ross, będąca tu jedną z głównych gwiazd. Wcale nie jestem zdziwiona, że wpadła Zającowi w oko.

– Byłeś już tu wcześniej? – pytam.

– Nie – rzuca od niechcenia. – To jakaś fajna miejscówka?

– Zobaczysz. – Szczerzę zęby w uśmiechu.

Bramkarze sprawdzają nasze dowody osobiste, po czym wchodzimy do środka.

Powietrze wydaje się być gęstsze od dudniących wszędzie basów. Czuję ostry zapach alkoholu i ziemistą nutę waporyzatorów[28]. Światła są ciemnoczerwone, przez co wszystko jest utrzymane w odcieniach czerni oraz szarości.

Z wewnątrz klub przypomina gotycki dom dla lalek. Są tu pluszowe loże, tapety z roślinnymi wzorami, lustra w ozdobnych ramach. Kelnerki mają na sobie pasiaste skórzane uprzęże, niektóre noszą skórzane, zwierzęce uszy i pasujące do nich puchate ogony – przeważnie zające, lisie oraz kocie.

Dostrzegam zwalniający się stolik nieopodal sceny i zanim ktokolwiek go zajmie, ciągnę Calluma w tamtą stronę.

– Nie powinniśmy szukać twojej przyjaciółki? – pyta.

– To może być jej część sali. Jeśli nie, to pójdę jej poszukać.

Cal przygląda się cycatym kelnerkom oraz barmankom, które mają na sobie obcisłe, skórzane i rozpięte aż do pępka body.

– A więc to kręci Zająca, hę? – pyta.

– Myślę, że to kręci wszystkich, jednych mniej, a drugich bardziej – odpowiadam, uśmiechając się lekko i przygryzając skraj dolnej wargi.

– Tak? – pyta. Przygląda mi się, jest zaciekawiony i może bardziej niż trochę rozkojarzony. – Mów dalej.

Kiwam głową w stronę kąta naszej loży, gdzie na haczyku wisi para srebrnych kajdanek.

– Mogłabym popatrzeć, jak ich używasz – oznajmiam.

– To zależy – warczy Callum, a jego źrenice się rozszerzają – od tego, jak się będziesz zachowywała…

Zanim odpowiem, przychodzi kelnerka, aby odebrać od nas zamówienie. To nie moja przyjaciółka Jada, lecz kelnerka oświadcza, że dziewczyna jest dzisiaj w pracy.

– Możesz ją do nas przysłać? – pytam.

– Jasne – odpowiada, kiwając głową.

W międzyczasie światła zostają przygaszone, a DJ zapodaje muzykę.

– Panie i panowie – zaczyna. – Powitajcie na scenie… niepowtarzalnego… Eduardo!

– Och, to ci się spodoba – szepczę do Calluma.

– Kim jest Eduardo? – mamrocze w odpowiedzi.

– Ćśśś!

Reflektor podąża za szczupłym, młodym mężczyzną, który przez chwilę pozuje w jego świetle, a potem zaczyna przechadzać się po scenie. Ma na sobie fedorę oraz garnitur suit[29] – dobrze skrojony, z szerokimi wyścielanymi ramionami. Jego twarz przyozdabiają wąsy i zwisający z ust papieros.

Obecność mężczyzny działa na ludzi jak magnes. Każdy w pomieszczeniu patrzy na jego postać oraz na to, jak przechadza się uwodzicielskim krokiem.

Tuż przed wejściem na scenę, zatrzymuje się obok szczupłej, ładnej blondynki siedzącej w pierwszym rzędzie. Łapie ją za rękę i mimo protestów oraz wyraźnej nieśmiałości wciąga ją na scenę.

Potem odstawia drobną komedię, instruując dziewczynę, żeby potrzymała dla niego kwiatek. Wierzchołek roślinki natychmiast opada na pierś blondynki. Zanim dziewczyna wykona jakikolwiek ruch, Eduardo podnosi kwiatka, sprawiając, że blondynka krzyczy. Następnie uczy ją tańczyć bardzo uwodzicielskie tango, wirując z nią jak z jakimś manekinem.

Wszystko jest utrzymane w żartobliwym tonie, przez co publiczność wyje ze śmiechu. Sam Eduardo ma niski, łagodny głos z lekkim akcentem.

Wreszcie mówi dziewczynie, że skończyli, i prosi o buziaka w policzek. A kiedy ona niechętnie układa usta do pocałunku, on nadstawia policzek, po czym w ostatniej chwili odwraca głowę i całuje ją w usta.

Tłum oczywiście szaleje z radości. Ludzie wiwatują i skandują:

– Eduardo! Eduardo!

– Dziękuję przyjaciele. Ale zanim odejdę… ostatni taniec! – krzyczy.

Gdy rozbrzmiewa muzyka, Eduardo zaczyna tańczyć na scenie, porusza się szybko i gwałtownie. Łapie za fedorę i zdejmuje ją z głowy, uwalniając kosmyk bardzo jasnych blond włosów. Odrywa z twarzy wąsy, a potem rozrywa przód swojego kostiumu, obnażając dwie pokaźnych rozmiarów pełne, nagie – jeśli nie liczyć czerwonych frędzli zakrywających sutki – piersi. „Eduardo” podskakuje i kołysze się, sprawiając, że frędzle wirują. Następnie posyła buziaka w stronę widowni, kłania się i schodzi ze sceny.

Callum wygląda tak, jakby dostał w twarz. Ja natomiast śmieję się tak bardzo, że aż łzy spływają mi po policzkach. Już trzy razy widziałam występ Francie i za każdym razem zwala mnie z nóg. To, jak chodzi, tańczy i mówi jak mężczyzna, ba, śmieje się jak mężczyzna… jest po prosto niesamowite. Nigdy nie wychodzi z roli, nawet na sekundę. Gra do samego końca.

– To Francie Ross – oznajmiam Callumowi na wypadek, gdyby jeszcze tego nie rozgryzł.

– To dziewczyna Rzeźnika? – pyta ze zdumieniem.

– Ano. Jeśli plotki są prawdziwe.

Mam okazję, aby zapytać o to Jadę, kiedy przynosi nasze drinki. Callumowi podaje whisky z lodem, a mi wódkę żurawinową.

– Hej! – mówi. – Dawno cię nie widziałam.

– No nie? – Uśmiecham się do niej. – Dużo się działo.

– Słyszałam – odpowiada Jada, patrząc wymownie na Calluma. Jej włosy są ufarbowane na czarno, ma mnóstwo kolczyków i usta pociągnięte szminką o śliwkowym kolorze. Jej ojciec pracował dla mojego, aż trafił do więzienia za niezwiązane z tą pracą oszustwa. A konkretnie rzecz ujmując, próbował oszukać w loterii stanowej.

Wszystko szło świetnie, do chwili kiedy przypadkowo wygrał drugi raz z rzędu, co nieco zwróciło na niego uwagę organizatorów.

– Widziałaś przedstawienie? – pyta mnie Jada.

– Tak! Francie jest najlepsza. – Pochylam się nieco bliżej, starając się mówić na tyle cicho, żeby zagłuszyła mnie muzyka. – To prawda, że umawia się z polskim gangsterem?

– Nie wiem – odpowiada Jada. Podnosi pustą szklankę z sąsiedniego stolika i stawia ją sobie na tacy. Już nie patrzy mi w oczy.

– No weź – próbuję ją uprosić. – Wiem, że jesteście blisko.

– Możliwe – odpowiada wymijająco.

– Przyszedł, żeby się z nią zobaczyć? – pytam.

– Nie – mówi Jada. – Nic takiego nie widziałam.

Najwyraźniej nie podobają się jej te wszystkie pytania. Ale nie zamierzam jeszcze odpuszczać.

Callum porusza ręką pod stołem i płynnym ruchem wsuwa złożony banknot w dłoń Jady.

– Gdzie ona mieszka? – pyta.

Kelnerka widocznie się waha. Patrzy na swoją dłoń, aby przekonać się, jaki nominał ma banknot.

– Żółty budynek przy Cherry Street – mówi w końcu. – Trzecie piętro. Chodzi tam we wtorkowe wieczory, a ona wtedy ma wolne.

– Proszę bardzo – mruczę do Calluma, gdy Jada odchodzi. – Jeśli się z nami nie skontaktuje po tym, jak rozjebiemy mu kasyno, to go dopadniemy we wtorek.

– Taaa – przytakuje Callum. – Jest jeszcze wcześnie… Napisz do braci i sprawdź, czy nie potrzebują nas w kasynie.

Mam właśnie zamiar to zrobić, gdy Jada przynosi nam następną kolejkę drinków.

– Na mój koszt – oznajmia. Teraz, kiedy przestałam ją maglować, jest bardziej przyjazna. – Pokaż się tu od czasu do czasu.

Podaje mi świeżą wódkę żurawinową. Tak naprawdę to nie chciałam kolejnego drinka, ale jeśli jest darmowy…

– Dzięki – mówię, unosząc szklankę w geście toastu.

– Następna będzie Roxy Rotten – oznajmia Jada. – Będziecie chcieli to zobaczyć.

Unosząc słomkę do ust, zauważam dziwny połysk na powierzchni swojego drinka. Odstawiam go i przyglądam się napojowi. Może to tylko czerwone światło odbijające się od powierzchni drinka o tym samym kolorze. Jednak jego powierzchnia wygląda na nieco tłustą. Niczym niedokładnie umyte szkło.

– Co? – pyta Callum.

Nie jestem pewna, czy powinnam to pić.

Mam zamiar powiedzieć Callumowi, żeby sprawdził swojego drinka, ale właśnie opróżnił szkło jednym haustem.

Światła znowu przygasają, a DJ przedstawia Roxy Rotten. Roxy wymalowana jak zombie wykonuje striptiz w czarnym świetle, przez co widownia odnosi wrażenie, że podczas występu straciła kilka kończyn. Ostatecznie zdaje się, że głowa jej odpadła. A kiedy światła na powrót się zapalają, Roxy, jakimś cudem znowu cała, stoi na środku sceny i pokazuje tłumowi swoją uroczą, pomalowaną na zielono postać.

– Powinniśmy iść? – pytam Calluma.

– A twoi bracia coś odpisali?

Zerkam na telefon.

– Jeszcze nie.

– No to ruchajmy, to znaczy ruszajmy. – Kręci głową. – Nie chcesz najpierw wypić? – Wskazuje na mojego drugiego drinka.

– Uch… nie. – Wlewam połowę do pierwszej szklanki, żeby nie urazić Jady. – Chodźmy.

Wstaję pierwsza i zarzucam sobie torebkę przez ramię. Lecz kiedy Callum wstaje, nieznacznie się potyka.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Taaa – mruczy. – To tylko ból głowy.

Widzę, że niepewnie stoi na nogach. To nie whisky… wypił ledwie dwie szklanki. Z doświadczenia wiem, że potrafi wypić o wiele więcej i wcale się nie upija.

Widzę stojącą ze skrzyżowanymi rękami obok baru Jadę. Z tymi skórzanymi uszami i ustami pomalowanymi na ciemnofioletowy kolor wygląda niczym złowrogi gargulec.

– Wynośmy się stąd – mamroczę do Calluma, zarzucając jego rękę na swoje ramię.

To w okropny sposób przypomina mi dzień, w którym się poznaliśmy, kiedy tak samo musiałam nieść Sebastiana przez molo. Seba był równie ciężki jak mój obecny mąż, który z każdym krokiem osuwa się coraz bardziej na podłogę. Oczy ma wywrócone w głąb czaszki i próbuje coś powiedzieć, lecz wydaje jedynie niespójne i pozbawione ładu dźwięki.

Jeśli uda mi się wsadzić go do samochodu, będę mogła zawieźć nas w bezpieczne miejsce i zadzwonić do braci.

Lecz tak jak wtedy na molo, drzwi zdają się być oddalone od nas o kilka kilometrów. Brnę przez piasek i wydaje mi się, że nigdy nie zdołam tam dotrzeć.

A kiedy w końcu dochodzę do wyjścia, zostaję otoczona przez bramkarzy.

– Jakiś problem, panienko?

Już mam im powiedzieć, że ktoś musi pomóc mi wsadzić Calluma do samochodu, lecz po chwili zdaję sobie sprawę, że wcale nie przyszli nam z pomocą. Oni zastawili nam drzwi.

Omiatam wzrokiem półokrąg krzepkich mężczyzn, którzy się do nas zbliżają.

Nie mam czasu, by dzwonić do braci.

I robię pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

Osuwam się, jakbym właśnie traciła przytomność, mając nadzieję, że uderzenie o podłogę nie będzie bardzo bolesne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– CALLUM

Budzę się z rękami związanymi nad głową. Moje ciało wisi na haku niczym kawał mięsa.

To nieszczególnie wygodna pozycja dla kogoś takiego jak ja. Jestem dość sporym facetem i wisząc tu – Bóg jeden wie, jak długo – z ciężarem utrzymywanym przez ramiona czuję, jakby miały mi za chwilę wyskoczyć ze stawów.

A poza tym dudni mi w głowie.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest facet tańczący na scenie, który tak naprawdę nie jest facetem.

Teraz jestem w jakimś magazynie śmierdzącym rdzą oraz brudem. Pod tym zapachem kryje się zimna, wilgotna woń zgnilizny.

I jest tu naprawdę strasznie zimno. Drżę nawet w marynarce.

Może to skutek uboczny narkotyków. Moje mięśnie drżą i są osłabione. Mój wzrok jest raz rozmyty, raz nabiera ostrości, zupełnie niczym lornetka, której ostrością można manipulować.

Narkotyki. Ktoś wsypał mi coś do drinka. Gdy siedziałem z…

AIDA!

Rozglądam się w poszukiwaniu żony.

Na szczęście nie zwisa z haka obok mnie. Tyle że nigdzie jej nie widzę w tym opuszczonym miejscu. Dostrzegam jedynie stół przykryty poplamionym białym obrusem. A to generalnie nie wróży niczego dobrego.

Chcę zawołać Aidę, lecz jednocześnie nie chciałbym zwracać niczyjej uwagi na to, że jej nie ma. Nie wiem, jak się tu dostałem, i nie wiem, czy była ze mną, czy też nie.

Moje ramiona aż palą z bólu, a stopami niemal dotykam ziemi.

Próbuję kręcić nadgarstkami, ocierając nimi o szorstką linę, aby sprawdzić, czy jest jakaś szansa na uwolnienie się. Poruszając

dłońmi i ciałem, sprawiam, że zaczynam się nieco obracać, niczym kurczak na rożnie. Jednak mam wrażenie, że węzeł ani trochę nie ustąpił.

Jedynym plusem jest to, że nie muszę długo czekać.

Do magazynu wchodzi Rzeźnik w asyście dwóch żołnierzy. Jeden z nich jest szczupły, ma blond włosy i tatuaże pokrywające oba ramiona. Drugi wygląda znajomo… mógł być jednym z bramkarzy w Pole. O kurwa. Najprawdopodobniej nim jest.

Lecz to właśnie Rzeźnik przyciąga moją uwagę. Wbija we mnie wściekłe spojrzenie, a jedna z jego brwi znajduje się wyżej niż druga. W ostrym świetle jego nos, jeszcze bardziej niż zazwyczaj, wygląda jak dziób. Mężczyzna ma zapadnięte policzki, a bruzdy po obu stronach jego twarzy wyglądają na zbyt głębokie, aby były śladami po trądziku, to mogą być rany odłamkowe z jakiejś starej eksplozji.

Zając staje przede mną, niemal dokładnie pod pojedynczym reflektorem. Unosi palec i dotyka nim mojej piersi. Odpycha mnie, sprawiając, że zaczynam bezwładnie kołysać się na haku.

Nie mogę powstrzymać chrząknięcia, czując zwiększony nacisk na moje ramiona. Rzeźnik uśmiecha się lekko. Mój ból go bawi.

Znowu się cofa i kiwa głową na bramkarza z klubu. Ten wykonuje rozkaz i zdejmuje z niego kurtkę.

Bez niej Zając wygląda na mniejszego. Jednak gdy podwija rękawy swojej pasiastej koszuli, dostrzegam, że ma grube przedramiona, a ich mięśnie urosły, i to nie od sterydów.

Podwijając lewy rękaw zręcznym i pewnych ruchem, mówi:

– Ludzie myślą, że mój przydomek wziął się od Bogoty. Ale to nieprawda. Mówili na mnie Rzeźnik na długo przed tamtą akcją. – Podwija też i prawy rękaw, aż w końcu oba znajdują się z pedantyczną dokładnością na tej samej wysokości. Następnie podchodzi do przykrytego stołu i ściąga leżące na nim prześcieradło. Odsłania dokładnie to, czego się spodziewałem: komplet świeżo naostrzonych noży rzeźniczych, ułożonych według kształtów oraz rozmiarów ostrzy. Są tu tasaki, noże do oskórowania kości, filetowania, krajania i siekania. – Zającowie prowadzili rodzinny biznes, zanim zostali przestępcami. To, czego się nauczyliśmy, przekazywaliśmy kolejnym pokoleniom. Potrafię zarżnąć wieprza w

czterdzieści dwie minuty. – Podnosi długi, smukły nóż i czubkiem kciuka dotyka jego czubka. Nie naciska na niego, po prostu dotyka, a klinka przebija skórę i na stali zostaje kropelka krwi. – Jak myślisz, co bym ci zrobił w ciągu godziny? – duma, przyglądając się mojemu zwisającemu ciału od stóp do głów.

– Mógłbyś na początek wyjaśnić, czego ty, do cholery, chcesz – mówię. – Przecież nie chodzi o CTA.

– Nie – odpowiada cicho Zając. Jego oczy w ostrym świetle nie mają żadnego koloru.

– A więc o co?

– To oczywiste, o szacunek – odpowiada. – Od dwunastu lat mieszkam w tym mieście. Moja rodzina żyje tu od trzech pokoleń. Lecz tego pan nie wie, prawda, panie Griffin? Bo nawet się pan mną nie zainteresował. – Odkłada trzymany w ręce nóż i podnosi kolejny. Mimo że jego palce są jak serdelki, posługuje się ostrzami ze zręcznością godną Nero. – Griffinowie, Gallo… – mówi, podchodząc do mnie z nożem w dłoni. – Wasze rodziny są jednakowo aroganckie. Gallo pogrzebali dwóch moich ludzi pod cementem i myślą, że to koniec. Wziąłeś ode mnie darowiznę, a potem odmówiłeś spotkania się ze mną twarzą w twarz. Następnie poprzez ślub przypieczętowaliście jakąś umowę, nawet nie biorąc pod uwagę moich synów. I nie dostałem zaproszenia na ślub.

– Szybko podjęliśmy decyzję o ślubie – cedzę przez zaciśnięte zęby. Moje ramiona płoną i wcale nie podoba mi się to, że Zając z trzymanym w dłoni nożem znajduje się coraz bliżej mnie.

– Dobrze wiem, po co był ten ślub – oznajmia. – Wiem wszystko…

Skoro tak dużo wie, to tym bardziej nie rozumiem, o co mu chodzi. Jestem wkurwiony, aż mam ochotę go zapytać, gdzie jest Aida. Ale wciąż się boję, że mogę ją wsypać. Mogła zwiać. Jeśli to zrobiła, to mam nadzieję, że dzwoni po gliny lub swoich braci.

Niestety, nie sądzę, aby ktokolwiek zdołał się tu pojawić na czas. Nawet gdyby w ogóle wiedzieli, gdzie mnie szukać.

– To była rzeźnia – oznajmia Zając, po czym zatacza ostrzem noża krąg, ogarniając pustą przestrzeń pomieszczenia. – Kiedyś zabijano tu tysiąc świń dziennie. Krew spływała tam – wskazuje na metalową kratę biegnącą pod moimi stopami – a potem płynęła rurą i wpadała

wprost do rzeki. Półtora kilometra od zakładu płynie rzeka, na pewnym odcinku woda w niej była czerwona. – Mówi Zając. Rozglądam się w poszukiwaniu rury, o której mowa, lecz jej nie widzę. Za to czuję wilgotny smród brudnej wody. Zając kontynuuje, nie odrywając oczu od ostrza noża: – Nieco dalej pływali ludzie. Tam woda wyglądała na czystą.

– Czy ta metafora ma jakiś sens? – mówię z niecierpliwością. Ramiona kurewsko mnie palą, a jeśli Zając zamierza mnie zabić, to wolałbym, żeby już to zrobił. – Że ja jestem tym człowiekiem pływającym w brudnej wodzie?

– Nie! – warczy, patrząc mi w twarz. – To wszyscy mieszkańcy Chicago myślący, że ich miasto jest czyste. Jesz bekon i myślisz, że jesteś lepszy od człowieka, który zarżnął tego świniaka.

Wzdycham, próbując udać zainteresowanie, jednak tak naprawdę omiatam wzrokiem całe pomieszczenie. Patrzę na dwóch goryli, próbując wymyślić, jak wyplątać się z tej kabały. Cały czas poruszam skrępowanymi nadgarstkami, próbując je powoli uwolnić. Albo po prostu zedrzeć z nich skórę, ciężko powiedzieć.

Zając zakończył swój monolog. Kilkunastoma szybkimi ruchami ręki rozcina moją marynarkę oraz koszulę. Części rękawów wciąż zwisają mi z ramion, jednak tors mam nagi. Z pięciu czy sześciu płytkich ran sączy się krew. Rzeźnik jest wystarczająco zręczny, aby to zrobić bez dotykania mojej skóry. Specjalnie mnie pociął. Cóż, muszę przyznać, że to kurewsko ostry nóż. Oddala się i ostrzy następny, następnie znowu do mnie podchodzi i przyciska czubek ostrza do prawej strony mojego podbrzusza.

– Wiesz, co tam jest? – pyta.

Nie mam ochoty się z nim w to bawić.

– Nie – odpowiadam.

– Wyrostek robaczkowy. Mała, mająca niecałe dziewięć centymetrów cewka wyrastająca z jelita grubego. U człowieka współczesnego jest to narząd szczątkowy, jednak niekiedy staje się sławny, gdy dojdzie do jego zatrucia lub zapalenia. Nie widzę blizn po laparoskopii, więc przypuszczam, że twój jest nietknięty.

Uparcie milczę, odmawiając współpracy.

– Zamierzałem poczekać z tym do wyborów – Rzeźnik kładzie płasko nóż na dłoni – ale musieliście narobić problemów, rozwalając moje kasyno i niepokojąc moją kochankę w jej pracy. Załatwimy to w ten sposób. Gallo zwrócą pieniądze, które ukradli z kasyna. – *Nie wiem, ile zawinęli tej forsy, ale mam nadzieję, że to była pierdolona tona banknotów.* – A ty mi sprzedasz prawo własności do CTA, i to ze sporą zniżką. – Prycham w myślach. *Nie. Do tego też nie dojdzie.* – A po wyborach obsadzisz mnie na wybranym przeze mnie stanowisku w radzie miejskiej. – *Prędzej świnie zaczną, kurwa, latać.* Odpowiadałem mu w myślach, a on gadał dalej:

– A na poczet zaliczki za wymienione usługi, wytnę ci wyrostek robaczkowy – oznajmia Zając. – Nie będziesz za nim tęsknić. Operacja bez znieczulenia co prawda będzie bolesna, lecz nie zabójcza.

Unosi czubek noża, przykładając go bezpośrednio tuż nad pozornie nieistotnym fragmentem moich organów wewnętrznych. Wciąga powietrze w płuca, przygotowując się do rozcięcia mojego ciała. A potem zaczyna wbijać ostrze prosto w mój brzuch.

Powoli, zadając mi ból, wciska je w moje ciało.

Zgrzytam zębami i najmocniej, jak się da, zamykam oczy, lecz nie udaje mi się powstrzymać zduszonego krzyku, który wyrywa mi się z gardła.

Kurewsko boli. Słyszałem, że pchnięcie nożem jest bardziej bolesne niż postrzelenie. Po tym, jak ostatnio moja kochana żona drasnęła mnie kulą w ramię, z całą pewnością jestem w stanie stwierdzić, że torturowanie poprzez powolne wbijanie noża we flaki, jest sto razy gorsze od postrzału. Moja twarz jest mokra od potu, a mięśnie nigdy wcześniej tak bardzo nie drżały. A w moje ciało weszło raptem kilka centymetrów ostrza.

– Nie martw się – syczy Rzeźnik. – Gdzieś za godzinę powinienem skończyć…

– Zaczekaj chwilę, zaczekaj… – dyszę.

Przerywa, nie wyjmując ostrza z mojego brzucha.

– Możesz zrobić chwilę przerwy i podrapać mnie w nos? Swędzi mnie i doprowadza do szału.

Zając prycha z irytacją i napina mięśnie, żeby jeszcze głębiej wbić nóż w moje ciało.

I w tej właśnie chwili przez drzwi wlatuje butelka z wetkniętą w szyjkę dymiącą szmatą. Rozbija się, płonący trunek rozlewa się po cementowej podłodze, a palące się szklane odłamki rozbryzgują się dookoła. Jeden z nich trafia bramkarza z Pole w rękaw. Mężczyzna odwraca głowę i próbuje ugasić ogień.

Rozlega się kolejny dźwięk tłuczonego szkła, a potem huk: głośny i dobiegający z bliska.

– Zajmijcie się tym – syczy Zając do swoich ludzi.

Blondyn natychmiast odchodzi, omijając resztki koktajlu Mołotowa, i rusza w stronę bocznych drzwi. Bramkarz idzie w stronę głównego wejścia, lecz kiedy tylko przez nie przechodzi, dostaje kulkę w ramię.

– *Kurwa mać!* – syczy Rzeźnik w ojczystym języku. Wskakuje za mnie, na wypadek gdyby strzelec miał wejść przez główne drzwi.

Czekamy, ale nikt nie wchodzi. Wiem, że Zając jest rozdarty – z jednej strony nie chce mnie tu zostawić samego, a z drugiej nikt go nie chroni. Nie wie, ile osób szturmuje budynek. Nie chce tu utknąć, jeśli moi ludzie wpadną przez drzwi.

Mijają sekundy i słyszymy mylące odgłosy: krzyki, tupot czyichś stóp oraz coś jeszcze, jednak ciężko określić, co tam się dzieje. Mołotow wciąż się pali – właściwie to jakimś cudem ciągle rozprzestrzenia się po cementowej podłodze. Być może to farba się tli. Z płomieni buchają kłęby gryzącego czarnego dymu, przez który kaszlemy i zaczynamy się pocić.

W końcu Zając przeklina raz jeszcze i podchodzi do stołu, jedną ręką bierze tasak, a drugą maczetę. Potem szybkim krokiem wychodzi tymi samymi bocznymi drzwiami, za którymi zniknął jego blondwłosy porucznik.

Gdy tylko zostaję sam, zaczynam poruszać nadgarstkami i majstrować przy linach. Lewe ramię mam już całkowicie zdrętwiałe, ale na szczęście wciąż mogę ruszać prawym. Ciągnę tą ręką tak bardzo, jak tylko jestem w stanie. Moje dłonie, nadgarstki, ręce i ramiona krzyczą z bólu. Mam wrażenie, że zwichnę sobie kciuk. Ale w końcu udaje mi się uwolnić prawą rękę.

I nagle przez drzwi wpada bosa postać i przeskakuje nad ciałem bramkarza, który dostał w ramię.

Aida.

Gdy tak biegnie, jej ciemne włosy powiewają za nią niczym jakiś sztandar. Zwinnie omija płomienie oraz rozbite szkło i zatrzymuje się, aby zabrać ze stołu nóż. Wciska mi go w dłoń.

– Przetnij linę! – woła. – Jest za wysoko! Nie dosięgnę jej!

Krew spływa po prawej stronie jej twarzy, a lewą rękę ma owiniętą jakąś szmatą.

– Nic ci nie jest? – pytam, unosząc wolną rękę ponad głowę, aby przeciąć linię. – Gdzie są twoi bracia?

– Nie mam pojęcia! – odpowiada. – Te zbiry zabrały mi telefon. Zabrali też broń… Dante będzie wkurwiony. Jestem tu sama!

– Co!? – krzyczę. – Więc co to były za hałasy, do diabła?

– Dywersja! – oznajmia radośnie Aida. – A teraz pospiesz się zanim…

W tej chwili lina pęka, a ja spadam na beton. Mam wrażenie, że ramiona nie są częścią mojego ciała. Nogi również mi pulsują. Nie wspominam już nawet o ranie na brzuchu.

– Co oni ci zrobili? – pyta Aida drżącym głosem.

– Nic mi nie jest – odpowiadam. – Ale lepiej żebyśmy…

Nagle wraca blondyn w towarzystwie jeszcze jednego człowieka Zająca. Stają w drzwiach i mierzą do nas z broni.

– Nie ruszać się – mówi blondyn.

Powietrze jest gęste od dymu. Nie jestem pewien, jak dobrze nas widzą – natomiast wiem, że wystarczająco dobrze, aby nas zastrzelić. Łapię Aidę za ramię i zaczynam iść do tyłu.

Idziemy wzdłuż metalowej kraty w stronę miejsca, skąd rzeźnicy wlewali do rzeki krew oraz wnętrzności.

– Stać! – krzyczy blondyn, idąc w naszą stronę przez dym. Unosi karabin i składa się do strzału.

Kiedy staję na kracie z zawiasami, słyszę głuchy brzdęk.

Nie spuszczając wzroku z ludzi Zająca, napieram czubkiem buta na róg kraty, próbując ją unieść bez użycia rąk.

Jest ciężka, ale zaczyna się unosić. Na tyle wysoko, że jestem w stanie wsunąć pod nią całą stopę.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście, i trzymajcie ręce w górze – warczy blondyn, idąc w naszą stronę.

Kopnięciem otwieram kratę.

Potem obejmuję Aidę i mówię:

– Weź głęboki wdech.

Czuję, że jej ciało się napina.

Podnoszę żonę i trzymając ją w swoich ramionach, wskakuję do rury mającej ponad metr średnicy, która prowadzi, Bóg jeden wie gdzie.

Zanurzamy się w brudnej, lodowatej wodzie.

Porywa nas wartki nurt.

Panuje tu taki mrok, że to, czy mam otwarte, czy zamknięte oczy, nie stanowi żadnej różnicy. Trzymając Aidę w żelaznym uścisku, unoszę rękę, aby sprawdzić, czy nad naszymi głowami jest powietrze. Przesuwam dłonią po rurze, jednak między metalem a wodą nie ma zupełnie nic.

A to oznacza, że musimy się stąd jak najszybciej wydostać. Co prawda niesie nas prąd, ale poruszam nogami, popychając nas szybciej naprzód.

Jak na razie znajdujemy się tu przez trzydzieści sekund. Jestem w stanie wstrzymać oddech na ponad dwie i pół minuty. Nie spodziewam się, że Aida wytrzyma więcej niż minutę.

Nie wije się w moich ramionach, nie walczy ze mną. Lecz czuję, jaka jest spięta i przerażona. Ufa mi. Boże, mam nadzieję, że nie popełniłem najstraszniejszego błędu.

Mkniemy dalej, a ja jeszcze mocniej poruszam nogami. A potem wystrzeliwujemy z rury wylotowej jak z procy, spadając z wysokości mniej więcej półtora metra prosto do rzeki Chicago.

Prąd wypycha nas na środek zbiornika wodnego, kilkaset metrów od obu brzegów. Nie chciałbym tu być, gdyby nadpłynęły jakieś łodzie, nie jestem również pewien, w którą stronę powinienem płynąć. Rozglądam się, próbując ustalić, gdzie dokładnie jesteśmy.

Aida jedną ręką obejmuje moją szyję, a drugą wiosłuje. Kiepska z niej pływaczka, a prąd jest silny. Drży. Ja również.

– Skąd wiedziałeś, że tamtędy będziemy mogli się wydostać? – pyta, szczękając zębami.

– Nie wiedziałem – odpowiadam. – Jak, do kurwy nędzy, mnie znalazłaś?

– Och, cały czas byłam z tobą! – oznajmia radośnie Aida. – Jada, ta zdradziecka suka, dosypała nam czegoś do drinków, tyle że ja swojego nie wypiłam, bo jakoś dziwnie wyglądał.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

– Chciałam! – woła. – Ale go wypiłeś. Nie, żebym krytykowała twoją kulturę, ale wy, Irlandczycy, moglibyście od czasu do czasu sączyć swoje drinki, a nie wlewać w siebie tak wszystko od razu na hejnał.

Przewracam oczami.

– Nieważne – mówi. – Próbowałam zabrać cię do samochodu, ale powłóczyłeś nogami i bełkotałeś, a ochrona zamknęła mnie w klubie. A kiedy straciłeś przytomność, udałam, że ja też mdleję. Byłam taka sflaczała, że byłbyś pod wrażeniem mojej gry aktorskiej. Nie wyszłam z roli, nawet kiedy ten duży walnął moją ręką o bagażnik.

Patrzę na nią ze zdumieniem. Jak widać, kiedy ja byłem nieprzytomny, ona najwyraźniej knuła i planowała. Moja mała Aida znowu zaczyna trajkotać:

– Przywieźli nas do tego magazynu, a potem wnieśli do środka. Ciebie gdzieś zabrali, a mnie zamknęli w jakimś biurze. Ten, który mnie tam zaniósł, nie związał mnie, bo myślał, że wciąż jestem nieprzytomna. Zostawił mnie na chwilę samą, ale nie zamknął drzwi. Nie miałam przy sobie telefonu, typ zabrał moją torebkę i pistolet Dantego. Wlazłam więc do szybu wentylacyjnego…

– Co takiego?

– Taa. – Uśmiecha się. – Paznokciem odkręciłam śrubę i zdjęłam osłonę. Wczołgałam się do środka. Pamiętałam o tym, żeby na powrót założyć osłonę. Żałuję, że nie mogłam zostać i zobaczyć, jaką strażnik miał minę po powrocie. Prawdopodobnie myślał, że to jakaś sztuczka godna Houdiniego. W szybie zostawiłam buty, bo robiły za dużo hałasu. Następnie wpadłam do niewielkiej kuchni, gdzie była lodówka, zamrażarka, pełny barek. Właśnie tak zrobiłam Mołotowy. Tam są przeróżne rzeczy. Zając często musi tu pracować i to nie tylko wtedy, gdy torturuje ludzi. – Urywa, jej ściągnięte brwi zdradzają troskę. – Pociął cię? Krwawiłeś…

– Nic mi nie jest – zapewniam. – Po prostu mnie trochę szturchnął.

– Tak czy inaczej – kontynuuje – słyszałam, że strażnicy wpadli w panikę. Wszyscy się go boją i nie chcieli mu powiedzieć, że uciekłam. Dzięki temu zyskałam nieco czasu, żeby się pokręcić i zrobić zamieszanie. Ukradłam broń i jednego z nich zastrzeliłam. Potem drugi złapał mnie od tyłu i uderzył moją głową o ścianę. Musiałam strzelić z dziewięć razy, zanim go trafiłam w stopę. Już nie miałam kul, ale chwilę potem cię znalazłam!

Patrzę na nią, jestem absolutnie zdumiony. Jej oczy błyszczą z podniecenia, a twarz iskrzy ekscytacją na myśl o tym, co zrobiła.

To było istne szaleństwo. Mogliśmy zginąć. Jednak nigdy nie czułem się bardziej żywy. Lodowata woda. Nocne powietrze. Gwiazdy na niebie. Światło odbijające się od szarych oczu Aidy. Odczuwam to wszystko z bolesną intensywnością. To jest absolutnie, kurewsko, piękne.

Obejmuję dłońmi twarzy żony i zaczynam ją całować. Pocałunek jest na tyle długi i namiętny, że zanurzamy się pod wodę, aby chwilę później wypłynąć na powierzchnię ze wciąż przyciśniętymi do siebie ustami.

– Jesteś niesamowita – oznajmiam. – A poza tym kompletnie szalona. Trzeba było wiać!

Aida rzuca mi swoją najpoważniejszą minę.

– Nigdy bym cię nie porzuciła – oznajmia.

Nurt rzeki sprawia, że powoli się obracamy, a wokół nas wirują światła miasta. Pływając w miejscu, obejmujemy się i patrzymy sobie w oczy.

– Ani ja – obiecuję. – Zawsze cię znajdę, Aido.

Raz jeszcze mnie całuje tymi zimnymi, drżącymi ustami. To najdelikatniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek dotknąłem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– AIDA

Dwa dni później odbywają się wybory.

Rany Cala zostały opatrzone, kilka rozcięć trzeba było zszyć, ale teraz nikt nie powiedziałby, że brał udział w jakiejkolwiek walce. Z kolei ja muszę nosić gigantyczny gips, bo najwyraźniej ten zidiociały bramkarz złamał mi dwa palce, kiedy uderzył moją dłonią o bagażnik auta. Cóż, bardzo cieszę się, że go postrzeliłam.

Gips cholernie utrudnia mi pisanie czegokolwiek na telefonie i mnie to denerwuje, bo mam coś bardzo ważnego do ogarnięcia, a nie chcę, żeby wszystko się spieprzyło, przez to, że nie mogę sprawdzić maila.

– Mogę ci pomóc – oznajmia Cal, wyciągając rękę po mój telefon. – Możesz dyktować, a ja będę pisać.

– Nie! – odpowiadam, wyrywając mu sprzęt z ręki. – Nie potrzebuję pomocy.

– Co ty wyprawiasz? – pyta podejrzliwie.

– Nie twój interes – odpowiadam, chowając telefon do kieszeni.

Callum marszczy brwi. Już i tak jest podenerwowany, oczekiwaniem na wyniki wyborów, które możemy poznać w każdej chwili. Naprawdę nie powinnam go złościć.

Niemal wychodzi z siebie, kiedy jego telefon zaczyna dzwonić. Przytrzymuje go przy uchu i słucha.

Wyraźnie widzę, jak zalewa go fala ulgi. Rozłącza się z uśmiechem wymalowanym na twarzy.

– Gratulacje! – krzyczę.

Unosi mnie i wirujemy w koło, aż w końcu obejmuję go nogami w pasie i całuję przez bardzo długą chwilę.

– Udało ci się – oznajmiam.

Odstawia mnie i wbija we mnie spojrzenie tych swoich jasnoniebieskich oczu.

– Zrobiliśmy to razem, Aido. Naprawdę. Potrzebowałem dodatkowego wsparcia od Włochów, a ty mi je zapewniłaś. Pomogłaś mi dotrzeć do odpowiednich ludzi. Chcę, żebyś ze mną pracowała. Codziennie. Oczywiście, kiedy już skończysz studia.

Moje serce zaczyna lekko trzepotać mi w piersi.

To szaleństwo. Kilka tygodni temu nie przypuszczałam, że będziemy z Callumem dzielić pokój i nie pozabijamy się nawzajem.

– Współlokatorzy oraz współpracownicy? – droczę się.

– A czemu nie? – pyta, marszcząc brwi. – Masz mnie już dość?

– Nie. Nie należysz do gadatliwych osób – odpowiadam, śmiejąc się. – W sumie to działasz na mnie całkiem… uspokajająco.

To prawda. Gdy nie doprowadza mnie do szału, działa na mnie uspokajająco. Czuję się przy nim bezpiecznie.

– A co zrobimy z Zającem? – pytam.

Dante i Nero zwiali z kasyna Rzeźnika, zabierając prawie pół miliona dolarów, a jakby było tego mało, zniszczyli kilka jego automatów. Od tamtego czasu nie mamy o Zającu żadnych wieści. Wygląda to na ciszę przed burzą.

– Cóż, Nero uważa, że powinniśmy…

W tym momencie przerywają nam Fergus wraz z Imogen, którzy usłyszeli wieści. Wpadają do biura Cala, aby uczcić sukces syna szampanem.

Próbuję wymknąć się niepostrzeżenie i zostawić ich samych, jednak Imogen obejmuje mnie ramieniem i wciąga z powrotem do pomieszczenia.

– Nie chcesz się napić? – pyta. – Aido, to też i twoje święto. Za osiągnięciem męża stoi jego żona. I odwrotnie.

Imogen najwyraźniej wybaczyła mi, że zniszczyłam jej szafkę. Właściwie to nalega, żebyśmy wszyscy poszli na kolację, oczywiście wraz z Nessą i Rioną. Domyślam się, że już mamy zarezerwowany stolik w Everest. Uśmiecham się, widząc, jak Imogen wierzy w swojego syna.

– Pewnie chcesz, żebym się przebrała – mówię do Calluma.

Zerka na moją koszulkę oraz szorty.

– Sam nie wiem – odpowiada, posyłając mi drobny półuśmiech. – Wyglądasz całkiem uroczo.

– Kim jesteś i co zrobiłeś z moim mężem? – Unoszę brwi ze zdumienia.

– We wszystkim wyglądasz pięknie – oznajmia, wzruszając ramionami. – Nie mam zamiaru ci rozkazywać w tej kwestii.

Patrzę na niego z ukosa i uśmiechając się, szepczę:

– A co, jeśli podoba mi się, kiedy mi rozkazujesz?

Łapie mnie za ramię i warczy do ucha:

– Załóż tę niebieską sukienkę, którą ci kupiłem, a zobaczysz, jak ci to wynagrodzę.

Kiedy słyszę ten jego władczy ton, włoski na moich ramionach unoszą się i czuję ciepłe, pulsujące podenerwowanie.

Jakaś część mnie chce okazać nieposłuszeństwo.

Ta druga część chce z kolei zobaczyć, co się stanie, jeśli odegram swoją rolę.

Dlatego też ruszam do garderoby, odnajduję pożądaną sukienkę i ją zakładam. Następnie szczotkuję włosy, spinam je spinką, zakładam kolczyki w kształcie małych, białych stokrotek i wsuwam stopy w sandały.

Callum czeka na dole, aż skończę. Po wszystkim schodzę po schodach niczym królowa balu, przesuwając ręką po balustradzie i próbując wyglądać z wdziękiem.

Mąż uśmiecha się do mnie. Wygląda niesamowicie przystojnie w jasnoniebieskiej koszuli i dopasowanych spodniach. Ogolił się, przez co jego szczęka wygląda ostrzej niż zazwyczaj. Teraz widzę idealny kształt jego ust. Nawet gdy błąka się na nich delikatny uśmiech, jego oczy wyglądają surowo.

– Gdzie są wszyscy? – pytam.

– Powiedziałem, żeby pojechali innym samochodem. Jack nas zawiezie.

Bierze mnie za rękę i przyciąga do siebie.

– Mam nadzieję, że nic nie masz pod spodem – mruczy.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam skromnie.

Jack już stoi przy samochodzie, przytrzymując drzwi. Od kiedy wraz z moimi braćmi i kuzynem obrabował kasyno, jest dla mnie

nieco milszy. Nie wiem, czy to dlatego, że lubi moją rodzinę, czy raczej dlatego, że się ich boi. Ale od tamtej pory nie rzucił ani jednym chamskim komentarzem. I nawet nie musiałam do niego strzelać.

Wskakujemy z Callumem na tylną kanapę. Widzę, że Cal już podnosi oddzielającą nas od kierowcy ściankę. Włącza również muzykę, teraz gra głośniej niż zazwyczaj.

– Jak daleko stąd jest restauracja? – pytam.

– Powinno wystarczyć nam czasu – odpowiada.

Nie zawracając sobie głowy zapięciem pasów, siada przede mną i wsuwa głowę pod moją sukienkę. Sapię i jeszcze trochę podkręcam muzykę. A dopiero potem rozsiadam się na siedzeniu.

Długimi i powolnymi ruchami języka liże moją cipkę. Jego usta są niewiarygodnie miękkie. Pieszczą moją skórę, a język wślizguje się między falbanki. Jest ciepły, wilgotny i zmysłowy.

Uwielbiam się pieprzyć z Callumem w samochodzie. Nie wiedziałam, po co ludziom szoferzy, ale teraz zdaję sobie sprawę, że na bank to właśnie jest ten powód – dzięki nim człowiek będzie mógł zamienić swoje nudne podróże w najlepszą część dnia. Kiedyś wszyscy będziemy mieli samochody-roboty i gdy człowiek zajrzy przez czyjeś okno do środka, to właśnie to zobaczy: wszyscy będą się pieprzyć.

Czując zapach jego balsamu do ciała, zaczynam reagować jak pies Pawłowa. Niespodziewanie ten zapach stał się najbardziej erotycznym zapachem na świecie.

Uwielbiam czuć na swojej nagiej skórze materiał siedzenia oraz to, jak poruszający się samochód kołysze moim ciałem i sprawia, że bardziej przywieram do języka Calluma. A mój mąż jest w tym kurewsko dobry. Może i wygląda na zimnego i sztywnego, ale w rzeczywistości jego dłonie oraz usta są jak ciepłe masło. Dobrze wie, jak mocno lizać i ssać; to maksymalna stymulacja bez zbędnych szaleństw.

Kołysząc biodrami i ujeżdżając jego twarz, próbuję nie wydawać z siebie żadnych dźwięków. Może i zrezygnowałam z zemsty na Jacku, ale to nie oznacza, że chcę mu zafundować przedstawienie.

Jednak ciężko jest milczeć, kiedy Cal wsuwa we mnie palce. Delikatnie je przekręca i porusza nimi w rytmie pracy języka. Udaje mu się odnaleźć najwrażliwsze miejsca.

Moja mała zaciska się wokół jego palców, mój oddech przyspiesza i czuję mrowienie na skórze. Czuję również spiralnie spływające z mojego brzucha ciepło. Moja cipka jest mokra i bardzo wrażliwa.

Callum unosi dłoń i zsuwa moją sukienkę. Uwalnia jedną z moich piersi i delikatnie ją pieści, szczypie i ciągnie za sutek.

Stopniowo zwiększa nacisk, aż w końcu brutalnie ściska mój cycek i szarpie za sutek. Z jakiegoś powodu czuję się zajebiście. Może to dlatego, że jestem już tak bardzo podniecona, a może po prostu lubię, kiedy Cal jest trochę ostrzejszy podczas seksu. Między nami panuje tak duże napięcie, że ta ostrość pozwala nam załagodzić agresję. Dzięki temu możemy gdzieś ukierunkować tę złość.

Nigdy nie byłam w podobnym związku. Zawsze trafiałam na takie osoby, które nienawidziłam, albo na takie, które lubiłam i obie te grupy były całkowitymi przeciwieństwami. Moi faceci zawsze zaliczali się do „słodkich i zabawnych", a nie do „doprowadzających mnie do pieprzonego szaleństwa".

Callum zaczyna należeć do obu tych grup. W jakiś sposób to sprawia, że ciągnie mnie do niego jeszcze bardziej. Udaje mu się wydobyć ze mnie wszystkie emocje: urazę, zazdrość, buntowniczość, pragnienie, gniew, ciekawość, figlarność. A nawet szacunek. Łączy to wszystko w jedno. Efekt tego wszystkiego jest absolutnie nie do odparcia. I całkowicie mnie to urzekło.

Cal jednocześnie ciągle liże moją cipkę, pieści mnie palcami i ugniata mój cycek. Pobudza każdą część mojego ciała, aż zaczynam się wić i ocierać o niego. Jestem gotowa do eksplozji.

Czuję, że samochód skręca i zaczyna zwalniać.

Teraz albo nigdy.

Poddaję się i nieustannie dochodzę na języku Cala. Rozbijają się o mnie fale przyjemności. Muszę mocno zacisnąć powieki i przygryźć wargę, żeby nie krzyczeć.

A potem samochód się zatrzymuje i Cal siada na siedzeniu, ocierając usta wierzchem dłoni.

– W samą porę – oznajmia.

Sapię, jakbym przebiegła półtora kilometra.

– Masz szaloną fryzurę – mówię, wzdychając.

Wygładza włosy ręką i uśmiecha się do mnie.

– Tak, tak, świetnie się spisałeś – przyznaję ze śmiechem.

– Wiem – odpowiada.

Bierze mnie za rękę, pomagając mi wysiąść z samochodu.

Wjeżdżamy windą na czterdzieste czwarte piętro budynku Giełdy Papierów Wartościowych. W sumie to nigdy tu nie byłam, ale wiem, że restauracja powinna być fajna.

Widok naprawdę jest oszałamiający. Oczywiście Imogen zarezerwowała najlepszy stolik w całym lokalu. Mamy stąd widok na panoramę rozciągającego się poniżej miasta oraz na część jeziora.

Wszyscy siedzą już przy stole. Nessa ma na sobie kombinezon w kwiaty, a jasnobrązowe włosy związała w kucyk. Teraz jest coraz więcej słońca, przez co wyskakuje jej więcej piegów. Riona – co do niej niepodobne – ma rozpuszczone włosy. Poważnie, nigdy nie widziałam tak oszałamiających włosów. Są grube, faliste, mają piękny odcień i aż lśnią. Myślę, że jest dumna z ich wyglądu i że tak bardzo przyciągają uwagę.

Riona dzisiejszego wieczoru jest niemal w równie dobrym humorze, co pozostali. Wszyscy rozmawiamy, śmiejemy się i zamawiamy z menu ekstrawaganckie rzeczy. Przyglądam się rodzinie Cala i po raz pierwszy nie czuję się obco. Siedząc przy stole, czuję się swobodnie. A nawet cieszę się, że tu jestem.

Rozmawiamy o najgrubszej książce, jaką kiedykolwiek przeczytaliśmy.

– Przeczytałam *Wojnę i pokój*! – oznajmiam. – Wydaje mi się, że jestem jedyną osobą, która to zrobiła. Utknęłam w domku, a to była jedyna książka na półce.

– Myślę, że moją najgrubszą książką może być *Bastion* – zastanawia się Riona. – Oczywiście w wersji nieskróconej.

– Czytałaś Stephena Kinga? – pytam ze zdumieniem.

– Przeczytałam wszystkie jego książki – odpowiada. – Poza ostatnią, bo nie miałam czasu…

– To ją przerażało – przerywa Callum. – Do tej pory boi się klaunów.

– Nie boję się ich – mówi hardo Riona. – Po prostu ich nie lubię. A to różnica…

– Chcesz jeszcze wina? – pyta Cal, unosząc butelkę.

Kiwam głową, a on ponownie napełnia mój kieliszek.

Po odstawieniu butelki kładzie mi rękę na kolanie. Odnajduje moją rękę – tę, która nie jest w gipsie – i splata swoje palce z moimi.

Jego dłoń jest ciepła oraz silna, zaciska ją na mojej z odpowiednią siłą. Delikatnie przesuwa kciukiem po moim, a po chwili nieruchomieje.

Pieprzyliśmy się niejednokrotnie. Tak samo było z całowaniem. Ale po raz pierwszy trzymamy się za ręce. I nie robi tego na pokaz, bo nie jesteśmy na przyjęciu, gdzie musimy stwarzać pozory. No i też nie łapie mnie, żeby do siebie przyciągnąć. Trzyma mnie za rękę, bo tego chce.

Nasz związek rozpoczął się w dość zabawny i pokrętny sposób. Najpierw małżeństwo. Potem seks. Następnie poznanie się nawzajem. Aż w końcu… cokolwiek to jest. To ciepło, pożądanie, sympatia oraz przywiązanie, to uczucia, które płoną i z każdą chwilą stają się coraz silniejsze, szczególnie kiedy patrzę na siedzącego obok mnie mężczyznę.

Nie mogę w to uwierzyć.

Chyba się zakochuję.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

– CALLUM

Siedzę przy stole otoczony przez rodzinę i pławię się blaskiem zwycięstwa. Moi rodzice nigdy nie wyglądali na tak szczęśliwych oraz dumnych. Moim siostrom dopisuje humor, śmieją się i żartują z jakiegoś uganiającego się za Nessą faceta.

Pracowałem na to przez kilka miesięcy.

A jednak łapię się na tym, że ignoruję rozmowy toczące się przy stole, skupiając się jedynie na Aidzie.

Nie mogę uwierzyć, że została w budynku Zająca, aby mnie odszukać.

Mogła zginąć, mogli ją ponownie złapać i zrobić z niej zakładniczkę do czasu, aż jej bracia nie zwrócą skradzionych pieniędzy.

Gdy tylko wydostała się z biura, mogła po prostu zwiać, lecz tego nie zrobiła. Bo wiedziała, że jestem gdzieś w tym budynku i najpewniej mnie torturują albo że zostałem zabity.

W ten prosty sposób mogła się wymiksować z tej małżeńskiej umowy.

Jednak nie wydaje mi się, żeby wciąż chciała się z niej wymiksować. A przynajmniej nie chce tego tak bardzo, jak wcześniej.

Wiem, że nie chcę jej stracić.

Zacząłem szanować i lubić Aidę. Podoba mi się to, jak na mnie wpływa. Nie tylko sprawia, że zachowuję się bardziej lekkomyślnie, ale jestem też bardziej skupiony. Zanim ją poznałem, stwarzałem pozory. Robiłem to, co należało do moich obowiązków, ale nie zależało mi na tym.

Teraz chcę osiągnąć ten sam cel, z tym że o wiele bardziej. Chcę to zrobić, mając Aidę u boku, ona bowiem tchnęła życie w całe to przedsięwzięcie.

Biorę ją za rękę i trzymam w swojej dłoni, delikatnie przesuwając swoim kciukiem po jej. Patrzy na mnie, jest zaskoczona, lecz nie zirytowana. Uśmiecha się do mnie i odwzajemnia uścisk.

Wtedy jej telefon zaczyna wibrować, a ona wyciąga go z torebki, aby przeczytać wiadomość. Patrzy na ekran pod stołem, tym samym uniemożliwiając mi zobaczenie treści SMS-a. Natychmiast zauważam, że wyraz jej twarzy się zmienia. Widzę, jak z podnieceniem wciąga powietrze do płuc, a jej policzki zalewa rumieniec.

– Co jest? – pytam.

– Och, nic – odpowiada. – Dostałam SMS-a od brata.

Potem błyskawicznie chowa telefon. Widzę, że jest podekscytowana i ledwo może spokojnie usiedzieć na miejscu.

Cofam rękę i sączę wino, próbując nie okazywać irytacji.

Co muszę zrobić, żeby była ze mną całkowicie szczera? Kiedy się przede mną otworzy i przestanie traktować jak jakiegoś irytującego kapo?

Jest za bardzo zadowolona, aby zauważyć moją zmianę nastroju.

– Powinniśmy zamówić deser! – oznajmia. – Co lubisz najbardziej?

– Nie jem słodyczy – odpowiadam ponuro.

– Mają tu lody grejpfrutowe – droczy się. – To prawie jak zdrowa żywność.

– Może wezmę trochę od ciebie – mówię, ustępując.

– Nie biorę lodów. – Śmieje się. – Wezmę suflet czekoladowy.

* * *

Następnego dnia mam jechać, aby obejrzeć swoje nowe biuro w ratuszu. Idę sprawdzić, czy Aida ma ochotę wybrać się ze mną. Jestem zdziwiony, widząc, że jest już ubrana i wsiada do jeepa Nessy.

– Dokąd się wybierasz? – pytam.

– Mam kilka spraw do załatwienia – mówi wymijająco.

– Jakich?

– Różnych – odpowiada. Wsiada do samochodu i zamyka za sobą drzwi.

Ma na sobie top kończący się przed pępkiem i krótkie, podarte szorty. Włosy związała w kucyk, a na czubku głowy ma okulary przeciwsłoneczne z oprawkami w kształcie serc. Taki strój według jej standardów klasyfikuje się do kategorii: wystrojona. To tylko rozpala moją ciekawość.

Opieram się o otwarte okno jeepa. Jestem zły, że ze mną nie jedzie. Chciałem pokazać jej ratusz, a potem może wybralibyśmy się razem na lunch.

– To nie może poczekać? – pytam.

– Niestety – odpowiada ze smutkiem. – Właściwie to muszę już jechać…

Cofam się, pozwalając jej uruchomić silnik.

– Skąd ten pośpiech? – pytam.

– Żaden pośpiech. Widzimy się wieczorem! – woła, wrzucając wsteczny.

Kiedy nie odpowiada na moje pytania, bywa kurewsko irytująca.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wygląda zbyt ładnie na wyjście na pocztę, czy chuj wie gdzie. I co to za sprawy do załatwienia, które są tak naglące?

Kto do niej pisał wczoraj wieczorem? Czy mógł to być Oliver Castle? Czy to możliwe, że jedzie, aby się z nim spotkać?

Aż płonę z zazdrości.

Wiem, że kiedy wróci wieczorem do domu, powinienem z nią po prostu porozmawiać, jednak nie chcę czekać tak długo.

Szkoda, że zapomniałem podprowadzić jej telefon. Patrzyłem jej przez ramię, jak wprowadzała hasło: 1799, wcale nie tak trudno je zapamiętać. Jednak przez te szaleństwa, spotkanie z Zającem oraz wybory, które odbyły się chwilę potem, zapomniałem przejrzeć jej telefon.

Trzeba było to zrobić zeszłej nocy, kiedy spała.

Teraz mnie, kurwa, ciekawość zżera żywcem.

Wyciągam z kieszeni komórkę i wybieram numer Jacka. Odbiera natychmiast.

– Co tam szefie? – pyta.

– Gdzie jesteś?

– W Ravenswood.

– Czy w jeepie Nessy jest nadajnik GPS?

– Tak. Twój ojciec kazał je zamontować we wszystkich samochodach.

– Dobrze. – Z ulgą wypuszczam powietrze z płuc. – Chcę, żebyś go śledził. Aida załatwia jakieś sprawy… Chcę, żebyś sprawdził, co robi i dokąd jedzie.

– W porządku – odpowiada Jack.

O nic nie pyta, jednak jestem pewien, że się domyśla, dlaczego o to proszę.

– Informuj mnie na bieżąco. Chcę wiedzieć o wszystkim, co robi. Nie trać jej z oczu.

– Zrozumiałem.

Rozłączam się.

Mam wyrzuty sumienia, że napuszczam Jacka na Aidę – zwłaszcza wiedząc, co do niego czuje. Jednak muszę wiedzieć, co ona robi, i raz na zawsze dowiedzieć się, czy jej serce należy do kogoś innego, czy może jest dostępne. Może nawet dla mnie.

Muszę jechać do ratusza, więc zabieram ze sobą ojca. Już teraz mi mówi, jak za kilka lat przekujemy ten sukces w kampanię na burmistrza. Opowiada również o wszystkich możliwych sposobach na wykorzystanie rady, abyśmy mogli się wzbogacić.

Ledwo skupiam się na jego słowach. Moja ręka ponownie wślizguje się do kieszeni i zaciskam palce na telefonie, żebym mógł odebrać, kiedy zadzwoni Jack.

Po około czterdziestu minutach przysyła mi SMS–a:

Jest gdzieś w okolicy Jackson Park. Widzę samochód, ale jeszcze jej nie znalazłem. Sprawdzam w sklepach i kawiarniach.

Jestem spięty jak agrafka.

Co jest w Jackson Park? Z kim jest umówiona? Wiem, że z kimś się spotyka, czuję to.

Ojciec kompletnie mnie zaskakuje, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Nie wyglądasz na zadowolonego – oznajmia. – Co się stało? Nie podoba ci się biuro?

– Nie – odpowiadam, kręcąc głową. – Jest wspaniałe.

– To o co chodzi?

Waham się. Moja relacja z ojcem opiera się wyłącznie na pracy. Wszystkie nasze rozmowy skupiają się na rodzinnych interesach. Na problemach, które musimy rozwiązać, umowach, które musimy zawrzeć oraz na sposobach, aby się rozwijać. Nie rozmawiamy o sprawach osobistych, emocjach, uczuciach.

A mimo to potrzebuję porady.

– Myślę, że popełniłem błąd, jeśli chodzi o Aidę – mówię do niego.

Wytrącony z równowagi ojciec przygląda mi się zza szkieł okularów. Nie spodziewał się, że powiem coś takiego.

– Co przez to rozumiesz?

– Byłem dla niej zimny i wymagający… a nawet okrutny. Teraz może już być za późno, żeby zacząć od nowa…

Ojciec opiera się o biurko i krzyżuje ręce na piersi. Prawdopodobnie nie chce o tym rozmawiać. Ja również tego nie chcę, ale zżera mnie to żywcem.

– Wczoraj nie sprawiała wrażenia żywiącej urazę – oznajmia.

Wyglądam przez okno i wzdychając, przyglądam się wieżowcom.

Aida zawsze radzi sobie z otrzymywanymi ciosami. To wcale nie znaczy, że nie została skrzywdzona. I nie świadczy to o tym, że łatwo będzie ją zdobyć. Aida jest jak twardy orzech. Co trzeba zrobić, żeby przebić się przez jej skorupę i dostać się do ukrytego wewnątrz niej wrażliwego serca?

– Kiedy zakochałeś się w mamie? – pytam. Przypominam sobie, że małżeństwo moich rodziców też nie do końca należało do tradycyjnych.

– Nie jestem sentymentalnym człowiekiem – odpowiada ojciec. – Myślę, że pod tym względem jesteśmy do siebie podobni. Nie rozmyślam wiele o miłości ani o tym, co ona znaczy. Lecz powiem ci, że zaufałem twojej matce. Pokazała mi, że mogę na niej polegać bez względu na wszystko. I to nas połączyło. Wtedy zrozumiałem, że już nie jestem sam. Bo mogłem liczyć przynajmniej na jedną osobę.

Zaufanie jako istota miłości.

Na pozór nie brzmi to zbyt romantycznie, lecz ma sens, zwłaszcza w naszym świecie.

Każdy gangster wie, że jego przyjaciele mogą strzelić mu prosto w plecy równie łatwo jak wrogowie. A w rzeczywistości przychodzi im

to znacznie łatwiej.

Zaufanie jest rzadsze od miłości.

To złożenie na czyjeś ręce swojego szczęścia, losu oraz życia. Mając nadzieję, że ta osoba zatroszczy się o ich bezpieczeństwo.

Mój telefon zaczyna ponownie wibrować.

– Poczekaj chwilkę – mówię do ojca, wychodząc na korytarz, żeby odebrać telefon.

– Przez chwilę ją widziałem – oświadcza Jack. – Była w restauracji z jakimś facetem. Coś jej dał, jakieś małe pudełeczko. Schowała je do torebki.

– Kim był ten facet? – pytam. Czuję suchość w ustach i mocno zaciskam palce na telefonie.

– Nie wiem – odpowiada przepraszającym tonem Jack. – Widziałem tylko tył jego głowy. Miał ciemne włosy.

– Czy to był Castle?

– Nie wiem. Siedzieli na patio. Wszedłem do restauracji, chciałem zająć stolik, żeby być bliżej i ich podsłuchać. Ale zanim wszedłem, oni zdążyli wyjść. Nie byłem w stanie jej znowu zaleźć.

– Gdzie jest jej wóz? – pytam.

– No, to dopiero dziwne. – Słyszę ciężki oddech Jacka, zupełnie jakby szedł i mówił jednocześnie. – Jeep ciągle stoi na parkingu. Ale Aidy nigdzie nie ma.

Musiała odjechać z tym facetem.

KURWA!

Moje serce tłucze się w piersi jak szalone i czuję, że jest mi niedobrze.

Czy jest z nim teraz? Dokąd jadą?

– Dalej jej szukaj – warczę do telefonu.

– Oczywiście – mówi Jack. – Jest jeszcze coś…

– Co?

– Znalazłem but.

Zaraz chyba eksploduję, a Jack pieprzy bez sensu.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – pytam.

– Na parkingu obok jeepa leżał trampek. Damski Converse, rozmiar czterdzieści i pół, kremowy. Lewy.

Zmuszam mózg do pracy starając się sobie przypomnieć, w co Aida była ubrana, kiedy wsiadała do jeepa. Lawendowy top. Jeansowe szorty. Gołe nogi. A na nogach… jak zwykle tenisówki. Takie, które można założyć bez wiązania sznurówek. Białe albo kremowe, jestem niemal pewien.

– Zostań tam – rzucam. – Zostań przy jeepie. Pilnuj buta.

Rozłączam się i szybkim krokiem wracam do biura.

– Muszę iść – mówię ojcu. – Masz coś przeciwko, żebym wziął samochód?

– Śmiało – odpowiada. – Wrócę do domu taksówką.

Pospiesznie wracam na parter, a w mojej głowie kłębią się przeróżne myśli.

Co tu się, do cholery, dzieje? Z kim Aida się spotykała? W jaki sposób zgubiła but?

Jadąc do Jacka, próbuje się do niej dodzwonić. Jej telefon nie jest wyłączony, lecz Aida nie odbiera.

Dzwoniąc po raz czwarty, od razu łączę się z pocztą głosową. A to oznacza, że jej telefon został wyłączony.

Zaczynam się martwić.

Może jestem głupi i Aida znajduje się teraz w jakimś pokoju hotelowym, i zrywa ciuchy z innego faceta.

Ale nie wierzę w to.

Wiem, że na to wskazują dowody, ale po prostu w to nie wierzę. Nie uważam, żeby mnie zdradzała.

Uważam, że ma kłopoty.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

– AIDA

Siedzę przy stole naprzeciwko swojego nowego najlepszego kumpla, Jeremy'ego Parkera. Podaje mi niewielkie pudełeczko, na które z nadzieją czekałam przez cały tydzień. Unoszę wieczko, aby zajrzeć do środka.

– O mój Boże! Nie mogę w to uwierzyć – sapię.

– No nie? – Śmieje się. – To była najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłem. Zajęło mi to trzy dni.

– Jesteś cudotwórcą. Serio.

Jeremy uśmiecha się niemal równie radośnie co ja.

– Masz coś przeciwko temu, żebym wrzucił to na swój kanał na YouTube? – pyta. – Przez cały czas miałem na sobie GoPro i nagrałem świetny materiał.

– Pewnie! – odpowiadam.

Zamykam pudełeczko. Ciągle nie wierzę, że trzymam je w dłoni, po czym chowam do torebki. W zamian za pudełeczko daję Jeremy'emu cienką kopertę z gotówką. W niej jest kwota, którą uzgodniliśmy, plus premia za uratowanie mojego pieprzonego tyłka.

– Dzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała – oznajmia, salutując mi.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała – Śmieję się. – Bez urazy.

– Nie gniewam się – parska radośnie.

Unosi rękę, dając znać kelnerce.

– Już zapłaciłam za jedzenie – oznajmiam.

– Och, dziękuję! Nie musiałaś.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

– W porządku, to zmykam.

Macha mi i wychodzi, przechodząc przez restaurację. Ja idę na skróty przez patio, a potem przechodzę przez ulicę. To najszybsza

droga do miejsca, gdzie zaparkowałam jeepa.

Czuję się tak, jakby moje stopy ledwo co dotykały chodnika.

To tak kurewsko nieprawdopodobne, że musi to być jakiś znak. To prawdziwy cud.

Dzisiejszy dzień jest cudowny. Słońce świeci, znad jeziora wieje delikatna bryza, a chmury są takie puszyste i równe, że wyglądają, jakby były narysowane przez dziecko.

Jestem tak podekscytowana tym, że niedługo zobaczę Cala. Mam wyrzuty sumienia, że nie pojechałam z nim obejrzeć nowe biuro, ale moja sprawa nie mogła czekać. Nie mogłam ryzykować, że coś pójdzie nie tak. Kiedy zobaczy, co dla niego mam, nie będzie się gniewał.

W świetle słonecznym jeep Nessy jest olśniewająco biały. Jadąc tutaj, umyłam go i zatankowałam w ramach podziękowania, że tyle razy mi go pożyczała. Nawet odkurzyłam siedzenia i wyrzuciłam wszystkie puste butelki po wodzie.

Jednak na jeepa pada cień rzucany przez zaparkowany obok wóz. I to bardzo znajomy wóz.

Zatrzymuję się w pół kroku, marszcząc brwi.

Nikogo nie widzę w pobliżu. Prawdopodobnie najlepiej będzie wsiąść do auta Nessy i jak najszybciej stąd odjechać.

Jak tylko moje palce dotykają klamki, czuję, że coś twardego i ostrego wbija mi się między żebra.

– Hej, mała – szepcze mi do ucha głęboki głos.

Stojąc nieruchomo, analizuję wszystkie opcje.

Walczyć. Wiać. Krzyczeć. Próbować zadzwonić.

– O czymkolwiek myślisz, nie rób tego – warczy napastnik. – Nie chcę cię skrzywdzić.

– Dobrze – odpowiadam. Staram się, aby mój głos brzmiał tak naturalnie, jak to tylko możliwe.

– Wsiadaj do mojego samochodu.

– W porządku.

– Do bagażnika – syczy mężczyzna.

Kurwa.

Współpracuję, bo wydaje mi się, że w tej chwili to najlepsze rozwiązanie. I że w ten sposób go uspokoję.

Ale muszę coś zrobić.

Naciska przycisk w breloczku, po czym bagażnik automatycznie się otwiera.

Nie zwracając jego uwagi, próbuję się rozejrzeć. Na prawie pustym parkingu panuje rozgardiasz. W pobliżu nie ma nikogo, kto zobaczyłby, jak zostaję wepchnięta do bagażnika.

Dlatego też robię jedyne, co jestem w stanie wykombinować. Zsuwam z lewej stopy tenisówkę. Siadam w otwartym bagażniku i kopnięciem posyłam but pod jeepa. Potem podkulam kolana i chowam pod sobą bosą stopę tak, aby jej nie zauważył.

– Kładź się – rozkazuje. – Nie chcę uderzyć cię w głowę.

Robię, co mi każe. Napastnik zatrzaskuje bagażnik, tym samym zamyka mnie w ciemności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– CALLUM

Stoję przed jeepem Nessy i obracam w dłoni tenisówkę.

Jestem pewien, że to but Aidy.

Ale jak go zgubiła?

Ponad godzinę temu Jack stracił ją z oczu, a ona wciąż nie wróciła do auta. Dzwoniłem do niej dwadzieścia razy. Od razu włącza się poczta głosowa.

Dante i Nero podjeżdżają na parking zabytkowym mustangiem. Wypadają z samochodu, nie zawracając sobie głowy zamykaniem za sobą drzwi.

– Gdzie ona była? – pyta od razu Dante.

– W tamtej restauracji. – Wskazuję na znajdujące się po drugiej stronie ulicy patio. – Spotkała się z jakimś znajomym? Zjedli, a potem zniknęła.

– Z jakim znajomym? – pyta Dante.

– Nie wiem – odpowiadam.

Patrzy na mnie dziwnie.

– Może odjechała z tym tajemniczym znajomym – mówi Nero.

– Może – przytakuję. – Ale zgubiła but.

Podnoszę go, żeby mogli na niego spojrzeć. Najwyraźniej go rozpoznają, bo Nero marszczy brwi, a Dante zaczyna się rozglądać, zupełnie jakby Aida mogła upuścić coś jeszcze.

– To dziwne – stwierdza Nero.

– Taaa, dziwne – przytakuję. – Dlatego do was zadzwoniłem.

– Myślisz, że porwał ją Rzeźnik? – pyta Dante niskim, dudniącym głosem.

– To czemu my tu, kurwa, stoimy! – warczy Nero. Wygląda tak, jakby przez jego ciało przebiegł prąd. Jest poruszony, gotowy do działania.

– Nie wiemy, czy to był Zając – oznajmiam.

– To kto? – pyta Dante, marszcząc brwi.

– No cóż… – To brzmi niedorzecznie, ale muszę to powiedzieć. – To mógł być Oliver Castle.

– Ollie*?* – prycha Nero. Unosi brwi tak wysoko, że chowają się pod grzywką. – Mało, kurwa, prawdopodobne.

– A czemuż to?

– Po pierwsze, to mała sucz. A po drugie, Aida z nim skończyła – oznajmia Nero.

Nawet w tych okolicznościach jego słowa sprawiają, że jestem zadowolony. Gdyby Aida nadal coś czuła do swojego byłego, jej bracia by o tym wiedzieli.

– Nie powiedziałem, że z nim pojechała. Mówiłem, że mógł ją porwać – mówię.

– Czemu tak sądzisz? – pyta krzywiący się Dante.

– But. – Unoszę go. – Myślę, że zostawiła go jako wskazówkę. Wskazówkę, która ma związek z tym, co mi kiedyś powiedziała: „Oliver i ja nie pasowaliśmy do siebie. To było jak założenie buta na złą nogę".

Zdaję sobie sprawę, jak niedorzecznie to brzmi. Nie muszę patrzeć na miny braci Aidy, aby wiedzieć, że nie są przekonani do moich przypuszczeń.

– Wszystko jest możliwe – oznajmia Dante. – Najpierw skupmy się na prawdziwym zagrożeniu, Zającu.

– Dziś jest wtorek – zauważa Nero.

– I co?

– To znaczy, że Rzeźnik odwiedza swoją dziewczynę.

– Załóżmy, że trzyma się harmonogramu i nie wziął wolnego, aby zamordować naszą siostrę – komentuje ponuro Dante.

– Koleżanka Aidy dała mam jej adres – oznajmiam. – Mam nadzieję, że mówiła prawdę. Chwilę potem nas odurzyła…

– Pojadę do tego mieszkania – postanawia Dante. – Nero, ty możesz sprawdzić lombardy i dziuple Zająca. Cal…

– Ja poszukam Castle'a – oznajmiam.

Widzę, że zdaniem Dantego to tylko strata czasu. Patrzy z nieufną miną na Jacka. Podejrzewa, że kazałem mu śledzić Aidę, i pewnie

uważa, że jestem zazdrosny i zachowuję się irracjonalnie.

Może mieć rację.

Jednak nie mogę pozbyć się wrażenia, że Aida chciała mi coś przekazać, zostawiając but.

– Jadę do mieszkania Castle'a – oznajmiam stanowczo.

A po chwili się zatrzymuję, starając się dokładnie to wszystko przemyśleć. Oliver mieszka w wieżowcu w centrum miasta. Czy porywając Aidę, zabrałby ją tam? Jeden krzyk i jego sąsiedzi zadzwonią po policję.

– Jack, jedź do jego mieszkania – rozkazuję, zmieniając zdanie. – Ja sprawdzę inną miejscówkę.

– Wszyscy pozostajemy w kontakcie – mówi Dante. – Próbujcie też dodzwonić się do Aidy. Jeśli ktoś ją znajdzie, daje znać pozostałym i wszyscy jedziemy tam razem.

Przytakujemy, kiwając głowami.

Wiem na pewno, że jeśli odnajdę Aidę, to nie będę czekać na nikogo, nawet przez chwilę. Wejdę tam i odzyskam swoją żonę.

– Masz, weź mój samochód – mówię do Dantego, rzucając mu kluczyki. – Ja pojadę jeepem.

Dante i Nero rozdzielają się, a Jack wraca do swojego wozu. Wsiadam do jeepa i czuję intensywnie znajomy kobiecy zapach swojej młodszej siostry – wanilię, bez oraz cytrynę. A potem słabszy cynamonowo-korzenny zapach Aidy.

Wyjeżdżam z miasta, kieruję się na południe, jadąc autostradą 90. Mam nadzieję, że nie popełniam straszliwego błędu. Miejsce, do którego się wybieram, znajduje się o godzinę drogi stąd. Jeśli się mylę, będę za daleko, aby pomóc Aidzie, gdziekolwiek się znajduje. Jednak czuję, że coś ciągnie mnie w dobrą stronę, jakiś niewidzialny magnes.

Aida mnie wzywa.

Zostawiła mi wskazówkę.

Wiem, że to Oliver Castle ją porwał.

I wydaje mi się, że dokładnie wiem, dokąd z nią jedzie – do małego domku na plaży, który Henry Castle niedawno sprzedał. Tego samego domku, który Oliver tak uwielbiał. Do domku, który jest teraz zupełnie pusty i nie ma tam ani jednej żywej duszy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

– AIDA

Gdybym wiedziała, jak daleko Oliver zamierza jechać, nie wlazłabym do tego pieprzonego bagażnika. Czuję się, jakbym tu siedziała całą wieczność. Jakby tego było mało, wypiłam strasznie dużo wody podczas obiadu i naprawdę muszę się wysikać. Poza tym martwię się, co Oliver zrobił z moją torebką. Niestety, nie był na tyle głupi, żeby wrzucić ją do bagażnika. Boję się, że po prostu wyrzucił ją przez okno czy coś, a to by oznaczało, że moje cenne pudełeczko znowu gdzieś się zapodziało.

Czuję, że przez dłuższy czas poruszamy się autostradą – jedziemy płynnie, jednostajnie, w jednym kierunku. W końcu skręcamy i zaczynamy jechać powoli i nieregularnie po drogach, które oczywiście są węższe i w gorszym stanie. Samochód kilkukrotnie podskakuje tak bardzo, że uderzam głową o sufit bagażnika.

Po ciemku obmacuję swoją klatkę, próbując znaleźć coś użytecznego. Gdybym trafiła na łyżkę do opon, to rozwaliłabym nią łeb Olivera, jak tylko otworzyłby bagażnik.

W końcu samochód zwalnia. Wydaje mi się, że dojechaliśmy na miejsce, gdziekolwiek ono, do cholery, jest. Co prawda, nie znalazłam żadnej broni, lecz to mnie nie powstrzyma. Kucam i w pełnej gotowości czekam, aż Oliver otworzy bagażnik.

Opony chrzęszczą na żwirze, aż w końcu auto się powoli zatrzymuje. Słyszę odgłos otwieranych drzwi i czuję, że zawieszenie się unosi, kiedy Oliver zabiera swoje wielkie cielsko z fotela kierowcy. A potem słyszę, jak idzie na tył samochodu.

Bagażnik się otwiera.

W porównaniu do ciemności panujących w bagażniku, na zewnątrz jest dość widno. Promienie zachodzącego słońca mnie oślepiają.

Mimo to kopię najmocniej, jak potrafię, obiema nogami celując w krocze Olivera.

Odskakuje w tył, więc moje stopy ledwo muskają jego uda. Ten przeklęty refleks sportowca.

– Aido, jesteś taka przewidywalna – wzdycha. – Ciągle walczysz.

Łapie mnie za stopę i niemal wyciąga z bagażnika. Przerywa, gdy zauważa, że na jednej nodze nie mam tenisówki.

– Co się stało z twoim butem? – pyta.

– A skąd mam wiedzieć? – warczę. – Byłam zajęta byciem porywaną i wpychaną do bagażnika. Mam nadzieję, że nie zgubiłeś też mojej torebki.

– Nie zgubiłem – odpowiada Oliver.

Puszcza moją stopę, a ja staję na ziemi i się rozglądam.

Zaparkowaliśmy przed małym niebieskim domkiem stojącym na plaży. Trzeba przejść sto metrów po gładkim, kremowym piasku, żeby dojść do wody. Po obu stronach domu rosną gęste skupiska drzew. Z tyłu jest idealny widok na wodę.

Nigdy wcześniej tu nie byłam. Jednak doskonale wiem, gdzie jesteśmy. Oliver ciągle opowiadał o tym miejscu. Ten dom należy do jego rodziny.

Oliver chciał mnie tu przywieźć. Kiedyś byliśmy w innym domku, położonym na skraju Indiana Dunes State Park. To o tej nocy opowiadał na bankiecie; podczas tamtego pobytu w jego chacie, miałam na sobie białe bikini i uprawialiśmy seks na plaży.

Najwidoczniej uważa, że to była jakaś magiczna noc. Dla mnie ta noc była zimna, nieprzyjemna i miałam po niej w chuj bąbli po ugryzieniach komarów.

A teraz jesteśmy tutaj, w posiadłości Castle'ów. Oliver przyjeżdżał tu, będąc dzieckiem. Mówił, że jedynie tu miał okazję, aby spędzić czas z rodzicami dłużej niż przez dziesięć minut. To smutne, lecz nie na tyle, żebym zapomniała o porwaniu.

– Co o tym sądzisz? – pyta Oliver, a na jego twarzy maluje się nadzieja.

– Jest… hm… dokładnie tak, jak to opisywałeś – odpowiadam.

– Prawda? – mówi radośnie i kompletnie ignoruje mój brak entuzjazmu.

– Nie zapomnij o mojej torebce – oznajmiam.

Raz jeszcze otwiera drzwi od strony kierowcy i zabiera moją torebkę z sąsiedniego siedzenia.

Gdy tylko się po nią schyla, puszczam się biegiem w stronę wody.

Łatwiej byłoby wybiec na drogę, ale wtedy znalazłby mnie w ciągu dwóch sekund. Mam nadzieję, że uda mi się ukryć gdzieś między drzewami lub na wydmach.

Kiedy tylko moje stopy dotykają piasku, uświadamiam sobie, jak głupi to był plan. W ogóle nie biegnę naprzód, już nawet nie wspominam o miękkim piasku. To jest jak koszmar, w którym człowiek biegnie z całych sił, a i tak ledwo co się rusza naprzód.

Z kolei Oliver kiedyś przebiegał trzydzieści sześć metrów w cztery minuty i pięćdziesiąt pięć sekund. Może i od czasów swojej świetności przytył kilka kilogramów, lecz teraz, kiedy tak pochyla głowę i wymachuje rękami, wygląda i szarżuje przez piach niczym profesjonalny futbolista.

Rzuca się na mnie z taką siłą, że wyciska mi wszystkie cząsteczki tlenu z płuc. Są tak sflaczałe, że zanim udaje mi się napełnić je cudownym powietrzem, wydaję z siebie jedynie przeraźliwe rzężenie.

Dudni mi w głowie. Cała jestem oblepiona piaskiem, mam go nawet we włosach i uszach. A co najgorsze, jest również pod gipsem, co za jakiś czas doprowadzi mnie do jebanego szału.

Oliver już jest na nogach i patrzy na mnie bezlitośnie.

– Nie wiem, dlaczego to sobie robisz, Aido – oznajmia. – Jesteś taka autodestrukcyjna.

Chcę mu odpowiedzieć, że przecież sama się nie wyjebałam, lecz chwilowo ledwo oddycham, nie wspominając o mówieniu.

Krztuszę się i dyszę, a Oliver w tym czasie grzebie w mojej torebce. Znajduje mój telefon. Klęka na piasku, podnosi kamień wielkości pięści i rozbija nim ekran. Jego twarz jest czerwona z wysiłku, mięśnie rąk i nóg ma napięte. Mój telefon dosłownie eksploduje, gdy Oliver raz za razem uderza w niego kamieniem.

Następnie zbiera potłuczone szkło i popękane metalowe części i wrzuca je do wody.

– Czy to naprawdę było potrzebne? – pytam go po odzyskaniu oddechu.

– Nie chcę, żeby ktoś cię śledził – oznajmia.

– Nikt… – Urywam, rozdziawiając usta.

Już miałam powiedzieć: „Nikt nie śledzi mojego telefonu”, ale zdaję sobie sprawę, że to nieprawda.

Oliver ukrył nadajnik w moim telefonie. Musiał to zrobić, kiedy się spotykaliśmy. To dzięki niemu zawsze wiedział, gdzie mnie znaleźć: w restauracjach, na imprezach, w szkole. A później na bankiecie Calluma.

To jasne, że dzisiaj znalazł mnie w ten właśnie sposób. Zawsze patrzył, dokąd zmierzam, wiedział, gdzie jestem. Często to były zupełnie nudne miejsca, na przykład uczelnia. Jednak wciąż mnie mdli na myśl, że byłam małą kropką na ekranie, którą on miał zawsze na oku.

Oliver zostawia moją torebkę na piasku.

– Chodź – mówi. – Wracajmy do domu.

Nie chcę wstawać, ale naprawdę nie mam ochoty, żeby mnie niósł. Dźwigam się więc na nogi i szoruję butem, idąc za nim. A swędzący, wypełniony piaskiem gips doprowadza mnie do szału, więc próbuję się go stamtąd pozbyć.

– Co ci się stało? – pyta Oliver.

– Uderzyłam ręką w bagażnik – odpowiadam. Wydobywam z siebie perwersyjny chichot, uświadamiając sobie, że w tym tygodniu dwukrotnie zostałam wepchnięta do bagażnika. Dotychczas przez całe moje życie nic takiego się nie wydarzyło, więc ustanowiłam nowy rekord.

Oliver patrzy na mnie, lecz się nie uśmiecha.

– Wiedziałem, że tak będzie – oznajmia. – Wiedziałem, że nie będzie umiał się tobą zaopiekować.

Krzywię się na te słowa. Nigdy nie chciałam, żeby ktokolwiek się mną „opiekował”. Oliver zawsze próbował i była to jedna z rzeczy, które mnie w nim irytowały. Raz graliśmy w pickleball[30] z inną parą i prawie wdał się w bójkę z tamtym facetem tylko dlatego, że tamten

wycelował piłką prosto we mnie. Oliver chciał, żeby gra była honorowa, ja natomiast liczyłam na wyzwanie.

Zawsze nazywał mnie „księżniczką” i „aniołem”. A ja zawsze sobie myślałam: *„O kim ty, kurwa, mówisz? Bo na pewno nie o mnie!”*.

Ale chyba źle zrozumiałam Olivera. Bo nigdy nie przypuszczałam, że zrobi coś równie szalonego jak to, co się dzisiaj wydarzyło. Nie przypuszczałam, że będzie zdolny do tego, aby mnie porwać.

Idę za nim na tyły domku. Wchodzimy po zniszczonych przez pogodę schodach. Oliver przytrzymuje dla mnie drzwi.

Jestem zaskoczona, widząc, że dom jest niemal zupełnie pusty. Jesteśmy w salonie albo w jadalni, albo w kuchni, ale nie ma tu ani stołu, ani krzeseł, ani kanapy. Na podłodze znajduje się jedynie przykryty kocem materac.

Coraz mniej mi się to wszystko podoba.

– Czemu tu jest tak pusto? – pytam.

Urażony rozgląda się dookoła, jakby liczył wszystkie brakujące rzeczy.

– Mój ojciec sprzedał dom – odpowiada ze złością. – Prosiłem go, żeby tego nie robił, ale powiedział, że jego wartość już nie wzrośnie i nadszedł czas, aby go sprzedać, nim wybudują więcej nieruchomości w Chesterton. Pff, jakby w ogóle potrzebował pieniędzy! – Z gardła Olivera dobiega szorstki, złowrogi śmiech. – To miejsce nic dla niego nie znaczyło – mówi ponuro. – Byłem jedyną osobą, której zależało, aby tu przyjeżdżać.

Z doświadczenia wiem, że Oliver jest rozpieszczonym, ale zaniedbywanym jedynakiem. Nie ma rodzeństwa ani prawdziwych przyjaciół – miał jedynie szkolnych kolegów, z którymi „powinien” się zadawać. Pamiętam, że kiedyś powiedział mi, że bardzo zazdrości mi braci, jednak nigdy ich nie poznał. Nie sądziłam, aby zdołali się dogadać.

– No cóż – mówię, tym samym próbuję go udobruchać. – Cieszę się, że w końcu odwiedziłam to miejsce.

Odwraca się, żeby na mnie spojrzeć, a jego oczy w przyćmionym świetle są bardzo mroczne. Jego twarz wygląda jak jakaś maska, jest nieprzenikniona i dlatego nie wiem, o czym mężczyzna obecnie myśli.

Od kiedy zerwaliśmy, przytył jakieś trzynaście kilo, przez co jego twarz wygląda na szerszą i starszą. Zrobił się bardzo podobny do swojego ojca. Wciąż jest duży i umięśniony – tak naprawdę to dodatkowe kilogramy sprawiają, że łatwiej może mnie obezwładnić, o czym świadczy chociażby nasze króciutkie starcie na plaży. Nie jestem pewna, jak, do chuja wafla, mam mu uciec, skoro jest ode mnie szybszy i silniejszy.

– Szkoda, że nie widziałaś, jak ten dom wyglądał w środku kiedyś – oznajmia Oliver. – Kiedy były tu te wszystkie zdjęcia, książki i kanapy. Ale nie jest najgorzej. Przywiozłem to, więc przynajmniej jest gdzie usiąść.

Siada na materacu, który skrzypi pod jego ciężarem.

– Daj spokój. Siadaj – mówiąc, klepie miejsce obok siebie.

– Ee… w sumie to bardzo chce mi się siku – oznajmiam.

To prawda. Mam wrażenie, że mój pęcherz zaraz eksploduje. A już na pewno nie pomogło mu to, jak Oliver na plaży wpadł na mnie z całym impetem.

Przez chwilę przygląda mi się podejrzliwie, zupełnie jakby mi nie wierzył. Przenoszę ciężar ciała z bosej stopy na nogę z butem. Wcale nie przesadzam, że czuję się niekomfortowo.

– Łazienka jest tutaj – mówi w końcu Oliver, po czym wstaje.

Prowadzi mnie korytarzem do ładnej, małej łazienki z boazerią na ścianach i umywalką w kształcie muszli. Jestem pewna, że kiedy to miejsce było umeblowane, były tu ozdoby i ręczniki w marynistycznym stylu.

Kiedy próbuję zamknąć drzwi, Oliver zatrzymuje je swoją umięśnioną ręką.

– Nic z tego – oznajmia.

– Muszę się wysikać – powtarzam na wszelki wypadek, gdyby zapomniał.

– Możesz to zrobić przy otwartych drzwiach – oznajmia.

Patrzę na niego. Utknęłam w impasie, z jednej strony jest upór Olivera, z drugiej mój pulsujący pęcherz.

Udaje mi się wytrzymać tylko kilka sekund. Zsuwam szorty i siadam na kibelku. Poddaję się. Bardziej z bólem niż z ulgą wylewa się ze mnie strumień moczu.

Oliver stoi w drzwiach i patrzy na mnie. Kąciki jego ust unoszą się w drobnym uśmieszku. Ma zamglone, zdradzające zadowolenie oczy.

Szkoda, że się nie odwrócił i nie dał mi odrobiny prywatności. Chciałabym przynajmniej nie sikać tak długo, wydaje mi się, że trwa to całą wieczność i jest to kurewsko upokarzające.

Jednak ma rację – jeśli zostawiłby mnie tu samą, to w ciągu pięciu sekund zwiałabym przez okno.

Gdy w końcu kończę, wsuwam na tyłek szorty, myję ręce i wycieram je o ubranie, bo nigdzie nie ma żadnych ręczników.

Oliver i temu przygląda się z ponurą miną. Wydaje mi się, że znowu patrzy na mój gips. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że patrzy na moją lewą rękę… na mój pierścionek zaręczynowy.

Zaczęłam go nosić częściej, już nie zakładam go tylko na imprezy z Calem.

Widzę, że Oliverowi strasznie nie podoba się ten widok. I rzeczywiście, gdy tylko wracamy do salonu, warczy:

– Zdejmuj to.

– To? – pytam, unosząc lewą rękę.

– Tak – syczy.

Niechętnie zsuwam z palca pierścionek.

Nienawidziłam tego pierścionka, kiedy go dostałam. Teraz już mi tak bardzo nie przeszkadza. Kiedy się tak mieni w słońcu, jest nawet całkiem ładny. I już nie wygląda tak dziwnie i sztucznie jak na początku.

Zamierzam wsunąć go do kieszeni, jednak Oliver mówi:

– Nie. Daj mi go.

Nie mam ochoty mu go podawać. To jest niczym zdrada. Jednak jeśli odmówię, to nie zdołam go powstrzymać przed wyrwaniem mi go z ręki. Dlatego też nic nie mówię, oddając mu go.

Na kuchennej podłodze leży torba z narzędziami, tuż obok jaśniejszego kawałka ściany, którą prawdopodobnie zalała woda i teraz czeka, aż ktoś zrobi z nią porządek.

Oliver otwiera torbę i wyciąga z niej młotek. Kładzie pierścionek na kuchennym blacie. A potem, tak samo jak z moim telefonem, raz po raz uderza w niego młotkiem.

Metal zaczyna się wyginać, wsporniki przytrzymujące diamenty puszczają i kamienie rozsypują się dookoła. Oliver wciąż wali w niego młotkiem, aż szyna wykrzywia się i psuje, a największy diament smutno przetacza się po blacie.

Patrzenie, jak niszczy pierścionek, boli mnie bardziej, niż się spodziewałam.

Ale tym, co mnie naprawdę niepokoi, jest to, że na skutek uderzeń młotka, od blatu odpryskują spore drewniane odłamki. Oliver wcale nie przejmuje się wyrządzanymi szkodami. A to nie może być nic dobrego, zwłaszcza gdy wiem, jakimi uczuciami darzy ten dom.

Jego wściekłość jest przerażająca, gdy tak wali młotkiem. Oczy mu błyszczą, a twarz przybrała purpurowy kolor. Cały jest spocony, ciemne plamy prześwitują na piersi, plecach i pod pachami jego koszulki. Już ze sto razy uderzył w ten pierścionek.

W końcu przestaje. Stoi przy stole, dyszy i patrzy prosto na mnie. W dłoni wciąż trzyma młotek.

Robi krok w moją stronę, a ja z sercem tłukącym się w piersi cofam się.

Naprawdę, wydaje mi się, że mu odbiło.

Gdy poznałam Olivera, wydawał się być całkiem miłym facetem. Czasem bywał trochę płytki, a czasami trochę czepialski. Ale zazwyczaj był normalny i miewał niewielkie odchyły od normy.

Teraz jest wręcz odwrotnie – mam wrażenie, że wisi nad przepaścią szaleństwa, trzymając się jedynie cienkiego włoska. Jednak nie jestem pewna, czym ów włosek jest – czy to ten dom? A może jego uczucia do mnie? A może to tylko pozory spokoju – kruche i łatwe do zniszczenia?

Robi kolejny krok, a potem zdaje się, że przypomina sobie o trzymanym w dłoni młotku. Odkłada go na blat i wyciąga z kieszeni telefon.

– Puśćmy muzykę – oznajmia.

Przegląda playlistę, wybiera piosenkę i odkłada telefon na blat.

Wnętrze pomieszczenia wypełnia cicha melodia *Make you feel my love*.

Oliver podchodzi do mnie. Nie mam nawet szansy, by mu odmówić. Lewą ręką łapie mnie za gips, a drugą obejmuje w pasie. A

potem zaczynamy się kołysać na boki, nie zważając na rytm muzyki.

Czuję bijące od niego ciepło. Ręka, którą mnie obejmuje, jest mokra. Jego pot ma lekko metaliczny zapach. Nie wiem, czy zawsze tak było, czy to coś nowego.

Ciało mam napięte, każdy nerw ostrzega mnie przed niebezpieczeństwem i krzyczy, że muszę uciekać od tego człowieka. Stanowi to ostry kontrast do pozornie romantycznej pozycji, w jakiej tańczymy.

Lecz nie ma tu niczego romantycznego. Ciężko mi zrozumieć, jak kiedykolwiek mogłam umawiać się z Oliverem. Chyba nigdy nie poświęcałam mu zbyt wiele uwagi. Szukałam zabawy, a on był po prostu na doczepkę. Jednak teraz, kiedy patrzę mu prosto w oczy, nie podoba mi się to, co w nich widzę: potrzebę, urazę i… odrobinę szaleństwa.

– Nigdy nie chodziliśmy na tańce – mówi ponuro Oliver. – Zawsze chciałaś wychodzić ze swoimi przyjaciółmi.

– Oliverze, przepraszam, że…

– Mówiłaś na mnie „Ollie” – przerywa mi. – To mi się bardziej podoba niż Oliver.

Czując się niezręcznie, przełykam ślinę.

– Wszyscy tak cię nazywali – odpowiadam.

– Ale to brzmiało pięknie tylko wtedy, kiedy ty tak mówiłaś…

Przyciąga mnie jeszcze bliżej siebie. Próbuję zachować między nami dystans, ale to jest jak płynięcie pod prąd. Jest ode mnie znacznie silniejszy.

Przyciska mnie do swojej piersi, więc aby na niego spojrzeć, muszę wyciągnąć szyję.

– Powiedz to – rozkazuje. – Nazwij mnie Olliem.

– W porządku… Ollie… – mówię.

– Idealnie – wzdycha.

Pochyla głowę, aby mnie pocałować. Jego usta w porównaniu do moich są grube i gumowate. Są zbyt mokre, a ta metaliczna woń jest również wyczuwalna w jego ślinie.

Nie mogę tego zrobić. Nie mogę go pocałować.

Odpycham go od siebie i ramieniem wycieram usta.

Oliver marszczy brwi, krzyżując ręce na swojej szerokiej piersi.

– Dlaczego zawsze musisz wszystko utrudniać? – pyta. – Wiem, że jesteś nieszczęśliwa z Griffinami. Zabrałem cię stamtąd. Przywiozłem cię tutaj, do najpiękniejszego miejsca w stanie. Popatrz na te widoki!

Pokazuje na widoczny przez okno blady, oświetlony światłem księżyca piasek oraz ciemną wodę.

– Mnie nie pocałujesz, ale jego już tak, prawda? – pyta, mrużąc oczy. – Prawdopodobnie go przeleciałaś. Prawda? PRAWDA? – krzyczy, tracąc panowanie nad sobą.

Wiem, że to tylko go rozgniewa, ale nie widzę sensu, aby kłamać na ten temat.

– Jesteśmy małżeństwem – przypominam mu.

– Tylko że go nie kochasz – oznajmia Oliver, a jego oczy aż błyszczą. – Powiedz, że go nie kochasz.

Powinien się z tym pogodzić. Młotek ciągle leży na blacie, zaledwie kilka kroków od niego. Oliver w każdej chwili może znowu go podnieść. Może spuścić go na moją głowę z taką samą furią, z jaką zniszczył mój pierścionek.

Powinnam powiedzieć mu, co tylko chce. Robić to, czego oczekuje. Nigdy nie powiedziałam Callumowi, że go kocham. Wypowiedzenie na głos, że go nie kocham, wcale nie powinno być takie trudne.

Otwieram usta… lecz nie opuszcza ich żaden dźwięk.

– Nie – mówi Oliver, powoli kręcąc głową. – Nie, to nie jest prawda. Nie kochasz go. Wyszłaś za niego tylko dlatego, że musiałaś to zrobić. Tak naprawdę to wcale ci na nim nie zależy.

Mocno zaciskam usta.

Myślę o Callumie przyciskającym mnie do skórzanych siedzeń na tyle samochodu i o tym, jak chowa twarz między moimi udami. Myślę o tym, jak otoczył mnie ramieniem i bez wahania wskoczyliśmy do rury, kiedy ludzie Rzeźnika mierzyli do nas z broni. Myślę o tym, jak powiedział, że powinniśmy codziennie pracować razem. Oraz o tym, jak na wczorajszej kolacji wziął mnie za rękę.

– Tak właściwie… – mówię powoli. – To tak. Kocham go.

– NIE, NIE KOCHASZ! – ryczy Oliver.

Uderza mnie wierzchem dłoni w twarz, niemal posyłając na podłogę. To uderzenie było jak cios niedźwiedziej łapy. Włożył w nie

tyle siły, że moje ciało wiotczeje i ledwo udaje mi się czegoś przytrzymać, żeby nie runąć na podłogę.

Czuję w ustach metaliczny posmak. Dzwoni mi w uszach. Spluwam krwią na podłogę.

– Po prostu zawieź mnie do domu – mamroczę. – Nie dostaniesz tego, czego chcesz.

– Nie wracasz do domu – odpowiada stanowczo. – Wszyscy jesteście tacy sami: ty, mój ojciec, pierdolony Callum Griffin… Wszyscy myślicie, że możecie coś komuś dać, pozwolić mu to mieć, korzystać z tego i uwierzyć, że dostał to na zawsze. A potem wyrywacie mu to z rąk tylko dlatego, że taką macie ochotę. Nic z tych rzeczy.

Oliver wraca do torby z narzędziami i wyciąga z niej zwiniętą linę.

Przestaję wierzyć w to, że to torba na narzędzia. *Czemu, kurwa, jest w niej lina?*

Myślę, że od jakiegoś czasu Oliver planował coś więcej niż tylko remont.

Próbuję uciec, lecz ledwo stoję na nogach. Oliver bez problemu wiąże mnie jak jakiegoś wieprzka i wpycha mi szmatę do ust.

Kuca przede mną, a jego twarz znajduje się zaledwie kilka centymetrów od mojej.

– Aido, musisz to zrozumieć – mruczy niskim głosem. – Nie zdołam sprawić, że będziesz moja. Ale zdołam sprawić, że nie będziesz należała do innego.

Mamroczę w knebel.

– Co? – pyta Oliver.

Powtarzam, lecz nie głośniej niż za pierwszym razem. Oliver pochyla się jeszcze bliżej w moją stronę.

Odchylam głowę i uderzam go czołem w nos najmocniej, jak potrafię.

– Ała, KURWA! – wyje Oliver, zakrywając nos dłonią. Krew spływa mu między palcami. – Kurwa, Aido, ty SUKO!

Oliver uderza mnie ponownie. Tym razem przewracam się na podłogę i osuwam w gęstą, cichą ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

– CALLUM

Nie znam dokładnego adresu domku Castle'ów, ale wiem, jaki ma kolor, że jest na skraju Chesterton oraz że znajduje się w kiepskiej pozycji względem jeziora. Wydaje mi się, a raczej mam wielką nadzieję, że będę w stanie go znaleźć na podstawie tych informacji.

Niestety, wzdłuż tego fragmentu jeziora jest od chuja małych, niebieskich domków na plaży. Jakby tego było mało, robi się ciemno, a przy drodze nie ma zbyt wielu latarni. Z trudem jestem w stanie określić, które domy są niebieskie, a które szare czy zielone.

Wypatruję Maserati Olivera, ale może to być mylny trop, bo przecież mógł tu przyjechać innym ze swoich aut albo taksówką.

Decyduję się omijać miejsca, gdzie jest głośno, oraz domy, w których ludzie się śmieją i imprezują. W domu, w którym znajduje się Aida, będzie cicho, i obstawiam, że to miejsce będzie znajdować się na uboczu. Jestem tego pewien.

Otwieram okno, aby móc lepiej przyjrzeć się niektórym z domków położonych z dala od drogi i tym na wpół ukrytym pośród drzew.

Niektóre drogi dojazdowe są tak niewyraźne, że ledwo je zauważam. Prawdę mówiąc, prawie mijam jedną z nich, nie dostrzegając słabych śladów na trawie. Aż czuję dym.

Jest tak łagodny, że ledwo rozpoznaję, co to za zapach. Ale wtedy moje ciało reaguje instynktownie – włoski na karku stają mi dęba, a serce zaczyna szybciej bić. To pierwotny, przerażający zapach. Ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem.

Daję po hamulcach, po czym skręcam w lewo. Jadę długą, krętą drogą w stronę podwójnego rzędu drzew. Pomiędzy nimi stoi mały niebieski domek, który kiedyś widziałem na zniszczonej fotografii.

I rzeczywiście, obok domu stoi zaparkowane srebrne maserati Olivera. Z otwartym bagażnikiem.

Kurwa, wiedziałem.

Zatrzymuję samochód z nadzieją, że Oliver nie słyszał dźwięku silnika ani nie widział, jak jadę drogą. Ześlizguję się z siedzenia kierowcy i chowam za samochodem, próbując rozejrzeć się po okolicy.

Szybko wysyłam SMS–a do braci Aidy. Jestem godzinę drogi od Chicago. Nie pojawią się tu za szybko.

Teraz już jestem pewien, że czuję dym. Wydaje mi się, że ponad szumem wiatru, wśród drzew, słyszę trzask palącego się drewna. Wszystkie światła w domu są wyłączone, lecz na tyłach widać niepokojącą, pomarańczową poświatę.

Jebać to, nie mogę czekać. Jeśli Aida tam jest, muszę ją natychmiast wyciągnąć.

Biegnę w stronę domu, starając się pozostać w ukryciu. Wyciągam Berettę. Boję się jej używać po ciemku, nie wiedząc, gdzie jest Aida. Zbłąkana kula może przebić ścianę i ją przypadkiem trafić.

Obchodzę dom, próbując zajrzeć przez okna do środka. Lecz gówno widzę. Próbuję więc wejść do środka tylnymi drzwiami i odkrywam, że nie są zamknięte. Lecz gdy tylko je otwieram, ze środka bucha chmura gęstego, czarnego dymu i muszę pochylić się jeszcze bardziej, tłumiąc kaszel w zgięciu ramienia.

Podmuch świeżego powietrza podsyca ogień. Słyszę, jak płomienie wysysają tlen, widzę, jak rozrastają się, zwiększając swój rozmiar oraz temperaturę. Cała kuchnia stoi w ogniu, płoną również szafki, blaty, podłoga oraz sufit.

Próbując ominąć ogień, potykam się o coś leżącego na podłodze. To coś jest dość miękkie. Przez chwilę mam nadzieję, że to Aida, lecz zdaję sobie sprawę, że to tylko stary materac.

Chcę ją zawołać, lecz nie mogę zaryzykować zaalarmowaniem Olivera, gdziekolwiek jest. Mimo dymu i ciemności staram się jak najdokładniej przeszukać parter. Nie mogę iść w okolice kuchni ani korytarza.

Aida musi być na górze. Musi tam być, bo inaczej to miejsce spłonie, zanim ją znajdę. Nie mogę przestać o tym myśleć. O tym, że mogę nie zdążyć…

Dlatego też myśląc wyłącznie o Aidzie, zakrywam część twarzy koszulą i wbiegam po schodach na piętro.

Przestałem być czujny. Nie trzymam uniesionej broni.

Kiedy tylko docieram na szczyt schodów, Oliver z całą szybkością i umiejętnościami sportowca, którym kiedyś był, szarżuje na mnie z boku. Uderza we mnie tak mocno, że wpadamy na przeciwległą ścianę i przebijamy się przez płytę gipsowo-kartonową. Mój pistolet szybuje korytarzem, uderza o framugę i znika w jednym z pokoi.

Oliver wymachuje rękami jak cepami i wali we mnie obiema pięściami. Na moje nieszczęście jeden z ciosów trafia bezpośrednio w amatorsko operowany wyrostek robaczkowy i rozrywa mi szwy, sprawiając, że aż ryczę z bólu.

Oliver jest niewiele niższy ode mnie, lecz z jakieś dobre dziesięć kilogramów cięższy. Co więcej, brał udział w niejednej bójce z chłopakami z bractwa.

Lecz nie jest wyszkolonym pięściarzem. Gdy mija początkowy szok wywołany jego dzikim atakiem, unoszę ręce i blokuję kilka ciosów, po czym uderzam go w brzuch oraz szczękę.

Moje ciosy prawie nie robią na nim wrażenia. Jego twarz wygląda tak obco, że niemal go nie rozpoznaję – włosy ma splątane, w oczach widać obłąkańczy błysk, a krew z nosa zaschła mu wokół ust i na podbródku, przez co wygląda jak jakaś makabryczna kozia bródka.

– Ty pierdolony psychopato, gdzie ona jest?! – krzyczę, unosząc pięści.

Oliver ociera twarz wierzchem dłoni, gdy świeża krew wypływa mu z nosa.

– Ona najpierw była moja i to ja będę jej ostatnim facetem – warczy.

– Ona nigdy nie była twoja! – krzyczę.

Oliver ponownie rzuca się na mnie i łapie mnie za kolana. Jest tak lekkomyślny i nabuzowany, że zrzuca nas ze schodów. Koziołkujemy w dół, a ja uderzam bokiem głowy o jeden z drewnianych stopni.

Jednak to Oliver obrywa najbardziej. Znajduje się pode mną, gdy uderzamy o podłogę. To go ogłusza – a przynajmniej tak to wygląda.

Dym w powietrzu jest gęstszy niż do tej pory, a ja po stoczonej walce oddycham ciężej. Zginam się w pół w napadzie tak silnego

kaszlu, że czuję ostry ból w żebrach, zupełnie jakby jedno z nich się przemieściło. Albo pękło, kiedy Oliver rzucił się na mnie tym swoim wielkim cielskiem.

Gramolę się z powrotem na górę, krzycząc:

– AIDO! Aido, gdzie jesteś?!

Krzyk podrażnia moje wypełnione dymem gardło. Zaczynam jeszcze bardziej kaszleć, a po policzkach spływają mi łzy.

Oliver łapie mnie za kostkę i ciągnie za nią, sprawiając, że tracę równowagę. Padam prosto na najwyższe stopnie, uderzając szczęką o drewnianą krawędź jednego z nich. Mocno wierzgam nogą, wyrywając się z jego uścisku i trafiam go obcasem buta prosto w oko. Castle zatacza się w tył, na powrót uderzając o podłogę.

Znowu zaczynam się wspinać po schodach. Piętro domu wypełnia coraz więcej dymu i czuję bijące z kuchni gorąco. Ogień musi już trawić cały parter. Nawet nie wiem, czy uda się nam zejść na dół. Zakładając, że Aida w ogóle jest na piętrze.

Musi tu być. Bo jeśli jest w jakiejkolwiek innej części domu, to już jest martwa.

Biegnę korytarzem, otwierając po kolei wszystkie drzwi i zaglądam do każdego pomieszczenia. Łazienka. Bieliźniarka. Pusta sypialnia. Wreszcie na końcu korytarza trafiam na główną sypialnię. Tak jak w pozostałych pomieszczeniach, tu również nie ma mebli. Wygląda na to, że po wystawieniu domu na sprzedaż, wszystko z niego uprzątnięto. Lecz na podłodze leży postać, ma związane sznurem stopy oraz ręce, a jej głowa spoczywa na poduszce. Miło. Cieszę się, że przed próbą spalenia jej żywcem zadbał o jej wygodę.

Podbiegam do Aidy, unoszę jej głowę i odwracam ją, aby upewnić się, że nic jej nie jest.

Przyciskam palce do jej szyi. Na szczęście czuję puls. A kiedy dotykam twarzy kobiety, jej powieki powoli się unoszą.

– Aido! – wołam, głaszcząc kciukiem jej policzek. – Jestem tu!

Otwiera oczy. Spowija je mgła i oszołomienie, ale zdecydowanie są żywe.

– Cal? – skrzeczy.

Nie mam czasu na rozwiązywanie więzów. Podnoszę ją i przerzucam sobie przez ramię. A kiedy się odwracam w stronę drzwi,

dostrzegam potężną postać blokującą nam przejście.

Delikatnie odkładam Aidę na podłogę. Czuję bijące z dołu ciepło i słyszę coraz głośniejszy huk ognia. Musimy znajdować się tuż nad kuchnią. Tapety zaczynają czernieć i się zwijać. Ogień teraz pełznie już po ścianach.

– Dość tego, Oliverze – mówię, unosząc ręce. – Musimy stąd uciekać, zanim cały dom się zawali.

Oliver dziwnie potrząsa głową, zupełnie jakby jakaś mucha bzyczała mu koło ucha. Stoi nieco zgarbiony i lekko kuleje na jedną nogę. Mimo to wciąż wbija we mnie wzrok a pięści ma mocno zaciśnięte po bokach.

– Nikt z nas nie wyjdzie stąd żywy – oznajmia.

Szarżuje na mnie raz jeszcze. Jego ramię z siłą młota uderza mnie w pierś. Zaczynamy się szarpać i siłować. Uderzam go w twarz, ucho, nerki i każdą część ciała, do której tylko mogę dosięgnąć.

Kątem oka widzę, jak Aida uderza dłońmi o parapet. Nie, nie dłońmi… gipsem. Jęcząc z bólu, raz za razem uderza o parapet, krusząc opatrunek. Teraz jest w stanie wysunąć rękę z krępującej ją liny i kombinować przy sznurze zawiniętym wokół kostek. Jej połamane palce są zbyt niedołężne, by rozplątać ciasno związane węzły.

Kiedy z Oliverem znowu się przewracamy, znika mi z pola widzenia. Każdy z nas walczy z całej siły. Obaj nie należymy do chuderlaków – czuję, jak podłoga pod nami niebezpiecznie skrzypi. Z minuty na minutę robi się tu coraz ciepłej, powietrze jest tak czarne i gęste od dymu, że ledwo widzę Aidę.

Zrywa się na równe nogi, a ja krzyczę do niej:

– Aido, weź broń! Jest w którymś z pokoi…

Obawiam się, że jej nie znajdzie. Już wcześniej jej nie widziałem, a teraz dym w domu jest z dziesięć razy gęstszy niż poprzednio.

Tak naprawdę to chcę, żeby po prostu się stąd wyniosła, bo pod nami szaleje ogień, a ja mam przeczucie, że raz spadnę do tego piekła.

Przyszpilam Castle’a do podłogi i zaciskam palce na jego gardle tak mocno, jak tylko mogę. Oczy wychodzą mu z orbit. Wbija palce w moje ramiona, zasypuje ciosami twarz i korpus, lecz każde kolejne

uderzenie jest coraz słabsze od poprzedniego. Jeszcze mocniej zaciskam palce na jego gardle, mimo że czuję, jak podłoga pod nami zaczyna się poruszać i jęczeć.

Cały róg pokoju zapada się, a podłoga staje równią pochyłą. Od strony drzwi jest niczym zjeżdżalnia prowadząca wprost do ognistego dołu, który otworzył się przed nami. Zjeżdżamy w jego stronę, Oliver Castle leży na podłodze, a ja siedzę na nim. Zsuwamy się, wpadając do kłębowiska płomieni, które chwilę temu było kuchnią.

Puszczam Castle'a i staram się wycofać, lecz jest już za późno. Szybciej się ześlizguję, niż jestem w stanie się wspinać. Nie uratuję się, nie ma opcji. Nagle coś łapie mnie za rękaw. Widzę Aidę, jedną ręką trzyma się futryny, a drugą chwyciła mnie za nadgarstek. Obnażyła zęby z wysiłku, a jej twarz wykrzywia grymas bólu, kiedy stara się utrzymać futryny złamaną ręką.

Zauważając, jak słaby jest jej uścisk, nie łapię jej za ramię. Nie zamierzam pociągnąć jej ze sobą.

– Kocham cię, Aido – oznajmiam.

– Ani. Mi. Się. Kurwa. Waż!! – wrzeszczy na mnie. – Złap mnie za rękę albo skoczę za tobą!!

Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, uznałbym to za czcze pogróżki. Jednak Aida jest jedyną znaną mi osobą, która jest na tyle uparta, aby spełnić swoją groźbę.

Dlatego też łapię ją za rękę i podciągam się do góry dokładnie w chwili, gdy legary ustępują i cały pokój zaczyna się walić. Oliver wyje, spadając w płomienie. Rzucamy się z Aidą w stronę drzwi, mijamy je i ruszamy wzdłuż korytarza, trzymając się za ręce. Oczywiście zejście po schodach nie wchodzi już w grę. Dlatego też biegniemy na przeciwległy koniec domu, tam trafiamy do dziecięcego pokoju, do którego ścian przyklejono naklejki przedstawiające żaglówki. To kiedyś musiał być pokój Olivera.

Zrzucam wszystko z parapetu i wychodzę na zewnątrz, wypuszczając na dwór słup świeżego, ciemnego dymu. Trzymając się ramy okna, spuszczam się w dół i opadam na ziemię. Chwilę potem unoszę ręce, żeby złapać Aidę.

Skacze mi prosto w ramiona. Ciągle ma tylko jednego buta.

Gdy odbiegamy od domu, słyszę dobiegające z oddali wycie syren.

Ciągnę Aidę, idąc podjazdem w kierunku jeepa. Uwalnia rękę z mojego uścisku, wołając:

– Czekaj!

Rusza w przeciwnym kierunku, mija rozszalałe piekło płonącego domu, a potem biegnie po piasku w stronę wody.

Zatrzymuje się, pochyla, żeby podnieść… swoją torebkę.

A potem biegiem wraca do mnie. Kiedy się uśmiecha, jej białe zęby kontrastują z umorusaną twarzą.

– Mam! – mówi triumfalnie.

– Mogłem ci kupić nową torebkę.

– Wiem – odpowiada.

Już mam odpalić silnik, lecz jest coś, z czym nie mogę czekać ani chwili dłużej.

Łapię ją i całuję. Na jej ustach czuję krew oraz dym.

Całuję ją, zupełnie jakbym miał nigdy nie pozwolić jej odejść.

Bo nie pozwolę na to. Przenigdy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– AIDA

Skręcamy w prawo, po czym wjeżdżamy na główną drogę, kiedy z naprzeciwka nadjeżdża z rykiem wóz strażacki, mknący w stronę domku Castle'ów – a przynajmniej tego, co z niego zostało.

Kiedy mijamy ich samochód, zauważam twarze strażaków – patrzą na nas z uniesionymi brwiami, lecz nie mogą nas powstrzymać przed ucieczką.

– Ale pojebana wycieczka! – krzyczę, a moje serce wciąż wali jak oszalałe. – Wiedziałeś, że Ollie był aż tak szalony? Myślałam, że jest normalnie szalony, coś w stylu szaleństwa „nie chcę, żeby ktoś dotykał mojego jedzenia" albo „rozmawiam ze sobą pod prysznicem", a nie totalnie pojebany jak w *Lśnieniu*.

Callum zaciska ręce na kierownicy i jedzie zdecydowanie za szybko. To nieprawdopodobne, ale uśmiecha się niemal równie szeroko, jak ja. Czy mój wiecznie spięty mąż naprawdę zaczyna mieć frajdę z naszych wspólnych przygód?

– Nie mogę uwierzyć, że cię znalazłem – mówi.

– Noo, ja pierdzielę! Znalazłeś mój but?

– Tak, zauważyłem go! I przypomniałem sobie to, o czym mówiłaś.

Patrzy na mnie, a jego niebieskie oczy błyszczą na tle pokrytej sadzą skóry. Nie wiem, jak kiedykolwiek mogłam myśleć, że jego oczy są zimne. Są cholernie piękne. Nigdy wcześniej nie widziałam tak oszałamiających tęczówek.

Jeszcze bardziej niesamowite jest to, że zrozumiał moją wiadomość i pamiętał naszą rozmowę. To prawie znaczy dla mnie więcej niż to, że przyjechał, żeby mnie uratować.

– Właściwie to mam gdzieś tutaj ten but – oznajmia i odwraca się, żeby poszukać go na tylnym siedzeniu.

– Patrz na drogę! – mówię. Chwilę później sama odnajduję tenisówkę i zakładam ją na stopę. Ten but jest komicznie czysty w porównaniu z drugim, przez co wygląda, jakby był nie do pary. – Proszę bardzo, znowu w pełni ubrana.

Oczy Cala błyszczą, kiedy zerka na moją lewą dłoń.

– Nie do końca – stwierdza.

– O kurwa – mówię ze złością. – Zapomniałam.

– Został w domu? – pyta Cal.

– Tak. To znaczy w spalonym domu. Oliver zniszczył mój pierścionek.

– Nie wydaje mi się, żeby przetrwał ten pożar – oznajmia Cal. Ściska moje udo. – Nie martw się. Tak czy siak, chciałem ci kupić inny pierścionek. Wiesz, że tamtego nie wybierałem.

– Wiem. – Uśmiecham się. – Coraz lepiej poznaję gust Imogen.

Wjeżdża na autostradę, kierując się na północ, w stronę miasta.

– Lepiej zadzwoń do swoich braci – oznajmia. – Myśleli, że to Zając cię porwał.

– Może tak byłoby lepiej – odpowiadam i marszczę nos. – Serio, uważam, że jego przemowy były lepsze. To prawdziwy twardziel, wiesz? A Oliver był taki marudny i wpędzał mnie w poczucie winy… Jezu, chłopie, wbijaj na Tindera i weź się z tym pogódź.

Callum przez chwilę patrzy na mnie, po czym zaczyna śmiać się tak bardzo, że aż trzęsą mu się ramiona.

– Pojebało cię, Aido – stwierdza.

– To tylko konstruktywna krytyka. – Wzruszam ramionami.

Wybieram numer Dantego, lecz w słuchawce słyszę głos Nero:

– Aida?

– Tak, to ja.

– Dzięki, kurwa, bogu. Myślałem, że będę musiał już tam jechać.

– A co? Gdzie jesteś?

– W szpitalu. Dante został postrzelony. Ale nic mu nie jest! – dodaje szybko. – Zając postrzelił go w bok… ale nie uszkodził niczego ważnego.

– A to parszywy gnój! – pieklę się. – Zapłaci za to.

– Już zapłacił – oznajmia spokojnie Nero. – Jest sztywny. Dante jest lepszym strzelcem od Rzeźnika.

– Nie żyje? Jesteś pewien?

Cal zerka na mnie, przysłuchując się moim słowom i nie dowierzając. Pokazuję mu gestem dłoni, aby patrzył na drogę.

– Całkowicie pewny – odpowiada Nero stanowczym głosem. – Jest skończony, o ile nie ma gdzieś schowanej zapasowej głowy.

– Cholera – mówię, opierając się o siedzenie. To naprawdę była noc pełna wrażeń.

Patrzę na Calluma, jego umorusana sadzą twarz jest blada. Na prawej brwi ma paskudną ranę i krzywi się za każdym razem, kiedy bierze głęboki wdech.

Jak się nad tym zastanowić, to sama nie jestem w najlepszym stanie. Ręka pulsuje mi w rytmie bicia serca, a serdeczny i mały palec znowu spuchły. Prawdopodobnie ponownie będę musiała nosić gips.

– W którym jesteście szpitalu? – pytam Nero. – Chyba musimy do was przyjechać.

* * *

Po kilku godzinach spędzonych w szpitalu Św. Józefa doprowadzają mnie i Calluma do porządku. Dante spędzi tam jeszcze kilka dni – lekarze musieli wtoczyć w niego trzy litry krwi. Jack i Nero dotrzymują mu towarzystwa. Jestem w szoku, widząc ich posiniaczone i poobijane twarze.

– Co wam się, do cholery, stało? – pytam.

– Kiedy Dante ostrzeliwał mieszkanie kochanki Rzeźnika, ja i Jack nie trafiliśmy na Zająca, tylko na jego porucznika, który nakopał nam do dupy.

– To nie był byle porucznik – oznajmia Jack. Nic nie widzi na lewe oko, tak bardzo ma je opuchnięte. – Było ich co najmniej czterech.

– Jack to niezły awanturnik – stwierdza Nero, widać, że mój brat jest pod wrażeniem. – Zaprezentował im klasyczną akcję w stylu gleba i wjeba[31], co nie, Jackie?

– Chyba nie jest taki zły, skoro stanął po naszej stronie – mówię, ukradkiem spoglądając na Jacka.

Jack posyła mi półuśmiech, bo druga połowa jego twarzy jest za bardzo spuchnięta, aby mógł poruszyć jakimkolwiek mięśniem.

– Czy to był komplement? – pyta.

– Żeby ci się tylko w głowie nie przewróciło – odpowiadam.

– A co u Was? Wyglądacie, jakbyście wyszli z piekła – komentuje Nero.

– Cóż, i tu się nie mylisz – chichoczę. – Jednak gdybyśmy rzeczywiście tam byli, stalibyśmy się węgielkami.

Godzinę później przyjeżdża po nas Fergus Griffin, mimo że przed szpitalem stoi zaparkowany jeep.

– Dwie wizyty w szpitalu w ciągu jednego tygodnia – mówi, rzucając nam surowe spojrzenie zza okularów w rogowych oprawkach. – Mam nadzieję, że to nie stanie się waszym hobby.

– Nie – odpowiada Cal, obejmując mnie ramieniem, kiedy siadamy na tylnym siedzeniu BMW jego ojca. – Nie sądzę, żebyśmy w przyszłym tygodniu planowali zrobić coś równie szalonego. No, może poza szukaniem mieszkania.

– O? – Fergus zamiera przed wrzuceniem biegu i przygląda się nam we wstecznym lusterku. – Chcecie gdzieś razem zamieszkać? – Patrzy na nas naprzemiennie, po czym dodaje niepewnie. – Sami?

Callum zerka w moją stronę.

– Tak – odpowiada. – Myślę, że już pora.

Czuję ciepło w piersi oraz dopadającą mnie melancholię. Strasznie mi się podoba pomysł wspólnego zamieszkania, żeby nie mieszkać w moim lub jego domu, tylko zamieszkać w takim miejscu, które wspólnie wybierzemy.

– To dobrze – mówi Fergus, kiwając głową. – Cieszę się, że to słyszę, synu.

Zabawne jest to, że po raz pierwszy czuję się w posiadłości Griffinów jak w domu. Gdy zatrzymujemy się przed bramą, czuję przypływ otuchy. Wiem, że jest tu bezpiecznie i mogę spać spokojnie. Cholera, nagle czuję się strasznie wyczerpana.

Wysiadając z samochodu, potykam się, na szczęście w porę łapię równowagę, unikając upadku. Od siedzenia w miejscu jestem zupełnie sztywna i obolała. Wiem, że Cal jest równie wyczerpany i pewnie odniósł poważniejsze rany ode mnie, a mimo to bierze mnie na ręce i zanosi do domu niczym pan młody przenoszący pannę młodą przez próg.

– Nie powinieneś z tym poczekać, aż znajdziemy nowy dom? – droczę się z nim.

– Zamierzam cię wszędzie tak nosić – odpowiada Cal. – Po pierwsze, lubię to robić. A po drugie, dzięki temu nikt cię nie porwie.

– Pragnę przypomnieć, że ciebie również porwano – wytykam mu.

Wnosi mnie po schodach na górę.

– Znowu połamiesz sobie żebra! – ostrzegam go.

– Och, już i tak są pęknięte – zapewnia. – W szpitalu niewiele z tym zrobili. Nawet mnie nie zabandażowali. Podali mi tylko Tylenol.

– Pomogło?

– Ani, kurwa, trochę – odpowiada. Sapie i jęczy, gdy w końcu gramolimy się na szczyt schodów.

Stawia mnie na podłodze, a ja wspinam się na palce i delikatnie całuję go w usta.

– Dziękuję – mówię.

– Jeszcze nie skończyłem się tobą opiekować – oznajmia. – Musisz jeszcze się umyć.

– O nieeeee – jęczę, przypominając sobie, że jestem kompletnie brudna. – Po prostu pozwól mi spać. Położę się na podłodze.

– Idź myć zęby – rozkazuje. – Bo inaczej rano znienawidzisz samą siebie.

Burcząc pod nosem, ruszam w kierunku łazienki, żeby wyszczotkować i wynitkować zęby. A kiedy kończę, Cal odkręca prysznic i przynosi czekające na nas czyste, puszyste ręczniki.

Wchodzę do wanny, a mąż zaczyna myć całe moje ciało. Szoruje mnie tak długo, aż spływające w stronę odpływu mydliny zmieniają kolor z czarnego na szary, a potem robią się białe. Wbija palce w mój zesztywniały kark oraz ramiona. To w połączeniu z gorącą wodą sprawia, że ulatuje ze mnie całe napięcie i zaczynam się czuć jak mokre spaghetti, a nie zwinięty precel.

Po odprężającej kąpieli jestem pobudzona, choć po dzisiejszych atrakcjach powinnam być padnięta. W sumie to niektóre części mojego ciała są bardzo pobudzone.

– Teraz moja kolej – mówię, wycierając Cala ręcznikiem. Wodzę nim po jego szerokich plecach, idealnym tyłku i krągłościach ścięgien udowych oraz łydek.

Jego ciało pokrywają siniaki, zadrapania, ślady po uderzeniach, a także głębsze rany cięte będące sprawką Rzeźnika. Lecz nigdy nie widziałam bardziej nieskazitelnego ciała, to mężczyzna idealny – idealny dla mnie. Uwielbiam jego kształty, zapach, uwielbiam to, jak się czuję, kiedy jestem w jego ramionach.

Odwracam go i zaczynam wycierać od przodu. Zaczynam od stóp i ruszam w górę. Omijając uda, trafiam na jego grubego, nabrzmiałego kutasa. Jest czysty i gorący po niedawnym prysznicu. Biorę go do ręki i czuję, jak w niej pęcznieje. Jego skóra jest niesamowicie miękka. Przesuwam palcami po całej jego długości. Kutas Cala, zupełnie jakby miał swój własny rozum, porusza się w mojej dłoni. Ściskając go tuż pod główką, sprawiam, że Cal jęczy.

Przyciąga mnie do siebie.

– To ja powinienem się zaopiekować tobą – warczy.

– Za chwilkę to zrobisz – odpowiadam.

Biorę penisa do ust i delikatnie zaczynam ssać czubek. Jego przyrodzenie nabrzmiewa na maksa, tak bardzo, że skóra na nim jest bardzo napięta. Przesuwam językiem w górę i w dół, długimi, płynnymi ruchami liżę go po całej długości. Później nieco się z nim drażnię, by w końcu wziąć go głębiej do ust. Wpycham tyle, ile jestem w stanie, starając się włożyć sobie jego główkę wprost do gardła.

Cholernie ciężko jest poradzić sobie z kutasem tych rozmiarów. Zaczynam czuć niekłamany szacunek do gwiazd porno. Jak one, do licha, mogą wsadzić go sobie do buzi aż po jajka? Chyba musiałabym być pieprzoną połykaczką mieczy.

Wpycham sobie mniej więcej połowę i zaczynam się krztusić, więc muszę się wycofać.

Wygląda na to, że Callum nie ma nic przeciwko. Wydaje mi się, że pozwoliłby mi ćwiczyć przez całą noc. Nauczyłam się już kilku rzeczy – wiem, że uwielbia, jak delikatnie głaszczę i ciągnę go za jądra, kiedy przesuwam ustami w górę i w dół po trzonie jego penisa. W ten sposób sprawiam, że jęczy tak mocno, że ten dźwięk zdaje się niemal grzmieć w jego piersi.

Naprawdę mogłabym robić to przez całą noc. Nie ma nic bardziej intymnego i wymagającego zaufania niż trzymanie w ustach najwrażliwszej części ciała drugiej osoby. Nigdy nie chciałam sprawić

komuś takiej przyjemności jak jemu w tej chwili. Uratował mi dziś życie. Spłonęłabym żywcem, może nawet wcale bym nie odzyskała przytomności przed śmiercią. Jedyne, co mogę zrobić, to zaspokoić go tak, jak jeszcze nikt go nie zaspokoił.

Odnalazł mnie, tak jak mi obiecywał. Właśnie on, nie mój ojciec ani moi bracia. Tylko mój mąż. Mężczyzna, którego nie chciałam. A teraz nie wyobrażam sobie życia bez niego.

Powinnam wielbić jego ciało przez całą noc. Całować każde zadrapanie oraz każdego siniaka.

Jednak Cal, jak zwykle, ma inne plany. Ciągnie mnie na łóżko i kładziemy się obok siebie, moje stopy znajdują się na wysokości jego głowy. Następnie wkłada głowę pomiędzy moje uda i zaczyna lizać moją cipkę, jakby umierał z głodu, a to byłaby jedyna rzecz, jaka utrzymuje go przy życiu.

W tym samym czasie ja wracam do zabawy jego kutasem. Zajmowanie się nim w tej pozycji, do góry nogami, jest znacznie trudniejsze, ale to bez znaczenia. Sprawiam mu przyjemność, a on robi to samo dla mnie. Przesuwam językiem po jego gładkiej, miękkiej skórze, czując na sobie jego wilgoć oraz ciepło. To takie intymne… jednoczące. Przede wszystkim to sprawia, że oboje jesteśmy sobie równi. Że oboje uczymy się zarówno dawać, jak i przyjmować.

Nie przypuszczałam, że Cal mnie odnajdzie. Nie sądziłam, że ktokolwiek zdoła to zrobić. To wydawało się wręcz niemożliwe.

Jednak w przyszłości, gdybym znowu wpadła w tarapaty, będę wiedziała, że mój mąż po mnie przyjdzie.

Boże, jest znakomity w robieniu mi dobrze. Już czuję pędzące po moim ciele impulsy przyjemności, które z każdą minutą przybierają na sile.

Z tym że nie chcę dochodzić. Chcę go poczuć w sobie.

Dlatego też odwracam się i wypinam w jego stronę, po czym siadam okrakiem na jego biodrach, nabijając się na penisa. Z łatwością wślizguje się we mnie, oboje jesteśmy nawilżeni swoją śliną.

Patrzę na surową, przystojną twarz mojego mężczyzny. Intensywność koloru tych jego niebieskich oczu kiedyś mnie

przerażała. Teraz chcę poczuć jego wzrok na swojej twarzy. To sprawia, że moje neurony zaczynają się rozpalać, sprawiają, że czuję się spragniona, dzika i odważna. Czuję, że zrobiłabym wszystko, aby przykuć jego uwagę, aby sprawić, by w jego oczach zagościł głód.

Cal kładzie ręce na moich biodrach i łapie mnie zaborczo. Na mojej twarzy pojawia się rumieniec, gdy zaczynam go ujeżdżać mocniej i szybciej. On natomiast zmusza mnie do zwolnienia i podskakiwania w stałym tempie.

Czuję zbliżający się orgazm, moja cipka zaciska się na jego kutasie, a ciało domaga się zwiększenia nacisku, abym przekroczyła skraj przepaści. Mój mąż unosi biodra i pieprzy mnie, wbijając się głęboko w moje wnętrze. Kładę dłonie na jego piersi, moje ramiona są sztywne z wysiłku.

Cal zabiera ręce z moich bioder i kładzie je na piersiach. Zaczyna je ugniatać. Teraz mogę nieco przyspieszyć, unoszę i opuszczam biodra, aby moja cipka ślizgała się po kutasie.

Jego ręce poruszają się w rytmie moich podskoków. Ściska piersi, a każdemu ściśnięciu towarzyszy przesunięcie palcami aż do moich sutków. Zaczynam dochodzić, odchylam głowę do tyłu i mocno pocieram łechtaczką o jego ciało.

Callum szczypie moje sutki i ciągnie za nie, sprawiając, że na odcinku między piersią a pachwiną w obie strony wędruje fala przyjemności. Wzmacnia orgazm, który wciąż i wciąż rozchodzi się po moim ciele.

Doznanie jest tak silne, że już nie jestem w stanie siedzieć na mężu. Moja cipka dygocze i pulsuje po osiągniętym właśnie orgazmie.

Lecz jeszcze nie skończyłam. Chcę zakończyć to, co zaczęłam wcześniej.

Schodzę z niego i klękam między jego nogami. Biorę jego kutasa z powrotem do buzi, czując swój smak na jego skórze. Przyrodzenie jest ciepłe, smakuje jak piżmo i idealnie komponuje się z zapachem jego skóry i delikatną słoną nutką bezbarwnego płynu, wypływającego z główki jego penisa.

Chcę więcej.

Zaczynam go ssać, robię to o wiele bardziej ochoczo niż wcześniej. Moje usta są spuchnięte i wrażliwe od szczotkowania. Czuję na swoim języku każdą żyłkę jego penisa. Czuję jego puls oraz to, jak przyrodzenie napina się i pulsuje, kiedy mężczyzna coraz bardziej zbliża się do krawędzi.

Chwytam nasadę jego penisa i mocno ssę główkę, poruszając po niej ustami.

– O Jezu, Aido! – krzyczy, eksplodując w moich ustach.

Jego sperma jest gęsta, śliska i ciepła. Strasznie mi się podoba to, że jej smak miesza się z moją wilgocią. Ja i on, my, powinniśmy być razem. Słodkość oraz słoność.

Po wyssaniu z penisa ostatniej kropelki Cal bierze mnie w ramiona, a nasze nogi splatają się pod pościelą. Wydaje mi się, że nasze serca biją w tym samym rytmie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

– CALLUM

Nazajutrz zabieram Aidę na poszukiwania nowego domu. Jeździmy po całym Gold Coast, a nawet po Old Town, na wypadek gdyby wolała zamieszkać w swojej starej dzielnicy. Oglądamy wszystko to, co moim zdaniem mogłoby się jej spodobać, czyli: kamienice, penthousy, mieszkania w budynku bez windy, fikuśne apartamenty w eleganckich budynkach oraz modnie przerobione lofty.

W końcu wybieramy coś pośrodku: stawiamy na stary kościół, który przerobiono na mieszkanie. Nasz apartament znajduje się na najwyższym piętrze. Wielka rozeta – znajdująca się pod ostrołukowym łukiem – zajmuje niemal całą ścianę salonu.

Aidzie tak bardzo spodobało się to mieszkanie, że od razu wpłacamy kaucję.

Potem naprawiamy kolejną rzecz, której brakowało w naszym małżeństwie – zabieram Aidę na zakupy, aby wybrała sobie odpowiedni pierścionek. Taki, który wybierze sama i będzie pasował do jej upodobań i preferencji. Spodziewałem się, że zdecyduje się na delikatnie zdobiony pierścionek, lecz zaskakuje mnie, kiedy wybiera taki z centralnie umieszczonym małym szmaragdem oraz bocznymi diamentami i ozdobnymi pręcikami. Jego linie są proste, a sam pierścionek ma w sobie oldskulową nutkę. Pasuje do niej wręcz idealnie.

Wsuwając go na jej palec, powtarzam słowa przysięgi, które za pierwszym razem wypowiedziałem tak byle jak.

Teraz rozkoszuję się każdym słowem płynącym prosto z serca.

– Ja, Callum, biorę cię, Aido, za żonę. Obiecuję być ci wierny na dobre i na złe. W zdrowiu i chorobie. Będę cię kochać i szanować do końca swojego życia. Obiecuję ci to, Aido. Zawsze będę przy tobie. Nigdy cię nie zawiodę.

– Wiem o tym – oznajmia, przyglądając mi się. – Dobrze wiem, co byś dla mnie zrobił.

Aby uczcić początek naszego nowego wspólnego życia, zabieram ją na lunch do Blackbird.

Po zajęciu miejsc przy stole, Aida stawia na blacie pomiędzy nami torebkę i uśmiecha się szeroko.

– W sumie to ja też mam coś dla ciebie – informuje.

– Co to takiego? – pytam, nawet nie myślę o tym, aby spróbować zgadywać. Nie wiem, czy kiedykolwiek dostałem prezent, z którego naprawdę bym się cieszył. Przyzwyczaiłem się do fałszywych uśmiechów rzucanych przy każdej okazji, kiedy dostawałem spinki do mankietów czy wodę kolońską.

– Głupio mi, że ci to daję – stwierdza Aida, wręczając mi małe, płaskie pudełeczko. – Bo przecież już i tak należy do ciebie.

Biorę od niej pudełeczko, które jest zaskakująco ciężkie. Unosząc wieczko, dostrzegam w nim złoty kieszonkowy zegarek. Wygląda identycznie jak zegarek od dziadka, lecz wiem, że to niemożliwe. Musiała komuś zlecić zrobienie repliki.

– Jak to zrobiłaś? – pytam ze zdumieniem. – Wygląda zupełnie jak tamten. Nawet jest trochę dojechany…

– Chyba bardziej niż był, zanim go wrzuciłam do wody – oznajmia z poczuciem winy. – Od kilku tygodni leżał na dnie jeziora.

– Co? – pytam, nie mogąc w to uwierzyć. – To nie może być ten sam zegarek.

– Oczywiście, że to on – oznajmia triumfalnie Aida.

– Jakim cudem?

– Widziałeś kiedyś Camerona Bella?

– Nie. Kto to?

– Kręci filmiki na YouTube na temat poszukiwań zatopionych skarbów. To płetwonurek. Tak czy inaczej, kiedyś zobaczyłam filmik, na którym znalazł kolczyk, który wpadł do rzeki. No i pomyślałam sobie, że jeśli był w stanie to zrobić…

– I do niego zadzwoniłaś?

– Owszem – odpowiada triumfalnie. – Znaczy się, oczywiście mu za to zapłaciłam. I może wrzucić film z poszukiwań na swój kanał.

Szukał zegarka przez całe trzy dni i korzystał z dwóch wykrywaczy metali, ale zdołał go odnaleźć!

Obracam rodzinną pamiątkę w dłoniach, nie mogąc uwierzyć, że w ogóle ją trzymam.

Spoglądam na pełną nadziei i jednocześnie zdradzającą poczucie winy twarz Aidy.

Tylko moja żona mogłaby uwierzyć w to, że zdoła odzyskać zegarek. Sam się nie zastanawiałem, czy jest to w ogóle możliwe. Prędzej człowiek osuszyłby całe to cholerne jezioro, niż zmusił Aidę, by dała sobie spokój.

Kocham tę kobietę. Dzień, w którym podpaliła mój dom, był najszczęśliwszym dniem w moim życiu, bo zapoczątkował coś pięknego. Zaiste to prawdziwe irlandzkie szczęście: perwersyjne. Niewytłumaczalne. I absolutnie fantastyczne.

– Wybaczysz mi w ogóle, że go zgubiłam? – pyta, wsuwając swoją szczupłą dłoń w moją.

– Nie powinienem ci mówić, ile ci może ujść na sucho – odpowiadam, kręcąc przy tym głową – ale już przecież wiesz, że wybaczę ci wszystko.

– Wszystko? – pyta ze złośliwym uśmiechem.

– Tak – oznajmiam. – Tylko proszę, nie sprawdzaj tej teorii.

Aida pochyla się nad stołem, żeby mnie pocałować. W ostatniej chwili odsuwa się nieznacznie i jej nos dotyka mojego.

– Kocham cię – mówi. – Mówiłam ci to już?

– Nie. – Uśmiecham się. – Powiedz mi raz jeszcze.

ROZDZIAŁ BONUSOWY

– CALLUM

HALLOWEEN

Miałem zabrać Aidę na imprezę charytatywną odbywającą się dzisiejszego wieczoru w parku Six Flags, ale wciąż nie uzgodniliśmy kwestii kostiumów.

Aida marzyła, żebyśmy się przebrali za Frodo i Gandalfa. Ale powiedziałem, że nie ma, kurna, opcji, żebym całą noc chodził w brodzie i kiecce.

– To nie jest kiecka! To szata! – woła. Jej mina zdradza oburzenie oraz niedowierzanie, że wyszła za kogoś, kto nie rozumie modowych niuansów Śródziemia. Tymczasem uważam, że powinna być pod wrażeniem, że w ogóle wiem, czym jest „Śródziemie". Na pewno pół roku temu tego nie wiedziałem.

– Czemu nie możemy postawić na klasykę? – pytam. – A może Danny i Sandy z *Grease*?

Mina Aidy mówi sama za siebie.

– A może Marilyn Monroe i Joe DiMaggio? – proponuję.

– Nie możesz założyć munduru Jankesa – oznajmia. – To świętokradztwo.

– To co? – pytam. – Tylko proszę, nie mów o Harrym Potterze.

– Wcale nie chciałam o nim mówić.

Z pogardą kiwa głową, lecz po rumieńcach, które wykwitły na jej policzkach, jestem na sto procent pewien, że jej kolejnym pomysłem właśnie miał być Harry Potter.

– No weź – namawiam ją. – Musimy tylko w coś się przebrać, żeby pojechać na przyjęcie i zrobić sobie kilka zdjęć. A potem będziemy mieli czas dla siebie, tylko ty i ja…

Zakładam jej za ucho kosmyk lśniących, ciemnych włosów. Pozwalam, aby moje palce zsunęły się niżej, na jej szczękę, a potem dalej, ku delikatnie odstającemu spiczastemu podbródkowi.

W tym tygodniu oboje ostro zapierdalaliśmy. Mam wrażenie, że spędziliśmy razem jakieś pięć minut. Jestem stęskniony i dlatego teraz, gdy czuję, że mój kutas nabrzmiewa w bokserkach, uciążliwie napierając na rozporek spodni. Potrzebuję mojej żony. Bardzo.

– Może po prostu powinniśmy to zignorować… – proponuję. Mam ochotę ją złapać i przyciągnąć do siebie, aby móc przycisnąć te jej miękkie wargi do swoich i posmakować słodycz jej ust.

– Nie możemy! – oznajmia Aida. – Impreza jest dla Second Start. – Patrzę na nią tępym wzrokiem. Ona natomiast przewraca oczami i wyjaśnia: – To impreza charytatywna dla dorosłych studentów, pamiętasz? Twoja mama ze sto razy upewniała się, czy aby na pewno tam pójdziemy. Oszaleje, jeśli ją wystawimy.

Wzdycham.

– Dobra. Po prostu coś wymyśl. Ale proszę, nie decyduj się na nic dziwacznego… Nie chciałbym, żeby wydarzyło się coś, co by się zwróciło przeciwko mnie.

– Możesz mi zaufać – oznajmia Aida. Patrzy na mnie i posyła mi najbardziej zuchwały i najmniej godny zaufania uśmiech, na jaki ją stać. – Znajdę coś idealnego.

Staje na palcach i mnie całuje. Naprawdę minęło sporo czasu, od kiedy ostatnio pocałowałem ją tak, jak należy. Niemal zapomniałem o tym, jak wyśmienicie pachnie, zwłaszcza że ostatnio nieustannie się mijamy. Pachnie mydłem, świeżym powietrzem i palonymi liśćmi. Ta nutka dymu, która bije od jej włosów, sprawia, że moje serce bije jeszcze szybciej. Zapach ognia zawsze będzie mi się kojarzył z Aidą.

Próbuję ją objąć, lecz wyślizguje mi się z rąk i klepie mnie w tyłek.

– Załatwię kostiumy – obiecuje. – *Don't Worry About Me*[32].

Hmm. Cytowanie przez nią tekstu piosenki nie wróży niczego dobrego.

Jednak nie mam czasu, żeby się na tym skupić. Muszę przebrnąć przez całą górę papierkowych pierdół.

Nie mogę powiedzieć, że bardzo mi się podoba praca radnego. To żmudna i niekończąca się robota. Jednak otwiera przede mną wszystkie – a nawet więcej – możliwości, na które liczyłem. W ten czy inny sposób maczam palce we wszystkich poważnych interesach prowadzonych w mieście. Ludzie, którzy unikali mojej rodziny ze względu na naszą kryminalną przeszłość, jeśli chcą coś teraz zrobić, są zmuszeni, aby ze mną współpracować. Dla nich moja pieczątka równie dobrze mogłaby być maczugą.

Popołudnie mija na spotkaniach, rozmowach telefonicznych i odebraniu niedorzecznie wielkiego koszyka z whisky i gorzką czekoladą od Cardenasa (co lepiej, żeby było salwą otwarcia listy przysług, które zamierza spełnić, jeśli rzeczywiście chce dokonać zmian w zagospodarowaniu przestrzennym pod swoją kolejną nieruchomość).

Około osiemnastej do drzwi puka moja sekretarka i wnosi do biura duże, białe pudło. Jest tak wielkie, że kobieta ledwo otwiera drzwi biodrem, chwiejąc się przy tym na niskich obcasach. Co prawda, Evangeline waży zaledwie czterdzieści trzy kilo, wliczając w tę wagę długie, rozpinane swetry, które nosi, więc domyślam się, że dla niej wszystko wydaje się ciężkie.

– Żona kazała to panu przynieść – oznajmia, lekko dysząc. Kładzie pudło na moim biurku. – Mówiła, żebym pomogła go panu zapiąć. I mam przypilnować, żeby był pan gotowy kwadrans po szóstej. – Poprawia okulary w plastikowych oprawkach, wsuwając je głębiej na nos i zerka na zegarek. – Mamy tylko dwanaście minut – dodaje uprzejmie.

Staram się przygotować na wszystko, co znajdę w środku. Aida po prostu, ot tak, przysłała kostium na ostatnią chwilę, więc nie będę miał czasu na żadną kłótnię.

Unoszę wieko. Uderza we mnie ostry zapach gumy i zauważam mnóstwo czarnego materiału.

Wyciągam ciężki kostium i unoszę go, a Evangelina patrzy na niego z zachwytem.

– Ooo! – piszczy. – Batman! Idealnie, panie Griffin. Widziałabym pana jako Mrocznego Rycerza.

Ja natomiast w ogóle nie widzę siebie w roli superbohatera. Ale myślę, że pod pewnym względem Batman jest dobrym wyborem. Jest wyrachowanym, praktycznym strategiem. A nie takim harcerzykiem jak Superman.

Nie potrafię powstrzymać delikatnego uśmiechu wywołanego żartobliwością Aidy. Wydaje mi się, że jestem bogatym biznesmenem, który za dnia odgrywa jedną rolę, a w nocy drugą.

Przebranie będzie idealnie pasować na przyjęcie charytatywne. Teraz muszę się martwić wyłącznie tym, za kogo Aida planuje się przebrać. Wyobrażam sobie, że przychodzi w stroju Pingwina, i to tylko po to, żeby zrobić sobie ze mnie jaja.

– Potrzebuje pan pomocy, żeby go założyć? – pyta uprzejmie asystentka.

Evangelina jest ode mnie dwukrotnie starsza i ma trójkę wnucząt, lecz to ani trochę jej nie powstrzymuje przed drobnym molestowaniem w miejscu pracy.

Aida uważa, że to przekomiczne. Zaprzyjaźniła się z Evangeliną, zresztą moja żona po jakimś czasie zaprzyjaźnia się z prawie każdym. Za każdym razem, kiedy mnie odwiedza, przynosi mojej sekretarce mrożone mochaccino. Słyszę, jak chichoczą przez dwadzieścia minut albo i dłużej, a dopiero później Aida wpada do mojego biura.

– Nie, dziękuję – odpowiadam Evangelinie stanowczym tonem. – Dam sobie radę.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Spędzam dwanaście minut, walcząc z kostiumem, peleryną oraz kapturem. Wyrabiam się na styk, tylko po to, by ruszyć biegiem do czekającej na mnie limuzyny.

Aida stoi obok czarnego lincolna ubrana w jasnozielone body, sięgające kolan buty oraz pelerynę z liści. Włosy przefarbowała jakąś płukanką, nadając im czerwonawy odcień. W połączeniu z jej oliwkową cerą to wszystko wygląda dość efektownie. Usta pomalowała pasującą do całości szminką o wiśniowym kolorze.

Body przylega do jej krągłości, zupełnie jakby zostało namalowane na jej ciele. Zanim cokolwiek zdołam powiedzieć, muszę się zatrzymać i przyjrzeć jej się ponownie.

– Jak, do diabła, mam trzymać ręce z dala od ciebie? – pytam.

– Nie utrzymasz. – Uśmiecha się.

– Nigdy nie sądziłem, że możesz świetnie wyglądać jako rudzielec.

– Powiedz to głosem Batmana.

– Absolutnie. Nie będę udawać tego głosu przez całą noc.

– Tylko raz. Proszę?

Szybko zerkam w stronę siedzenia kierowcy, chcąc upewnić się, że Jack nie słucha. A potem ściszam głos, aby był jak najbardziej zachrypnięty, i mówię:

– RACHELLLL!

Aida śmieje się tak mocno, że mam wrażenie, że zaraz obsika swój nowy kostium.

– Wystarczy – ostrzegam. – Nigdy więcej tego nie zrobię.

– Było idealnie – oświadcza.

Przechyla swoje pełne, wiśniowe usta, aby mnie pocałować. A kiedy nasze wargi się spotykają, wsuwa język w moje usta i rozpoczyna swój taniec. Całuję ją ze zwiększoną siłą, rozkoszując się tym bogatym, słodkim smakiem, który należy wyłącznie do niej.

– Uważaj – szepcze. – Mój pocałunek jest trujący.

– Wiem o tym – warczę. – Pamiętam nasz ślub.

Chichocze i w tym śmiechu nie ma ani grama żalu.

Ja również tego nie żałuję. Każdy pojedynek, każda kłótnia, każda szalona rzecz, którą któreś z nas zrobiło, doprowadziło nas tutaj, do tej chwili. Niczego bym nie zmienił, bo nie mógłbym zaryzykować, że coś poszłoby inaczej. Mam Aidę, dziewczynę, która rzuca mi wyzwania i uzupełnia mnie tak, jak nigdy sobie tego nie wyobrażałem. Stukrotnie powtórzyłbym to wszystko, co sprawiło, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

Całuję ją raz jeszcze, a potem wsiadamy na tył samochodu; Aida robi to z gracją, ja z wielkim trudem, bo gumowe nogawki kostiumu ledwo co zginają się w kolanach. Upewniwszy się, że nie przyciąłem peleryny drzwiami, ruszamy w drogę.

Jack zawozi nas do Six Flags. Cały park został wynajęty na dzisiejszą noc, więc sponsorowani przez organizację charytatywną dorośli studenci mogą tu przyprowadzić swoje dzieci i jeździć na kolejkach górskich przez całą noc, jednocześnie wcinając lody, precle oraz hot dogi.

Od razu po dotarciu na miejsce, odnajduję matkę. Przebrała się za Meduzę, ma na sobie suknię w greckim stylu, a jej głowę ozdabia wspaniałe kłębowisko węży. Oprowadza mnie dookoła i co parę kroków ściska dłonie napotkanym członkom zarządu, a także kilku świeżo upieczonym absolwentom.

Wszędzie rozstawiła przedstawicieli mediów, którzy robią zdjęcia, więc muszę pozować przy każdym uścisku i uśmiechać się swoim najlepszym politycznym uśmiechem.

– Wybornie – mówi radośnie. – Wrzucimy najlepsze zdjęcia na stronę internetową. Jesteśmy na dobrej drodze, aby podwoić kwotę uzbieraną w zeszłym roku.

Nie może się powstrzymać. Niezależnie od tego, czy to impreza charytatywna, uroczysta kolacja, czy bezwzględne przejęcie innej firmy, moja matka musi zawsze przewyższyć wszelkie oczekiwania.

Fotograf wykonuje jeszcze kilka zdjęć, po czym robi przerwę.

– Wiesz – zaczyna mama – powinniśmy zabrać ciebie i twoją żonę na przejażdżkę nową kolejką górską. Idealnie pasuje do waszych kostiumów.

– Jasne, jak tam chcesz – odpowiadam.

Stojąca obok mnie Aida sztywnieje.

– Jaką kolejkę górską? – pyta.

– Jokera, kolejka typu free fly. Dopiero co ją zmontowali. To idealne miejsce dla Batmana i Poison Ivy – mówi matka, szczerząc się w uśmiechu.

– Co… ee… co to znaczy, że jest „free fly”? – pyta Aida.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby mówiła takim tonem. Gdybym nie znał jej lepiej, niemal pomyślałbym, że moja lekkomyślna i żądna przygód żona się boi.

Nie zauważając, że Aida robi się tak samo zielona co jej body, fotograf odpowiada beztrosko:

– Och, spodoba ci się! W ogóle nie jedzie się po torach. Siedzenia są po obu ich stronach, więc praktycznie kręcisz się i wirujesz w powietrzu!

– Wirowanie i kręcenie? – powtarza Aida, z trudem przełykając ślinę.

– Tak! – mówi fotograf, zarzucając torbę na ramię i szykując się, aby zaprowadzić nas na miejsce. – Unosisz się na wysokość dwunastego piętra, są tam pionowe wzniesienia, dzięki którym podczas jazdy doświadcza się sporo swobodnego spadania… to naprawdę nowatorski projekt. Dziwię się, że o tym nie czytałaś. Technologia magnetyczna jest dość nowa, nigdy wcześniej nie została użyta…

Brzmi zupełnie tak, jakby odczytywał z podręcznika informacje, które wydają się zupełnie przerażające. Oczy Aidy zrobiły się tak duże, że zajmują połowę jej twarzy.

– Nie musisz na nią iść – oznajmiam. – Mogę iść sam, jeśli się boisz.

Aida odwraca głowę, aby na mnie spojrzeć.

– Nie boję się – mówi zjadliwie. – To tylko przejażdżka.

A mimo to, kiedy idzie za fotografem w kierunku masywnej zielono-fioletowej stalowej konstrukcji, drżą jej kolana, chociaż stara się to ukryć.

Kręcę głową, widząc jej upór i ustawiam się z nią w kolejce. Z racji tego, że w parku jest mniej gości niż zazwyczaj, mamy niecałe trzy minuty, żeby się przygotować, po czym zostajemy przypięci uprzężami.

– Dobra! – mówi fotograf, pokazując nam uniesiony kciuk. – Będę tutaj. Postarajcie się wyglądać na bardzo podekscytowanych! Strzelę wam fotę, jak dojedziecie do tego zakrętu.

Wskazuje na jeden z pierwszych spadków.

Aida jest blada, siedzi cicho i wygląda, jakby miała zaraz zostać stracona.

– Wciąż możesz się wycofać – oznajmiam.

– Nigdy – odpowiada, zamykając oczy z rezygnacją.

Wagoniki podskakują, gdy łańcuchy budzą się do życia, i tak pokonujemy pierwszy podjazd.

Muszę przyznać, że fascynuje mnie ta luka w zbroi Aidy. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby się czegoś bała. Nawet rzeczy, które naprawdę mogłyby ją zabić.

Oddycha szybko i płytko, cienki materiał jej body napina się na jej piersi. Dostrzegam czubki jej sutków oraz sztywne palce zaciskające

się na pasach uprzęży.

Może to tylko pokazuje, jak pokręcony się stałem, ale coś w tej całej sytuacji jest dziwnie… podniecające. Może to dlatego, że przestraszona Aida wygląda łudząco podobnie do Aidy podnieconej. Oddycha ciężko, ma rozszerzone źrenice, a nawet zaczęła się nieco pocić.

Wagoniki wznoszą się coraz wyżej, na tyle wysoko, że jedyną rzeczą, która znajduje się ponad nami, jest czarne, gwieździste niebo. Oczekiwanie jest niemal bolesne, bo wiemy, że im wyżej się wzniesiemy, tym gwałtowniej będziemy musieli spaść.

– Nie martw się – mówię do Aidy, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Jestem tutaj.

– Wiem – mamrocze z zamkniętymi oczami.

Wagoniki zatrzymują się na szczycie pierwszego wzniesienia. Sekunda oczekiwania jest istną torturą, a potem kolejka mknie w dół.

Aida krzyczy.

Kiedy mkniemy w stronę pierwszej pętli, staram się przywołać uśmiech na twarz, pamiętając o robiącym zdjęcia fotografie. Jestem przekonany, że mój uśmiech wygląda bardziej jak grymas. Aida wciąż krzyczy, gdy błyska flesz, pięć czy sześć razy z rzędu. Potem mijamy fotografa, lecz wciąż jedziemy, wcale nie zwalniając, lecz nabierając prędkości.

Przesuwam dłoń na udo Aidy, ściskając je w geście pocieszenia.

Czuję pod palcami twarde mięśnie. Czuję, jak je napina, wierci się i ciągle mocno zaciska powieki.

Ta kolejka to istne szaleństwo, nigdy na szybszej nie jechałem. Mimo wszystko porusza się zaskakująco płynnie, może to zasługa technologii magnetycznej, o której mówił fotograf. Mkniemy w szaleńczym tempie przez pętle i zakręty, lecz nic nami nie szarpie, nawet nie podskakujemy. To naprawdę przypomina latanie.

Moja ręka przesuwa się nieco wyżej po udzie Aidy. Palce mam na samej krawędzi jej zielonego body. Czuję, że moje tętno przyspiesza, i to wcale nie z powodu jazdy.

Wsuwam palce pod gumkę, czując gładką, miękką skórę jej cipki. W końcu otwiera oczy, a jej szare tęczówki – głębokie oraz przydymione

– przypominają mi o wszystkim, co uwodzicielskie i niebezpieczne. Aida patrzy na mnie, a jej strach zmienia się w coś zupełnie innego.

Pocieram palcem wskazującym oraz środkowym jej miękkie, wilgotne wargi i odnajduję łechtaczkę. Drażnię ten maleńki guziczek, aż słyszę, jak wzdycha, a potem wsuwam palce do środka, sprawiając, że to westchnienie przechodzi w jęk.

Wciąż unosimy się w powietrzu podczas jazdy, niekiedy w pozycji pionowej, a czasem do góry nogami. Z racji tego, że niezależnie od kierunku jazdy nasze siedzenia są do siebie przymocowane, moja ręka wciąż jest mocno przyciśnięta do jej cipki, a palce ciągle wchodzą w nią i wychodzą.

Aida odchyla głowę do tyłu i znowu zamyka oczy, lecz tym razem z przyjemności, a nie przerażenia. Pośród ryku kolejki i wrzasków innych pasażerów nikt nie słyszy, jakie wydaje z siebie odgłosy.

Gdy zaczynałem, już i tak była w szaleńczym stanie, poziom jej adrenaliny sięgnął zenitu. Teraz całe to napięcie przeobraża się w podniecenie. Zamiast pracować nad jej orgazmem od początku, jesteśmy w połowie drogi, a nawet już w trzech czwartych. Czuję, jak jej cipka zaciska się wokół moich palców, a biodra ocierają się o uprząż i moją rękę.

Jej sutki są tak twarde, że jestem w stanie dostrzec przez body każdy ich szczegół, zupełnie jakby była topless. Chciałbym móc opleść ustami te jej idealne cycki, ale uniemożliwiają mi to pasy przytwierdzające mnie do siedzenia. Jedyne, co mogę zrobić, to jeszcze mocniej pieprzyć ją palcami, jednocześnie pocierając kciukiem jej łechtaczkę.

Nigdy wcześniej nie czułem, żeby była tak mokra. Nigdy nie widziałem, żeby jej pierś tak bardzo się unosiła. Jej uda drżą, całe jej ciało aż się trzęsie. Przed końcem podróży wjeżdżamy na ostatnie wzniesienie.

Kolejka górska opada raz jeszcze, a ja mocno wsuwam palce w Aidę. Moja żona zaczyna krzyczeć, to krzyk, który trwa i trwa, brzmi zupełnie jak krzyk pozostałych pasażerów, lecz Aida krzyczy z zupełnie innej przyczyny. Spadamy, a ja czuję, jak jej cipka pulsuje wokół moich palców. Odrzuca głowę do tyłu, rozkosz ściska jej gardło, a palce ma mocno zaciśnięte wokół pasów uprzęży.

A potem wracamy na ziemię, wagoniki natomiast suną w kierunku platformy. W ostatniej chwili zabieram rękę.

Kolejka się zatrzymuje. Nasze uprzęże rozpinają się, wydając świszczący dźwięk, po czym unoszą się, aby nas uwolnić.

Aida wciąż sapie i dyszy, jej twarz jest zarumieniona i zroszona potem. Muszę pomóc jej stanąć na nogach, które są jak z waty. Aida podnosi się niepewnie i chwiejnie, aż muszę ją przytrzymać.

– Wszystko z nią dobrze? – pyta operator kolejki.

– Och, ma się wyśmienicie – zapewniam. – Ona wręcz uwielbia kolejki górskie.

Aida wydaje z siebie nieco zduszony dźwięk. To coś pomiędzy śmiechem a jękiem. Operator zdaje się być zaniepokojony.

Obejmuję żonę ramieniem i zaczynamy przepychać się obok faceta, a kiedy znajdujemy się znów między budkami, mówię:

– Wszystko w porządku?

Aida opiera się o mój bok. Jej kolana nadal są jak z waty.

– Znowu próbujesz mnie zabić, kochanie? – pyta. – O mało nie dostałam zawału.

– Przez przypadek mogę cię zabić swoim kutasem – warczę jej do ucha. – Mógłbym cię w tej chwili zaruchać na śmierć.

Aida patrzy na mnie. Jej oczy wciąż zasnuwa mgła pożądania, widzę po jej spojrzeniu, że w najmniejszym stopniu nie została zaspokojona.

– Obiecujesz? – pyta.

Łapie mnie za ramię i ciągnie w stronę domu luster. To niezbyt popularne miejsce. W środku jesteśmy tylko my.

Prowadzi mnie szklanym labiryntem, aż zostajemy otoczeni przez własne odbicia. Potem zaczyna mnie całować. Jej usta są rozpalone i wygłodniałe, w jej oddechu słyszę pozostałości adrenaliny.

Teraz mogę zrobić to, czego pragnąłem wcześniej – zsuwam przód jej body i biorę do ust pełną, miękką pierś. Ssę sutek, aż zrobi się taki twardy, jaki był podczas jazdy kolejką górską. W końcu Aida błaga mnie, żebym zrobił to samo z drugim, niemal mnie nim karmiąc.

Ssę jej sutki długo, aż robią się mokre i zaczynają pulsować, po czym ponownie wsuwam w nią palce. Aż ocieka sokami. Jest taka

wrażliwa, że ledwo jest w stanie znieść mój dotyk, lecz pragnie go rozpaczliwie.

A ja pragnę jej. Chcę zanurzyć swojego kutasa w tej mokrej cipce bardziej, niż kiedykolwiek chciałem czegokolwiek w życiu. Lecz jestem uwięziony w tym pieprzonym gumowym kostiumie, który jest gorszy od kaftana bezpieczeństwa.

Na szczęście Aida też chce go ze mnie zdjąć. Niekoniecznie zważając na to, żeby strój został w jednym kawałku, Aida bez żadnych skrupułów szarpie go i rozrywa na strzępy, tak że po chwili jego fragmenty leżą u moich stóp, a mój kutas w końcu jest na wolności, odstając od ciała jak jakiś taran.

Nie mam cierpliwości, aby tak samo potraktować jej strój. Zamiast tego odchylam dół jej body na bok i wbijam się w nią, unosząc jej ciało tak, że oplata mnie nogami w pasie, a ramionami wokół szyi. Przypomina mi to naszą jazdę na kolejce górskiej, ponownie czuję, że jesteśmy już w połowie drogi do orgazmu. Nie ma żadnej gry wstępnej ani rozgrzewki. Pieprzę ją mocno i szybko, podrzucając ją w ramionach. Od ulgi niemal mam majaki – tak wspaniale jest być wewnątrz niej.

Otaczają nas nasze odbicia, a każde z nich różni się nieco kształtem i rozmiarem. Widzę ze sto różnych wersji mojej żony, lecz każda z nich jest Aidą: dumną, szczęśliwą, pożądliwą, upartą, radosną, psotną, dziką.

To idealna okazja, aby przyjrzeć się mojej żonie. Aida jest zmienna niczym wiatr, a jednak zawsze pozostaje sobą.

Lecz tylko jedna z nich jest tak seksowna, że ledwo mogę to wytrzymać. Bycie otoczonym przez te wszystkie odbicia to więcej, niż mogę znieść. Widzę każdy skrawek jej soczystego ciała, podskakującego i poruszającego się jak w kalejdoskopie. To takie przytłaczające.

Pragnę, aby ta chwila trwała wiecznie, lecz nie jestem w stanie się powstrzymać. Mknę w kierunku orgazmu, a od tego nie ma odwrotu, dokładnie tak jak w lecącym w dół rollercoasterze. Spadam w stronę Aidy i nie chcę wracać. Nigdy.

Obejmuję ją ramionami i ściskam tak mocno, że sam nie mogę oddychać. Eksploduję w niej, chowając twarz w bok jej szyi, chcąc w

ten sposób stłumić krzyk.

Po powrocie do żywych siadam na ziemi, jestem spocony jak diabli i otoczony przez strzępy kostiumu Batmana. Nadal mam na sobie maskę, pelerynę oraz buty. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że cały czas miałem je na sobie. Widząc te dodatki na moim nagim ciele, staram się założyć resztki kostiumu, podczas gdy Aida śmieje się ze mnie.

– Potrzebna ci pomoc? – prycha.

– Przydałaby się.

– Może powinieneś odpalić Bat-sygnał…

Zaczyna chichotać i nawet nie jest w stanie na mnie spojrzeć.

– Śmiej się, śmiej – mówię, zakładając kostium. – Nie myśl sobie, że już z tobą skończyłem. Jak wrócimy do domu, zapłacisz mi za te wszystkie żarciki…

Aida nagle się ożywia.

– Ach, tak? – mówi. – Proszę mi powiedzieć coś więcej, panie Wayne…

– Poison Ivy nie zna sekretnej tożsamości Batmana – informuję.

– Ale ja znam twoją – odpowiada.

To prawda. Zna mnie. Zna wszystkie moje oblicza. Nie tylko jako syna, brata, gangstera czy radnego. Wie, kim naprawdę jestem.

Jestem mężczyzną, który zakochał się w niej po uszy.

Z zamyślenia wyrywa mnie dźwięk przychodzącej wiadomości. Wyjmuję telefon i odczytuję SMS-a: *Nessa została porwana*.

[1] Wielki pożar z 10 października 1871 roku, który zabił setki mieszkańców i doszczętnie zniszczył 10,4 km2 zabudowy miasta (przyp. tłum.).
[2] Wizerunek Benjamina Franklina znajduje się na awersie banknotu studolarowego (przyp. tłum.).
[3] Mark Rothko (właśc. Marcus Rothkowitz) – amerykański malarz (przyp. tłum.).
[4] Horseshoe – kasyno w Chicago (przyp. tłum.).
[5] Zawody koszykówki mężczyzn (przyp. tłum.).
[6] *Porca miseria* (z wł.) cholera jasna (przyp. tłum.).
[7] *Wrigley Field* – stadion baseballowy w Chicago (przyp. tłum.).
[8] *Glitterati* (z wł.) śmietanka towarzyska (przyp. tłum.).
[9] *Chicago Bears* – zawodowy zespół futbolu amerykańskiego z Chicago (przyp. tłum.).
[10] *Lee Harvey Oswald* – amerykański zamachowiec, domniemany zabójca prezydenta USA, J. F. Kennedy'ego (przyp. tłum.).
[11] *Cazzo* (z wł.) – kurwa (przekleństwo) (przyp. tłum.).
[12] *Władysław Valentino Liberace* – amerykański artysta estradowy pochodzenia polsko-włoskiego (przyp. tłum.).
[13] *Birkin* – torebka francuskiego domu mody Hermes, nazwana na cześć aktorki Jane Birkin (przyp. tłum.).
[14] *EpiPen* – automatyczny wstrzykiwacz jednorazowy z adrenaliną, stosowany w celu domięśniowego podania roztworu w przypadku wystąpienia wstrząsu anafilaktycznego (przyp. tłum.).
[15] W akapicie jest mowa o dwóch kolekcjonerskich kartach bejsbolowych. Aida porównuje siebie do karty wartej około pięć milionów dwieście tysięcy dolarów, a Rionę do karty wartości czterdziestu dolarów (przyp. tłum.).
[16] *Chicago Transit Authority* (CTA) – agencja będąca operatorem transportu zbiorowego w Chicago (przyp. tłum.).
[17] *Minchia!* (z wł.) – kurwa! (przyp. tłum.).
[18] *Smettila!* (z wł.) – Przestań! (przyp. tłum.).
[19] *Semifreddo* (z wł.) – rodzaj włoskiego, mrożonego deseru (przyp. tłum.).
[20] *Cavalo!* (z wł.) – Wyciągnij go! (przyp. red.).
[21] *Sie serio? Che palle!* – (z wł.) Mówisz poważnie? Cholera! (przyp. red.).
[22] *Capisco. Si. Sarò lì presto* – (z wł.) – Rozumiem. Tak. Niedługo będę (przyp. red.).
[23] Chicago Cubs – chicagowska drużyna baseballowa (przyp. tłum.).
[24] Hiszpańska marka modowa (przyp. tłum.).
[25] Niegrzeczne określenie kamerdynera (przyp. tłum.).
[26] Potoczne określenie „lekarza od złamań" (przyp. tłum.).
[27] MDMA/Ecstasy (przyp. tłum.).
[28] Urządzenia przeznaczone do odparowywania substancji przeznaczonych do inhalacji, np. ziół (w tym CBD), tytoniu (przyp. red.).

[29] Fedora w połączeniu z garniturem suit to styl ubioru, który stał się popularny u Afroamerykanów, Latynosów, Włochów, Amerykanów, i Filipińsko-amerykańskiej społeczności w latach czterdziestych XX wieku (przyp. tłum.).
[30] Gra łącząca elementy badmintona, tenisa stołowego i tenisa (przyp. tłum.).
[31] Akcja w walce jeden na jeden, gdy atakujący przewraca przeciwnika, przygważdża go do ziemi i okłada pięściami (przyp. tłum.).
[32] *Dont worry about me* (z ang.) – O mnie się nie martw (przyp. red.).